

FABRYCZNA ZONA . PL

SZTYWNY



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

STALICA



ГОНИ ЛАВЕ
ДОЛБОУБ
ВЫКЛАДЫВАЙ АРТЕФАКТЫ

MICHAŁ GOŁKOWSKI

▶ Szliśmy NA MIĘKKO, rozmawiając o tym i owym, nie kryjąc się ze swoją obecnością. Zek wysmarkał po drodze nosa w palce, ja schyliłem się, żeby zawiązać sznurowadło... Żeby mieć stuprocentową pewność, że ktokolwiek jest w środku, już nas usłyszał i jest gotowy.

Frajera nakryliśmy, że tak powiem, in flagranti.

– Ty, brat, nie ma nikogo... – rzuciłem półgłosem, patrząc na nieduże ognisko pośrodku pokoiku, suszącą się przy nim kurtkę i otwartą rację żywieniową. Ktokolwiek tu był, musiał chyba dać dyla na sam nasz widok, zostawiając nawet plecak i – karabin...?

– Kto tu? – rozległo się zza naszych pleców, odwróciliśmy się jak na komendę, ja z makarowem, Zek z dwururką, biorąc na cel sylwetkę obcego.

– Wow, wow, panowie... – Nieznajomy podniósł w górę rękę z pistoletem. Widząc, że nadal nie zamierzaliśmy opuszczać broni, uniósł też drugą, do tej pory trzymaną na wysokości paska. Spodnie z szelestem zjechały w dół, odsłaniając pałkowate, włochate nogi i rąbek kremowych gaci w czerwone serduszka. – Pokój między chrześcijany...

– Ktoś ty? – warknął Zek, dając mi znak, żebym odebrał tamtemu broń.

– Stalker, jak i wy...

– Dlaczego się ukryłeś? – zapytałem, wyluskując mu z ręki naszego rodzimego forta-12. Ładna broń. – Po co się zasadzasz?

– Halo. – Pomachał trzymaną w lewym ręku rolką sprajtaśmy. – Czy ja wam na bandytę wyglądam?

Wymieniliśmy z Zekiem spojrzenia; ja kiwnąłem, ale on tylko ledwo zauważalnie przymknął oko.

– No, w sumie to może i nie – minimalnie opuścił obrzytną Zek, celując mu teraz w nogi. – Kto jest z tobą?

– Sam jestem, a kto niby miałby być. Mogę gatki poprawić, bo mi po jajkach wieje?

Zek skinął, nieznajomy powoli, patrząc to na mnie, to na niego, schylił się i podciągnął spodnie.

„Sztynny” – fragment

Patroni medialni



SZTUKATER.PL

SECRETUM.PL



LUBIE CZYTAĆ



Nastek.pl
MŁODZIEŻOWA STRONA SIĘCI

FANBOOK



efantastyka.pl

SZORTAL
WIEDZA I KULTURA W DŁUGICH

SZUFLADA
magazyn kultury i literatury

www.fantastyka.pl

kulturaonline.pl

Spis treści

Karta tytułowa

Seria Fabryczna Zona

* Sztywny

Fabryczna Zona

Karta redakcyjna

Okładka

MICHAŁ GOŁKOWSKI
SZTYWNY



ILUSTRACJE
ANDRZEJ ŁASKI

fabryka słów[®]

LUBLIN 2015

Seria Fabryczna Zona:

Michał Gołkowski – *Ołowiany świt*

Michał Gołkowski – *Drugi Brzeg*

Michał Gołkowski – *Droga donikąd*

Michał Gołkowski – *Sztywny*

Wiktor Noczkin – *Ślepa plama*

Wiktor Noczkin – *Czerep mutanta*

Wiktor Noczkin – *Wektor zagrożenia*

Bartek Biedrzycki – *Kompleks 7215*

Bartek Biedrzycki – *Stacja: Nowy Świat* (w przygotowaniu)

Andrzej Lewicki – *Łowca z Lasu*

Sztywny ma problem.

**Rzecz nie w tym, że jego partnerzy
nie wracają z Zony.**

**Nie chodzi wcale o to, że zdecydowanie
za dużo pije i za ostro wciąga.**

**Problemem nie jest nawet to, że Sztywny nie potrafi utrzymać w spodniach
swoich części niesfornych.**

Bynajmniej.

Problemem jest sam Sztywny.



Я знаю, что твой брат сдаст тебя за грамм,
я знаю, что твой враг – тот, кто скажет правду.

Wiem dobrze, że twój brat sprzeda cię za gram,
wiem dobrze, że twój wróg tylko powie prawdę.

– LocDog



Krótki prolog w formie epitafium

Leżę sobie i krwawię. Konkretnie – leżę sobie na dnie studzienki kanalizacyjnej i krwawię z rany postrzałowej w brzuch. Nawet szczególnie już nie boli, zostało tylko jakieś takie przyćmione wrażenie, odzywające się od czasu do czasu krótkim ukłuciem i rozlewające po otrzewnej tęnym brakiem czucia. Ręce mam całe upieprzone własną juchą, która zdążyła dokumentnie przesiąknąć kurtkę i spodnie... Nie, mało co już czuję. A może... Może tak naprawdę właśnie to mnie boli, i to potwornie boli, tylko że nie czuję nic, bo wszystko przyćmiewa uczucie wypływającego mi przez uszy mózgu o konsystencji rzadkiej jajecznicy? Nie jestem już nawet do końca pewien, ale chyba tak – jednak głowa boli bardziej. Bądź co bądź, leżenie sobie pod gołym niebem podczas emisji to nie przelewki.

A zatem leżę sobie i krwawię, w dodatku szalejący nade mną huragan anomalnej energii powoli zmienia mi mózg w kaszę. Gałki oczne zdążyły już chyba ugotować się na twardo, język napuchł, wylazł z ust i majta się gdzieś w okolicy szyi. Cały pokryty jestem własnymi rzygowinami i krwią. Nie ma co, piękny sposób pożegnania się z życiem dla (w miarę) szanującego się stalkera.

Leżę tak i umieram powoli, zastanawiając się tylko, czy zdążę się wykrwawić, czy też zabije mnie przysłowiowy gniew Sarkofagu; nie mogę się zdecydować, czy bardziej odczuwam pulsującą krwią ranę brzucha, czy bąblujący pod czaszką mózg. Szkarłatne niebo przelewa się, ryczy i wyje jak rzeźnia pełna upośledzonych umysłowo dzieci, a ja czuję, jak finalnie zaczyna odpływać ode mnie świadomość. Na chwilę, zanim pochłonie mnie otchłań niebytu, w moim udreńczonym, na wpół usmażonym mózgu rozbłyskuje

jeszcze i gaśnie pytanie:

Cholera...

...jak w ogóle do tego doszło?



Flatline: minus jakieś dwa tygodnie

– Ej, Sztywny!

Cholera, może odpuści, pomyślałem sobie wtedy. Może da spokój i się odpieprzy, może uwierzy, że nie słyszę. Na wszelki wypadek przyspieszyłem kroku, spuściłem głowę niżej i udawałem, że myślę o czymś zupełnie innym.

– Sztywny, ej! No poczekaj no!

Wciągnąłem głowę w ramiona, zastanawiając się, czy mogę przyspieszyć jeszcze bardziej, ale tak, żeby nie wyszło na to, że uciekam. Telefon w rękę, ręka pracowicie udająca, że biega po klawiszach, wysyłając jakiegoś Bardzo Ważnego Sesemesa. A co...

– Hej, poczekaj!

Stukot szpilek po chodniku. Cholera, nic z tego. Gdy była już naprawdę blisko, odwróciłem się, wciąż trzymając w rękę telefon – ot tak, żeby sobie nie myślała, że nie miałem zupełnie nic do roboty.

– Cześć, Oksana. – Zmusiłem się do uśmiechu, jednocześnie oceniając swoją sytuację i rozważając warianty zachowania.

– Heeej! – Na szyję rzuciło mi się pięćdziesiąt parę kilo futra z norek, lakierowanej na czerwono skóry, złota, pudru i równie ciężkiego zapachu perfum. Od razu na szybko wykreśliłem w myślach wariant wstępnego walnięcia z liścia w twarz, chyba nie będzie to jedna z TYCH rozmów... No, chyba że Oksana w końcu zaczęła chodzić na te zajęcia z rozwoju osobowości, o których mi opowiadała od roku, i sprawdziła w słowniku znaczenie słowa „decepcja”. Do tej pory była pewnie przekonana, że to albo sequel słynnego kilka lat temu filmu, albo rodzaj pigułki wczesnoporonnej.

– Sztywny, mmmm... – Jak zwykle zaczęła od wymiany płynów ustrojowych i rewizji osobistej; nie powiem, żeby w innych okolicznościach miało mi się to nie podobać, ale ostatnio stawało się jakby nużące. Poza tym poczułem wyraźnie, jak drgnęła, kiedy jej ręka prześliznęła się po pistolecie tkwiącym u mnie za paskiem. Dałem radę w końcu zrobić w ustach trochę miejsca też dla własnego języka, odsunąłem od siebie dziewczynę, wierzchem dłoni starłem z warg szminkę. Smak miętowego tic-taca pozostał.

– Co tam, Oxi – stwierdziłem bardziej, niż zapytałem, bo i tak wiedziałem, co mi powie.

– Stęskniłam się za tobą, Sztywny. – Płaczliwie-zalotny głosik i trzepot doklejonnych rzęs ni cholery nie pasowały do okoliczności naszego ostatniego rozstania, ale wiedziałem, że to tylko klasyczna zagrywka. Westchnąłem ciężko, sięgnąłem do kieszeni po papierosa.

– Oxi, nie mam czasu teraz. Spieszę się.

– Oj, no weź, Sztywny, no... – Przyłgnęła do mnie całym ciałem, patrząc w oczy wzrokiem chętnej suczki. Tak, Oxi zawsze była dobra w te klocki. Mój mózg to wiedział, moje ciało to wiedziało, ale pewnych reakcji organizmu nie da się kontrolować; Oksana uśmiechnęła się szeroko, czując pod ręką najbardziej nieposłuszną z moich kończyn. – Chodź...

– Nie mogę, mała. – Wydmuchując dym, rozejrzałem się po okolicy. Tak, to pewnie ten; wielka maska przedłużonej beamwicy z czarnymi szybami wyglądająca niezobowiązująco zza rogu bloku. Ot, akurat na tyle, żeby kierowca nas widział, ale bez rzucania się w oczy. Jak krokodyl w tropikalnej rzece: „Jestem tylko małą, szarą, deszczową chmurką”. – Mówię ci przecież, że się spieszę.

– Na pewno znowu do niej idziesz. – Wydęła wargi, udając, że się dąsa. – Znowu będziesz spał z tą zdzirą.

– Nie – skłamałem. – Słuchaj, muszę iść, Oxi. Czeka ją na mnie.

– Nie kochasz mnie już. – Zrobiła ruch, udając, że chce odejść. – A ja mam w domu coś nowego...

Poczułem, jak zasycha mi w gardle. Nie jestem typem, na którym byle co mogłoby zrobić wrażenie, ona też z niejednego już pieca chleb jadła – ale jeżeli Oksana mówi, że ma coś nowego, to naprawdę musi to być niezły wynalazek. Przez krótką chwilę zastanawiałem się nawet, czy nie zaryzykować, ale właśnie ten moment wybrał kierowca samochodu, żeby wrzucić wsteczny i cofnąć się kawałek za blok. Pewnie uznał, że za bardzo rzuca się w oczy. A więc stali na włączonym silniku, złamasy jedne...

– Muszę lecieć, Oxi – uśmiechnąłem się nieszczercze – pogadamy jutro.

Odwróciłem się i ruszyłem żwawym krokiem.

– Jutro to możemy już nie zdążyć, Sztywny. – Głos Oksany doleciał do mnie razem z szumem zbliżającej się beamwicy. – Szary pytał się o ciebie.

Nogi jakby mi ktoś przyspawał do chodnika. Nagle zrobiło mi się gorąco, poczułem, jak świat dookoła zawirowuje, potem uspokaja się nieco. Zaciągnąłem się, odwróciłem, starając się, żeby mój głos brzmiał na tyle niezobowiązująco, na ile to możliwe.

– Szary? – Stalowy potwór podjechał już praktycznie na wysokość Oxi, ale przez przyciemnioną szybę nie widziałem, kto siedzi za kierownicą. Ani obok. Ani z tyłu. Chyba nie było sensu strzelać, szkło na pewno pancerne. – No popatrz, jaki zbieg okoliczności. Wpadnę do niego w wolnej chwili, co tam u niego?

– Szary cię szuka. – Głos Oksany nie miał już w sobie nic z poprzedniej słodyczy, teraz były to po prostu słowa. – Tym razem ostro przejechałeś, Sztywny.

Wydmuchnąłem dymek, strzyknąłem śliną na ziemię.

– Spierdalaj.

Odwróciłem się i ruszyłem dalej, nie czekając nawet na cokolwiek, co będzie mi chciała jeszcze powiedzieć. Nie miało to już najmniejszego znaczenia, a ja wciąż musiałem załatwić swoje sprawy. Trzasnęły drzwi, beamwica, wyjąc silnikiem, przeleciała obok, zostawiając mnie w chmurze sinych spalin.

Szedłem sobie tak po trotuarze, mijając ludzi i samochody, i myślałem intensywnie: co tu, cholera, zrobić? Po lewej i prawej migały okna i podwórka, gdzie nie spojrzeć, wszechogarniający syf, jak to w naszej mieścinie: kilkupiętrowe bloki pokryte odłóżkami

syfnym tynkiem, niedomyte syfne okna, zabudowane nierównej wielkości szybami syfne balkony pełne syfu, którego właścicielom zbyt małych, ciemnych, syfnych mieszkańek nie chciało się znosić na dół albo szkoda było wypieprzyć. Tak mnie uderzyło – te mieszkanek są tak samo syfne, jak i ludzie. Każdy z nas ma gdzieś w sobie taki zabudowany balkon, który z założenia miał być miejscem, gdzie powinno się odpoczywać, cieszyć świeżym powietrzem, słońcem i widokiem. A ponieważ inni ludzie zabudowują swoje balkony i psują nam ten widok, w dodatku przez większość roku pogoda jest cokolwiek chujowa, to zabudowujemy te nasze balkony i trzymamy na nich syf. Syf zbyt duży, żeby go zmieścić do codziennego zsypu, zbyt nieporęczny, żeby znosić po schodach, zbyt sentymentalny, żeby go wyjechać z okna. Chwilowo postanowiłem wynieść Oksanę na mój duchowy balkon; może kiedyś ją odkurzę i znów będę używał, a na tę chwilę jest syfem. Wielkim, nieporęcznym, sentymentalnym syfem.

Na szczęście do Akwarium nie było już daleko, więc z pewną ulgą powitałem zaparkowane przy schodach znajome samochody. Znajome – tak; czy przyjazne – to się okaże.

– Cześć, Iwan, co dobrego? – rzuciłem od wejścia do wykidajły, który bez pytania pokazał mi ręką drogę przez bramkę. Oczywiście detektor zawył, jak pies z jajcami obwiązany drutem kolczastym, ale ochroniarz skrzywił tylko pokrytą szramami mordę i machnął: wchodzi, kto by się przejmował.

– Jużeśmy myśleli, że nie wrócisz. – Moja ręka dosłownie utonęła w uścisku jego łapy, wielkiej niczym bochen razowego chleba. Przez chwilę myślałem, że może wreszcie udało mi się go dobrze złapać, ale potem były bokser przycisnął i musiałem spasować. – Co tam się stało?

– Nic, jak to w pracy bywa. – Wzruszyłem ramionami. – Były zawirowania, ale przecież jestem, nie?

– No jesteś. – Uśmiechnął się krzywo. – Zobaczymy, jak długo.

– Iwan, weź się pierdol, co? – Poczułem, że już-już wracający dobry nastrój znów ulotnił się jak rozlany spirytus. – Nie masz co powiedzieć?

– Sztywny, no coś ty? – Bramkarz rozłożył ręce, tępa twarz neandertalczyka wyrażała nieudawane zdziwienie i wręcz skruchę. – No co? Przecież nie wiadomo, kiedy znowu pójdziesz, nie? Coś nerwowy jesteś...

– Nieważne – uciałem. – Źle spałem. Kto jest?

– No, są już Prosiak, Strusiu, Prawiczek... – Trzy paluchy grubości pęta kiełbasy wyznaczyły nieprzekraczalny dla Iwana horyzont myślowy. – I paru innych.

– Szeff?

– U siebie.

Wszedłem do mocno już zadymionej sali niby-klubu nocnego. „Niby”, bo jak to ujął sam Szeff, bardziej z Akwarium nocny niż klub. Teoretycznie są podesty dla dziewczyn, wystrój też taki bardziej w klimacie burdelu niż pijalni piwa, ale jakoś się z biegiem czasu lokal zmenelił. Jak byłem młodszy, to sam pamiętam, że pod drzwiami się stało, gwizdało za wychodzącymi w wysokich butach lalkami i próbowało na różne sposoby wyminąć albo oszukać wykidajłów, żeby wśliznąć się do środka i popatrzeć na wijące się na niklowanych rurach tancerki, ale ostatnio jakoś nam to nasze Akwarium zarosło, że tak powiem,

glonami. Tancerek nie ma już dłuższy czas, w barze podają w zasadzie tylko to, co piją nasi, klientela też nieszczególnie zróżnicowana. Dzięki temu lokalne cwaniaczki, cała *szpana* i inne *mażory* przeniosły się do lepszych lokali – takich, gdzie wybite w asfalcie parkingu dziury nie spowodują konieczności przymusowej ewakuacji z tjuningowanej bryki na obniżonym zawieszeniu, a zarzygany kibel ma przynajmniej działający zamek w drzwiach. Tak, dokładnie tak: duże, błyszczące ryby odpłynęły sobie na czystsze wody, a my sobie spokojnie w naszych glonach wegetowaliśmy. Żadnej dilerki, żadnych burd... no, przynajmniej od tej strzelaniny rok temu, ale wtedy też Szef podjął decyzję o zastosowaniu środków odstraszających gówniarzerię. Kto chce, ten przyjdzie, kto się nie wystraszy, ten zostanie. Innych nam tu nie było potrzeba.

Grubego akurat nie było za kontuarem, więc sam wyciągnąłem sobie browca z lodówki, otworzyłem obrączką i pociągnąłem solidnego łyka. Nie należy jednak o suchym ryju pchać się do ludzi, a wyszło mi gardło na wiór. I to w sumie nie wiem dlaczego – co ja, nie spodziewałem się z Oxi spotkać? No spodziewałem. Tylko jakoś... za szybko tak jakoś poszło. No i nie sądziłem, że Szary mógł się już dowiedzieć.

– Joł, Sztynny! – pomachał do mnie od swojego stolika Prosiak. – Łasap, madafaka?

– Orrajt men, siekierałt. – Podniosłem rękę, ale nie poszedłem się witać. Jeszcze nie teraz; czas na ruski rap i opowieści Prosiaka o jego nieletnich kochankach będzie potem. Zresztą wyglądało na to, że właśnie bajerował jakąś hipsterkę... Szczególnie ładna nie była, ale on miał oko do tych spraw, potem się na zdjęciach oceni dokładniej. Akurat w tym nie byłem w stanie nawet zrozumieć jego gustów, ale on sam podsumowywał to zawsze krótkim: „Na bagietę akurat usiądzie”.

– No proszę, czyli jednak wróciłeś – poklepał mnie po ramieniu Zek. – Dobrze cię widzieć.

– Dobrze być widzianym, brat. – Objęliśmy się na misiaczka, mocno, prawie że do bólu. Potem Zek odsunął mnie, popatrzył prosto w twarz, uśmiechnął się, objął jeszcze raz.

– Masz? – zapytał mnie, wymownym ruchem głowy pokazując na plecak.

– Mam. – Kiwnąłem tylko. – Zaraz do Szefa idę, tylko musiałem po Oksanie gardło przepłukać.

– A co z nią? – zaciekawiał się Zek. – Znowu jesteście razem? To chyba nie gardło musiałbyś płukać. Chociaż Daria mi mówiła, że podobno jak były na studiach, to...

– Nie chcę wiedzieć – zastrzegłem się. – Nie, nie jesteśmy razem. Jak chcesz, to ją bierz.

– Serio? – Zek spojrział na mnie tak bardzo zdziwiony, że aż przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć. – Słuchaj, zawsze mi się wydawało, że jesteście parą.

– Czasem parą, czasem trójkątem albo inną figurą geometryczną. – Dopilem piwo, posłałem butelkę w krótki lot na dno żelaznego kosza. – Chociaż dwa punkty to raczej odcinek tworzą, a w każdym razie powinny. Nie chce mi się o tym teraz gadać.

– Dobra, spoko. – Zek kiwnął ze zrozumieniem. – A gdzie Elias i Czarny?

– Nie ma Eliasza i Czarnego – mruknąłem do siebie, mijając go w drodze do drzwi wiodących ku części biurowej na tyłach Akwarium. – Potem ci opowiem.

Przycisk dzwonnka, chwila oczekiwania, spojrzenie w szklane oko kamery pod sufitem, potem brzęczyk powiadamiający o zdjęciu blokady. Popchnąłem drzwi i ruszyłem wąskim korytarzem, mijając po drodze zakratowane pomieszczenia składzików, chłodni i rozdzielni

elektrycznej. Kolejne drzwi, kolejna kamera, kolejny brzęczyk i wszedłem do prywatnego salonu Szefa.

– No i co, Sztywny? – Szef przywitał mnie, jak zwykle, bez śladu uśmiechu ani emocji.

– Cześć, Szef. – Nie zwlekając, ściągnąłem z ramienia plecak, zacząłem wypakowywać na żelazny stół zawartość. – Dziś ryczał czy sztuki?

– Sztuki.

Nie powiem, żeby mnie to ucieszyło, ale co zrobić. Po kolei wyjąłem z plecaka pojemniki, Szef już zdążył naciągnąć na siebie ciężki, ołowiany fartuch i rękawice; jeden po drugim otworzyłem zamki i wytrząsnąłem na stół ostatni zbiór artefaktów.

– Taaak... – Handlarz nachylił się nad stołem, po kolei przeciągając spektrometrem nad świecącymi, podskakującymi tworami, porównując odczyty z leżącymi obok dokumentami. – Nieszczerólnie bogato, co, Sztywny?

– Zona nie dała – mruknąłem, patrząc na wiszący na ścianie kalendarz. Dziewczyna odwrócona tyłem, widać tylko wypięte apetycznie pośladki w minimalistycznej bieliźnie, ale nagle dotarło do mnie, że to na sto procent Oksana. Widziałem już tę fotkę tyle razy, a dopiero teraz poznałem, że to ona. I kalendarz stary przecież, zastanawiałem się nie raz, po jaką cholerę go Szef trzyma... No to już wiem. – Na wódkę wystarczy chyba.

– Zobaczmy, zobaczmy. – Głos Szefa nie wyrażał żadnych emocji, normalnie jakbym rozmawiał z komputerowym syntezatorem dźwięku. – Powinno wystarczyć.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, tylko Szef pstrykał aparaturą i liczył coś na kalkulatorze.

– A co z Czarnym? – rzucił niby od niechcienia, nie patrząc na mnie. Spodziewałem się tego pytania, rozpatrywałem też różne warianty odpowiedzi, ale nie dałem rady wybrać tego jedyne go, właściwego. Czas na namysł minął, więc zdecydowałem się na najprostszy.

– Czarny został w Zonie – próbowałem wypowiedzieć to na tyle nonszalancko, na ile potrafię, ale słowa zabrzmiały jakoś głucho. Szef nie zareagował, nawet nie dał po sobie poznać, że usłyszał odpowiedź, więc po chwili dodałem: – Eliasz też.

– A ty wiesz, Sztywny, co mówią o ludziach, którzy wracają bez towarzyszy? – Szef podniósł na chwytaku dorodną „kroplę” i chwilę patrzył, jak odbłaski ultrafioletu tańczą po powierzchni artefaktu. – A weź mi powiedz, w jaki sposób zostali?

– Razem.

Szef odłożył artefakt, zdjął rękawice, dopiero potem spojrzał na mnie uważnie. Nie lubię, jak Szef na mnie patrzy, bo nigdy wtedy nie wiem, co sobie może myśleć. Niby wyglądał jak szczył, normalnie gówniarz jakiś: ledwo mu się broda sypała, twarz jak u pacholęcia, a było w nim coś, co przypominało ulicznego kundla – mały, bury, niepozorny taki, a człowiek mimo wszystko się boi. Bo tacy jak Szef nie rodzą się silni, ani nawet nie nabierają tej siły z czasem. Oni po prostu przeżywają, dokładnie jak te uliczne kundły. Oni przeżywają, gdy więksi i silniejsi giną pod kołami samochodów, od ran i od chorób, od zimna i gorąca, złapani przez rakarzy albo zakatowani na śmierć kijami przez bandę podrostków. Tacy jak Szef przeżywają, a jak spojrzą ci w oczy, to wiesz, że ciebie też mogliby bez trudu przeżyć.

– Dlaczego? – zapytał krótko. Nie powiem, ulżyło mi. Ulżyło mi, bo nie musiałem opowiadać o nożu, którym jadłem wtedy tłustą, zimną konserwę, a który wbiłem Eliaszowi

bez ostrzeżenia w szyję. Nie musiałem rozwodzić się nad tym, jak pół nocy bawiłem się w podchody z Czarnym, aż w końcu udało mi się go przypadkiem trafić rykoszetem w ramię. Nie było konieczności relacjonować, jak błagał mnie i zaklinał, zalewając się łzami bólu i żalu, cały upieprzony własnymi smarkami, żebym jednak go oszczędził, a ja strzeliłem mu w głowę. Nie trzeba było też wspominać, że słabo idzie mi strzelanie do ludzi na zimno, więc trzęsły mi się ręce i musiałem strzelić jeszcze raz.

Zamknąłem oczy, wziąłem głęboki wdech, żałując, że wypilem już całe piwo, bo chętnie bym czymś teraz zwilżył gardło. Nadal miałem wrażenie, że czuję w ustach posmak tic-taca po Oksanie.

– Czarny i Eliasz próbowali mnie przekonać, żebyśmy sprzedali towar komu innemu – wyrzuciłem z siebie jednym tchem. – Nie było wyboru.

– Hm. – Nie wiedziałem, czy miało to być potwierdzenie, czy wyraz wątpliwości. – Komu?

Pistolet uwierał mnie w kość ogonową, starałem się nie dać poznać, że miałem go przy sobie.

– Nie chcieli powiedzieć.

– Hm.

Nastała długa chwila ciszy, podczas której Szeff tylko patrzył prosto na mnie. Nagle poczułem, że mam gacie mokre od potu.

– Hm.

Wyobraziłem sobie, jak wyszarpuję pistolet zza pleców, jednym płynnym ruchem podnoszę, przyrządy celownicze układają się w linię... Naciskam spust, głowa Szefa eksploduje czerwonym bryzgiem, a ten idealnie pokrywa wypięty tyłek Oksany substancją, o której chyba nie marzyła w najbardziej nawet wynaturzonych snach. Potem wyobraziłem sobie, jak wyszarpuję pistolet, płynnym ruchem podnoszę, przyrządy układają się w linię, ciągnę za spust i pudłuję. A potem zacząłem się poważnie zastanawiać, czy na pewno wprowadziłem wcześniej nabój do komory.

– Masz mi coś do powiedzenia, Sztywny?

– Nie.

– No to jesteś wolny. Kasa do odbioru u Grubego.

– Dzięki.

Wyszedłem z salonów Szefa na miękkich nogach, mając ochotę oprzeć się od razu o ścianę i zapalić, ale wiedziałem, że on patrzy w stojące na biurku monitory i zastanawia, co zrobić. Pewnie miał już Grubego na linii, a Gruby miał gotową dla mnie albo kasę, albo kulkę. Nie no, zresztą tak w klubie chyba mnie nie zastrzelą, raczej na ulicy potem... O ile zdążą przed Szarym. A zresztą, chuj. Zwolniłem zamek przyciskiem, popchnąłem drzwi, wszedłem w siwobłękitny opar dymu w głównej salce.

– Gruby, daj wypić! – Oparłem się ciężko o kontuar. Na chwilę zamknąłem oczy, próbując zepchnąć na dno świadomości obraz błagającego mnie o życie Czarnego i Eliasza, usiłującego rękami zatamować chlustającą z szyi krew. Gdy podniosłem wzrok, stała już przede mną pełna szklanka piwa, więc nie czekając na nic, upilem solidnego łyka. Posmak tic-taca pozostał.

– Sztywny, dawaj do nas! – pomachał mi od stolika Struś. No tak, Prosiak już się zmył,

nie ma też jego małoletniej ofiary, więc jutro nad ranem na dropboxa spłyną zdjęcia, a w przeciągu dwóch-trzech dni pojawi się filmik na RT. Prosiak to popierdolony gościu, swoją drogą – zbudował sobie mieszkanie jako tajne studio do nagrywania nielegalnego porno. Kamery ma chyba wszędzie, przynajmniej tak by wynikało z pewnych ujęć na jego filmikach, na które na mur-beton nie zgodziłyby się nawet najbardziej ujarane nastolatki. Nikogo ze znajomych nigdy do siebie nie zaprasza – „to sposób okazania szacunku dla waszej prywatności, rozumiecie sami” – ale chatę musi mieć niezłą... No cóż, każdy na coś kasę wydaje, nie? Tylko ja nigdy nie wiem, co z moją dolą robię. Wziąłem piwo, pokazując Grubemu, żeby potem podał jeszcze trzy – po jednym dla każdego przy stoliku. Co prawda gościa siedzącego obok Zeka nie znałem, ale zakładałem, że skoro siedzi przy naszym stoliku, to musi być ktoś swój.

– Sztywny – Jądro. Jądro – Sztywny – dokonał na szybko prezentacji Zek. – Siadaj, brat. Sprawę omawiamy akurat, zainteresowany?

– Zek, cholera, dopiero wróciłem. – Przeciągnąłem się, czując, jak bolą mnie wszystkie mięśnie. – Jeszcze odkazić się muszę, tabletek nie zdążyłem wziąć nawet.

– No, jak poszedłeś, to zadowolony jesteś; a ja niby co? – Pokręcił głową. Fakt, mieliśmy iść razem, tylko Zekowi akurat wezwanie donieśli na sprawę. Nic wielkiego, bo tylko posiadanie na użytek własny, ale donieśli w przeddzień wyjścia do Zony. Nie wiem, listonosz chory był, zagubiło się na poczcie czy coś, cholera wie, dość, że doręczyli mu do rąk własnych parę godzin przed tym, jak mieliśmy zaplanowane wyjście. Na swojej własnej sprawie przecież musiał się pokazać, nic się nie dało już zrobić, więc ja poszedłem sam z Czarnym i Eliaszem. – Niektórzy się nie wybiegali odpowiednio jeszcze.

– Jasne, brat, sorry. – Podniosłem rękę. – Moja wina. Swoją drogą, może i lepiej, że nie poszedłeś.

– No, na to wychodzi. – Kiwnął głową. – Słuchaj, jest sprawa, Jądro ma zamiar... Zainteresowany?

– Kiedy?

– Cztery dni.

– Mało... – Odchyliłem się na kanapie, obserwując, jak Gruby niesie do nas kufle. – Co tak szybko?

– Taka konieczność.

– Pomyślę. Ale nie krępujcie się, kontynuujcie, panowie, ja muszę się sponiewierać.

Jednym uchem słuchałem rozmów, ale tak naprawdę to przyglądałem się gościowi po drugiej stronie stolika. Gdzieś już go widziałem kiedyś... Ostre uszy, trochę jak u wilka, ale to pewnie taka uroda albo go przy porodzie za te uszy wyciągali z mamuśki. Jasnoszare oczy uśmiechają się niby, ale jestem więcej niż pewien, że facet ma broń. Jądro. Niby charakterystyczna ksywa, a jakoś nie mogę skojarzyć.

– ...tam ostatnio spadł transport – cichym głosem wyjaśniał wyżej wspomniany. – Śmigłowiec bojowy, amerykański, Black Hawk.

– Jak na filmie, hry, hry – wtrącił Struś. Struś zawsze się śmiał, jakby chrumkał, więc często go mylili z Prosiakiem, z którym siedzieli w jednej ławce w podstawówce. – A ciapate brudasy będą? Hry, hry.

– Struś, cicho bądź. Idź się przejdź, jak za dużo wypiełeś. – Zek spojrzał piorunująco,

Struś się zamknął. – Mów dalej, Jądro.

– Tutaj spadł. – Pokazał palcem na wydrukowany kwadrat mapy. – Zadanie jest proste: dojść, znaleźć, odebrać towar, wynieść. Nic radioaktywnego.

– Dlaczego tak szybko? – po raz kolejny zwokalizowałem tę samą wątpliwość. – Jak spadł, to raczej poleży. Nóg nie dostanie chyba, prawda?

– Pindosy w trzy dni akcję ratunkową zorganizują. – Jądro zdawał się zde gustowany moim brakiem przenikliwości i myślenia strategicznego. – Potem nie będzie po co iść.

– Skąd wiesz, że zorganizują? – Zek uprzedził mnie z pytaniem.

– Bo wiem.

– Sztywny, co ty na to? – Brat spojrzał na mnie pytająco. Pociągnąłem łyk piwa, popatrzyłem na mapę, potem w błyszczące oczy potencjalnego zleceniodawcy.

– Nie. – Odstawiłem kufel. – Nie.

– Nie to nie. W takim razie... – zaczął Jądro, ale Zek przerwał ruchem ręki:

– Nie bierzemy tego. Sory, nie tym razem. Struś?

– Yyyy... wiecie co, ja się zastanawiam... – Struś to porządny gościu, ale jako część składowa grupy miewa kłopoty z samodzielnym myśleniem. – Bo ja, yyy, znaczy...

– Dobra, wy obgadajcie sprawę, a ja i brat wysiadamy. – Zek podniósł się, wziął swoje i moje piwo. – Zostajemy, Sztywny?

– Nie-a. – Dopilem reszkę mojego. – Zjebany jestem, muszę się umyć i zaruchać. Idziesz?

– Idę, brat.

Wyszliśmy razem na dwór, w przenikliwy chłód kwietniowej nocy. Wyjątkowo paskudna pogoda w tym roku, niby już wiosna powinna być, a drzewa cały czas gołe... Może jest tak, jak ludzie mówią, że Zona się rozlewa poza Kordon i zmienia też wszystko dookoła?

– Dlaczego nie? – Zdążyliśmy odejść już spory kawałek w milczeniu, ale nie byłem zaskoczony pytaniem.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Nie podobała mi się ta robota, i tyle. I chyba skądś tego gościa pamiętam.

– Tak? – zaciekawiał się wyraźnie Zek. – A patrz, ja nie kojarzę jakoś... Coś konkretnego?

– Nie no, ale... Ty no, nie wiem, brat. – Podrapałem się po trzydniowej szczecinie na twarzy. – Jakoś nie leżał mi, i to wszystko.

– Aha. A co z tamtymi?

– Jakimi tamtymi?

– No, trzech was poszło, nie? – Zek spojrzał na mnie spode łba.

– Ach... – Zrobiłem nieokreślony gest ręką. – No tak.

– Tak wyszło?

Jeszcze zanim zdążyłem odpowiedzieć, Zek zatrzymał się, złapał mnie za rękaw. Poczułem, jak ściska moją dłoń.

– Brat... Nie będę pytał. Jeśli tak zrobiłeś, to tak było trzeba.

– Dzięki. – Objąłem go ramionami. – Dzięki, brat.

Pożegnaliśmy się na skrzyżowaniu, on ruszył do siebie, ja w zasadzie też. To znaczy nie tak do końca do siebie. Nie chciało mi się jak sto skurwysynów, ale co zrobić... Poszedłem

na piechotę dwa kwartały do garażu, tam odsunąłem na bok stare pudło ze śrubami i inną armaturą, pod którym była sobie dziura. Ot, taka sobie dziura w betonie, była tam, odkąd mogłem spamiętać. No więc w tej dziurze schowałem pistolet, a zamiast niego wyciągnąłem zawiniętą w stare szmaty torbę na ramię i z tą torbą potupałem na róg, żeby złapać taknę.

– Lejtnanta Aczałowa, drugi dom – rzuciłem do siedzącego za kierownicą chłopaczka. Ubrany w lekko odblaskową kurteczkę gówniarz spojrział na mnie, jakbym mu ojca harmonią zabił.

– A gdzie taka ulica w ogóle? Ja o takiej ulicy nie słyszałem.

– Na nawigacji będzie.

Ruszyliśmy. Gówniarz cały czas przyspieszał i zwalniał, grzebiąc przy tym w ekraniku dotykowym dziupesa, przy okazji prawie przejeżdżając zabląkanymi o tej porze pieszych, a ja patrzyłem w okno, na syfny pejzaż naszego syfnego miasta.

Nie powinno się tak robić wszystkiego na łapu-capu, ale wyjątkowo mnie ten ostatni wymarsz zmęczył. Nawet nie tyle sam wymarsz, ile powrót na Dużą Ziemię potem. Spotkanie z Oksaną, wszystkie te durne pytania... Tak, głównie durne pytania.

Owszem, prawda jest taka, że poleźliśmy w Zonę we trzech – ja, Czarny i Elias. Poleźliśmy tam po towar dla Szefa, kanałami Szefa, czołgając się przez sektory opłacone przez Szefa, nawet sprzęt mając zafundowany przez Szefa. Tylko że szliśmy tam ze szczerym postanowieniem, że więcej dla Szefa nie będziemy chodzić. No co ja poradzę – czasami tak bywa, że człowieka chuj już strzela i trzeba coś zmienić. Ja akurat poczułem, że pora zmienić zleceniodawcę, a przyjście do Szarego z cudzym towarem byłoby idealnym początkiem nowej, światłej, lepiej płatnej kariery. W ogóle to miało nas czterech iść, i gdyby poszedł też Zek, to nie byłoby całego tego ambarasu. A tak Zek nie poszedł i teraz tamci dwaj leżą gdzieś w Zonie, powoli zamieniając się w gówno w kiskach tuszkanów i ślepych psów.

– Nie no, ja takiej ulicy w ogóle w nawigacji nie mam. – Gówniarz zahamował ostro na przystanku. – A jaki tam adres jest dokładnie?

– Adres ulicy? – Popatrzyłem ciężko na wygolonego na krótko dzieciaka. – Lejtnanta Aczałowa, w Manieńskim rejonie.

– No ja o takiej ulicy nie słyszałem w ogóle. To co, pan adresu nie zna dokładnego? Jak ja mam tam dojechać, przecież to dom wariatów jakiś...

Ostateczne postanowienie o wydymaniu Szefa zostało wyartykułowane jakoś tak w międzyczasie, chyba jak już Pograniczem szliśmy. Zagadał do mnie Czarny, on zawsze był bardziej ogarnięty, i tak wyczułem po nim, że Elias już wie i się zgadza... Albo że on czuje, że tamten się zgodzi. No to uradziliśmy, co trzeba, znaleźliśmy towaru, ile trzeba, nabiliśmy pojemniki pod dekiel – i powiem wam, że wtedy złapały mnie wyrzuty sumienia. No, może nie wyrzuty sumienia, ale jakieś takie wątpliwości. Bo może nie ma sensu psuć dobrych kontaktów z Szefem? Ot, pogadaliśmy, pożartowaliśmy, ponarzekaliśmy i poteoretyzowaliśmy, no ale wracamy przecież do Szefa, nie? Chłopaki...? Jak sądzicie...? I do mnie wtedy właśnie dotarło, że oni sądzą zupełnie inaczej. Co więcej – sądzą na tyle MOCNO inaczej, że chyba popełniłem naprawdę poważny błąd, że się z moimi wątpliwościami wygadałem. Tak więc, siedząc przy ognisku i jedząc zimną kaszę nożem,

uświadomiłem sobie, że niespecjalnie mam wybór.

Szkoda chłopaków, pewnie; ale samego siebie bardziej, bo przecież bliższa ciału koszula. Tak więc zostawiłem ich tam, po tamtej stronie Kordonu, a sam powlokłem się z dwoma plecakami artefaktów z powrotem.

– Nie no, to jakiś, kurwa, dom wariatów jest w ogóle – gadał do siebie mój młodociany kierowca, lecąc pod prąd jakąś zapomnianą przez Boga i ludzi uliczką. – Co to jest za adres, Aczałowa, to ja trzy lata tu jeżdżę i o takiej ulicy nie słyszałem nawet. Kurwa, a tu jednokierunkowa, jeden kierunek tutaj...! A ja pod prąd jadę! Zabiorą, prawko mi zabiorą, no i co ja wtedy, kurwa, zrobię...! Ja już zaczynam żałować w ogóle, że się na to podpisałem. Jak ja mam tam dojechać niby, kurwa...? Tu jednokierunkowa, to co, ja znowu mam do Karola Marksa zawijać? Co to, kurwa, za adres...

No właśnie – i tu pojawiła się kwestia drugiego plecaka. Bo skąd niby miałem przypuszczać, że na moją nieśmiałą kompromisową propozycję sprzedania towaru pół na pół – Szefowi i Krzywemu – chłopcy zareagują grobowym milczeniem? W końcu dopiero co mówiliśmy o wyruchaniu Szefa w pełnym wymiarze i przejściu do Szarego, a ja zaproponowałem, że tak powiem, rozwiązanie w pół drogi z trzecim kupującym. Nie miałem pojęcia, że z Krzywym jest jakiś problem.

W zasadzie, wróc: wiedziałem, że z Krzywym jest problem z punktu widzenia Szefa, dlatego też siedziałem cicho, dopóki myślałem, że oni są wobec Szefa lojalni. Natomiast miałem nadzieję, że propozycję częściowego wydymania Szefa przyjmą nieco bardziej entuzjastycznie... No, dość rzec, że nie wiem, w czym tak naprawdę był problem. Po prostu siedząc przy ogniu, rzuciłem hasło o Krzywym, zobaczyłem, jakie wymieniają spojrzenia, a kiedy Czarny kiwnął do Eliasza, to wydarzenia potoczyły się same.

Czasem tak bywa, że się człowiek pogubi w swoich zobowiązaniach, a wtedy zabicie wszystkich świadków staje się – wierzcie mi na słowo – najmniej skomplikowaną opcją.

– Nie no, kurwa, ja naprawdę żałuję, że się na to podpisałem! – Mój pozał się Boże kierowca właśnie stanął z piskiem opon. – Dom wariatów normalnie. Tu nie ma, kurwa, takiego adresu. Pan patrzy, no wbijam „dwa” i mi tylko „jedenaście” wychodzi... Tańka! – wydarł się w słuchawkę telefonu. – Tańka, gdzie tutaj Aczałowa ulica jest?! Bo mam klienta... no ja nie wiem, turysta jakiś chyba, sam nie wie, dokąd jechać chce... Aczałowa, tak! Masz? Dom wariatów... Weź mnie poprowadź, bo tutaj takiego adresu nie ma...

No i do tego dochodzi jeszcze element Szarego. Prawda jest taka, że Szary już od pewnego czasu chciał zakręcić ze mną romans, a mnie ten romans się nie uśmiechał. Pomyślałem więc przed wyjściem w Zonę: jak nie romans, to może jednorazowy numererek? No i obiecałem Szaremu, że mu część towaru z Zony wyniosę. Bez żadnych zobowiązań, bez kasy, bez zaliczek mu obiecałem. Niby nic, nie? Mowa-trawa, nie takie się ludziom rzeczy mówiło. Problem jednak polega na tym, że powiedziałem mu to osobiście, w twarz. I podałem rękę. Potem tamci dwaj idioci mi zaproponowali, żeby Szefa wystawić do wiatru, a ja – jeszcze gorszy idiota – się zgodziłem. A jeszcze później się jednak rozmyśliłem... Może nie w czas trochę, ale rozmyśliłem, pomyślałem dla odmiany: jednak pójdę tylko do Szefa, jemu oddam towar, jednak wierność najważniejsza. No i tamten jebaniec Szary myślał teraz, że byłem mu coś winien, a ja lałem do Krzywego z teoretycznie przypadającą Szaremu częścią towaru. Towaru, którego mu nie obiecałem, towaru, za który

mi nie dał nawet złamanego grosza, i nie wiem, czy będzie w ogóle chciał go dać.

W zasadzie to nawet nie wiedziałem, czy Krzywy chociażby jest w domu.

– Dom wariatów, naprawdę, kurwa, dom wariatów. Ja tu, kurwa, kółka kręcę, tu jeden kierunek, tu tylko w prawo można! A tam przecież ludzie na mnie czekają, klient czeka...! Jak ja mam, kurwa, trafić, jak ona się tu zaczyna, a dwa kwartały dalej się kończy i idzie, o tak! – Taksówkarz zrobił ręką wściekłego zygzaka w powietrzu. – Dom wariatów, mówię, a tam czekają na mnie...!

– Ile? – przerwałem jego tyradę, gdy w końcu stanęliśmy na miejscu.

– Dwadzieścia pięć... A w ogóle to trzydzieści! – wybuchnął mi w twarz gówniarz. Wyjąłem, zapłaciłem, wysiadłem. Srebrny moskwicz wyrwał z piskiem opon po dziurawym asfalcie i wkrótce zniknął w ciemnościach.

Odrapana winda z oplutym sufitem dojechała na czwarte piętro i stanęła z półuchylonymi drzwiami, więc przecisnąłem się na zewnątrz i na piąte wszedłem już piechotą. Powiew wiatru z podwórka, wyjącego w nieszczelnych, brudnych szybach tkwiących w powypaczanych ramach okiennych, podniósł smród ze zsypu, włączając aż tutaj ciężki odór odpadków. Kto powiedział, że po takie wrażenia do Zony trzeba iść...? Wcisnąłem przycisk; na sygnał dzwonka w mieszkaniu obok zaczął wściekle ujadać pies, więc naciągnąłem tylko kaptur głębiej na głowę, przysiadając lekko na nogach. Nie mam zamiaru nikomu ułatwiać pracy przy ewentualnym rozpoznaniu na posterunku.

– Kto tam, kurwa? – Głos ledwo przebił się przez obite paradermą drzwi, ale i tak poznałem Krzywego. – Odsuń się, bo cię nie widzę, do światła podejdź... Ktoś ty?

– Sztywny.

W drzwiach coś chrobotnęło, zgrzytnęło, smuga światła przecięła na pół zakurzony beton podłogi.

– Sztywny...? – Będące częścią zarośniętej twarzy oko wyrażało daleko posuniętą nieufność. – A tobie czego tutaj?

– Mam coś. Dasz wejść czy na korytarzu gadać będziemy?

Mieszkanko Krzywego było równie paskudne, jak je zapamiętałem z wizyty sprzed kilku tygodni – mała klitka, jak zresztą wszystkie u nas, pod sufitem bździ się samotna żarówka pośród pustych oprawek tandetnego żyrandola. Spojrzałem mimochodem na zegar – późnawo już, nie dziwota, że Krzywy w piżamie. Zza zamkniętych drzwi do sypialni jak zwykle dał się jego ojciec, odkąd tylko pamiętam przykuty inwalidztwem do łóżka.

Weszliśmy do ciasnej kuchenki, pachnącej tłuszczem z patelni. Krzywy wskazał mi miejsce na taborecie pod oknem, sam usiadł po drugiej stronie stolika. Poczulem, jak rękawy kurtki przyklejają się do przykrywającej blat ceraty w gruszki i kwiatki.

– Co tam przywlokłeś? – Pokazał głową plecak.

Wyciągnąłem kilka secondhandowych pojemniczków, ustawiłem rządkiem, on popatrzył na mnie pytająco.

– Mam niby sam zaglądać, żeby mi oczy wypaliło? Gadaj, co tam w środku masz.

Mruknąłem coś niewyraźnego, podałem mu wymiętą kartkę w kratkę z tylnej kieszeni spodni. Przebiegł po niej szybko wzrokiem, pokiwał głową, podrapał się po czuprynie.

– Tak. I co, pewnie jeszcze byś pieniądze dziś chciał?

– No, przydałoby się. Trochę krótki jestem z gotówką...

– Nie da się. – Krzywy oparł się o lodówkę. – Nie mam teraz.

Popatrzyłem na Krzywego, Krzywy popatrzył na mnie. Zegarek tykał, stary coś marudził za ścianą.

– Ja jebię – skonstatowałem. – Na kiedy dasz radę?

– Jak znajdę kupca.

– Krzywy, ty miałeś być kupcem...

– Wam to się wydaje, że każdy na gotówce śpi. – Odkręcił butelkę mineralnej, pociągnął łyka. – Zostaw mi towar, do końca tygodnia upłynię.

No i co miałem zrobić? Pewnie, mogłem zabrać dupę w troki i poszukać innego pasera; tylko że wtedy jeszcze ktoś poza Krzywym by się dowiedział, że dorabiam na boku... A już nawet on to było za dużo. Zostawiłem pojemniki u Krzywego, który upchnął je w śmierdzącej naftaliną i butami szafie, wziąłem od niego marniuską zaliczkę i powlokłem się do domu.

Zimno i ciemno już było, paskudnie. Syfnie, jak to się wcześniej rzekło. Zmarnowałem dwadzieścia minut, czekając na autobus, który nie przyjechał, potem w końcu polazłem piechotą pomiędzy pudełkami bloków, mijając puste place zabaw i wybazgrane kolorowym graffiti śmietniki.

Nie wiem nawet, o czym myślałem. Szedłem z rękami w kieszeniach, starając się raczej właśnie nie myśleć, a jeśli już musiałem, to myślałem o gorącym prysznicu, wódce i dupach.

Koleżka wyłonił się z cienia przede mną niczym duch; w jednej chwili go tam nie było, a potem się zmaterializował. Bezszelestnie, błyskawicznie... A może to ja tak się zamyśliłem, nie wiem. Dość, że przegapiłem moment. Szczęknął odwodzony kurek, spojrzałem prosto w lufę pistoletu z tłumikiem. Zamarłem. Zdawało mi się też, że zamarł cały świat dokoła, że nagle wszystko zeszło na drugi plan, zamieniło się w tło. Została tylko ta oksydowana na czarno lufa patrząca mi prosto między oczy.

– Pod ścianę – warknął najemnik. – I żadnych głupot.

Cholera. Zdarza wam się coś takiego czasem, że ktoś każe wam coś zrobić, a wy wiecie, że jeśli to zrobicie, to tylko pogorszycie swoje położenie? W sensie, najrozsądniej byłoby nie robić tego, co mi mówił, bo było oczywiste, że nie będzie chciał strzelić mi w głowę na środku chodnika... Ale człowiek w takich chwilach głupieje.

Podniosłem rękę nad głowę, próbując jednocześnie rozpoznać twarz. To mógł być ktokolwiek w tej bluzie z kapturem. A miejsce wybrał nieźle, akurat widoczna zza jego ramienia latarnia bez klosza świeciła mi prosto w oczy.

Cholera jasna... Czyli jednak Szary zadziałał szybciej, niż się mogłem spodziewać. Jak to powiedziała Oxi? Że do jutra mogę nie zdążyć? No, czyli w końcu wpierdoliłem się na grubo.

– Pod ścianę i rękę za głowę – powtórzył najemnik.

Nie miałem szczególnie wyboru, więc tylko westchnąłem sobie ciężko, ruszyłem ku ciemnym płytom ślepej ściany bloku. Już wcześniej widziałem prowadzące do węzła ciepłowniczego schodki, nie miałem więc wątpliwości, dokąd prowadzi moja droga.

– Na dół – zakomenderował. Zszedłem pierwszy, wszystkie trybiki w mojej głowie kręciły się desperacko, próbując wymyślić jakiś błyskotliwy plan ucieczki, jakąś sprytną

gadkę na uzyskanie czasu, cokolwiek, ale jakoś nic nie przychodziło mi do głowy. Sięgnąłem ku kłamce, pociągnąłem drzwi, twarz owionęło mi ciepłe, zatęchłe powietrze podziemi...

Nie wiem, dlaczego mi na to pozwolił. Może był przekonany, że nie będę niczego próbować? A może nie wpadł na to, że zrobię coś aż tak głupiego? Nie wiem, nie mam pojęcia. W ogóle słabo sobie radzę z empatią, więc rzadko kiedy wiem, co ludzie sobie myślą; nawet jeśli wiem, to rzadko mnie to obchodzi.

Uderzyłem zupełnie bez sensu, raczej na zasadzie aktu desperacji niż planowanej taktyki – ot, zaraz i tak dostanę kulkę, więc chuj, gorzej już przecież nie będzie.

Nóż w kieszeni noszę od jedenastego roku życia, parę razy już się przydał. Kiedyś był to fragment płaskownika, który zaostrzyłem i zahartowałem na warsztatach szkolnych; taki sobie kawał ostrego jak chuj diabła żelaza, owinięty taśmą klejącą dla lepszego chwytu. Ledwo wystaje z pięści, gdy go zacisnąć, ale w miękkie wchodzi nie gorzej niż pedalskie wymysły niby-płatnerzy z Internetu.

Po prostu wyszarpnąłem go z kieszeni, rzuciłem się na najemnika i pchnąłem z całej siły ku górze, celując w okolice serca-krtani-gardła. Mało precyzyjnie, wiem; ale jakoś tak nie miałem czasu przyłożyć się bardziej. Więc pchnąłem, on przewrócił się na plecy, ja upadłem na niego...

Leżałem tak, nie bardzo wierząc w to, że jeszcze żyję. Nie usłyszałem strzału, ale to o niczym nie świadczyło. Nie czułem bólu, ale to też nie byłby pierwszy raz. Dyszałem ciężko, a najemnik pode mną rzeził, gulgotał i drgał konwulsyjnie. Po ręku lało mi się coś ciepłego i lepkiego, ale nie odważyłem się nawet rozewrzeć palców, tylko leżałem tak, zupełnie bez sensu... Nawet nie wiem, jak długo. Zbyt długo.

Gdy w końcu się podniosłem, leżący nieruchomo typek o twarzy jak pergamin patrzył w niebo szklanymi, niewidzącymi oczami. Trafiłem go chyba prosto w aortę, bo krwi wszędzie dookoła było... O cholera jasna, ile jej było. Na jego kurtce i na schodach, na moim ręku, na bluzie, no wszędzie normalnie. I on tą krwią cały zalany, i ja...

Zerwało mnie na rzyga, ale kulturalnie przełknąłem treść żołądkową. Nie pora teraz na słabości.

Ciągnąc niedoszłego hitmana za nogi, zwlokłem go na sam dół. Przy okazji przypomniało mi się, jak w Winnipachu tak samo Kristofer Robin ciągnie miśka, a tamtemu główka stuka o schodki: tuk-tuk-tuk-tuk... Znowu zebrało mi się na pawia, więc odwróciłem się, spojrzałem w zasnute chmurami nocne niebo, podświetlone od dołu luną sodowych lamp, odetchnąłem sobie głęboko raz i drugi. *Taaaak*.

Przyświecając zapalniczką, przetargałem trupa w najdalszy kąt węzła ciepłowniczego, wepchnąłem za jakieś rury. Nie chciał się, skurwieli, zmieścić, wąsko było, więc musiałem nogą go dopchnąć, wszystko jęczało i skrzypiało, każde kopnięcie rozchodziło się echem po rurach z gorącą wodą, rezonując w całym pionie sześciopiętrowego bloku nade mną. Jakoś w końcu go skompresowałem, upchnąłem i przyrzuciłem starymi workami. Na podłodze został rozmazany ślad szkarłatnej krwi, więc wziąłem się do zasypywania go piachem, liśćmi i szeroko pojętym brudem; chyba jeszcze nie do końca docierało do mnie, co w ogóle zaszło, jechałem na tak zwanej „zimnej opcji” – input, przetworzenie informacji, output. Bieżące działania, logistyka, kalkulacja.

Gdy jako tako ogarnąłem wnętrze piwniczki, wziąłem się do zacierania śladów na

schodkach. Szmaty, worki, ziemia, liście, cokolwiek i wszystko, co mogło pomóc mi zamaskować krew... Zgrzałem się jak świnia, zadyszałem, pot kapał mi z twarzy, ale wiedziałem tylko, że muszę, cholera! – muszę jakoś to wyczyścić.

Gdy wszystkie stopnie były już jednakowo brudne, mój wzrok padł na leżący sobie w rogu pistolet. O cholera. Przez rękaw kurtki złapałem za długi tłumik, przeniosłem do piwniczki i z braku lepszych pomysłów wrzuciłem do kratki odpływowej. Rozejrzałem się jeszcze w chwiejnym świetle ogienka benzynówki – no, niby w porządku... A potem się porzygałem.

Wylałem z piwniczki, najpierw ostrożnie się rozejrzawszy po okolicy. Pusto, cicho, tylko gdzieś daleko alarm wyje. Nie bardzo jeszcze kojarząc, wróciłem na chodnik z popękanych płyt, wsadziłem ręce w kieszenie i poszedłem dalej.

Szedłem tak sobie, a w głowie tabunami pędziły mi myśli. *Co jest? Co jest? No do cholery, co jest?* Szary wysłał na mnie zabójcę? Ale za co? Po co? Co takiego zrobiłem albo czego nie zrobiłem? Albo co mogłem zrobić, a nie zrobiłem, że poczuł się aż tak bardzo dotknięty? A może to wcale nie on? Może to zwykły przypadek, że...?

Nie. Co jak co, ale przypadek to nie – pistolet z tłumikiem to nie przelewki.

Przez chwilę pożałowałem, że nie sprawdziłem dokumentów albo nie przyjrzałem się twarzy mojego niedoszłego mordercy. Albo pistoletu nie wziąłem. Albo chociaż amunicji... No ale tak to już bywa, jak człowiek prawie zginie, że się nie do końca ogarnie sytuację. Ale wracać się nie będę, nie ma bata. Może tu nie Zona, ale zginąć tak samo można.

Nie wiem nawet, która była godzina, jak się wreszcie dowlokłem do siebie. Po drodze zorientowałem się jeszcze, że cały rękaw i połę kurtki mam poplamione krwią... Jakies dwa podwórka przed domem wrzuciłem ją do pojemnika i podpaliłem zalegające tam papiery; nawet jak przyjadą strażaki i to zgaszą, to raczej nikt nie będzie wnikał w skład śmieci.

Na górę wdrapałem się piechotą – częściowo po to, żeby się rozgrzać, bo jednak bez okrycia wierzchniego zimno było jak cholera, częściowo po to, żeby uniknąć spotkania z kimkolwiek w windzie. Nie wiem, no teoretycznie nie byłem ubabrany krwią, ale cholera wie. Posiedziałem na półpietrze, wyrównałem oddech, przygotowałem sobie klucze.

Na szczęście moja stara już spała i nie obudziło jej nawet zgrzytanie z deczka przyrdzewiałych zamków. Od razu zrzuciłem z siebie ciuchy, obejrzałem wszystko dokładnie, z miejsca wpakowałem do pralki i zasypałem na gęsto proszkiem. Sam wlałem pod prysznic, szybko namydliłem się cały, zacząłem trzeć gąbką jak wariat, próbując zedrzeć całą warstwę pokrytego radioaktywnym pyłem naskórka... Pożałowałem, że nie wziąłem ze sobą gorzały, ale nie będę teraz z kabiny wychodzić.

Mniej więcej w połowie kąpieli wyłączyli mi ciepłą wodę, więc dokończyłem mycie chłodną, a płukałem się już lodowato zimną. Prychając i chrychając, wyskoczyłem na kafelki podłogi, które zdawały się niemalże gorące, wytarłem się szybko, owinąłem ręcznikiem i potuptałem do zamrażarki po wsadzone tam cztery dni wcześniej pół litra. Pierwszą szklankę osuszyłem duszkiem, drugą wypilem na dwa razy, dopiero potem zagryzłem ogórkiem ze słoika. O tak, od razu lepiej... Czując rozlewającą się po członkach przyjemną błogość, wytrząsałem na rękę garść tabletek z nieoznakowanych buteleczek, stojących w tylnym rzędzie w apteczce, wrzuciłem głęboko w gardło, zapilem wódką. Dowlokłem się jakoś do kanapy, czując, jak zaczynają boleć mnie wszystkie mięśnie,

naciągnąłem jeszcze na siebie dwa gryzące, wełniane koce, pociągnąłem kolejnego łyka, potem jeszcze jednego. Świat zawirował, góra i dół zamieniły się miejscami, zacząłem odpływać...



Flatline: minus dwanaście dni

Pierwszym dźwiękiem, jaki przebił się przez całun snu i wódki, było skrzypienie huśtawki na dworze: iik-iiiijk, iik-iiiijk, iik-iiiijk... Próbowałem zepchnąć dźwięk na dalszy plan, ale z uporem i natręctwem brzęczącego komara cały czas wwierał mi się w ucho. Nie pomogło przykrycie się poduszką, nie pomogło nawet zakopanie się pod koce.

...iik-iiiijk, iik-iiiijk...

Wylazłem w końcu spod koca, trzymając się ściany zawlokłem do kibla, ukręciłem makowca. Popatrzyłem na swoje nieogolone ryło w lusterku, ochlapałem tylko twarz wodą, popryskałem się resztką taniego dezodorantu. I tak mnie nikt głaskać ani wachać nie będzie. Ubrałem się w cokolwiek, wyciągnąłem jeszcze z szafy kurtkę sprzed trzech sezonów, przymierzyłem, spojrzałem na siebie w obsranym przez muchy lusterku. Wyglądałem jak menel z bazaru, ale chuj z tym; najwyższa pora była się ewakuować. Stara jeszcze spała, a ja miałem zamiar zmyć się tak samo niezauważony, jak przyszedłem.

Nie było nawet ósmej, jak wylazłem na dwór, a na rogu już stało kilku lokalnych ciuśmoków. O której bym nie wyszedł rano, to zawsze któryś debil tam stoi, sam albo z kumplami, i wali wódkę. Albo jabola. Albo piwo. Generalnie nie ma takiego dnia, żeby czegoś nie łoil z samego rańca. Nieroby jebane. Zresztą na kogo bym w tym zasranym mieście nie popatrzył, to wszędzie to samo – albo piją, albo kradną. Albo do Zony chodzą.

Dokąd chciałem pójść? A nie wiem nawet. Chyba po prostu wyszedłem, ot tak, siłą rozpędu, bo byłem już dobre dwie ulice dalej, jak się zorientowałem, że na dobrą sprawę to nie wiem, dokąd idę. Taki sobie swobodny dryf. Może musiałem po prostu myśli pozbierać, cholera wie.

A zbierać było co. Nawet przy całej nierealności odczuć dnia wczorajszego miałem pewność, że – niestety – wydarzenia ostatniej nocy były aż nadto realne. I nocy, i dnia zresztą – wszystko, poczynając od Oxi na usługach Szarego, przez gadkę z Szefem, aż do Krzywego, któremu dałem towar na piękne oczy, nie pomijając też martwego siepacza schowanego za rurami w piwniczce. Zdawało mi się to wszystko mocno nierealne – ot, jak to czasem bywa, wieczorem człowiek nabroi, a rano trudno mu uwierzyć, że to on sam tak nawywijał, a nie jakiś idiota na tanim hamerykańskim filmie. A mimo to gdzieś z tyłu głowy świdrowało mnie takie niepokojące uczucie, że to wszystko jednak mogło być prawdziwe.

Miasteczko powoli budziło się do życia. Na ulicach pojawiały się bryki, samochody i środki transportu... Co, jaka jest niby różnica? Ano taka, że jak ktoś zarabia w dolarach

albo w euro, to kupuje sobie brykę; jak dostaje analogiczną sumę, ale w hrywnach, to ma samochód; a jak ktoś miał ojca, który kiedyś zarabiał w rublach, to ma po nim środek transportu. No więc powoli coś się zaczynało dziać, wokół spożywczałów kręcili się ludzie, targający w starych anużkach codzienne zakupy. Anużka to też taka lokalna specyfika – torba z włókna wiskozowego, której ani nie przerwiesz, ani nie przetniesz, tylko podpalić ją można; niezniszczalna w zasadzie, kupujesz i przekazujesz dzieciom. Składasz taką torbę w kosteczkę i nosisz w kieszeni kurtki albo płaszcz, tak na wszelki wypadek – a nuż się coś w sklepie trafi, dlatego anużka właśnie. Zarówno anużka, jak i środek transportu to wyznacznik naszego miasteczka i całego kraju – żyjemy rozpędem tego, co nam zostało po poprzednich pokoleniach, licząc na ślepy traf, na to, że a nuż może coś uda się upolować. Jak neandertalczyki jacyś albo ostatni ludzie po zagładzie cywilizowanego świata.

Szedłem tak przez ulice i kwartały, starając się nie myśleć. Pewnie mógłbym poleżeć dłużej na kanapie, wygrzać kości, włączyć telewizor, odgrzać sobie na śniadanie wczorajszego kotleta... Ale w mieszkaniu było jeszcze gorzej. Tam byłem jak pozbawione nadziei zwierzę w klatce czterech ścian, zamknięte i bez wyjścia; na dworze byłem jak pozbawione nadziei zwierzę pośród bezmiaru ziemi i nieba, wolne i szczęśliwe perspektywą tego, że w którąkolwiek stronę pójdę, to tak samo nic tam nie znajdę. Ale czasem tylko o wybór chodzi.

Było jakoś po wpół do dziesiątej, kiedy zadzwonił telefon. Popatrzyłem na wyświetlacz – Dasza.

– Cześć, Daszka, co tam? – rzuciłem w słuchawkę.

– Nudzę się – usłyszałem zniekształcony przez hałas z tła głos. – Wpadniesz do mnie?

– Kiedy?

– Zaraz. Urwę się, i tak nic się tu nie dzieje, a mam wolną chatę.

– Dobra, za pół godziny będę.

Skreśliłem w miejscu o dziewięćdziesiąt stopni, ruszyłem na azymut w kierunku Pierwomajskiego rejonu, w którym mieszkała Daszka. No proszę, wiedziałem, że jeśli tylko poczekać, to coś się stanie.

Od razu raźniej mi się szło, bloki przestały być aż tak strasznie odrapane i paskudne, nawet nie irytował mnie wszechogarniający syf, zalegający przy krawężnikach ulic. I ludzie też jakby mniej obelżywi się zrobili. Po drodze zajrzałem do gastronomu, kupiłem pudełko importowanych czekoladek i pół litra. Niby nie było konieczności, a zawsze lepiej z pustymi rękami się komuś na chatę nie pchać. Poza tym dziewczyny lubią takie klimaty. Pomyślałem, że mogłem się jednak ogolić i w ogóle ogarnąć rano, ale w sumie to chuj z tym. Co to, ja się do niej pcham? Sama zaprosiła.

Wdrapałem się na trzecie piętro, przyglądałem co nieco włosy, wcisnąłem przycisk dzwonka, który odezwał się w mieszkanku natrętną, tanią melodyjką. Judasz w drzwiach na chwilę ściemniał, gdy Daszka sprawdzała, czy to na pewno ja, potem zachrobotał zamek, szcęknął łańcuch.

– Cześć, Daszka. – Wszedłem do ciasnego, ciemnego przedpokoju, ściągnąłem buty, wcześniej podałem jej flaszkę i słodycze. – Znowu się urwałaś?

– A co mi tam, nudy tylko. – Stojąca w prześwicie drzwi do kuchni Daszka wzruszyła ramionami, zmarszczyła piegowaty nosek. – Siemanko, Sztywny. Jak było?

– Gdzie? – udałem głupiego, ale ona spojrzała tylko na mnie kpiąco.

– Nie rób se jaj, i tak wiem, że do Zony chodziłeś. To co, jak było?

– Było, minęło. – Machnąłem ręką. – Wrzuć do zamrażarki, niech się schłodzi trochę.

Rozwaliliśmy się na kanapie w dużym pokoju, Dasza włączyła telewizor, przyniosła piwo i prażoną kukurydzę... Tak mi się zdawało, że coś pachniało, jak wchodziłem. Ubrana była tylko w za dużą koszulę w kratę i skarpetki, no i chyba coś pod spodem, więc od razu zakopała się pod kocem, żeby nie zmarznąć. Dla mnie zostało tylko obłożenie się poduszkami.

– Co u ciebie? – rzuciła, patrząc w ekran, na którym cycata blondyna w półprzezroczystej halce uciekała przed goniącym ją tłumem żywych trupów.

– Stara chujnia. – Pociągnąłem piwa, skrzywiłem się. Zawsze kilka dni po powrocie z Zony jedzenie i picie mi nie smakowało, w ogóle fizjologia szwankowała. Tylko dymać się chciało non stop. – Słuchaj, myślisz, że takiemu truposzowi to staje?

– Chyba nie... – podrapała się po rudych włosach Dasza. – Złap jakiegoś po tamtej stronie i przyprowadź, to sprawdzę. A co?

– A tak se pomyślałem, gonią ją i gonią, to mogliby raz ten film zrobić inaczej, żeby ją... kuuuurwa no, ja pierdolę – skomentowałem tylko, gdy blondi na sześciocalowych obcasach potknęła się w końcu, a trupy w try miga dopadły ją i zaczęły zjadać sauté.

– Chujowy ten film. – Wyciągnęła rękę, żeby zmienić kanał, ale chyba się rozmyśliła. – A zresztą, niech leci. Swoją drogą, słuszna racja, pornosy o trupach mogliby zrobić.

Obejrzeliśmy do końca film o zombiakach, potem przeleciały wiadomości, jakiś dokument o arbuzach w Afryce, blok reklam... Dasza przyniosła wodę, rozlaliśmy po pół do szklanek, dopełniliśmy piwem, wypiliśmy, zagryźliśmy czekoladkami.

– O której twoi starzy wracają? – zapytałem ot tak, dla podtrzymania rozmowy.

– Dopiero po piątej. – Przeciągnęła się, ziewnęła. – Chodź, poruchamy się trochę.

Dasza miała nawet swój własny pokój, więc to w nim wylądowaliśmy – najpierw na łóżku, potem na dywanie, bo sprężyny skrzypiały jak skurwysyn. Następnie zrobiło się zimno, więc ściągnęliśmy na podłogę kołdrę, w końcu ona zdecydowała, że najcieplej to będzie w pokoju jej rodziców...

Leżeliśmy potem w wannie przy zgaszonym świetle, gorąca woda lała się z kranu i z szumem uciekała przez odpływ awaryjny. Podałem jej papierosa, sam sięgnąłem po flaszkę.

– Dasza, nie możesz tak ciągle się urywać.

– Pierdol się, Sztywny. – Dmuchnęła na mnie dymem. – Szkoła jest dla frajerów.

– Ale jakieś wykształcenie by się przydało mieć, nie...?

– A po co mi? – zapytała nie bez pewnej racji. – Mam już siedemnaście lat, jeżeli do tej pory się niczego nie nauczyłam, to i teraz nie zdążę.

– A co potem z życiem zrobisz? – Poczujęm się jak własny wujek, prawiący morały młodszemu pokoleniu, ale było już za późno. – Masz jakiś plan?

– Nie – stwierdziła krótko. – Ale coś się wymyśli. Chodź, poszukamy czegoś zrytego na RT.

Posiedzieliśmy przed jej przedpotopowym komputerem, śmiejąc się z głupich ludzi i tego, co zamieszczają na Internecie, potem popieprzyliśmy się jeszcze trochę,

obejrzelismy coś w telewizorze, Dasza odgrzała nam zupę, zjedliśmy, znów zaczęliśmy się pieprzyć... A potem zadzwonił mój telefon.

– Halo – rzuciłem w słuchawkę, czując, jak Daszka zaciska zęby na mojej tętnicy udowej.

– Brat, to ja. – Głos Zeka, ale numer się nie wyświetlił. – Dziś impreza jest u Chmiela, wpadnij.

– O której? – Szarpnąłem się, próbując oderwać moją rudą zombie-lolitkę od nogi. – Czekaaj, bo ja tu...

– Jakoś koło szóstej się zaczyna. Podjechać po ciebie?

– Tak, tak... albo wiesz co, nie, mam czas, dotrę sam.

– Jak chcesz, brat, *paka*.

– *Paka*, Zek.

– Weź mnie ze sobą – zamruczała Daszka, wsiadając na mnie okrakiem. – Ubiorę się jak rasowa dziwka, nie pożałujesz...

– Dziewczyno, weź się wstrzymaj, przecież, uhhh... – Pomogłem jej wsterować na odpowiednie miejsce. – Dobij do tej osiemnastki chociaż.

– Nie chce mi się czekać. – Zaczęła rytmicznie poruszać biodrami. – Za to chce mi się...

– Daszka, ty mnie już drugi rok o to męczysz. – Złapałem ją za piersi, ona odrzuciła głowę do tyłu. – Wytrzymasz jeszcze trochę.

– No nie wiem, Sztywny, no nie wiem...



Flatline: minus jedenaście dni

Obudziłem się na potężnym kacu, co nie zdarzało mi się często.

Leżałem na czymś twardym, starając się nie otwierać oczu; wiedziałem po prostu, że gdzieś tam, na zewnątrz, może być jasne światło, które tylko i wyłącznie pogorszy i tak już straszny ból głowy. Żeby uciec myślami od terażniejszości, spróbowałem przypomnieć sobie, co dokładnie wydarzyło się wczoraj wieczorem.

Tak, na pewno była impreza u Chmiela. Chmiel jako jeden z nielicznych naszych miał własny dom, więc balangi u niego miały zupełnie inny znak jakości niż zwyczajowe popijawy w ciasnych klitkach na nie wiadomo którym piętrze bloku. Na pewno dotarłem tam dość wcześnie, kiedy było jeszcze pustawo, więc widziałem w zasadzie wszystkich, którzy na rzeczonym party się zjawili. Część podjeżdżała własnymi tjuningowanymi bryczkami, rycząc chałupniczej roboty tłumikami i z daleka dudniąc basem subwooferów tak, że aż przygasały im przednie światła, w których majestatycznie przelewała się barwiona na niebiesko woda. Inni podjeżdżali klasycznymi „quadami” – czyli jeden kierowca z samochodem i trzech pasażerów, zrzucających się na benzynę; tych poznawało się po zaparowanych szybach i oponach wciśniętych w nadkola wagą czterech

napakowanych koksarzy. Ich wjazd na posesję Chmiela nieodmiennie obwieszczał dojmujący zgrzyt, gdy każdy po kolei niby-sportowy bolid przycierał miską olejową o zbyt wysoki krawężnik podjazdu. Byli też ci, co musieli korzystać z dostępnych środków komunikacji miejskiej, ale oni z kolei zbijali się w jak największe grupy, w których raźniej było im terroryzować współpasażerów i wydrapywać na szybach inicjały, aby zostawić po sobie jakiś ślad potomnym. Ich też dało się słyszeć z daleka po tępym, bydlęcym śmiechu, rozlegającym się głośno w chłodnym, kwietniowym powietrzu wieczora nad osiedlem *osobniaków*... No i byli w końcu ci, którzy przychodzili sami, ukradkiem przemykający od płotu do płotu, trzymający się cienia i wciąż zerkający przez ramię na nie swoim terenie.

Jak ja.

No i... no i impreza była, byli nasi, był Prosiak i był Chwal, był Zek, no wszyscy byli. Piliśmy, tańczyliśmy z laskami, darliśmy mordy, znowu piliśmy, ktoś się pobił, pamiętam wypięty do mnie chętny tyłek jakiejś suczki, ale ni cholery nie wiem, jak wyglądała... I jeszcze trochę piliśmy, potem niuchaliśmy mąkę, potem znów był jakiś balet, potem chyba Struś chciał wylecieć przez okno, bo był meserszmitem, i był... cholera, nie mogę sobie przypomnieć, ale ktoś jeszcze tam był, i to chyba ktoś istotny. Pamiętałem, żeśmy o czymś rozmawiali, ale ni diabła nie wiedziałem, o czym. Zaraz, może to było...

– Mmmmm... – Poczułem, jak czyjś zupełnie rzeczywisty, mokry i gorący język wkręca mi się między wargi i zaczyna obracać na wszystkie strony w ustach, smyrając po dziąsłach i podniebieniu. Nagle zerwało mnie na rzyga, więc odruchowo zagryzłem zęby, czując, jak zaciskają się na czymś miękkim; usłyszałem wrzask bólu i zaskoczenia, ktoś popchnął mnie z całej siły w piersi, ale ja tylko poderwałem się z podłogi, dopadłem do okna i bluznąłem na zewnątrz buroszarą treścią żołądkową. Z pewnym zdziwieniem skonstatowałem, że do ziemi jest daleko, o wiele dalej, niż powinno być nawet z poddasza stosunkowo wysokiego jednorodzinne domu Chmiela. Patrzyłem z nieukrywaną fascynacją, jak strumień moich rzygowin rozprasza się w locie w niedużą chmurę, którą powiew chłodnego wiatru znosi prosto na dachy stojących na parkingu samochodów. Ktoś przechodzący chodnikiem krzyknął, ale w dobrze wyćwiczonym odruchu zdążyłem się już schować z powrotem do środka.

– Dlaczego ugryzłeś Julę? – zapytał mnie wchodzący do pokoju człowiek. – To fajna lalka, lubi takie jazdy, ale gryzienie w język to trochę przydużo nawet dla niej. Dziewczynie przez ciebie krew leci.

– Że co, kurwa? – Próbowałem zogniskować wzrok w jednym punkcie, ale słabo mi szło. Miałem nieodparte wrażenie, że jego twarz wydaje się znajoma, ale nie byłem w stanie skojarzyć ani gdzie, ani kiedy go widziałem.

– No, chyba że cię to kręci, Sztywny. – Pokazał na coś poniżej mojego pępka, roześmiał się. Opuściłem wzrok i ku swemu przerażeniu uświadomiłem sobie, że poza tatuażami jestem zupełnie nagi, a kutas sterczy mi jak u jelenia w rui.

– Cholera... – zmełłem przekleństwo, rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu swojego ubrania, naciągnąłem na dupę wywrócone na lewą stronę spodnie, ręką przytrzymałem ścianę, żeby nie odleciała. – Daj coś zapić...

– Masz. – Jądro wyciągnął do mnie szklanę z czymś podejrzenie białozielonym. – Powinno pomóc, smakuje ohydnie, ale stawia do pionu. Wódka, *ajran*, kiszone ogórki

i kapusta, wszystko zmielone na lodzie. Pij, nie myśl.

Jądro! – błysnęło mi w głowie, gdy osuszałem duszkiem podane mi naczynie. Tak, to ten gościu, którego widzieliśmy... No, kiedyś tam w Akwarium. Czegoś od nas chciał wtedy, ale czego, do cholery? No nijak sobie nie przypomnę...

– O, doszłeś do siebie, brat! – pacnął mnie w ramię Zek, który nie wiedzieć kiedy zmaterializował się obok. – No i jak, jak ta twoja Azjatka?

– Jaka, kurwa, Azjatka... – Zacząłem się wycierać, bo jak mnie klepnął, to oczywiście zalałem się tą białą mazią ze szklanki.

– No jak to jaka, Jula! Ta, co ją ugryzłeś! – po raz kolejny wybuchnął śmiechem Jądro. – I prawie obrzygałeś! Ej, Sztywny, Sztywny, dobrze Zek mówił wczoraj, że ty jajcarz jesteś...

– Azjatka...? – jęknąłem. – O cholera...

Korytarzem przeparadowała, trzymając się za usta, posągowa orientalna piękność. Mijając mnie, pokazała spektakularnego faka, dodatkowo wzmocnionego trzycentymetrowymi, czerwonymi paznokciami. Huknęły drzwi wyjściowe. Jądro pokiwał głową:

– No, co použíwałeś, to twoje... warto było?

– Cholera... – Ścisnąłem głowę rękami. – Ni cholery nie pamiętam...

– Serio?! – Jądro aż zgiął się wpół ze śmiechu. – Ooohohoho, zgarnąć najlepszą skośną suczkę w mieście i nie pamiętać...! Ale co, naprawdę?! Nic? Aaahahahaha...!

– Ja jebię... – Wytoczyłem się na korytarz.

Gdzie ja w ogóle byłem...? Mieszkanie w bloku, miasto chyba to samo, ale czyja meta? Gdzie...? Jakoś znalazłem łazienkę, wygoniłem stamtąd drzemiącego w kucki czarniawego i wlałem do wanny, rozkręcając lodowatą wodę.

Jakieś piętnaście minut i jeden powrót z Oceanu Północnego Lodowatego później po raz kolejny stawiłem się w dużym pokoju, gdzie siedzieli już Zek, Jądro, Struś i spotkany przy wannie Gruzin, którego Jądro przedstawił mi jako Gruzina. Tak, wiem, mało wyszukane – Gruzin, który ma ksywę Gruzin, ale co począć w końcu. Każdy z nich piastował na kolanach lekko sponiewieraną *czikse*.

– Cześć, Sztywny – podniosła rękę i pomachała mi jedna z ludzkich lalek, siedząca akurat u Strusia. Z trudem poznałem w rozczochranym, rozmazanym straszycdle nikogo innego jak Nataszę – jedną z lepszych w mieście tancerek na rurce w najt-kłabie Liulka. No, to jeśli taki rzeczywiście mieliśmy standard imprezy... Usiadłem w fotelu, popatrzyłem na zebranych. Tak, ja moją dziwkę ugryzłem, więc będę siedział sam. Nie, nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia. Owszem, żałuję, że ni pizdy i ni chuja nie pamiętam, i to w najbardziej dosłownym znaczeniu. Oparłem głowę na rękę...

– ...więc taki właśnie jest plan – dokończył Jądro. Ocknąłem się, lekko chyba podskoczyłem w fotelu, bo któraś z suczek uśmiechnęła się do mnie, puściła filuterne oko, pokazała gest ziewania. Kiwnąłem, profilaktycznie zademonstrowałem ruch zapisywania numeru, ona dała znać, że rozumie. No dobra, to fajny materacyk może sobie na którąś noc znaleźć, ale o co, cholera, poza tym chodzi...?

– Dobra, zbieramy się, brat – kiwnął Zek. Wstaliśmy, pozbieraliśmy swoje rzeczy, ja dokończyłem rytuał obłóczenia w szaty, pożegnaliśmy z gospodarzem... No bo to chyba

tego całego Jądra była chata, jeśli to on został w środku i rozliczał się z dziwkami. Zresztą chuj wie.

– Ale był balet, nie? – wyszczerzył się do mnie brat, gdy wsiedliśmy do stojącej pod blokiem taksówki.

– Ta – odpowiedziałem bez przekonania, wciąż próbując pozbierać do kupy kawałki obrazków i wrażenia cząstkowe z minionego wieczora i nocy. Coś mi się zaczynało wyłaniać, ale...

Taksiarz jechał zdecydowanie za ostro, rwał opony i hamował, więc przez większość drogi koncentrowałem się na tym, żeby nie puścić pawia. Gdy w końcu stanęliśmy pod moim blokiem, z dużą dozą ulgi otworzyłem drzwi i postawiłem nogę na brudnym, popękany, ale stałym i nieruchomym chodniku.

– To na razie, do zobaczenia pojutrze, brat! – krzyknął tylko Zek przez uchylone okno, taksiarz ruszył z piskiem opon, zostawiając mnie w błękitnawej chmurze spalin.

„Do zobaczenia pojutrze”...? Ale dlaczego niby pojutrze akurat? Wyciągnąłem z kieszeni komórkę, żeby zadzwonić do niego i spróbować dopytać się, co miał na myśli, ale okazało się, że bateria zdechła. No tak, jak zawsze, kiedy jest potrzebna, technika akurat ma nas w dupie.

– Joł joł, Sztywny! – pozdrowił mnie z drugiej strony podwórka Prosiak. W pierwszym odruchu pomachałem mu tylko ręką, ale potem zdecydowałem się podejść i zagadać.

– Cze, Prosiak. – Podałem mu rękę, on jak zwykle odwdzieczył się wyciągnięciem dłoni jak mokra, stara szmata. Nie mam pojęcia, jakim cudem dawał wrywać laski na te ręce. – Co powiesz dobrego?

– Ty, ale dojechałeś do pieca na tej domówce wczoraj, men. – Spojrzał na mnie, a ja zobaczyłem w jego oczach niekłamany podziw. – No po prostu rozkurwiłeś kosmos, pełna profecha!

– Aha – mruknąłem. – To ty też tam byłeś?

– No jak to, nie pamiętasz, nyger? – zdziwił się Prosiak. – Razem żeśmy Strusia za nogi łapali, jak chciał przez okno pierdolnąć...

– A, no coś było, faktycznie... Ty, a nie pamiętasz, na czyją chatę potem pojechałem? Bo wiesz, trochę mi się, teges, rozmywa wszystko.

– No... Chyba z kimś tam wychodziłeś, ziom, ale nie wiem. Rozumiesz sam, nyger, zajęty byłem. Zresztą siekierał jakie fotki są.

– U-la-la. – Popatrzyłem na przesuwające się na wyświetlaczu smartfona obrazki. – A co tak nieprofesjonalnie? Z ręki, telefonem?

– Się nie dało się, madafaka – zmarszczył się Prosiak. – Zanim dotarliśmy do studia, towar się przeterminował i trzeba było po chatach rozwozić... Ale zobacz, przy okazji sobie pocykałem zdjęcia dowodów, więc kolejna sesja to kwestia czasu, ziom!

– Kiedyś trafisz za to do pierdła, Prosiak – skonstatowałem. – I to nawet dowodów nie będą na ciebie zbierać, tylko telefon twój wezmą.

– Nie bój nic, nyger! Ja mam bajerę ukręconą, paragrafy się zna, opcja C przygotowana, rola wyuczona na pamięć. Ty, a tak swoją drogą, co to za historia z Czarnym i Eliaaszem?

– Jaka znowu historia? – zdziwiłem się szczerze.

– No, poszliście ostatnio do Zony razem, nie?

– Ach, to... – Zdążyłem już w natłoku wszystkiego zapomnieć, a przecież to raptem pięć dni temu było.

– No, a co niby innego? – Wsadził ręce do kieszeni. – Bo wiesz, Sztywny, się mówi po rejonach, że ich stuknąłeś...

– Kurwa. Kto niby mówi?

– No, się mówi się. – Wzruszył ramionami. – Wiesz, jak to jest, ziom, czarnuchy różne rzeczy mówią. A stuknąłeś?

– A co za różnica niby? – Poirytowałem się. Cała ta sprawa mojego ostatniego wyjścia za Kordon zaczynała działać mi na nerwy, bo okazywało się, że poziom wynikającej z niej kurwicy serca zaczynał gwałtownie przewyższać uzyskane profity.

– W zasadzie to żadna, nyger – strzyknął śliną przez zęby Prosiak. – Jeśli tak mówią, to ciężko ci będzie wytłumaczyć, że inaczej było. A ty wiesz, że Czarny podobno robił też na boku dla Szarego?

Zmroziło mnie.

– Nie? – rzuciłem na tyle niezobowiązująco, na ile umiałem.

– Tak ulica gada, nyger. Ja tam nie wiem, ile w tym prawdy, a ile pijanej *brechni*, ale oni podobno jakoś spokrewnieni byli. Kuzyni trzeciego stopnia czy co...

– No popatrz, popatrz... – Rozejrzałem się dokoła. – Wiesz co, Prosiak, fajnie się gada z tobą, pouczająco i w ogóle, ale muszę na chatę iść, przebrać się trochę, ogarnąć...

– Stej kul, soldżer! – Pokazał mi „nożycową mafię”, ja tylko skinąłem głową i szybkim krokiem ruszyłem ku swojej klatce. Trochę zbyt szybkim może, ale szczerze mówiąc, zaczynałem źle się czuć na otwartej przestrzeni, gdzie strzał mógł paść dosłownie zewsząd.

Gdy huknęły za mną rozklekotane drzwi wejściowe i owionął mnie znajomy smrodek piwniczki, oparłem się tylko o skrzynkę na listy i odetchnąłem głęboko. O ja pierdołę... Zamiast się poprawiać, to sytuacja zdawała się pogarszać w zastraszającym tempie. Czyli jednak Szaremu nie chodziło nawet o artefakty, tylko o sprawę osobistą. I to bardzo osobistą.

Ścisnąłem głowę rękami, wchodząc po schodkach na półpiętro. Czy to możliwe, żeby Czarny był jakimś przyrodnim pociotkiem Szarego? Cholera wie w sumie, ksywki zbliżone odcieniem. U nas na osiedlu nikt nie rozmawiał o rodzinie, więc jeżeli temat się w ogóle pojawił, to musiało być to coś niepozobawione ziarna prawdy. Ziarna, którym mogłem się w najbliższej przyszłości nieźle zakrzusić... Albo i gorzej.

Wdrapałem się na górę, w mieszkaniu akurat nie było mojej starej – pewnie znów do pracy poszła, nigdy nie byłem w stanie ogarnąć, jaki ma ten układ godzin. Po tylu latach powinienem był już to jakoś wyczuć, ale po prostu nie mogłem. Ściągnąłem z suszarki w miarę świeżą bieliznę, zajrzałem po drodze do lodówki... Pusto, cholera, jak w głowie u Janukowycza. Tylko piwo było, więc mechanicznie otworzyłem sobie butelkę, rozwaliłem się przed telewizorem.

W stolicy kolejne protesty na Majdanie, znowu jakiś pajac z Unii przylatuje, żeby nas uczyć demokracji, za to Putin oferuje konkretne ulgi i negocjacje. Prognozowana obniżka stóp procentowych wpłynie niekorzystnie na cenę koszyka podstawowych produktów w stosunku do analogicznego kwartału ubiegłego roku. Ksenia Sawczak ma nowego kochasia, z którym poleciała się dymać na Kanary. Podpisujemy umowę o wolnym handlu

z Wenezuelą. Dynamo przegrało ze Spartakiem, Lokomotiw idzie jak burza, ale trener ma kaszel. Jutro chłodno, ma się pokazywać słońce, ale z drugiej strony gwałtowne skoki ciśnienia. Przejdzie front atmosferyczny, jak w czterdziestym czwartym. Możliwe przelotne opady gruzu i kamieni, ciśnienie dziewięćset osiemdziesiąt atmosfer, osobom wrażliwym na bodźce zewnętrzne mogą pękać czaszki i trzaskać kręgosłupy.

Cholera, co za bełkot. Wyłączyłem gadające pudełko, przez chwilę patrzyłem tępo w pusty ekran.

Wstałem z fotela z twardym postanowieniem zrobienia czegoś ze swoim życiem, narzuciłem kurtkę, wciągnąłem buty. Entuzjazmu wystarczyło jeszcze na naciśnięcie klamki, a potem mi się odechciało. Stałem pośrodku przedpokoju, popatrzyłem na lekko przyszarzałe buty, które jeszcze rok temu były śnieżnobiałe. Umyć, nie umyć...? Zresztą, chuj z nimi. Z braku innych pomysłów wziąłem torbę, poszedłem zrobić podstawowe zakupy.

Piwo, kartofle, cebula, smalec, wódka, chleb... Już stojąc w kolejce do kasy, przeglądałem w myślach listę; chyba wszystko wziąłem. Może więcej piwa trzeba było...?

Baba w białym czepku spojrzała na mnie z naganą, gdy postawiłem koszyk na półeczce przy kasie:

– Produkty niech wyjmie z koszyka.

– Może jeszcze mam sam na kasę nabić? – zaproponowałem usłużnie, ale babsztyl zignorował moją ciętą ripostę, przewrócił tylko oczami i zaczął wciskać brudne klawisze paluchem z krwistoczerwonym pazurem. Oczywiście skończyła się taśma – jak zwykle, gdy ja podchodziłem do kasy. *Kasjersza* wykonała cały rytuał ze zmianą rolki i wydrukowaniem do końca mojego paragonu, bo papier skończył się w połowie, po czym oświadczyła, że musi nabić wszystko jeszcze raz, a chyba już nie zdąży przed przerwą obiadową. Zacząłem się z nią kłócić, ona zaczęła mi pyskować, w efekcie faktycznie nie zdążyła przed przerwą i po prostu sobie poszła, a ja zostałem jak ten kutas z pełnym koszykiem w rękę przy pustej kasie. Powlokłem się, wkurwiony i upokorzony, na koniec ogonka obok.

– Młody człowieku, pan stał w tamtej kolejce? – odwróciła się stojąca przede mną babcia.

– Tak – mruknąłem.

– I tyle się pan nastał, a oni pana na sam koniec wysłali. – Pokręciła współczująco głową. – Ja też tak kiedyś miałam, czekałam i czekałam, koszyk pełny, a kazali na koniec iść. I niech pan sobie wyobrazi, nikt mnie nie przepuścił. Co za ludzie w tym kraju, młody człowieku...

– A pani mnie przepuści?

– No co pan, młody człowieku – zachnęła się starowinka. – Tutaj każdy czeka, ja tak samo jak i pan. A mój mąż był weteranem wielkiej wojny ojczyźnianej, pułkownikiem. Ja rentę kombatancką po nim mam, to pan mnie przepuszczać powinien...!

– Proszę. – Pokazałem na swoje miejsce. – Chętnie ustąpię.

– Bezcelność! – sapnęła babulina i odwróciła się wyniośle.

Jedno piwo otworzyłem od razu po wyjściu ze sklepu i wychlałem po drodze – częściowo dla ukojenia skołatanych nerwów, częściowo, żeby lżej było; coś tak czułem

jednak, że na piwie się dziś nie skończy.

W domu rozłożyłem zakupy w lodówce, zakręciłem się jak pies za własnym ogonem, czując, że bez czegoś mocniejszego nie dam rady. Złapałem za telefon, wystukałem numer do Chwala.

– *Aljo-maljo* – odezwał się głos po drugiej stronie.

– Chwal, Sztywny z tej strony. Masz coś? – Podeszedłem do stołu i odruchowo zdjąłem z niego popielniczkę, którą tym razem postawiłem na parapecie za zasłoną.

– Zależy. – Chrupnęły chipsy; Chwal chyba akurat jadł obiad.

– Nie pierdol, ziomek, podskoczę do ciebie.

– Skacz – rzucił krótko i rozłączył się.

Chwal mieszkał w zasadzie po sąsiedzku, dwie klatki obok, więc daleko nie trzeba było iść. Otworzył mi drzwi w kłapeczkach i krótkich spodenkach, przez siatkową koszulkę wystawały mu włosy na kłacie.

– Masz? – powtórzyłem, ładując się do przedpokoju.

– Coś ty taki nerwowy, Sztywny – mruknął Chwal. – Życie cię w końcu dopadło?

– Można tak powiedzieć. – Rozwaliłem się na kanapie w jego pokoju, popatrzyłem na wiszącą na ścianie kolekcję proporczyków i ustawione na regale puszki po piwie. – To jak, masz?

– Coś tam mam... – Otworzył szufladę, wyciągnął pudełko po herbatnikach. – A słyszałeś o tych gościach, co kręcą szkło z artefaktów?

– Nie, cholera... – Pokręciłem głową. – Serio?

– Ano. – Diler podał mi trzy foliowe torebki z zielskiem, dźgnął po kolei paluchem. – Do twojego wyboru, cztery, pięć i siedem jednostek umownych.

– Daj tę za cztery. – Sięgnąłem do kieszeni. – Z tym szkłem to powaga?

– Pewnie. – Przeliczył i schował kasę. – Dzieciaki w Kijowie wciągają to całymi tonami.

– Cholera...

– No, żebyś wiedział. – Pokiwał głową. – Dwuskładnikowe, mieszasz przed spożyciem. Zrobione na aktywatorze aluminiowym, więc nie do wykrycia radiometrem w transporcie. Ryje banię niesamowicie, podobno było już kilka zejść po przedawkowaniu.

– Kto wpadł na taki zjebany pomysł?

– A bo ja tam wiem. – Chwal nigdy nie umiał kłamać; wzruszył ramionami, ale odwrócił wzrok. W takich chwilach zawsze wyglądał jak ofiara obozu koncentracyjnego – wygolony na łyso łeb, wiecznie podkrążone, zapadnięte oczy smutnego psa. Nie do końca licowały z tym tylko chałupniczo wytatuowane ramiona i gruby łańcuch na szyi. – Mówią, że ktoś z tutejszych.

– No, to chyba oczywiste... Chwal, a to nie Szary przypadkiem? – zapytałem, tknięty nagłym przeczuciem.

– Po chuj pytasz, jak znasz odpowiedź. – Spojrzał na mnie tymi swoimi oczami, a ja po raz kolejny poczułem, że robi mi się nieswojo.

Pożegnałem się z Chwalem, wdrapałem się schodkami na samą górę bloku, wylazłem przez wyjście techniczne na dach. Zwieszając nogi za krawędź ściany, usiadłem na murku, skręciłem i zapaliłem.

Czyli takie buty.

Okazało się, że nie przynosząc Szaremu obiecane go towaru, władowałem się gdzieś pomiędzy tryby jakiejś maszyny, której do końca nie rozumiałem. W dodatku prawdopodobnie ukatrupiłem jego człowieka, i to jego człowieka pośród ludzi Szefa, a w każdym razie wewnątrz Akwarium. Co prawda nie było pomiędzy tymi dwoma otwartej wrogości, ale otwarta wrogość objawia się strzelaninami na dyskotekach... Natomiast wrogość ukryta jak najbardziej manifestuje się w postaci najmusów z tłumikami na pistoletach, którzy w węzle ciepłowniczym strzelają ci w tył głowy. No zajebicie, po prostu zajebicie.

Pożałowałem, że nie ma tu obok mnie Zeka; on by na pewno dał jakąś dobrą radę. Tyle razy siedzieliśmy tutaj, tylko my dwaj, jaraliśmy afgańską trawę i wylewaliśmy żale na niesprawiedliwy świat... Tutaj snuliśmy nasze szczeniackie plany zdobycia świata, stąd wyruszyliśmy na najbardziej zjebane krucjaty naszego blockerskiego życia. Zresztą to tutaj też po raz pierwszy zerznąłem Oksanę. Dość bogate we wspomnienia miejsce było.

No właśnie, Zek! Sięgnąłem do kieszeni po telefon z twardym postanowieniem zadzwonienia do mojego duchowego brata, ale gdy już złapałem aparat w rękę, poczułem, jak miarowo wibruje. Chwilę potem rozległa się natrętna melodyjka dzwonka, więc nie czekając, nacisnąłem na przycisk z zieloną słuchawką. Telepatia jednak istnieje...!

– Cześć, brat, dobrze, że dzwonisz! – rzuciłem, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

– Cze-eść, Sztywny...

– H-halo? Kto to?

– Sztywny, to ja przecież, no co ty...! – Aha, no tak. Oksana. Czyli telepatia istnieje, ale widać, że jej nadajnikiem jest nie serce, a raczej kutas.

– Oxi – westchnąłem. – Czego chcesz?

– Brakuje mi ciebie, Sztywny... – usłyszałem w jej głosie chyba nieudawany żal. – Bez ciebie jestem taka pusta...

– Oxi, rozmawialiśmy o tym. – Poprawiłem spodnie, bo nagle zrobiło mi się niewygodnie w kroku. – Ustaliliśmy, że to koniec, pamiętasz? A ty wyrzuciłaś mnie z mieszkania.

– Wieee-em... – rozbeczała się w słuchawkę Oksana. – Ale ja nie chciaa-łaaam, uuu...

– Oksana, nie pierdol, proszę cię. – Miało to zabrzmieć twardo, ale to „proszę cię” trochę zepsuło wrażenie. – To koniec.

– Ale jeszcze tylko ostatni raaa-aaz, bła-agaam... – łkała Oksana. – Będę twoją suuczką, na kolaa-aanach, uuuu...

– Nie – rzuciłem twardo i rozłączyłem się.



Flatline: minus dziesięć dni

– Kocham cię, Sztywny, wiesz?

– Mhm – mruknąłem, czując w ustach moralny niesmak, jej perfumy i coś jeszcze. Nie wiem dlaczego, ale zawsze zostawiała po sobie jakiś smak właśnie...

Leżeliśmy we dwoje rozwaleni na ogromnym łóżku w mieszkaniu Oksany, które w jakiś przedziwny i zupełnie wymykający się rozumieniu sposób stało się znów też częściowo moje. Ja byłem niemal zupełnie nagi, Oxi niemal całkowicie ubrana, z wyjątkiem paru rozcięć i otworów dających dostęp do miejsc strategicznych.

– A ty mnie kochasz? – Przyłgnęła do mnie całym ciałem, przesuwając ręką po torsie i niżej, ku podbrzuszu.

– Hmmmhm – znów odburknąłem, nie mogąc zdobyć się na nic więcej.

– Sztywny, dlaczego ty ze mną nigdy nie chcesz szczerze porozmawiać? – Podniosła się na łokciu, jej włosy załaskotały mnie w nos. – Dlaczego zawsze, jak ja pytam, to ty... Ojej, hi-hi-hi.

– Mmhm. – Popatrzyłem na nią sceptycznie.

– No, tak powinno być lepiej. – Odpięła i ściągnęła mi z głowy knebel z kulką. – To jak, kochasz mnie?

– Oksana, do kurwy nędzy... – Poruszałem kilka razy zastaną szczęką, oblizałem zeschnięte wargi. – Nie masz o czym myśleć?

Prawda była taka, że były to w zasadzie pierwsze słowa, jakie zamieniliśmy od wczorajszego wieczoru, kiedy to wiedziony niezawodnym kutakompasem zjawiłem się pod jej drzwiami. Nie powinienem był jarać tej trawy, bo zawsze po niej robię się miękki i spolegliwy... To znaczy inaczej: trawa była mi potrzebna, ale nie powinienem był łączyć trawy i Oksany. Normalnie pozostałbym przy swoim postanowieniu, że Oksana może iść się jebać sama, a tak doszedłem do wniosku, że jednak szkoda dziewczyny i może niesłusznie ją tak ostro potraktowałem; może wypadałoby jakoś ją pocieszyć, wytłumaczyć. Potem doszedłem do jej bloku, potem doszedłem pod jej drzwi... No a potem doszedłem raz, niezadługo drugi i kolejny. Nie utrudniała tego też sama Oxi, która otworzyła mi drzwi na ośmiocalowych obcasach, mimo że nie miała prawa się spodziewać, że przyjdę... A może właśnie miała takie prawo, trudno mi powiedzieć. Należałoby się nad tym głębiej zastanowić i spenetrować temat, a jako że Oksana była mistrzynią nietypowych pozycji erystycznych i dyskusji prowadzonej z wielu punktów widzenia naraz, to jakoś tak wyszło, że reszta wieczoru, noc i spora część dnia upłynęła nam na wytężonych debatach, które przyćmiły swym zakresem tematycznym moje bieżące problemy egzystencjalne.

Na przykład takie, że Szary próbuje mnie zabić.

– Oksana, do kurwy nędzy – powiedziałem, jednocześnie doznając potężnego ataku déjà vu. – Co łączy ciebie i Szarego?

– Kogo? – Oxi spojrzała na mnie oczami bezdennej, dziecięcej naiwności i ufności.

– Szarego – powtórzyłem cierpliwie, jako że Oxi przyjęła już sporą ilość substancji drastycznie zmieniających stan świadomości.

– Nic, a niby że co?

– To ty mi powiedz. – Poczułem, jak mimowolnie zaciskam pięści. Oksana potrafiła być upiornie irytująca, a ja nigdy nie wiedziałem, czy się tylko maskuje z tym, co wie, czy naprawdę jest bezdenne głupia. – Sama mi mówiłaś, że Szary mnie szuka.

– Ja? No tak, rzeczywiście...

– No i?

Po chwili wpatrywania się w nią uświadomiłem sobie, że rozmowa utknęła w martwym punkcie.

– Oksana, dlaczego Szary mnie szukał?

– Nie wiem. – Przeciągnęła się niczym kotka, zjechała rękami po piersiach, idealnie wyrzeźbionym brzuchu, aż po wewnętrzną stronę ud. – Mówił, że cię szuka, to pomyślałam, że ci powiem.

– No a ta twoja gadka?

– Jaka gadka?

– Oxi, nie leć ze mną w chuja. – Przetoczyłem się na górę, wcisnąłem pomiędzy jej nogi, podciągnąłem wysoko kolana. – Mówiłaś wtedy, że jutro nie zdążymy.

– Ahhh... – zajęczała i wyprężyła się. – Mmmm, tak...

– Oksana, nie zmieniaj tematu.

– No powiedziałałam, powiedziałałam. – Opadła na pościel, przegarnęła ręką włosy. – Chciałam ci na złość zrobić, mój ty kucyku.

– Nie nazywaj mnie tak – zastrzegłem. – To było dawno temu i mieliśmy o tym nie wspominać.

– Sztywny, ale nie myślałeś, żeby może jeszcze kiedyś...

– Nie – uciąłem. – To co, tak po prostu to powiedziałaś, że jutro nie zdążymy i że Szary mnie szuka? Tak bez związku jedno z drugim, i jeszcze ten samochód na dokładkę?

– To klient był, króliczku... – Oksana przyciągnęła mnie bliżej nogami.

– Nie jestem króliczkiem. – Spojrzałem na nią, złapałem ręką za gardło. – Zapamiętaj to. Oksana uśmiechnęła się tylko, zamknęła oczy.

– Zrób tak, żebym zapamiętała, Sztywny.

No powiedzcie sami – czy miałem jakikolwiek wybór?



Flatline: minus dziewięć i pół dnia

Z otchłani słodkiego niebytu wyrwał mnie natarczywy dzwonek telefonu, wznoszący się i opadający jazgotliwym tonem. Sięgnąłem po omacku na szafkę, zrzuciłem przy okazji zegarek i przewróciłem lampkę, zanim dałem radę złapać jarzący się oślepiającym błękitem i podrygujący dziko wymysł szatana w garść.

– Haaalo – wychrypiałem.

– Brat, gdzie jesteś?

– Co?

– Brat, gdzie ty jesteś? – zidentyfikowałem głos Zeka.

– No... w mieście jestem.

– Co ty, śpisz? – Usłyszałem w jego głosie coś takiego, że gwałtownie poczułem, jak sen ulatuje.

– Nie, nie, no coś ty... – Usiadłem, przetarłem oczy ręką, popatrzyłem na zegarek. Było wpół do czwartej. – Co tam?

– Jak to co tam? Ujarałeś się? Zaraz wychodzimy przecież!

Zatkało mnie.

– Brat, jesteś tam? Sztyny, halo!

– Tak, tak, jestem, cholera, coś słaby zasięg... – Poderwałem się z łóżka, zapaliłem światło, zacząłem szukać spodni, ramieniem trzymając telefon przy uchu. – Ja... Wiesz, ja już w drodze, rozumiesz, pewne problemy...

– Trafisz?

– Ja... tak, tak, pewnie! Tylko weź mi powiedz, jak dokładnie tam dojechać, bo taksjarsz nie jest pewny...

– Taksówką jedziesz, na bogato – usłyszałem w głosie Zeka rozbawienie. – Niech cię podwiezie do rogu trasy przy starej jednostce, tylko wiesz, brat, na cito tak! Mieliśmy być kwadrans wcześniej, więc ruchy, niech przydepnie trochę! Dalej trafisz, nie?

– Dobra, już go poganiam! – Rozłączyłem się, wypuściłem telefon.

CHOOOLEEERAAAA...!

– Sztyny, co jest...? – Oksana też się obudziła, ale po wczorajszej libacji kojarzyła równie mętnie jak ja. – Co to, już południe...?

– Żadne południe, cholera, środek dupy nocy! – warknąłem, wciągając podkoszulek. – Oxi, robotę mam, wrócę za kilka dni, klucze zostawiam na szafie, muszę lecieć, japierdolęwdupęcholera wjebanąmac...!

Wyleciałem z mieszkania, trzaskając drzwiami tak, że obudziła się pewnie połowa pionu, zbiegłem po schodach, po drodze już wybierając numer do jednego z nocnych *bambli*, czyli pseudotaksjarszy.

Zapewniam was, że niełatwo się rozmawia z taksówkarzem przez telefon komórkowy, biegnąc jednocześnie ku najbliższej większej ulicy.

Oczywiście spektakularnie się spóźniłem, bo trzeba było jeszcze cofnąć się do garażu po

pistolet. Naturalnie, byłoby o wiele szybciej i sprawniej, gdybym był sobie o tym przypomniał wcześniej niż w pół drogi na punkt zbiórki... Zek dzwonił do mnie jeszcze dwa razy, ale odbijałem tylko jego połączenia; w sumie co miałbym mu powiedzieć? Potem chciałem oddzwonić, ale już wyłączył telefon – w pobliżu Kordonu na sygnał komórki od razu zjawia się wojskowy UAV, a zaraz za nim UAZ z patrolem. Trudno, jakoś damy radę. Na szczęście byłem na tyle przytomny, żeby złapać jeszcze plecaczek i minimalną ilość sprzętu, leżące w moim pudełku na czarną godzinę.

Normalnie bym tego nie ruszał, ale wszystko wskazywało na to, że czarna godzina właśnie nastąpiła.

– Brat, nareszcie! – Zek poświecił mi prosto w oczy latarką, gdy kłusem dobiegłem na miejsce zbiórki. – Już się martwiliśmy, że coś się stało... Co ty, zaspasłeś?

– Psy – zełgałem krótko. – Chyba właśnie na nas czatowali, dlatego gadać nie mogłem.

– O w pizdę – skomentował ktoś z ciemności. Zek zgasił już latarkę, ale i tak nic nie widziałem, więc nie miałem nawet pojęcia, ilu jeszcze potencjalnych stalkerów idzie razem z nami.

– Świeżo podjechali, na bombach stoją tam wcześniej za zakrętem – brnąłem dalej, czując, że moje kłamstwo złapało. – Prywaciarzem jechałem, to się wyłgaliśmy, niby że ja pijany, a on mój kolega, do domu mnie odwozi.

– Niedobrze. Jądro też się spóźnia, powinien już tu być...

– Jądro? – wyrwało mi się, ale chyba nikt nie zauważył, jak bardzo zaskoczony byłem wszystkim, co się działo; zaleta kłamania na szybko po nocy.

– No, prawda. – Zek podświetlił zegarek. – Cztery minuty do podanego terminu wyjścia...

– Mogli go zwinąć – rzuciłem, byleby odsunąć rozmowę od tematu mojego haniebnego spóźnienia.

– Kuuuurrrwaaa... – to z kolei był Gruzin, jednak kaukaski akcent jest nie do pomylenia. – Zwinęli go, a on nas jeszcze wsypie!

– Jeśli jest tak, jak mówisz, brat, to... Dobra, panowie, idziemy sami – zadecydował Zek.

– Ja... – chciałem coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle.

– Jak to, bez przewodnika? – zidentyfikowałem głos Strusia. – A jak coś nie tak pójdzie, to skąd będziemy wiedzieć, jaką bajerę trepom wciskać? I jak wrócimy, w pizdu mać?

– Damy radę. – Zek, jak zwykle zresztą, był niezłomnie pewny siebie. – Brat, dobrze, że ci się udało. Ruszamy.

Oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności, zaczynałem rozróżniać cokolwiek więcej niż tylko mniej i bardziej czarne plamy pośród atramentowej ciemności. Kluczyliśmy pomiędzy pniami drzew, mijając pagórki i wykroty, gdzieś przed nami świecił łuną jupiterów Kordon, a za nim rozciągała się Zona.

Miałem wrażenie, że winien jestem chłopakom jakieś wyjaśnienia, że wypadaloby coś powiedzieć, wyjaśnić, ale... ale zupełnie nie miałem pomysłu, jak tu wybrnąć z naplecionych bzdur. Poza tym zanim wymyśliłem cokolwiek mającego pozory prawdopodobieństwa, byliśmy już zdecydowanie za daleko, żeby się wygłupiać. No i trudno, chuj z tym.

– Zek – zawołałem zamiast tego szeptem. – Zek, weź poczekaj chwilę.

– Co jest, brat? – Zrównał się ze mną, na prowadzenie wysunął się Struś.

– Słuchaj, ten cały Jądro... – Postanowiłem wywiedzieć się chociaż podstawowego minimum na temat misji, na którą najwyraźniej zgodziłem się w tak zwanym „pijanym widzie”. – To pewny kolo?

– No, na tyle pewny, na ile każdy inny... – mruknął. – A co, masz wątpliwości znowu? Już raz nas z tego wymiksowałeś, a potem jednak to wzięłeś.

– N-no taak... Ale może lepiej by wrócić, poczekać, może jeszcze się zjawi...

– Nie ma czasu. – Znow podświetlił zegarek. – Mamy dziesięciominutowe okienko na przejście. Jak przegapimy, to przejebane.

– A ten helikopter daleko? – zablefowałem. – Bo wiesz, lekko wczoraj rano byłem wtedy.

– Tja, widziałem, że lekko przysypiałeś. Sześć i pół kilometra od wejścia będzie, obrócimy raz-dwa. Dobrze, że chociaż zgodziłeś się na trzeźwo.

– Tak – powiedziałem po prostu. Sześć i pół kilometra... Jak się uprzeć, to na wieczór damy radę wrócić.

Podeszliśmy aż pod samo ogrodzenie, gdzie ściana lasu urywała się gwałtownie przed pasem zaoranej ziemi. Potem siatka pod napięciem okolona drutem kolczastym, następnie jeszcze jeden pas ugoru z drogą ułożoną z betonowych płyt, kolejna siatka, za nią napierdalające po oczach reflektory, a dalej zaczynało się Pogranicze, na którym nie wiadomo czego można się spodziewać. Pola minowe, snajperzy na wieżach strażniczych, śmigające nad głowami samolociki bezzałogowe... Sama radość po prostu.

– Na co czekamy? – nie wytrzymał Gruzin.

– Cicho! – syknął Zek. – Jeszcze trzy minuty...

– Na znak od Boga czekamy, hry – chrumknął Struś, którego wielkie dupsko miałem dokładnie przed twarzą. – „Boże, ześlij nam znak”, a tu z nieba: jeb! taka wielka tablica informacyjna, hry, hry, hry...

– Cicho, kurwa...! – Zek trzepnął go w łeb, Struś się zamknął.

Leżeliśmy tak na chłodnej, wilgotnej ziemi, dysząc obłoczkami pary w kwietniową noc. Gdzieś w oddali zaszczekał pies, wiatr szumiał w koronach sosen, niosąc dziwne zapachy i dźwięki z tamtej strony drutów. Nagle jupitery przygasły, światło jakby zadrżało, rozjarzyło się mocniej, gdzieś z hukiem strzeliła fontanna iskier żarówka, a potem na całym kilkusetmetrowym odcinku zapadła ciemność.

– Naprzód!

Wyrwaliśmy jak z procy przez zaoraną ziemię, dopadliśmy do siatki, wyhamowaliśmy ostro, bo jakoś nikomu nie spieszyło się sprawdzić, czy zasilanie padło na wszystkich systemach... W końcu Gruzin przeżegnał się od prawej do lewej, zamknął oczy, złapał rękami za stalowe oczka. Nic się nie stało.

Rzuciliśmy się na ziemię, zaczęliśmy na wyścigi przeciskać pod drutami, które ciągnęły i szarpały za ubrania, jakby złośliwie nie chcąc nas przepuścić. Gdzieś w oddali zaryczała syrena, zapaliły się czerwone światła sygnalizacji awaryjnej... Przeczolgałem się jako pierwszy, przeleciałem przez drogę, dopadłem do drugiego ogrodzenia, nawet nie myśląc, zacząłem piąć się na siatkę.

Byłem jakoś w połowie wysokości, gdy do ogrodzenia dopadł Gruzin, zaraz po nim Zek

i Struś. W oddali zaryczał silnik wojskowego beteera, pojawiły się białe punkciki reflektorów pędzącej w naszą stronę maszyny.

– Szybciej, kurwa jebana wasza w mordę pedalska mać!! – krzyknąłem, przesadzając ogrodzenie.

– Pomóż! – wrzasnął za mną Struś. – Plecak się zaczepił, suka jebana!

Zaryłem butami w ziemię, obejrzałem się, zawahałem. Zek był po mojej stronie, Gruzin już-już miał przeskoczyć płot, a Struś wisiał w połowie wysokości siatki, szarpiąc się i próbując wpełznąć wyżej. Widziałem, jak poczerwieniał na twarzy, jego oczy patrzyły z mieszaniną wściekłości i przerażenia...

– Pomóżcie, chłopaki!

– Sztywny, pomóż mu!! – ryknął Zek, popychając jednocześnie Gruzina do biegu.

– Zrzuć plecak! – krzyknąłem do fajtlapy. Beteer zaryczał silnikiem, promień reflektora prześliznął się pod samymi nogami Strusia. – Chuj z plecakiem, zrzuć!

– Sztywny, ja pierdolę...! – Zek podskoczył do Strusia, błysnął nóż, na ziemię opadł trok ucięty razem ze sprzączką, która prawie kosztowała nas wszystkie powodzenie wyprawy. Uwolniony z objęć siatki stalker wystrzelił do góry, jakby mu ktoś w dupę wsadził motorek, jednym susem przesadził trzymetrowe ogrodzenie, pierdolnął jak długi na ziemię po drugiej stronie i na złamanie karku popędził ku zbawiennej ciemności Pogranicza.

Biegliśmy za nim, nie widząc drogi przed sobą, przewracając się, potykając i wpadając w wykroty, zaczepiając o korzenie i gałęzie krzaków i drzew... Usłyszałem, jak ktoś biegnący dosłownie na wyciągnięcie ręki ode mnie wpada prosto w uszły krzak, klnie i rzuca się w objęciach suchych badyli; uśmiechnąłem się w myślach i dosłownie w tej samej chwili z pełnym impetem i ufnością przypierdoliłem w młodą brzoźkę.

Nie powiem, dobrze, że nieduża jeszcze była i ugięła się trochę, bo inaczej bym sobie nos złamał. Tak tylko przymroczyło mnie na chwilę, bo gdy otworzyłem oczy, to w ciemności przede mną właśnie zniknęła sylwetka biegnącego na samym końcu – chyba Gruzina, bo on taki nabity był, pewnie najwolniej mu szło... Zacząłem gramolić się z ziemi, plując krwią i wycierając twarz, kiedy ktoś szarpnął mnie za ramiona, podniósł na nogi, potrząsnął:

– Brat, w porządku?

– Ja... tak, wpadłem na chujozę jakąś. – Kiwnąłem głową, chociaż on nie mógł tego widzieć. – Dawaj, Zek, pędzimy dalej.

Pobiegliśmy, ja lekko utykałem, jak nic musiałem w coś przypieprzyć kolanem, więc kuśtykałem ile sił, orientując się głównie na słuch, jako że moi kompani robili hałas taki, że pewnie z kilometra było nas słychać. Nagle z tyłu uderzyło światło, zalewając wszystko wokół białawą poświatą i rzucając długie cienie od naszych sylwetek. Zasilanie wróciło i teraz jupitery ponownie królowały nad okolicą, dając pole do popisu snajperom.

– Gleba! – ryknął Zek. Rymsnęliśmy jak dłudzy, ryjąc nosami w trawę, starając jak najbardziej rozpląszczyć i wtopić w tło.

Poleżeliśmy tak długą, naprawdę długą chwilę, próbując nawet wstrzymać oddech, żeby nic nie zdradziło naszych pozycji. Do najbliższej wieży mieliśmy jakieś czterysta metrów; żadna odległość na strzał, nawet ze zwykłego karabinu z optyką...

Zacząłem pełznąć na brzuchu jako pierwszy, nieskończenie powoli przekładając ręce

i nogi, rozgarniając wysoką trawę i starając się nie poruszać sterczących tu i ówdzie badyli, zwieńczonych wiechciami suchych kwiatów. Odpiąłem tylko plecak, który zsunął mi się z ramion i ciągnął teraz za mną na długim skórzanym pasku... Nijak nie da się z takim plecakiem zerwać i pobiec, gdyby była potrzeba, ale za to czołgać się jest nawet, nawet wygodnie.

Nie miałem pojęcia, gdzie są pozostali. Gdy uderzyła mnie ta świadomość, sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem i zarepetowałem pistolet. Jakoś tak raźniej z żelazem w rękę, od razu się człowiek pewniej czuje. Co prawda tutaj to głównym zagrożeniem były nie mutanty, a przede wszystkim wojsko, przeciwko któremu za dużo moją pukawką nie zdziałam, ale chodziło raczej o pewność siebie.

W miarę jak pełzłem coraz dalej i dalej od Kordonu, światło reflektorów powoli słabło – niemalże niezauważalnie, ale mimo wszystko stopniowo i konsekwentnie z każdym metrem. Kontrast pomiędzy jasnym a ciemnym przestał być już tak oślepiający, powoli gwiazdy stawały się widoczne, mrugały zza chmur... Ale i tak nie ośmielałem się nawet podnieść głowy, patrzyłem tylko w trawę przed sobą, na zmianę podciągając ręce i nogi. Robiło się cicho, tak strasznie, przedziwnie, nienaturalnie cicho – podczas gdy z tyłu, z kierunku, z którego przyszliśmy, lało się światło i dobiegały dźwięki, to przede mną była tylko zupełnie ciemna, pusta, milcząca przestrzeń Zony.

Nie wiem, ile czasu zajęło mi doczołganie się do krzaków. Może dziesięć minut, a może godzinę... Byłem cały zlany potem, zmęczony, jakbym całą noc przerzucał skrzynki na zamrażalni warzyw pod miastem, mięśnie płonęły żywym ogniem, płuca chciały wyskoczyć z klatki piersiowej. Dałem radę jeszcze dowlec się do rosnącego nieco głębiej drzewa, oparłem się o nie plecami, podciągnąłem do siebie plecak i wygrzebałem z niego plastikową butelkę z samogonem.

Piłem chciwie, na szybko, krótkimi, rwanymi łykami, czując, jak podła gorzała wypala przełyk. Tu nie było żartów, tu już Zona, a radiacja zabija zdradziecko, niewidocznie... Oderwałem usta od szyjki, sięgnąłem do kieszeni i wyłuskałem na rękę kilka tabletek z listka. Z opakowania uśmiechała się do mnie narysowana buźka cherubina w aureoli z radioaktywnego wiatraczka; widać poczucie humoru nie opuszczało naszych chemików w ich chałupniczych laboratoriach. Wrzuciłem tabletki do ust, zapiłem wodą, widząc, jak do mojego zagajnika wczołguje się Struś.

– Daj... – zarządził, wyciągając rękę po butelkę. Szarpnął łyka, zakrztusił się i rozkaszał.

– Pierdolony... – wychrypiał Zek, wpełzając w zarośla na czworakach; ciężko było powiedzieć, kogo miał na myśli, ale zgadzałem się z nim w pełnej rozciągłości. – Chuj jebany...

Powoli robiło się już jasno, na tle szarawego nieba rysowały się drzewa i sylwetki moich kompanów, leżących na suchych liściach jak szmaciane lalki. Jako ostatni dołączył Gruzin, który po prostu walnął na plecy pod pierwszym lepszym krzewem i sapał jak miech kowalski. Zresztą leżeliśmy tak wszyscy, starając się wyrównać oddech i zebrać siły; w końcu dopiero co weszliśmy na Pogranicze, prawdziwy hardkor był jeszcze przed nami.

– Udało się. Nie zauważyli nas, kurwy kamuflażowe – uśmiechnął się Zek. – A było blisko...

– Sztywny, ty chuju. – Struś spojrział na mnie z wyrzutem, podając wodę Gruzinowi. –

Chuju ty kijowski, cipo niegolona, cwelu syberyjski, zostawiłbyś mnie tam, na tej pierdolonej siatce...

– Odjeb się, Struś – burknąłem tylko, przymykając powieki.

– Zostawiłbyś mnie – powtórzył z naciskiem. – Żebyś zdechł. Tak samo, jak zostawiłeś Eliasza i Czarnego.

– Struś, po dobroci cię proszę, weź się odpierdol. – Uchyliłem tylko jedno oko, jednocześnie wymacując w kieszeni pistolet.

– Zostawiłbyś! – powtórzył z uporem maniaka, wstając na chwiejnych nogach. – Zostawiłbyś, nawet byś się nie obejrzał, gdyby cię Zek nie zawołał, a ja bym tam zdechł...!

– Struś...! – krzyknąłem ostrzegawczo, ale on już wstał i ruszył na mnie. Wyszarpnąłem z kieszeni broń i wycelowałem, ale Zek był szybszy, rzucił się na niego, powalił na ziemię, przycisnął do gleby... Spojrzał na mnie, na wyciągniętą klamkę.

– Czy wyście, kurwa, poszaleli...? – sapnął ciężko. – Dość tej dziecinady, zbieramy się i idziemy dalej. Struś na prowadzenie, Gruzin drugi, ja zamykam.

Gruzin zajęczał żałośnie, podnosząc się z ziemi, Struś popatrzył na mnie nienawistnie, ale nic nie powiedział. Zek wyminął mnie tylko, spojrzał głęboko w oczy.

Szliśmy ledwo widoczną ścieżynką, którą musiały wydeptać mieszkające na Pograniczu dzikie psy albo inne jakieś zwierzaki... Podniosła się mgła, więc trudno było nawet powiedzieć, co też mogło leżeć przed nami. Widziałem jedynie plecy idącego przede mną Gruzina, po lewej i prawej była wyłącznie trawa i okazjonalnie wyłaniające się z szarego tumanu krzaki. Cisza... Tylko nasze oddechy i kroki.

– Miny – rzucił idący przodem Struś, stając w miejscu.

– Skąd wiesz? – zapytał z tyłu Zek, przeciskając się obok mnie.

– Widzę... – W głosie naszego prowadzącego usłyszałem nutkę autentycznego strachu, wysunąłem się nieco na bok, żeby też popatrzeć.

Na środku ścieżki w ziemi ziała spora dziura, wokół której leżała rozrzucona wybuchem ziemia i resztki czegoś, co jeszcze niedawno musiało być człowiekiem. Fragmenty ciała i kości, strzępy kamuflażu... Porwane jak szmaciana lalka, którą ostro pobawił się dorodny rottweiler. Jakbym nie miał ogóle wyobraźni, to pewnie bym się nawet nie wystraszył, bo to już do człowieka nawet niepodobne; jednak mózg dał jakoś radę to poskładać do kupy, uderzył na alarm, że ten ochłap kiedyś tak samo jak my oddychał, jadł, myślał, skradał się po tej ścieżince.

– Skurwysyny – mruknął Zek. – Na samym środku ścieżki ładunek zakopali, wiedzieli, że ktoś tędy chodzi.

– To co, zawracamy? – Gruzin już odwrócił się i gotów był ruszać, ale Zek osadził go w miejscu trzepnięciem w potylicę:

– Gdzie, durniu? Prosto na kolejną minę?

– No ale tam przed nami na pewno jeszcze... – pokazał ręką we mgłę czarniawy, ale brat potrząsnął tylko głową.

– Nie. Dokładnie tak chcą, żebyś myślał; ty teraz zawrócisz, cofniesz się i pójdziesz inną trasą, a tam właśnie są miny pozakładane. Dokładnie takie jak ta.

Przykucnął jakoś w okolicy nogi nieszczęśnika, patrząc na wyrwany w ziemi lej, wyglądający bardziej jak jama jakiegoś zwierzaka – no nie wiem, miejscowego tuszkana

albo innego paskudztwa... Raz i drugi dźgnął w coś kijem, w końcu podniósł się i zawyrokował:

– Fugas był założony, na drucie pewnie przeciągnęli... O, popatrz, tam po drugiej stronie jeszcze widać, z trawy wystaje. Klasyczny potykacz.

– No i...? – Gruzin popatrzył na zwinięty spiralą zielonkawy drucik. Chyba żaden z nas nie nadążał za tokiem rozumowania Zeka.

– Znaczy że tylko jeden był. – Wstał, otrzepał ręce. – Potykacze zakłada się punktowo, a nie w masie. Dalej powinno być czysto...

Popatrzyliśmy po sobie nawzajem.

– Tchórze – warknął tylko Zek, wysuwając się na prowadzenie.

Tym razem ulokowałem się na samym końcu, żeby nie mieć Strusia za plecami. Jakoś... no nie wiem, ale kilka razy spotkaliśmy się wzrokiem i powiem wam, że pożałowałem w końcu, że go wojskowi z tej siatki enkaemem nie zdjęli. Nie byłoby problemu teraz, a tak to cholera wie, co ten debil sobie akurat myślał. Na wszelki wypadek miałem cały czas pistolet w kieszeni; odbezpieczony, tylko za cyngiel pociągnąć.

Mgła zaczęła nieco rzednąć, w końcu rozwiąła się zupełnie i pojawiło się zimne, kłujące w oczy poranne słońce. Było mocno rześko, bo w końcu w okolicach świtu zawsze najbardziej ciągnie po nogach... Idący przede mną Gruzin trząsał się z zimna i cały czas siąkał nosem, Struś coś sobie chyba nucił, ale do mnie mało co już dolatywało. I dobrze w sumie, bo nawet to, co słyszałem, wystarczająco już działało mi na nerwy. Gdy miałem pewność, że inni nie patrzą, pociągnąłem sobie raz i drugi z piersióweczki, bezpiecznie skitranej w wewnętrznej kieszeni kurtki; a co, dla zdrowotności i kurażu nie zaszkodzi.

Na postój zatrzymaliśmy się w ruinach jakiejś fermy, sowchozu albo innego kołchozu... Nie wiem, jak to kiedyś tam, w przeszłości, się nazywało. Z historii zawsze słaby byłem, pierdoliły mi się te wszystkie epoki i daty, wiem tyle, że kiedyś był ZSRR, potem przyszła pieriestrojka i się wszystko jebło. I jak jebło, tak do dziś leży, a potem na dokładkę jeszcze się Zona pojawiła. Po przeszłości zostały nam tylko ruiny i smętne gadki rodziców po rozwodzie, a za to z Zony wynosiło się artefakty, za które handlarze płacili niezłe *babło*. Jebał pies przeszłość, byleby w terażniejszości kasiory starczało.

Pierwszą wartę dostałem oczywiście ja. Dlaczego oczywiście? No bo zawsze, jak nam się coś niefajnego dzieje, to jest „oczywiście”. A ja na warcie nie miałem ochoty stać, wolałbym łeb do łokcia przytulić i przekimać się jeszcze trochę – szczególnie że ostatnia noc wyszła mi ze spaniem ubożuchna... Zek obudził mnie przecież swoim telefonem jakoś po trzeciej, a zasnęliśmy z Oksaną przed północą chyba. Mówię „chyba”, bo pewności nie miałem – mocno daliśmy w palnik i w nos wieczorem, więc czas mi się nieco rozmył.

Oksana. Jak to zazwyczaj w Zonie bywa, uderzyła mnie nierealność całej sytuacji, która przecież miała miejsce nie dalej jak dziewięć godzin temu: ona na szpilkach i w koronkach, klęcząca nad szklanym stolikiem i wciągająca nosem mąkę, ja siedzący wygodnie w fotelu, rozparty jak król ze szklanką doprawionego koniaku w ręku; z głośników nasuwa jakiś ostry rejw, na telewizorze leci nie mniej ostre porno, Oxi czołgająca się do mnie po puchowym dywanie... A nagle jestem tutaj, sterczę jak ten kutas na poddaszu rozwalającej się fermy, wypatruję przez dziury w dachu, czy nikt nie idzie, mimo że przecież wiem doskonale, że nikt nie idzie – no bo kto, do kurwy nędzy, miałby tu iść?! Jesteśmy w Zonie, na ziemi

przekłętą, na pieprzonych pięciu tysiącach kilosów kwadratowych pustej, jałowej, nikomu niepotrzebnej, wyludnionej ziemi, otoczonej przez wojsko, milicję, desant i żandarmerię wszystkim, co tylko dali radę tu ściągnąć właśnie po to, żeby nikt tu nie wchodził i żeby tu nikogo nie było! Jaka więc jest, do chuja groma, szansa na to, że ktoś będzie tędy iść? No pytam się, jaka?! A mimo to stoję tu na warcie jak ten kutas i patrzę, czy nikt nie idzie.

– Brat! – zawołał mnie szeptem wchodzący po drabince Zek.

– Tu jestem – mruknąłem, odrywając się od kontemplowania jednostajnego do wyrzygania pejzażu Zony.

– Brat, co to miało być? – zapytał, podchodząc bliżej.

– Niby że które? – Nagle niepomrotnie zainteresował mnie jakiś element krajobrazu w oddali... Głównie dlatego, że doskonale wiedziałem, co Zek ma na myśli.

– To ze Strusiem. Nie spodziewałem się po tobie czegoś takiego, brat.

– Kurwancki no, żeby nie umieć samemu po siatce wejść... – Wziąłem się pod boki. – To co, następnym razem weźmiemy, cholera, nocniczek i pieluszki? I może smoczek, żeby mu się spało lepiej?!

– Mówię o tym później.

Spojrzałem na niego mocno zdziwiony.

– Niby że o czym?

– O tym, co odpiardoliliście potem, w krzakach. O tym, że wyciągnąłeś na niego broń.

– Miałem mu pozwolić? No powiedz, brat, miałem mu na to pozwolić?!

– Na co?

– No... – zawahałem się. – Przecież chciał się na mnie rzucić, mało brakowało, a...

– Owszem. – Kiwnął głową. – „Chciał” i „mało brakowało”, ale się nie rzucił. A ty pistolet wyciągnąłeś.

– Bronisz go?

– Nie, nie bronię ani jego, ani ciebie. Chcę tylko wiedzieć, co się dzieje.

Drżącymi rękami wyciągnąłem papierosa, pstryknąłem zapalniczką raz, drugi, trzeci... Kurewstwo nie chciało załapać, tylko iskierki leciały, a ognia nie było, kurwa jego mać...!

– Spokojnie, brat. – Zek szczerknął spalinówką, podsunął ogienek bliżej. Odpaliłem, zaciągnąłem się głęboko, zamknąłem oczy, powoli wypuszczając gryzący dym. – Chcesz kreskę?

– Chcę.

Wyciągnąłem z kieszeni przybornik, przejrzał zawartość, wydzielił mi porcję w torebce, plastikową tutkę i dwie karty telefoniczne.

– Zaraz przyślę Strusia, żeby cię zmienił. I prześpij się, brat, bo wyglądasz chujowo.

– Dzięki, brat. – Objąłem go ramieniem, poklepałem po plecach.

Gdy zszedłem na dół, Gruzin już chrapał, bydlak jeden. Zek siedział w rogu na starej skrzynce od lemoniady, uśmiechnął się do mnie tylko, ale wydawało mi się, że nie do końca szczerzy ten jego uśmiech był... Rozłożyłem się w rogu, przygotowałem sobie niedużą, równiutką, idealnie zapraszającą ścieżkę, taki mój prywatny pas startowy do nieba.

Wydech, zamknięcie oczu, wciągnięcie.



Zdrzemnąłem się – nieszczęśliwie długo, ale bardzo przyjemnie. Wstałem mocno rześki, taki zadowolony, gotowy stawić czoła wszelkiej chujni, jaką może zesłać na nas świat... No, może z wyjątkiem deszczu. Deszcz był tym, czego naprawdę nie lubiłem, jedną z nielicznych rzeczy, jakie skutecznie potrafiły zjechać dzień od razu na wejściu. Deszcz zdecydowanie popsułby mi humor i ponownie wtrącił w otchłań nieuporządkowanych, nerwowych myśli.

A lało jak chuj.

Brnęliśmy przez siwoszarą zasłonę lejącej się z nieba wody, która spływała nam po głowach, skapywała z nosów, ciurkała po plecach i przesączała się przez szwy kurtek, zbierając się dużymi, zimnymi kroplami, spływającymi potem pomiędzy łopatkami i wzdłuż kręgosłupa aż do gaci, które z podziwu godną skutecznością wchłaniały każdą ilość wilgoci, zamieniając nasze części intymne w małe, zimne, skurczone, zakiszone ogryzki. Ubrania lepiły się do ciała i krępowały ruchy, w butach chlupało i ciamkało...

– Chodźcie, do pizdy nędzy, gdzieś to przeczekamy. – Odwróciłem się do idących za mną kompanów. – Przecież to nie ma, kurwa, najmniejszego sensu.

Popatrzyli na mnie ponuro, w końcu Zek skinął głową:

– Prowadź, brat.

„Prowadź”. Łatwo powiedzieć w normalnym świecie, kiedy ma się mapę, jak się człowiek w jakikolwiek sposób orientuje w terenie, gdy cokolwiek widać w ogóle. Skrzywiłem się, rozejrzałem dokoła, pokazałem ręką kierunek, w którym – wydawało mi się – powinny być jakieś budynki.

Leźliśmy jak pieprzone muchy w smole. Szyk się posypał, kątem oka widziałem wysuniętego zdecydowanie za daleko w lewo Gruzina, Zek i Struś mocno odpadli do tyłu, wlokąc się kilkanaście kroków za mną. Gdy raz i drugi obracałem się, żeby zobaczyć, czy się nie zgubili w ogóle, to zauważyłem, że chyba o czymś rozmawiali – głowy blisko, ręce pracują... Ciekawe, o czym też mogli tak za moimi plecami konwersować.

Faktycznie, okazało się, że wyczucie mnie nie zawiodło. Gdy wyszliśmy na szczyt niewielkiego wzniesienia, to pośród drzew przed nami dało się wypatrzeć szare, kryte eternitem dachy zabudowań. Deszcz – jak na złość – zelżał nieco, a kiedy zbliżyliśmy się do budynków, niemalże ustał zupełnie... I właśnie dzięki temu zauważyłem, że przez jedno z okien sączy się cienką stróżką siwy dymek.

– Panowie, ognisko! – syknąłem, przypadając do ziemi. Na szczęście towarzysze zareagowali w dość zgrany sposób, też chowając się w wysoką, burą trawę. Mokłą trawę, swoją drogą, chociaż byliśmy tak cholernie przemoczeni, że nie robiło to już najmniejszej różnicy.

– Gdzie? – podsunął się do mnie Zek.

– Dym przez okno widać... Tam. – Pokazałem palcem, on przypatrzył się, pokiwał głową, poklepał mnie po ramieniu:

– Zuch. Dobra, to co robimy, brat?

– Cholera wie... – Ręką wytarłem wodę z twarzy. – Nie wiemy nawet, kto tam jest, a już w ogóle ni cholery ilu ich...

– Mhm.

– Dwóch na czuję, dwóch w rezerwie?

– Może być. Pójdziemy?

– Jak za dawnych lat... – wyszczerzyłem się.

Na szybko wytłumaczyliśmy dwóm pozostałym ich role, podnieśliśmy dupy z trawy i ruszyliśmy spokojnym krokiem ku zabudowaniom. Deszcz, jak się już zresztą rzekło, praktycznie ustał, z rzadka tylko jeszcze tu i tam spadała pojedyncza kropla, chmury powoli zaczęły się rozstępować, lada chwila powinno wyjrzeć słońeczko. Nie wiem, czym kiedyś były te budynki – jakąś samotną zagrodą? stacją mototransportową? a może po prostu czymś zbudowanym zupełnie z dupy pośrodku niczego, bez celu i przyczyny, żeby wypełnić dziurę na mapie, tak jak nasze miasteczko? Nie wiem i szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodziło.

Szliśmy NA MIĘKKO, rozmawiając o tym i owym, nie kryjąc się ze swoją obecnością. Zek wysmarkał po drodze nosa w palce, ja schyliłem się, żeby zawiązać sznurowadło... Żeby mieć stuprocentową pewność, że ktokolwiek jest w środku, już nas usłyszał i jest gotowy.

Frajera nakryliśmy, że tak powiem, in flagranti.

– Ty, brat, nie ma nikogo... – rzuciłem półgłosem, patrząc na nieduże ognisko pośrodku pokoiku, suszącą się przy nim kurtkę i otwartą rączkę żywnieniową. Ktokolwiek tu był, musiał chyba dać dyla na sam nasz widok, zostawiając nawet plecak i – karabin...?

– Kto tu? – rozległo się zza naszych pleców, odwróciliśmy się jak na komendę, ja z makarowem, Zek z dwururką, biorąc na cel sylwetkę obcego.

– Wow, wow, panowie... – Nieznajomy podniósł w górę rękę z pistoletem. Widząc, że nadal nie zamierzaliśmy opuszczać broni, uniósł też drugą, do tej pory trzymaną na wysokości paska. Spodnie z szelestem zjechały w dół, odsłaniając pałkowate, włochate nogi i rąbek kremowych gaci w czerwone serduszka. – Pokój między chrześcijany...

– Ktoś ty? – warknął Zek, dając mi znak, żebym odebrał tamtemu broń.

– Stalker, jak i wy...

– Dlaczego się ukryłeś? – zapytałem, wyłuskując mu z ręki naszego rodzimego forta-12. Ładna broń. – Po co się zasadzasz?

– Halo. – Pomachał trzymaną w lewym ręku rolką srajtaśmy. – Czy ja wam na bandytę wyglądam?

Wymieniliśmy z Zekiem spojrzenia; ja kiwnąłem, ale on tylko ledwo zauważalnie przymknął oko.

– No, w sumie to może i nie – minimalnie opuścił obrzyna Zek, celując mu teraz w nogi. – Kto jest z tobą?

– Sam jestem, a kto niby miałby być. Mogę gatki poprawić, bo mi po jajkach wieje?

Zek skinął, nieznajomy powoli, patrząc to na mnie, to na niego, schylił się i podciągnął spodnie.

– Padać przestało już – rzucił trochę od rzeczy, mocując się z paskiem. – Ja zaraz dalej ruszam... Wy w którą stronę?

– Od Kordonu dopiero idziemy, ledwo co żeśmy przechodzili nocą. – Stojąc za frajerem, nadal trzymałem go na muszce, mając w dłoni jego własny pistolet. Porządny pistolet, swoją drogą. – A ty dokąd?

– Ano, ja tutaj, w kierunku na tory kolejowe. Artefaktów pozbierać, jest tam kilka anomalii w polu, warto się zakręcić. Oddacie broń?

Zek kiwnął, podałem frajerowi jego pukawkę, on, trzymając dwoma palcami, wsunął do kabury.

– Chłopaki, co wy tacy nerwowi? – Popatrzył na nas. – Można by pomyśleć, że na bandytę jakiegoś wyglądam... Kowal jestem.

Spojrzałem na wyciągniętą rękę, potem na Zeka. Wyciągnąłem swoją, potrząsnąłem:

– Sztywny.

– Zek – opuścił lufę Zek, spuszczać odwiedzone kurki. – Na pewno nie posiedzisz z nami? Widzisz, my przemokli do suchej nitki, trzeba trochę się przesuszyć.

– Nie, ja zaraz dalej. – Stalker przykucnął przy plecaku, zaczął zbierać swoje rzeczy. – No to ognisko wam zostawię, chociaż tyle pożytku... Chyba że na handel coś macie?

– Nie-a, dopiero weszliśmy.

– No, to dobrej wam Zony! – Zarzucił plecak na ramię, zasalutował do kaptura. – Aha, i tam ja, w kiblu, no... Jakby co, to ciemno było, więc uważajcie, bo...

– Damy radę. – Uśmiechnąłem się nieszczerze.

Patrzyliśmy, jak odchodzi od budynku, brnie po pas w mokrej trawie, a potem znika nam z oczu za górką.

– Nie było warto, brat – Zek odezwał się pierwszy, odpowiadając na moje niezadane jeszcze pytanie.

– Może coś miał przy sobie? – wysunąłem przypuszczenie, wciąż czując w ręku fakturę rękojeści pistoletu.

– Na pusto szedł, plecak miał lekki. – Pokręcił głową. – Nie warto było. Idź lepiej po naszych, siedzą w krzakach i się denerwują tylko.

Zawołałem na Gruzina i Strusia, żeby nie sterczeli jak głupi na dworze, podrzuciłem do ognia kilka wyrwanych z podłogi desek. Zek w tym czasie sprawdzał pozostałe budynki, żebyśmy nie mieli tu jakiejś dupawej niespodzianki...

– Czemu frajera puściliście? – Gruzin rzucił pytaniem, na które sam nie do końca miałem odpowiedź, więc wzruszyłem tylko ramionami:

– Zeka pytaj.

– To co, puściliście, a nie wiesz dlaczego? – jakimś dziwnie zaczepnym tonem wtrącił się Struś. Miałem już mu coś odszczeknąć, bo riposta sama napłynęła mi na język i już-już majtała się na samiusieńkim koniuszku dorodną kroplą żółci, ale wszedł akurat Zek:

– Struś, masz problem?

– Nie – burknął tamten i zaczął ściągać przemoczone ciuchy.

Rozebraliśmy się wszyscy na tyle, na ile się dało, wyżełiliśmy i rozwiesiliśmy kurtki wokół ognia. Co prawda więcej z tego ogniska było dymu niż ciepła, ale zawsze to coś.

– Która godzina? – ziewnąłem.

– Dochodzi druga... Nie ma bata, brat, nie zdążymy dziś w tę i we w tę. – Zek podniósł się ze swojego miejsca, pomacał ubrania. – Nadal wilgotne, cholera. Idziemy w mokrych?

Czy czekamy do jutra, aż wyschną?

– Mnie wszystko jedno – mruknął Gruzin.

– Ja bym poczekał – skrzywił się Struś. – Jeśli i tak do jutra nam się zejdzie... Kiedy mamy powrót?

– Teoretycznie jutro w nocy, ale Jądro się przecież w końcu nie odezwał. Ja mówię: idziemy, nie ma co odwlekać. Brat, co powiesz? Twój głos decydujący.

Popatrzyłem na mokrą kurtkę, mokry plecak i mokre spodnie. O butach nawet myśleć mi się nie chciało. Wszystko wilgotne, ciężkie, sztywne, zimne i ogólnie paskudne. Jebał pies taki marsz... A potem popatrzyłem na Strusia i pomyślałem sobie, że jemu tak samo się nie chce dupy ruszać.

– Idziemy – zadecydowałem.

Powiem wam, że jest tylko jedna rzecz na świecie gorsza od konieczności ubrania się w mokre, lekko podwędzone ciuchy: tą rzeczą jest ubranie się w mokre, lekko podwędzone ciuchy i maszerowanie w nich przez bezdroża. A szczególnego posmaku nabiera to jeszcze wtedy, gdy maszeruje się przez bezdroża Zony.

Zek szedł na szpic, co i rusz spoglądając na kompas i próbując jakoś zorientować wydrukowaną na kartce A4 mapę. Tani papier z supermarketu złapał wilgoć i pomarszczył się, atramentowy druk stracił ostrość i zaczął się rozmazywać, aż w końcu brat zmiął wydruk i pieprzył w trawę:

– Chuj...!

Nie mogłem zgodzić się z nim bardziej. W ogóle cała ta wyprawa to był jakiś popierdolony pomysł od samego początku i chyba każdy z nas zaczynał to czuć. Ja w każdym razie w swoim rozumieniu byłem częściowo rozgrzeszony, bo bądź co bądź zapisałem się na to po pijaku; ale co myśleli sobie chłopcy, to mogłem wyłącznie zgadywać.

Do miejsca upadku helikoptera mieliśmy coś około kilometra, czyli w zasadzie powinno już go być widać – i właśnie to „powinno” mocno nas wkurwiało, bo nie było widać nic. To znaczy: widać było całą masę różnych rzeczy, głównie drzew, krzaków i trawy, przy czym z miążdzącą przewagą tych pierwszych. Okazjonalna zarośnięta chwastami droga, tu i ówdzie zardzewiała, nieczytelny znak albo kawałek płotu, stojącego nie wiadomo po co w szczerym polu – i tyle.

Za to pojawiły się mutasy.

– Uwaga, dzik po prawej – zameldował Zek, przepatrujący teren przez lornetkę.

Nogi się w takich chwilach uginają, bo organizm podobno sam stara się zmniejszyć widoczność sylwetki; tak przynajmniej w jakimś mądrym programie w telewizorze mówili. Z drugiej strony, w tym samym programie było o jakichś czarnuchach, co potrafią przebiec czterdzieści kilosów dziennie i nawet się nie zmachać, więc nie wiem, na ile to się tyczy uczciwego, białego człowieka rasy słowiańskiej, próbującego przeżyć w Zonie. Na pewno pistolet sam wskakuje do ręki.

– Daleko?

– Będzie... ze czterysta metrów, może trzysta – odpowiedział mi nasz obserwator. – Cholera, jeszcze coś się tam przy nim kręci... Broń w pogotowiu, schodzimy ze wzgórza i wymijamy bokiem.

No tak, i dokładnie dlatego nie lubię do Zony się głęboko pchać. Pewnie już powoli z Pogranicza schodzimy, zaraz pojawią się też, cholera, anomalie i cała reszta związanego z nimi syfu. Nawet nie da się normalnie po prostej przejść, trzeba będzie kręcić, halsować i kombinować, rzucać te idiotyczne śruby i w ogóle dupę zawracać.

A pomyśleć, że pewnie właśnie byśmy z Oksaną powoli się budzili w jej apartamencie. Ona zawsze pierwsza wstawała, poszłaby pod prysznic, ja bym się jeszcze poprzewalał, poszedłbym do kuchni po piwo z lodówki, upił sobie kilka łyków jasnego pszenicznego... Włączyłbym telewizor, popatrzył chwilę na wiadomości, podrapał się po jajkach i poszedł do niej. Akurat skończyłaby się pewnie golić, a jak nie, toby się jej pomogło...

– Jest! – Gruzin machnął mi włochatym łapskiem przed samą twarzą, krzyknął prosto w ucho. – Jest tam!

Stałem, westchnąłem ciężko, zamknąłem oczy. Zacząłem liczyć do dziesięciu, ale doszedłem tylko do czterech, bo byłem za bardzo wkurwiony.

– Dobrze, tak trzymaj, Gruzin. – Zek wyminął mnie, podniósł do oczu szkła lornetki. – Taa-ak... No dobra, panowie, oczy dokoła głowy i idziemy. Struś, pilnuj tyłów, czy się ten dzik nie przyplącze.

– Z tym? – Struś podniósł pistolet. – Na dzika?

– Następnym razem weź choćby i erpegierurę. – Zek wzruszył ramionami. – No dobra, masz dwururkę, ale pamiętaj...

– ...wiem, jajca ukręcisz – odebrał broń nasz tymczasowy wachman. – Dobra, idźcie, ja pilnuję.

Do wypatrzonej przez Gruzina kępy drzew było może ze dwieście metrów, ale szliśmy ostrożnie, powoli, rozglądając się na wszystkie strony. Zek nawet wyciągnął z kieszeni kilka drobnych śrubek z dowiązanymi kawałkami włóczki i okazjonalnie rzucał nimi przed siebie, obserwując, jak spadają w wysoką trawę.

– Brat, po co mu obrzyna oddałeś? – zapytałem półgłosem, gdy nieco zwolnił.

– „Po co” czy „dlaczego”, brat? – Spojrzał na mnie, uśmiechając się. – Bo to dwie różne rzeczy.

– No dobra, wiem, po co. Powiedz mi dlaczego.

– Bo nie wziął nic lepszego, a ktoś musi pilnować.

– Aha. Mi też byś swoją strzelbę oddał?

– Brat, ja mu nic nie „oddałem”. – Zek zatrzymał się, złapał mnie za ramię. – No coś ty, brat? Co jest?

– Nic – skłamałem. – Nieważne.

– Dałem mu dwururę, żeby przed dzikiem nas pilnował. – Pokazał ręką na tkwiącego pośród bezmiaru traw Strusia. – Gdybyś ty chciał pilnować, tobym ci jej nie dał, owszem. A wiesz dlaczego?

Pokręciłem głową.

– Bo potrzebuję ciebie tutaj, brat, zaraz przy mnie. Nikomu innemu bym nie zaufał, przecież wiesz.

– Wiem – powiedziałem, ale nawet mnie te słowa zdały się jakieś... nie wiem, papierowe takie. Jak sklejone z bibułki. – Dobra, prowadź.

Helikopter spadł prosto w sporą kępę brzoź i topoli; gdyby nie wystające z gęstwiny

pokrzywione łopaty wirnika, to moglibyśmy przejść obok i nawet go nie zauważyć. Owszem, gdy zbliżyliśmy się nieco, to widoczne stały się połamane i pocięte gałęzie drzew, dało się dostrzec ślady osmalenia, skurczone i pożółkłe od temperatury liście i temu podobne ślady katastrofy, ale poza tym skądinąd potężny korpus wymalowanej w kamuflażowe plamy maszyny idealnie zlewał się z roślinnością.

– Fiu, fiu... – gwizdnął Gruzin. – Jak na filmie normalnie.

– Tak, szkoda tylko, że nie mamy sprzętu jak z filmu – smarknął na ziemię Zek. – Trzeba będzie się wdrapać na górę... Sztynny?

Westchnąłem ciężko. Faktycznie, spadający kabiną pilotów w dół śmigłowiec jakimś cudem zablokował się pomiędzy pniami drzew i zawisł dobre dwa metry nad ziemią. No, dwa metry to było do najniższego punktu dziobu, a drzwi przedziału ładunkowego...

– Co ja, małpa jestem albo czarnuch jakiś... – burknąłem tylko, ściągając plecak i rozpinając pasek.

Obszedłem najpierw miejsce katastrofy, szukając najlepszego dojścia na górę i do kadłuba; Zek cały czas ubezpieczał mnie, żebym mógł skoncentrować się tylko na zadaniu. W końcu upatrzyłem sobie w miarę wygodne podejście, zatarłem ręce i zacząłem piąć się w górę.

Cholera, dawno po drzewach nie chodziłem. Szczególnie po wyjątkowo niewdzięcznych do tego giętkich brzożach i kruchych topolach... Zastał się człowiek, wychodzi brak gimnastyki. W zeszłym roku próbowaliśmy z Oksaną ćwiczyć rano, ale efekt zawsze był taki, że brzuszki i callanetics kończyły się dupką i callaminetiksem. Tak, to były niezłe akcje, kiedy...

Nagle straciłem oparcie, noga ześliznęła się po szorstkim pniu, zrywając mech i korę, desperacko wyrzuciłem ręce przed siebie, łapiąc cokolwiek, na czym zacisną się palce. Zawisłem spory kawałek nad ziemią, nogi majtały się w powietrzu...

– Ej, brat, w porządku? – dobiegł mnie z dołu głos Zeka.

– Ta, w porzo. – Podciągnąłem się, zaczepiłem nogami o konar, przekreśliłem na górę. Nie powiem, erekcja trochę przeszkadzała we wspinaczce. – Rzuć linę!

– Gdzie ją masz? – Zek zaczął grzebać w moim plecaku. Co zrozumiałe, zrobiło mi się gorąco ze wstydu, bo liny w plecaku nie miałem. To znaczy: miałem, ale w normalnym zestawie, który grzecznie leżał sobie na szafie u mnie w mieszkaniu.

– Dobra, chuj z liną! – zawołałem. – Zostaw! Dam radę bez...

Ta, jasne; zesram się, a nie dam radę. Popatrzyłem na wiszący jakieś półtora metra ode mnie kadłub maszyny. Półtora metra – niby to i niedaleko, a jednak sporo. No i zamknięte drzwi, pytanie, czy dadzą się otworzyć...

Zamknąłem oczy, wziąłem kilka głębokich wdechów. Otworzyłem oczy.

Chuj.

Rzuciłem się przez przestrzeń niczym ryś, niczym lampart, niczym puma... No, okej, pewnie bardziej przypominało to desperacki skok jakiegoś pijanego leniwca albo przerażonej fretki, ale liczy się skuteczność. Nie wiem, skąd znalazłem czas na wszystkie te przemyślenia, widząc tylko, jak zbliżała się ku mnie żelazna burta śmigłowca.

Jebs! Huknąłem głucho o korpus maszyny, na krótką chwilę dając radę przywrzeć do niej powierzchnią całego ciała; to był ten moment, kiedy zaskoczona grawitacja patrzyła na

mnie z niedowierzaniem i zastanawiała się, co by tu zrobić dalej. Zacząłem ześlizgiwać się po płozie, rozczapierzyłem więc ręce, dając radę wbić paznokcie w mikroszczeliny pomiędzy płytami kadłuba, i znów zamarłem bez ruchu.

– Brat, w porządku? – jak mantrę powtórzył pytanie Zek.

– Unnggh – wybełkotałem, czując, jak helikopter delikatnie kołysze się i buja razem z trzymającymi go drzewami. – Gbbhhm.

Całą wieczność wisiałem tak na idealnie gładkiej powierzchni śmigłowca, który sam wisiał na połamanych drzewach kilka metrów nad ziemią. Miałem zamknięte oczy, więc aż nadto wyraźnie czułem zapach paliwa, zatartych łożysk silników i spalonej izolacji. Byłem częścią niedokończony katastrofy, która zawisała o milisekundy od straszliwego, płomiennego finału.

– W porządku?

– Hhhnghh. – Przekręciłem głowę. – Nie, kurwa, nie w porządku! Wiszę na tym jebanym złomie i...

Nie dałem rady dokończyć myśli, bo poryw wiatru zakołysał drzewami, przez co cała konstrukcja zabujała się, zaskrzypiała i zachybotwała. Miałem straszną ochotę sobie rzygnąć z nerwów albo się zesrać ze strachu.

– Brat, posłuchaj, pod lewą ręką masz przycisk otwierania drzwi! – zawołał z dołu Zek. – Powinny się otworzyć albo odblokować przynajmniej...! Pociągnij!

Tak, kurwa, pociągnij. Rusz ręką, przesunź środek ciężkości. Strać jeden punkt oparcia.

Milimetr po milimetrze przesuwałem rękę w dół, aż w końcu namacałem kwadratową obudowę wajchy.

– O, to, to! Pociągnij i od razu pchnij drzwi, do góry pchnij, żeby na pewno się otworzyły, tylko się trzymaj...!

Zaciskając mocno oczy, złapałem za dźwigienkę.

– I pamiętaj, trzymaj się mocno...! Od razu do środka dawaj, jednocześnie pociągnij przełącznik, popchnij drzwi, trzymaj się i ładuj się do środka, tylko uważaj, nie spierdolić się...!

Wykonałem ruch.

Nie mam pojęcia, jak znalazłem się wewnątrz śmigłowca. Po prostu nie wiem. Zostały mi z tych chwil jakieś oderwane od całości fragmenty wspomnień i wrażeń cząstkowych, pamiętam dudniącą w uszach krew i wyjące bólem palce, pamiętam, jak Zek coś krzyczy i ja też krzyczę, ale chyba nic konkretnego, tylko po prostu tak krzyczę z przerażenia, nogi majtają mi się w powietrzu, coś pcham i ciągnę naraz, jakimś cudem podciągam się na jednym ręku, zawijam nogi wyżej od głowy... Nie no, nie wiem, naprawdę nie wiem.

Aha, już wiem: przełącznika się nie ciągnęło, tylko przekręcało. He, he, he...

Nieistotne. Istotne jest to, że w końcu znalazłem się w środku tego zasranego śmigłowca, dysząc ciężko, rżąc, jęcząc i klnąc bez ładu i składu, trzęsący się jak liść osiki, mokry jak piczka gimnazjalistki na GHB... Ja jebię, naprawdę – nie próbujcie robić tego w domu.

– Brat, żyjesz...? – z zewnątrz dobiegł głos Zeka. – Bra-at!

– Kurwa, żyję! – wrzasnąłem łamiącym się głosem. – Ja pierdolę! Nie robię tego więcej...! Nie schodzę nawet, kurwa, na dół, drabinę mi przynieście...! Albo po straż pożarną zadzwonię, pierdolę, nie zejdem! Nie zejdem... nie wstanę! Nie wstanę, tak będę

leżał! Nanana, nanana, nanananana...!

– Weź się uspokój, brat! – Zek był nieporuszony. – Zapal sobie, nie spiesz się, ale rozejrzyj się tam porządnie!

– Nie będę się, kurwa, rozglądał. – Drżącymi rękami wyciągnąłem papierosa, pstryknąłem zapalniczką, która tym razem dla odmiany zaskoczyła. – Chuj wam w dupę. Tu będę mieszkał, w tym, kurwa, helikopterze...

– Ghhhhyyyyy...

– Że co? – Wyjąłem szluga z ust. – Co tam mówisz?

– Ja? – Głos Zeka dobiegł z pewnego oddalenia. – Nic nie mówiłem teraz. Uspokój się.

– Hhhhryy...

– No to słyszałem już! – Zaciągnąłem się głęboko. – A to co miało być?

– Yyyyhy...

– Brat, o czym ty... – zaczął Zek, ale końca już nie dosłyszałem, bo poderwałem się, jakby mi ktoś wsadził w dupę rozrusznik. Czepiając się palcami elementów wyposażenia maszyny, przebierając nogami i rzucając się jak paralytyk na prochach, wczółgałem się po pochyłej podłodze w jak najwyższy punkt przedziału ładunkowego. Wcisnąłem się w kąt, jak najdalej od foteli pilotów, gdzie...

– Bhhrrryhhrryyyyy...!

– Kuuuuurrrrrwaaaaaa!!! – rozdarłem się jak stare prześcieradło. – Kuuurwaa! Zek, ten chuj jeszcze żyje, aaa!!!

– Hhhaaaabhyyy...! Yyyy... – Siedzący w fotelu trup rzucał się i miotał, wyciągając do mnie pokrwawione ręce i obracając rozbitą na miazgę twarz w sposób, w jaki nie dałby rady nawet najbardziej wygimnastykowany i popapwany z uczestników „Ukraina ma talent”. O dziwo, jego bardziej przyzwoity, bo zupełnie martwy kolega po prostu zwisał sobie kulturalnie w pasach bezpieczeństwa, a ten wił się i kręcił, nadaremnie próbując sięgnąć do mnie ręką...

– Aaaaaa! Aaa... Khy, khy, eekhekheehe! – rozkaszałem się w końcu. – Brat, ja nie... khha! Ekkhe! Hee...!

– Sztywny, co jest, do kurwy nędzy?! – teraz darł się z dołu też Gruzin, raz i drugi mignęła mi w prześwicie gałęzi czapka Zeka.

– Hhhrrryyy...!

– Kurwa mać! – krzyknąłem, gdy w końcu odzyskałem głos. – Zombi tu jest, jebaniec jeden!

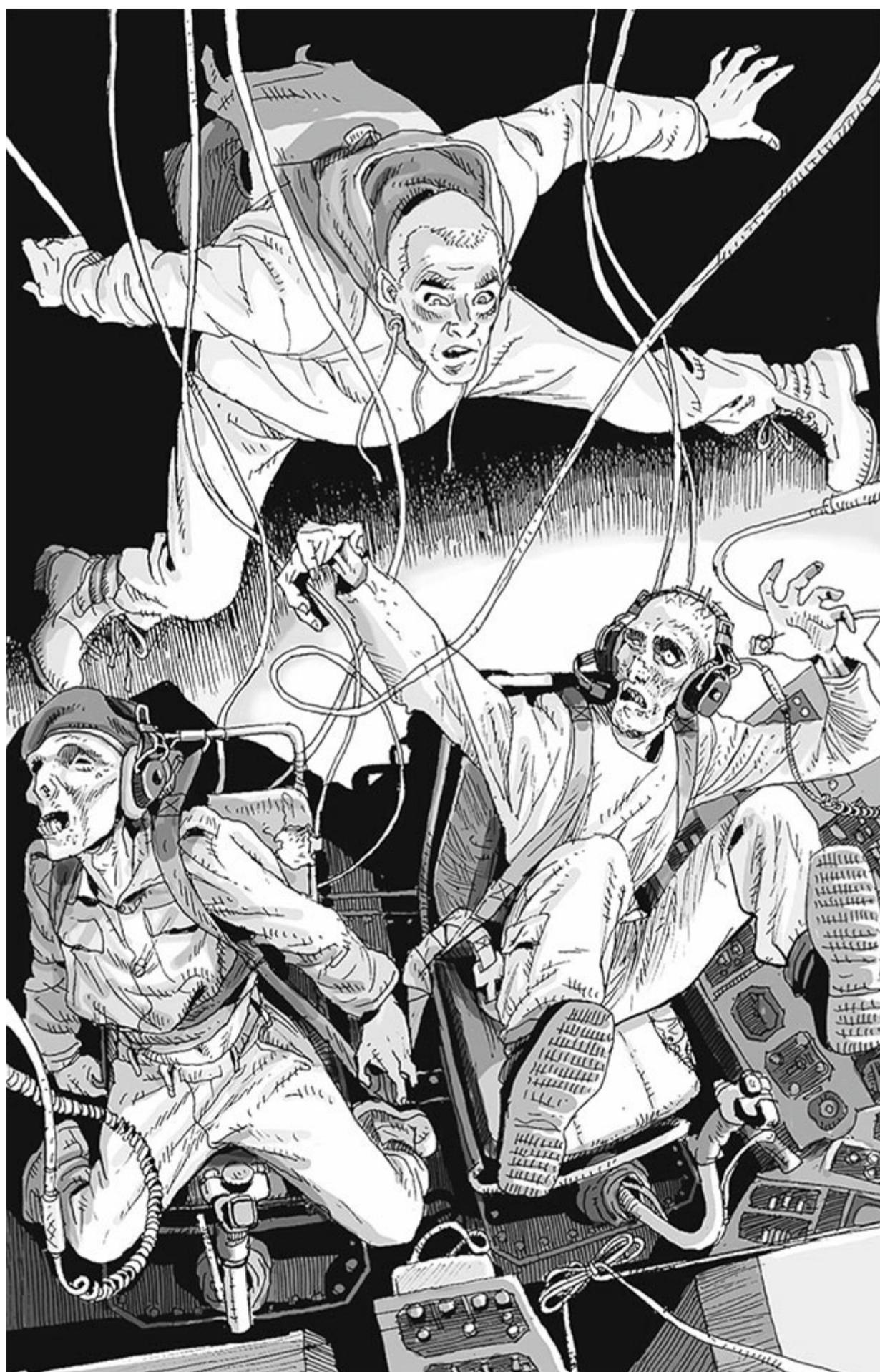
– Zastrzel gnoja!

– Yyyyhyyy...!

– Ja... czekajcie chwilę, chuj z nim, nie może się ruszyć! – Powoli odzyskiwałem rezon. – Łapy tylko wyciąga... Fuuj, ale tutaj trupem jebie!

– To czego się drzesz, jak się nie może ruszyć?! Kulę mu w łeb i po sprawie!

– Grrrhyyy...!



Fakt, miałem przecież w kieszeni pistolet. Wyciągnąłem broń, pstryknąłem bezpiecznikiem, wziąłem truposza na cel – i nagle jakoś szkoda mi się go zrobiło. No nie

wiem, jakiś taki nieporadny mi się wydał pomimo całej okropności swego wyglądu; no dobra no, siedzi sobie w fotelu, w zasadzie połowicznie wisi, bo śmigłowiec mocno przechylony, pasy go trzymają, a on sobie tylko jęczy i śmierdzi. Trudno powiedzieć, czego się tak wystraszyłem w sumie; chyba po prostu się nie spodziewałem, no ale kto by się spodziewał...?

– Hhhy...!

– Dobra, zawrzyj paszczę i nie przeszkadzaj. – Schowałem pistolet. – Ja tu w interesach jestem.

– Aaaaghhryyy...!

– No wiesz co, wstydzilibyś się, naprawdę. Tak na pierwszej randce?

Zacząłem już nieco spokojniej rozglądać się po wnętrzu maszyny. Duża część sprzętu pozrywała się z zaczepów przy uderzeniu i leżała teraz na dnie kabiny, pewnie jedno z takich obitych żelazem pudeł rozkwaśiło też facjatę mojemu zombasowi... Ale nigdzie nie widziałem tego, po co tu przyszliśmy i po co wlałem do tej cholernej żelaznej trumny.

– Jest, znalazłem!! – wydarłem się, widząc tkwiącą w ścianie śmigłowca żółto-czarną walizkę z uchwytem. Dosłownie przy mojej ręce była, kręciłem się i rozglądałem, a ona tuż-tuż. – Mam!

– Dobra, dawaj ją!

– Już, zaraz...! – Złapałem za rączkę, pociągnąłem. Cholera, coś mocno siedzi. – Czekaj, bo się zaklinowało...

Zaparłem się ręką, potem nogą, ciągnąc coraz mocniej. Ani drgnie, draństwo... Powiesiłem się na walizie całym ciężarem ciała i dopiero wtedy zauważyłem przycisk blokady. No tak, blokada. Uśmiechnąłem się sam do siebie i pstryknąłem zatrzaskiem...

– WaaaHahahahaaaaAAaaaa...!! – Zamachałem ręką, gdy waliza wysunęła się z gniazda, po czym całą masą swej bezwładności pociągnęła mnie za sobą w dół. Próbowałem jeszcze czegoś się chwycić, złapać równowagę, zaczepić o coś, ale było już chyba za późno.

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czemu po prostu nie puściłem samej walizy.

Na całe szczęście ciężkie jak sto skurwysynów pudło poleciało pierwsze, dzięki czemu nie rozbiło mi głowy przy upadku. Drugi pilot nie miał aż tyle szczęścia, chrupnęło paskudnie, bryznęła gęsta, szaroróżowa maź, ale w końcu facet i tak już nie żył... Siedzący obok zombiak spróbował mnie złapać, gdy przelatywałem obok, ale na szczęście miał słaby refleks, więc jego łapa zacisnęła się na pustce na chwilę przed tym, jak zrykoszetowałem od fotela i pierdolnąłem plecami o konsolę sterowania.

Nie powiem, na chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami.

Maszyna zakołysała się, zabujała, coś chrupnęło i jęknęło przeciągle. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że na chwilę stałem się lżejszy – to pewnie wrak osunął się kawałek – a potem spadłem jak kamień i twarda, kanciasta deska sterowania po raz drugi zajebała mi w nerki.

– Ja pierdołę... – jęknąłem sobie, uchylając oczy.

– Whhyrhyyy...! – Szpony potwora przeleciały mi przed samiusieńką twarzą, pasy zatrzęszczały ostrzegawczo, gdy umarlak naprężył się, próbując mnie sięgnąć. – Hhhrryy...!!

– Aaaaa!!! – wrzasnąłem, próbując wcisnąć się głębiej w kąt pomiędzy konsolą a potrząskaną szybą. – Aaahaaaa...!

– Błłhhyyyy...!!! – Zasraniec jakby mnie słyszał, bo sam zaryczał głośnie, trupi odór owionął mi twarz, kilka kropel czegoś galaretowatego upadło na kurtkę. Desperacko próbowałem sięgnąć do pistoletu, który zasunąłem na suwak w kieszeni, wykręciłem się na plecy, próbując kopnąć truposza, ale on tylko rzucał się coraz bardziej.

Coś na zewnątrz trzasnęło, zgrzytnęło. Nagle zrobiłem się zupełnie nieważki, lekki jak piórko, zombas urósł, zbliżył się, razem z nim poruszył się cały kadłub, a ja zostałem w miejscu; wpadłem prosto na nie–do–końca–martwego pilota, odbiłem się od niego, widząc, jak zbliża się i rośnie tylna ściana przedziału ładunkowego. Nabrałem tchu, żeby wrzasnąć, bo leciałem prosto na sterczące ramiona żelaznych stojaków...

A potem coś huknęło, jakby ktoś zgniótł ogromne kartonowe pudło. Zatrzymałem się w locie, zatrzymała się sunąca na mnie ściana i przesuwające się mimo drzwi ładunkowe. Zawisłem w powietrzu, rozejrzałem się, krzyknąłem:

– E...!

...i poleciałem z powrotem w dół.

Tym razem miałem trochę więcej szczęścia, bo spadłem na nie–tak–znów–odległy fotel kopilota, i to nawet nie plecami, a bokiem. W całej kabinie podniósł się kurz, zapachniało znów plastikiem i benzyną, rozkaszałem się – a w każdym razie rozkaszałbym się, gdyby upadek nie wybił mi z płuc całego powietrza, tak więc leżałem tylko, jak wyrzucona na brzeg ryba, łapiąc powietrze szeroko rozwartymi ustami.

– Hrrryyy... – odezwał się mój ulubiony truposz.

Podniosłem głowę i z przerażeniem skonstatowałem, że pasy bezpieczeństwa dyndają sobie smętnie w powietrzu, a fotel jest pusty...

– Whhhryhhryyy! – Pokryta plamami rozkładu ręka wystrzeliła spod fotela i złapała mnie za kark jak małego kociaka.

Chciałem wrzasnąć, ale tylko pisnąłem ze strachu, jakimś cudem wyszarpnąłem z kieszeni pistolet i na oślep, wsadziwszy tylko broń za oparcie, wywaliłem cały magazynek.

– Hhhyyy... – zagulgotał trup, ręka puściła mnie i zniknęła. Usłyszałem jeszcze, jak z miękkim „szlumpf” ciało osiada na podłodze... To znaczy w zasadzie na szybie, bo cały czas byliśmy przekręceni o dziewięćdziesiąt stopni wobec standardowego układu odniesienia.

– Brat! Brat, jesteś tam, żyjesz? – W otworze wejściowym do śmigłowca pokazała się głowa Zeka. Nie wiem, jak słyszałem i jego, i tamto wcześniej, bo w uszach mi dzwoniło od huku wystrzałów, we łbie huczało... Uśmiechnąłem się słabo, pomachałem mu ręką i zerzygałem jak przedszkolak na jasełkach.

Niespecjalnie kojarzę, w jaki sposób wydostałem się ze śmigłowca. Chyba mnie wyciągnęli... Tak, wyciągnęli, bo maszyna zjechała się na sam dół i zaryła dziobem w glebę, więc wysoko już nie mieli. Patrzyłem tępo, jak moi kompani po kolei włączają do środka i próbują dobrać się do skrzynki tak, żeby ominąć wciąż tkwiącego gdzieś tam trupa...

– Chuj – po raz kolejny skonstatował Zek, stając przed śmigłowcem i strzelając z pistoletu w przednią szybę. Szkło od razu pokryło się siateczką pęknięć, po kilku

solidnych kopniakach z niewielką pomocą naszych w końcu wypadło zupełnie. Razem z nim na zewnątrz wyleciał truposz, masa różnego chłamu i sama walizka.

– Bhyy... – zombiak zajęczał, próbując podnieść się z ziemi i złapać Zeka, ale ten tylko zajechał mu z buta w zęby, złapał nasz skarb i sapiąc ciężko, odskoczył od śmigłowca.

– Cholera, kamieni tam chyba nakładli... – sapnął, podchodząc do mnie. – Lepiej ci?

– Nie. – Cały czas kręciło mi się w głowie, musiałem tam w środku w coś przypieprzyć potylicą, bo guz mi urósł jak śliwka. Wyciągnąłem drżący palec w kierunku truposza, który próbował czołgać się przez wysoką trawę.

– Skurwysyn. Struś, dawaj dubeltówkę! Ja mu zaraz w ten zgniły łeb...

– Nie! – zawołałem może nieco zbyt głośno i nerwowo, aż spojrzeli na mnie zdziwieni. – Nie, zostawcie go...

– No coś ty, brat? – Zek spojrzał na mnie zdumiony, odwodząc kurek. – Trup powinien być martwy, nie? A nie może nam tu przecież pełzać...

– Zostaw go. – Podniosłem się, zatoczyłem, oparłem o drzewo. – Zostaw. Szkoda amunicji, i tak hałasu narobiliśmy. Spierdalamy stąd.

– Jak powiesz. – Przekrzywił głowę. – Dobra, ja prowadzę, ty za mną, Gruzin bierze towar, Struś zamyka.

Nie odeszliśmy nawet dwustu metrów, jak w drzewach za nami huknęło, błysnęło, w niebo podniosła się chmura ognia i czarnego dymu. Odwróciliśmy się i popatrzyliśmy na płonący helikopter.

– Papieros – wyjaśniłem. – Papierosa miałem, upadł mi.

– Nic, tylko zdjęcie zrobić i na paczkę dać, hry, hry. „Palenie szkodzi zdrowiu”, hry, hry.

– Tamtym już nic nie zaszkodzi – skwitował Gruzin. – Szkoda tylko sprzętu...

Jak na potwierdzenie jego słów we wraku coś eksplodowało fontanną iskier, na wszystkie strony rozleciały się spirale dymu po pociskach smugowych.

– Wynośmy się stąd nachuj – ruszył przed siebie Zek. – Narobiłeś, brat, takiego efiksu, że chyba już nas wszyscy zobaczyli...

– Czego? – nie załapałem.

– Efiksu. No wiesz, FX, efekty na filmach. Pewnie od samej pieprzonej Elektrowni nas widać.

– Chuj z Elektrownią.

– Słusznie.



Nockę spędziliśmy w tym samym zrujnowanym domku, w którym zatrzymaliśmy się wczoraj na przesuszenie ciuchów. Nie wiem, co ci wszyscy stalkerzy widzą niebezpiecznego w używaniu stałych tras: jak coś się sprawdza, to po kiego wała to zmieniać? No nieważne. W popiele znalazło się jeszcze trochę żaru, więc rozdmuchaliśmy ogienek, nanieśliśmy suchych gałęzi i napaliliśmy sobie porządne ognisko, przy którym wreszcie można było trochę się ogrzać i wyschnąć bardziej niż tylko powierzchownie.

Spało mi się nocą parszywie. Najpierw nie mogłem zasnąć, bo jebaniec Gruzin chrapał, jęczał, kręcił się i pierdział jak biogazownia. Potem co prawda przestał, głównie dlatego, że naplułem mu do ryja... Nie znaliście tego? Niezawodny sposób, a jak przy okazji nastrój poprawia. Tylko że on przestał chrapać, ja ledwo zdążyłem się ułożyć, jak Zek zszedł z warty i zmienił go Struś, który nie wiedzieć po co wlaźł na stryszek i wdrapał się na szczyt komina. Siedział więc na tym kominie, a co dupą ruszył, to kilka małych drobinek brudu zlatywało na dół, stukając o ścianki i ogólnie robiąc hałas. Znaczący się hałas był żaden, ale sami wiecie – jak człowiek leży i nie może zasnąć, to niewiele trzeba, żeby go wkurwić. Więc dwie warty już poszły się pierdolić. Potem wrócił Struś; mam wrażenie, że chciał mnie obudzić kopem w dupę, ale nie dałem mu tej satysfakcji i podniosłem się sam. On jednak z nieukrywanym zadowoleniem oświadczył, że teraz moja kolej marznąć na dworze. Zebrałem się więc w sobie, naciągnąłem na plecy jeszcze wilgotną, pachnącą świeżo uwędzoną dupą kurtkę i polazłem na dwór. Wyszedłem z ciepłego na zimne, zachciało mi się lać, więc rozkraczyłem się i co? I co? No i oczywiście obeszczalem sobie but. Nic wielkiego, bywało gorzej: kiedyś w piątej klasie na obozie pionierów pobiegłem w krzaki i jak wstawałem, to się okazało, że nasrałem sobie na szelki... No więc nic wielkiego, ale rozumiecie, że i tak wkurwia.

Jakoś odbękałem moją wartę, poszedłem obudzić grubego fiuta Gruzina i walnąłem się w kimę... A jak już zasnąłem, to śniła mi się Oksana. Ba, ale żeby tak po prostu! Śniła mi się Oksana, którą dymał w dupę żywy trup. Ona jęczy i wygina się, to wyżej, to niżej, ręką sobie pomaga i normalnie zachowuje się, jakby sam Rocco tam za nią był, a to wcale nie Rocco, tylko trup. Normalny sztywniak, i to taki dość już przechodzony. Oczy jak jajka na twardo, siny cały w fioletowe plamy taki, sine paznokcie i sine wargi, tu i ówdzie już robaczki po nim łążą, na plecach to w ogóle skóra płatami odchodzi... I posuwa ją w dupsko, a ona jęczy i stęka tylko. Ja wołam: Oksana, Oksana, lalka! Obróć się, uważaj! A ona nic, nie słyszy, za to tamten patrzy na mnie i taki ruch ręką robi: chcesz? I odsuwa się od niej, ja patrzę, a tu ciągnie mu się wszystko, gluty jakies takie ohydne, zielonkawe i mętne, i ciągnie mu się to, i ciągnie, a on nie może się od niej rozkleić...

– Łaa! – wrzasnąłem i obudziłem się.

– Co, dobrze się spało? – zajrzał przez okno Zek. – I tak pora wstawać, rano już.

– Kuuuurwa... – Wytarłem ręką mokrą od potu twarz. – Ale miałem pojebany sen...

– Co, znowu klasówka? – ziewnął Gruzin. – Mnie to się zawsze klasówka śni, a ja nic nie umiem.

– Nie, cholera, gorzej. Oksana.

– Oksana to gorzej, hry, hry? – popatrzył na mnie Struś, drapiąc się po zarośniętym ryju.

– Śniło mi się, że Oksanę dymał w dupę jakiś sztywny... – mruknąłem, podnosząc się.

– Fiuuu... – gwizdnął przez zęby Zek. – Brat, musisz się ostro urznąć, jak wrócimy.

– Że niby sztywny, czyli martwy, hry? Znaczący się, Sztywny, że ty ją dymałeś jako truposz? Hry, hry, hry, hry... – zaśmiał się Struś.

Popatrzyłem na niego i nie powiedziałem nic.

Posiedzieliśmy w chatynce przez większość dnia, bo i tak nie mieliśmy nic innego do roboty. Ciuchy wyschły, myśmy trochę odsapnęli... Późnym popołudniem zdecydowaliśmy się wolnym krokiem ruszyć w drogę powrotną. I tak pół nocy mieliśmy sterczeć po ciemku

pod Kordonem, trzęsąc się z zimna i czekając na okienko przerzutowe.

Oczywiście o ile całego planu szlag nie trafił.

Ja co prawda gdzieś głęboko w sobie wiedziałem, że planu szlag nie trafił i Jądro gdzieś tam jest, mimo że – pośrednio z mojej winy – nie daliśmy rady się z nim spotkać przed wyjściem. Natomiast moja wersja historyjki z blokadą milicyjną była tak spójna i plastyczna, chłopcy tak bardzo się nią przejęli, że w zasadzie zaczęła mi się zacierać granica pomiędzy prawdą a zmyśleniami. Co wcale nie ułatwiało życia, bo musiałem uważać, żeby się nie wysypać. Podczas gdy oni biadolili i zastanawiali się, co też zrobimy, jeśli dzisiejszy przerzut nie będzie aktualny, to ja przecież wiedziałem, że aktualny będzie – i strasznie trudno było mi się z tym nie wygadać.

Szliśmy w kierunku Kordonu, nie spiesząc się ani trochę. Zek zauważył, że jestem po nocy mocno spięty i ogólnie nieswój; zaproponował kreskę, której naturalnie nie odmówiłem... Potem cichaczem wciągnąłem sobie jeszcze połówekę z mojego żelaznego zapasu. Świat od razu nabrał innych barw, wszystko stało się miłe, weselsze i w ogóle przyjazne.

– ...a on jej na to: nie no, pani juchociągowa, takie rzeczy to tylko na Jantarze...! Aaa-ha-ha-ha-haaa! – zaśmiewałem się do rozpuku z własnych dowcipów, jakkolwiek towarzysze zdawali się nie do końca podzielać mój entuzjazm. – Łapiesz, gruby?

– Tak, he, he. – Szturchnięty w bok Gruzin uśmiechnął się grzecznie. Wiedział, świniak tłusty, że ze mną nie ma co zadzierać, nawet jak mam dobry humor.

– Brat, może wyluzuj trochę, odpocznij... – poklepał mnie po ramieniu Zek.

– No coś ty! – Rozejrzałem się dokoła. Głowa mi chodziła, normalnie jakbym miał ją zamontowaną na łożysku kulkowym. Fantastyczne uczucie. – Ja mógłbym tak do wieczora iść, do rana normalnie... O! Siemano! Hej-hej, Kowal!

– Co?! – Zek złapał za broń, ale ja już popędziłem w dół zbocza ku znajomej sylwetce w wyświechtanym kombinezonie.

– Kowal! – zawołałem jeszcze raz na stalkera, który musiał mnie z początku nie zauważyć. Wychodził akurat z ruin tej samej fermy, w której mieliśmy wczoraj pierwszy odpoczynek... No co za przypadkowy zbieg okoliczności.

– Eee... Sztynywny, tak? – Spojrzał na mnie niepewnie, gdy podbiegłem bliżej. – Cześć, no popatrz, jakimi to ścieżkami Zona prowadzi...

– Ano, my już wracamy od helikoptera, a ty? – usłyszałem własne słowa.

– My... ja tak sobie, tutaj się kręcę, rozumiesz. – Kowal chyba zauważył moich kompanów, bo coś spochmurniał. – A wy co, rozmnożyliście się przez masturbację...?

– Aaaa-ha-ha-ha! Brat, posłuchaj no, jaki kawalarz! – Obróciłem się do Zeka, który stał kilka kroków dalej, nonszalancko trzymając dwururkę w zgięciu ramienia.

– Sztynywny, chodź – skrzywił się Zek. – Zostaw człowieka i chodź.

– Ale, brat, nie ma się co spieszyć! – Rozłożyłem ręce. – Przecież on jeszcze Gruzina nie zna, Strusia nie widział też, bo wtedy się chowali...! Chodźcie, poznajcie się!

– Cześć – powiedział Kowal i nie wiedzieć czemu podniósł ręce.

– Jak tam artefakty, znalazłeś coś? – Uśmiechnąłem się najszczerzej, jak potrafiłem.

– W plecaku wszystko – ponuro mruknął stalker.

– Brat, chodź. Musimy iść... Przepraszam cię za Sztynywnego, przeważnie nie jest taki

rozbawiony – wziął mnie za ramię Zek.

– Nie szkodzi – odparł Kowal, patrząc na nas jakoś tak dziwnie. – Lepiej już tak, niż jakby miało być grobowo jak na pogrzebie.

Przed oczami stanęła mi Oksana ruchana w dupę przez gnijącego trupa.

– Coś ty powiedział? – syknąłem przez zęby.

– No, jesteś Sztywny, ale wcale nie sztywniak... – strzelił oczami na boki Kowal.

Odwróciłem się do niego plecami, ruszyłem ku naszym... a potem niczym Marlon Brando w „Taksówkarzu” wyszarpnąłem pistolet i zamaszystym ruchem wycelowałem mu w twarz:

– Mówisz do mnie?!

Kowal zbladł, zamienił się w żywy słup soli.

– Brat, weź, nie trzeba. Odpuść, brat... – podszedł do mnie Zek, ale zatrzymałem go ruchem ręki.

– Mówisz, kurwa, do mnie?! – powtórzyłem z naciskiem.

– Słuchaj, nie ma potrzeby... – zaczął.

– Wyskakuj z artefaktów, goń kasę, frajerze, cwelu jeden! – Było nas w tamtej chwili dwóch, ja i mój pistolet, obydwaj naładowani i napięci, gotowi w każdej chwili wystrzelić. – Ale to już!

Kowal popatrzył ponuro na moich towarzyszy, powoli ściągnął plecak, rzucił na ziemię przed sobą.

– Toście tacy stalkerzy – mruknął. – Bandosy zwykle jesteście, co za chabarem sami nie poleżą, ale zabrać zawsze chętni, jak ktoś już karku nadstawi...

– Stul pysk, pedale! – szczeknąłem, podchodząc bliżej. Lufa patrzyła mu prosto między oczy.

– Człowiek całe życie od takich jak wy ucieka. A wy zawsze po śladzie, zawsze za łatwym łupem...

– Stul pysk, powiedziałem!!

– I nieważne, że w domu czeka dziewczyna, że... – zaczął, ale nie dokończył.

Stałem tak nadal z wyciągniętą przed siebie bronią, nie do końca pewny, co się stało.

– Brat, po co ci to było? Brat? – Zek podszedł do mnie, położył dłoń na przedramieniu, delikatnie opuścił rękę trzymającą dymiący pistolet. Spojrzał na leżące w trawie ciało. – No po co?

– N-nie... nie jestem... – zająknąłem się.

– Co nie jesteś? – Zek stanął przede mną, zajrzał głęboko w oczy. – Nie jesteś pewien?

– Nie jestem... – Język poruszał się w ustach, ale nie byłem w stanie wyartykułować potrzebnego słowa. – Nie jestem... martwy.

– Nie, nie jesteś martwy – pokręcił głową Zek. – Ale oddaj pukawkę, brat. Oddaj.

Wyłuskał mi spomiędzy palców makarowa, zabezpieczył. Zarzucił sobie na plecy pakunek po zabitym, ruszył spokojnym, równym krokiem przez trawę.

– Po chuj go zabijałeś, Sztywny? – Wzdrygnąłem się, gdy Gruzin wymówił moją ksywę. – Po chuj?

Popatrzyłem na martwego Kowala, schyliłem się, odpiąłem jego kaburę.

– Miał fajną klamkę. – Mijając grubasa, podetknąłem mu pistolet pod nos. – Też taki

chciałem, i teraz mam.

– I co, za pistolet zastrzeliłeś człowieka? – zawołał za mną.

– Nie – rzuciłem przez ramię. – Nie za pistolet.



Flatline: minus siedem dni

– No, z medycznego punktu widzenia w zasadzie nic ci nie jest.

Popatrzyłem na Zająca, uniosłem brew.

– A tak po ludzku?

– Tak po ludzku to na pewno jesteś napromieniowany, odwodniony, chronicznie niewyspany, skacowany i masz banię zrytą przez dragi. – Postukał w szprycę, nacisnął tłoczek, aż płyn trysnął z igły. Przełknąłem ślinę: raz dlatego, że nie lubię zastrzyków, dwa, bo właśnie wróciłem z Zony i strasznie mi się chciało ruchać. – Daj ramię i się nie rzucaj.

Odwróciłem się, żeby nie patrzeć, jak grubaśna igła wchodzi mi w ramię, syknąłem.

– Jak baba normalnie – pokręcił głową nasz konował. – Dorosły chłop, a zastrzyków się boi.

– Zając, spierdalaj.

– Sam spierdalaj. – Zakręcił się po swoim gabinecie, brzękając buteleczkami. – Nawet w tej chwili, jak ci się coś nie podoba.

– Dobra, dobra...

– Nie, ja zupełnie poważnie mówię, spierdalaj. Pracę skończyłem siedem godzin temu, a zaczynam... – popatrzył na zegarek. – Kurwa, za trzy i pół godziny. Naprawdę nie chce mi się tu z tobą siedzieć i bawić się w niańkę.

– No dobra, okej? Dobra. Dziękuję, że siedzisz tu ze mną i bawisz się w niańkę.

– Nie ma za co, moje stawki znasz. – Wyszczrzył się swoimi wielkimi zębiskami.

Zając robił u nas za doktora i radiologa. W zasadzie, wróc: Zając BYŁ doktorem. Prawdziwym takim, internistą. Miał swoją licencję i gabinet, nawet asystentkę miał, którą kiedyś zresztą udało mi się przelecieć. Znaliśmy się z nim od podstawówki, chodziliśmy do równoległych klas, ale zawsze *fizkulturę* mieliśmy razem. Wszyscy ciągnęli z niego łącha, bo miał te wielkie, żółte siekacze i odstające uszy, więc dostał ksywę „Zając”. Potem pojawiły się w telewizji kreskówki z Zachodu, był tam taki królik z wielkimi nogami, co cały czas go ganiał jakiś łysy pajac ze strzelbą. No i ten królik tak mówił: „Eee, co jest, doktoru?”. Więc żeby wkurwić Zająca, to się tak do niego mówiło: „Eee, co jest, doktoru?”. Zając się faktycznie wkurwiał i ganiał nas po korytarzu; biegło się wtedy za róg i spuszczało mu w kilku chłopaków wspólny wpierdol. Zając nas przez to znienawidził i w końcu oświadczył, że kiedyś zostanie prawdziwym doktorem, my będziemy do niego musieli przychodzić i bulić kasę, a on będzie nam robił zastrzyki i lewatywę. Wszyscy się z niego śmieliśmy, a on naprawdę się zawziął, zaczął się uczyć, poszedł na biol-chem, dostał na medycynę... I efekt był taki, że my zostaliśmy na tym samym etapie rozwoju finansowego i społecznego co kiedyś, natomiast Zając był doktorem, miał samochód z salonu, dom za miastem i szczęśliwą rodzinę, a wszystko inne w dupie. My faktycznie przychodziliśmy do niego i buliliśmy kasę, a on nam dawał zastrzyki i robił lewatywę.

– Przyhamuj trochę, Sztywny. Wykończysz się.

– Życ szybko, umierać młodo – burknąłem, odwijając rękaw. – Daj tych proszków co

ostatnio, lepiej się po nich czułem niż po tych zielonych.

– Masz, na koszt firmy. – Wyciągnął z szuflady opakowanie i mi rzucił.

– Dzięki.

– Sztywny, rozumiem, że karty Eliasza i Czarnego mogę wrzucić do niszcarki?

Przerwałem zapinanie kurtki, popatrzyłem na niego ciężko. Czy wszyscy, kurwa, musieli się mnie pytać o tę samą sprawę?

– Chyba tak.

– Aha – powiedział po prostu Zając, wyciągnął z szuflady dwie teczki i włożył do szczeliny kosza na śmieci. Kosz zrobił „wrrrrrrrrr”, a Czarny i Eliasz zmienili się w makulaturę. Zadrżałem.

– Powinieneś jeszcze zrobić sobie badania wenerologiczne, Sztywny. – Popatrzył na mnie.

– Po chuj?

– Dokładnie tak: po chuj. Chociażby po to, że możesz mieć prętki czy inną chlamydię, a ja nie chcę, żebyś mi ją tu roznosił. Albo nawet i HIV.

– Zając, weź nie strasz ludzi...

– Ja? To ty ludzi nie strasz. To ty po ulicy latasz i nadziejasz na kutasa wszystko, co się rusza, i mimo że wiem, że w „tych” sprawach masz nade mną przewagę, zresztą jak i nad resztą naszych chłopaków, to o ile możesz być lepszy w dziedzinie doprowadzania do sytuacji pożycia intymnego i samych technikaliach procesu kopulacji, o tyle skutkami ubocznymi się najwyraźniej zupełnie nie przejmujesz, więc muszę to robić za ciebie ja, naturalnie za kasę. Pytania?

– Nie – burknąłem. Zając jako jedyny z moich znajomków potrafił ułożyć sensowne zdanie na dziewięć linijek tekstu i się po drodze nie pogubić.

– No i dobrze. – Skończył myć ręce, wytarł jednorazowym ręcznikiem. – Jak dla mnie, to jesteś wolny i swobodny. Rekomendacje i dozowanie ci zapisać na kartce czy i tak zgubisz?

– Pamiętam – mruknąłem. Przez półtora roku można się samemu co nieco nauczyć. – Przyjmujesz rozliczenia w naturze?

– Sztywny...

– No co? – Byłem uosobieniem niewinności.

– No chyba sobie jaja robisz.

– Nie, niezupełnie. Jestem lekko krótki z gotówką, a poza tym przy sobie ani grosza nawet nie mam.

Popatrzył na mnie, nie kryjąc nawet niezadowolenia.

– Masz tydzień, potem zacznym naliczać odsetki karne.

– Dzięki. – Zgarnąłem kurtkę. – Do czwartku powinienem się z tobą rozliczyć, będę miał zastrzyk akurat.

– Pewnie.

– Co „pewnie”? – Odwróciłem się, trzymając już za klamkę. – Zając, to zabrzmiało... No wybaczone, ale nieprofesjonalnie mocno. Brak zaufania do klienta?

– Progresywny. – Zając nie podniósł nawet głowy znad papierów. – Do czwartku to ty możesz zwyczajnie nie dożyć.

– Zając, idź ty nachuj. – Popchnąłem drzwi i wyszedłem.

Korytarz przychodził zupełnie pusty i ciemny o tej porze, w końcu musiało być... popatrzyłem na zegarek: no tak, dochodziła szósta. Środek nocy dla uczciwych ludzi, a co dopiero dla takich drani jak ja... Na dworze było szaro, buro i zimno, pojedynczy wyrobownicy już przemykali się chodnikami, spiesząc, żeby zdążyć podbić kartę na zakładzie, w co niektórych oknach paliły się światła, ludzie pewnie powoli wstawali, patrzyli w lusterka na swoje rozczochrane, nieogolone ryje i przeklinali kolejny dzień, który nic nie zmieni w ich szarym, nudnym życiu.

Powlokłem się pomiędzy blokami w kierunku garażu, żeby zrzucić tam rzeczy – przecież miałem na sobie cały zestaw sprzętu, teraz co prawda upchnięty w plecak, ale wcale przez to nie lżejszy. No i bądź co bądź dwa pistolety... Zresztą jak człowieka psy capną, to już niewielka różnica, ile się ma sztuk, i tak przejebane w pełnym wymiarze.

Nie lubiłem powrotów z Zony. To znaczy: lubiłem z niej wrócić, ale nie lubiłem wracania. To było trochę tak, jakby po długim weekendzie wracało się do pracy... No nie no, okej, nie wiem, jakie to uczucie, kiedy się wraca do pracy po długim weekendzie, bo nigdy takowej nie miałem. Ale do szkoły się wracało, i tam było dokładnie tak samo.

Pamiętam, jakby wczoraj było: przychodzisz w poniedziałek rano, wyluzowany, wypoczęty, lekko skacowany, ręce i usta jeszcze pachną ostatnią piczką, a belfer patrzy na ciebie, prosto na ciebie, i mówi: „No to chowamy podręczniki i zeszyty, wyjmujemy karteczki...”. A ty sobie myślisz: kuuuurwa... Przecież mówił, głupi palant, że będzie klasówka w poniedziałek, no mówił! Ale to było pięć dni temu, kto by o tym pamiętał przecież, nie? No i oczywiście pała. I na następnej lekcji to samo, i na kolejnej też, i tak sobie człowiek powoli poniewczasie przypominał o wszystkich tych sprawach, o których przez weekend mógł sobie spokojnie pozapominać. No więc z Zoną tak samo było: szło się za Kordon i ciach! Jakby człowiek wszedł do magicznej sadzawki z wodą zapomnienia, wszystko, co było na Dużej Ziemi, po prostu się wyrzucało z pamięci. Pociągnąłeś za spłuczkę, zawirowało, zbulgotało i spłynęło z resztą gówna w kanał. I szedł sobie człowiek zadowolony, miał w dupie wszystko, żyło się tylko tym, co na danym wymarszu się stało. A potem wracasz na Dużą Ziemię i te wszystkie sprawy spadają ci na łeb jak kawałek tynku z piątego piętra.

Ba, mało tego: co się w Zonie stało, to w Zonie zostawało, kurwa mać! Taka była zasada, tak powinno być! A tu się okazało, że w Zonie coś pójdzie nie tak, i nagle w normalnym świecie ludzie mają z tym problem. Albo na odwrót wręcz: w normalnym zachachmęcisz, a problem ciągnie się za tobą aż do Zony. I potem takie problemy się nawarstwiają i zazębiają, aż w końcu ktoś musi zginąć.

Na przykład Czarny i Eliasza.

Zapiąłem się pod szyję, bo coś zimno mi się zrobiło nagle, aż dreszcz po plecach przeleciał. Brat miał rację: muszę się ostro napruć dziś wieczorem, bo chyba zmęczony jestem. Na pewno jestem zmęczony, skoro od wspomnień ze szkoły płynnie przechodzę do tych dwóch idiotów... Zginęli to zginęli, chuj z nimi. Nawet nie „zginęli”, tylko w Zonie zostali. Co to kogo obchodzi?

Pod moim blokiem jak zwykle stały lokalne kutasy i żłopały coś z plastikowej butelki. Ja pierdolę, zawsze byłem ciekaw, czy oni jeszcze nie skończyli, czy już tak rano zaczynają... Przez chwilę miałem ochotę wejść do domu, przebrać się, umyć, coś zjeść i w ogóle, ale

potem pomyślałem sobie, że pewnie moja stara jest na chacie i znowu będzie mi głowę suszyć, dlatego na noc nie wracam i z kim sypiam. No, w sumie to miałyby trochę racji, ale w końcu nie jesteśmy siedmiolatkami i sami wybieramy, na ile się przejmujemy takimi rzeczami jak rodzina. Ja dzieci nie miałem i mieć nie zamierzałem, więc głównie mnie to jej gadanie obchodziło. Nie byłem dzieckiem, a ona nie była moją...

Nie zdążyłem dokończyć myśli, bo prawie przejechał mnie autobus. Przeleciał mi, skurwieli, przed samą twarzą, do tego jeszcze trąbił, a przecież prawie na przejściu byłem...! Pokręciłem głową, zakląłem pod nosem, rozejrzałem się i przebiegłem na drugą stronę, ku garażom.

Sprzęt upchnąłem do szafy, łupy zrzuciłem do dziury, na szybko przebrałem się w normalne, cywilne ciuchy. W zasadzie to dużo się jedne od drugich nie różniły, tyle tylko, że robocze były ujebane błotem, trawą, tynkiem i rdzą, a do tego zdrowo musiały teraz oddawać tłem. Trzeba będzie je do Oksany wziąć i uprać, chociaż suchka będzie pewnie miauczeć, że pobrudzę jej pralkę, do której ona wrzuca swoje koronki i kombinezonki...

Zachciało mi się ruchać tak, że aż mnie prawie skręciło w pół. Zacisnąłem oczy, uderzyłem pięścią w drewniane drzwi – raz, drugi, trzeci... Nie pomagało, ból bardziej podniecał, niż przeszkadzał. Cholera, co te kobiety potrafią z człowiekiem zrobić. A na osi było dopiero za dwadzieścia siódma, płatne dziwki już śpią, darmowe jeszcze nie wstały. Trzeba się będzie przemęczyć.

Powlokłem się do Fruktow-Owoszczej, poczekałem pod drzwiami, aż wkurwiona asystentka łaskawie otworzy sklep o siódmej. Młoda jeszcze dziewczyna, a już wkurwiona i brzydka... Musi być coś w tych sklepach, że tak szybko się tam kobiety starzeją. Pokręciłem się między półkami, kupiłem sobie jeszcze ciepły chleb, kefir, serek topiony i pęto kiełbasy, żeby nie zdechnąć z głodu jak ta sabaka pod płotem. I tak nie miałem dokąd iść, więc poszedłem na przystanek z zamiarem złapania autobusu na dworzec.

Na dworcu zawsze coś się działo, kręcili się ludzie, ktoś czekał na swój transport, kto inny dopiero przyjechał i rozglądał się, mając nadzieję, że wyhaczy go uczynny taksjarsz, a znów ktoś czekał nie wiadomo na co, siedząc na ławeczce w naszym maciupcim obskurnym parku. „Dworzec” to taka nazwa była, bo tak naprawdę to była tu tylko pętla dla pekaesów, które kiedyś jeździły jeszcze kilkanaście kilometrów dalej, ale odkąd pojawiła się Zona, to właśnie u nas zawracały autobusy i wrony, a psy szczekały dupami. Ot, taka sobie wyasfaltowana zawijka, pośrodku mikropoczekalnia z kasą biletową i kibelem, do którego nawet bezdomni nie wchodzili, dokoła stoi kilka czerwonych kiosków z pomalowanej farbą olejną płyty paździerzowej, w kioskach siedzą znudzone, grube baby i sprzedają głównie frajerom. A, zapomniałbym – kebab też mieliśmy. Gównem to było co prawda, nie kebab, zwykłe mięso w bułce z sałatką i keczupem, nawet bułka była z miejscowej piekarni. Turek zresztą też był oszukany, bo to tylko ksywa była, a on wcale nie był Turek, tylko Ormianin; Pasza miał na imię, ale nie żaden „Emir Pasza”, ani „Kemal Pasza”, a zwykły Pasza, czyli Paweł. Do „ce” klasy chodził dwa lata niżej ode mnie, a przeprowadził się do nas z Doniecka.

Powziąłem nawet zamiar, żeby do Turka zajść i zagadać, o lokalne ploteczki podpytać, bo siedzi całymi dniami w tej swojej budzie, mało kto do niego podejdzie, to z nudów się

gapi na ludzi i sporo wie; ale pora była przecież taka, że zamknięte wszystko na głucho... Westchnąłem sobie ciężko nad niedolą losu człowieczego, gwizdnałem za przechodzącą paniusią w kozaczkach za kolanko i powlokłem się do parku.

Niespecjalnie było co tu robić, ale chociaż na dupie można było usiąść i nie bać się, że zaraz psy będą człowieka wylegitymowały... no, dokumenty sprawdzać, spisywać. Spać mi się chciało poza tym jak cholera, a ławki wygodne były, wyslizgane tyłkami pokoleń uczniów, od zawsze uciekających tu na wagary. Powoli robiło się cieplej, nawet słońeczko zaczynało przez gałęzie drzew przyświecać. Klapnąłem sobie ciężko, zawinąłem się w kurtkę, stawiając niewysoki kołnierz i próbując wcisnąć głowę w klatkę piersiową. Zamknąłem oczy. Taaak...

– Cześć, Sztynny.

Przez chwilę modliłem się, żeby była to część jakiegoś snu.

– Mogę?

Rozchyliłem jedno oko, potem drugie. Nie ma nic gorszego, niż jak sobie tak już człowiek przysypia, a tu ktoś gadkę próbuje zaciągnąć. Zobaczyłem nogi w pantofelkach na obcasie, podniosłem wzrok wyżej, otaksowałem łydki, kolana i jeszcze kawałek. Porównałem proporcje uda-talia-biust. Ożywiłem się nieco.

– Znamy się? – Popatrzyłem na stojącą przede mną dziewczynkę... no, raczej dziewczynę. – Bo coś sobie nie przypominam...

– Ksenia jestem. – Wyciągnęła do mnie rękę. – Mogę?

– Siadaj – burknąłem, posuwając kawałek dupę.

Usiadła, obciągnęła spódniczkę. Nie mogła mieć więcej jak osiemnaście lat, takie jędrne, już dojrzałe jabłuszko... Tkwiący do tej pory spokojnie w moich spodniach smok przebudził się i przeciągnął leniwie. Czułem, jak kłopoty nadciągają ku mnie z siłą tropikalnego cyklonu, więc postanowiłem zagrać va banque:

– Nie powinnaś być w szkole? – Spojrzałem na nią czymś, co z założenia miało być karcącym wzrokiem.

– Powinam. – Uśmiechnęła się promiennie. – Ale szkoła jest nudna.

– Ja też jestem nudny. – Zamknąłem znowu oczy, krzyżując ręce na piersiach.

– Dasza mówi, że niezupełnie.

Poczułem, jak krew odpływa mi z mózgu i wypełnia o wiele starsze ewolucyjnie organy.

– Skąd znasz Daszkę? – zapytałem. W zasadzie wychrypiałem, bo nagle mi ścisnęło gardło.

– Z obozu pionierskiego, byliśmy współlokatorkami. Zimno było, więc musiałyśmy spać w jednym łóżku... To co? – Położyła mi rękę na wewnętrznej stronie uda. – Pójdziemy do mnie?

Znowu popatrzyłem na panienkę, tym razem już uważniej. Blondyneczka jak się patrzy, dwie kitki, spódniczka nad kolanko, wielkie niebieskie oczy i białe ząbki. Przed oczami stanęło mi wszystko, co można by jej między te ząbki wsadzić. W pełnym tego słowa znaczeniu.

– A masz coś do żarcia?

– Pełna lodówka. – Uśmiechnęła się. – I w barku niczego nie brakuje... Chodź, fajnie będzie.

– No nie wiem... – powiedziałem bardziej z przekory niż z przekonania.

– To nie – potrząsnęła głową laleczka, wstała i ruszyła sobie ścieżką. Popatrzyłem chwilę na nią, przypomniały mi się wszystkie zryte japońskie kreskówki, co lecą nocami na kanałach satelity. W białych podkolanówkach wyglądała dokładnie jak panusia z takiego filmu.

– No dobra, poczekaj! – Poderwałem się, poprawiłem spodnie i ruszyłem za nią.

Podjechaliśmy kawalek taksówką – swoją drogą panusia miała też nieliczne portfelik, i to wypchany bynajmniej nie ścinkami gazet. Dzień zapowiadał się, nie powiem, całkiem, całkiem... Wysiedliśmy pośród niewysokich, trzypiętrowych bloków, sąsiedztwa nie znałem, bo było tu zbyt porządnie jak dla takich łachmytów jak ja.

– Chodź, już niedaleko – pomachała na mnie ręką laleczka. Jak ona miała na imię? Ksenia? Chyba tak... Wyglądała i ruszała się jak z intro do niezłego filmu prorodzinnego, ciężko było wzrok od tych jej nówek oderwać.

– Witam u mnie. – Otworzyła trzy solidne zamki. Przedpokój pachniał lawendą, na podłodze ładne płytki, ogromne lustro na ścianie... Popatrzyłem na siebie, skrzywiłem się. Bardziej do bezdomnego jakiegoś byłem podobny niż do donzuana.

– Ładnie tu... – Rozejrzałem się, karnie ściągnąłem adidas.

– Rozgość się, tam masz barek. – Pokazała palcem. – Ja zaraz muzykę włączę, buty też zmienię... Szkoda by było pościel pobrudzić, nie?

Przełknąłem ślinę, otworzyłem szafkę. Wow. Większości nazw na butelkach nawet nie kojarzyłem, ale po samym wyglądzie można było wnosić, że są to naprawdę znaczne trunki.

– No, dokładnie tak. – Lalka weszła do kuchni, stukając piętnastocentymetrowymi szpilkami. – Widzę, że wiesz, czego chcesz, Sztywny, i od razu do rzeczy przechodzisz.

– A ba! – Odkręciłem butelkę, powąchałem. Dziwny zapach, jak żołądkowa gorzka zupełnie. No cóż, człowiek całe życie się uczy.

– Wskocz pod prysznic, Sztywny, a ja przygotuję nam coś smacznego. – Wyjęła mi z ręki alkohol. – No leć, przecież sam wiesz, że po Zonie musisz się porządnie odkazić.

– Słusznie. – Kiwnąłem. Mądra dziewczyna, nie ma co...

Łazienka też była imponująca – kabina prysznicowa, w której spokojnie mogłyby kopulować dwa spore grubasy, lustro podświetlone dokoła LED-ami, podłoga chyba podgrzewana. Zrzuciłem ciuchy, zamknąłem się w kabinie i puściłem wodę – najpierw trysnęło mi prosto w ryj, zacząłem kręcić gałkami i pstrykać przełącznikami na ogromnym panelu. Poleciała zimna, potem wrzątek, więc wrzasnąłem donośnie, potem w ogóle przestało lecieć. Ostrożnie nacisnąłem jakiś przycisk, woda lunęła z górnej wylewki, przechodząc płynnie od gorącej do lodowatej. Odsunąłem się poza zasięg arktycznego strumienia i, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów przełącznikami i nie używać więcej niż jednego naraz, dałem radę jakoś ustawić sobie normalną temperaturę na normalnej wylewce.

Wysmarowałem się cały jakimiś babskimi szamponami i innymi płynami. No wiecie, takimi, co pachną jak żelki Haribo? Na ulicę z takim zapachem wstyd wyjść, ale jak się ma butelkę w rękę, to można by normalnie wypić. Wyszorowałem porządnie łeb, wydlubałem zza paznokci radioaktywny brud, opłukałem się jak należy. No rewelacja po prostu. Wylazłem z kabiny na podgrzewane kafelki podłogi, zacząłem wycierać się różowym

ręcznikiem frotté. Mądra dziewczyna, nie ma co, wie, że po powrocie z za drutów porządnie się trzeba umyć, radioaktywny kurz spłukać, a to przecież...

Zamrugałem oczami, patrząc sam na siebie w zaparowanym lusterku. Niedokończona myśl błysnęła w synapsach i zgasła, wyparta przez nieustannie pnącą się ku górze piramidę potrzeb Masłowa, mozolnie wznoszoną przez niewolników mojego układu hormonalnego: pieprzyć-pić-jeść-spać-zabijać... Skończyłem się wycierać, kopnąłem nogą w kąt brudne ciuchy, uchyliłem drzwi.

– Hej, eee... Ksenia, gdzie jesteś?

Poczułem, jak chłodne powietrze z przedpokoju liże mi bosa stopy, cofnąłem się o krok. Odpowiedziała mi cisza, tylko muzyka sączyła się przez półuchylone drzwi salonu. Pewnie zrobiła drinki i już na mnie czeka, rozwalona na skórzanej kanapie, he, he. Czując, jak dumnie pręży się sztandar mego rychłego zwycięstwa, ruszyłem krokiem zdobywcy ku polu bitwy. Popatrzyłem na swoje odbicie w lustrze: no nawet, nawet... do filmu jeszcze mnie nie wezmą, ale jak się trochę podkręci triceps i uda, to będzie naprawdę nieźle. I tatuaż jeszcze jeden muszę sobie obowiązkowo pierdolnąć, jakąś fajną, mądrą sentencję na kłacie. Suczki lubią takie klimaty.

– No, laleczko, mam nadzieję, że się... – popchnąłem drzwi do salonu – przygotowałaś...

A w salonie, zamiast Kseni w bieliźnie, siedział Szary w garniturze.

– Cześć, Sztywny – rzucił niby od niechcienia.

– Eee... – Szczerze mówiąc, lekko zgłupiałem. No bo kto by nie zgłupiał? Wchodzisz na pewniaka do pokoju, ubrany wyłącznie w swą samczą dumę, pała ci sterczy jak obelisk zwycięstwa na placu, a tu zamiast chętnej *cziksy* widzisz kogoś, kogo wolałbyś nie spotkać. Ani teraz, ani w ogóle chyba.

– Wchodź, nie stój jak ten kutas. – Zrobił zapraszający gest ręką. W innych okolicznościach jego żarcik słowny mógłby być nawet zabawny, ale jakoś nie do śmiechu mi było. Wszedłem, przymykając za sobą drzwi i starając się jedną ręką zasłaniać coś, czego nie powinienem się chyba wstydzić, a na pewno nie przy innym facecie... Jednak jakoś tak wyjątkowo nieswojo mi było. Jak na komisji wojskowej normalnie. – Siadaj.

Usiadłem na brzeżku twardej, zimnej pufy. Ekoskóra od razu przykleiła mi się do tyłka.

– Zawiodłem się na tobie, Sztywny – pokiwał głową Szary. – Bardzo, ale to bardzo się na tobie zawiodłem.

Przełknąłem resztkę śliny, zostawiając język na pastwę wyschniętego na wiór podniebienia.

– Myślałem, że stać cię na więcej niż coś takiego. A ty nawet się nie przywitałeś.

– Cze... cześć, Szary. – Wykrzywiłem usta w niby-uśmiechu.

– Cześć, Sztywny.

Zapadła cisza. Przez chwilę myślałem sobie, że teraz wyciągnie pistolet i mnie zastrzeli, bo taka wymiana zdań to byłby niezły *punchline* do rozwałki frajera... Znaczy się nie frajera, nie! Bo to przecież ja byłem. Ale nie wyciągnął i nie rozwalił. Zamiast tego upił nieduży łyk ze szklanki, popatrzył pod światło na pływające w brązowej cieczy kostki lodu:

– Śmieszna rzecz, taki lód; jak wrzucisz do wody, to prawie go nie widać, ale tam jest.

– Aha – powiedziałem po prostu.

– Diamentu, na ten przykład, nie widać w ogóle. Wrzucasz go do szklanki z wodą i pach!

Jakby wyparował. – Szary zrobił ręką gest jak sztukmistrz na pokazie w szkole. – Wypijasz wodę, a tam na dnie masz diament. Sama radość, prawda?

Pokiwałem, ale on miał chyba moje zdanie w dupie.

– Za to lód... Popatrz sam, Sztywny: idziesz do baru w nocnym klubie z dziewczynkami, zamawiasz drinka. Dostajesz drinka, kolorowego i w ogóle, z dwiema albo i pięcioma słómkami, parasolką i całą masą innego gówna. Siadasz przy stoliku, pociągasz raz, pociągasz drugi, i co? I okazało się, że już wypiliśmy całą szklanekę. Bo tak naprawdę to tego drinka to tam było tyle, co kot napłakał, a reszta to były kostki lodu. Lodu, który barman robi w swojej lodówce ze zwykłej wody z kranu, takiej samej jak ta, którą w kiblu za ścianą puszcza w pisuarach. I na dobrą sprawę to za tę wodę z pisuaru mu zapłaciłeś, a nie za drinka... Ale to wiesz dopiero, jak wypiliśmy do końca, bo wcześniej nie było widać.

Zatrząsałem się, bo bez ciuchów było mi jednak mocno rzeško.

– Lubisz płacić za wodę z pisuaru, Sztywny?

– N-nie. Raczej nie.

– Ja też nie, widzisz? Ja lubię wiedzieć, że jak dostaję szklanekę, to w środku jest to, za co płacę... I to nie tylko ze szklankami tak jest, a ze wszystkim. Rzetelność w interesach to podstawa długiego i zdrowego życia. Ale do tego potrzebny ci partner, i to taki, któremu możesz zaufać.

Zacząłem poruszać palcami u nóg, bo było naprawdę chłodno. Dziesięć centymetrów za mną zaczynał się puchowy dywan, ale moja pufa – zimna pufa, swoją drogą – stała akurat na jego skraju, więc stopy miałem na gładkich, lodowato zimnych kafelkach podłogi. Drzwi balkonowe musiały być nieszczelne, bo czułem każdy podmuch wiatru.

– Zaufanie, Sztywny, to pewność drugiego człowieka. W momencie, w którym ktoś mówi: „Nie bój się, przyniosę ci towar”, to ty wiesz, że on ci ten towar przyniesie. Że twój biznes nie jest zagrożony i możesz działać dalej, pewny tego, co będzie jutro. Że jak razem dopijecie to piwo, co go wspólnie nawarzyliście, to na dnie może zostać taki właśnie diament.

Przez chwilę miałem ochotę poprosić go, żeby skończył pierdolić i mnie po prostu zastrzelił, ale jakoś nie przeszło mi to przez gardło. Chociaż, na dobrą sprawę, gdybym właśnie tak to powiedział, to mogłoby się udać... Zamiast tego zacząłem zastanawiać się, czy przypadkiem nie bardziej opłacałoby mi się wyskoczyć przez okno i pierdolnąć z balkonu na drugim piętrze.

– Problem zaczyna się wtedy, Sztywny, gdy zamiast diamentu znajdujesz na dnie wodę z pisuaru. Gdy okazuje się, że ktoś chciał cię taką wodą napić i miał nadzieję, że ujdzie mu to na sucho... A ja piję moje drinki z poważnymi ludźmi, Sztywny. Nie mogą przecież pomyśleć, że na co dzień pijam wodę z pisuaru, prawda?

– Nie.

– No właśnie, nie mogą. A jeśli już do takiej sytuacji dojdzie, że napiłem się z tego pisuaru, to przecież...

Poczułem, jak coś przeskakuje mi w mózgu; to chyba przepalił się bezpiecznik na obwodzie od pierdolenia smętnych głupot.

– Szary, człowieku, do rzeczy – wykrztusiłem ku własnemu przerażeniu. – O co chodzi?

Szary spojrział na mnie tak, jakby w ogóle dopiero teraz zorientował się, że tu jestem.

– Chodzi o to, Sztywny, że miałeś mi przynieść towar. Towar, którego nie przyniosłeś, a ja miałem na niego przygotowaną linię przerobową i kupca. Przez ciebie znalazłem się w niekomfortowej sytuacji, a mój dyskomfort dodatkowo pogłębiło to, że potem zacząłeś mnie unikać.

– I co, dlatego wysłałeś na mnie tego chujka, żeby mnie zabił? – Słowa wylewały się z ust niemalże bez mojego udziału. To chyba stres znajdował sobie inne ujście: jak nie dołem, to górą. – Tego najmusa?

– Że co proszę? – Po raz kolejny popatrzył z prawie że szczerym zdziwieniem.

– Wysłałeś na mnie zabójcę. – Zacisnąłem oczy i pięści. – Żeby mnie zabił! I to za co? Za to, że nie przyniosłem ci towaru?!

– Mieliśmy umowę, Sztywny. – Naprawdę zdawał się zaskoczony. Może to moja werbalna kontrofensywa tak na niego podziałała. – A umowa to rzecz święta, bo...

– Naprawdę? – przerwałem mu zupełnie beczelnie, wstając z puffy i rozkładając szeroko ręce. Co prawda zaraz usiadłem znowu, gdy uświadomiłem sobie, że bez ubrania nie zrobię odpowiedniego wrażenia. – Gotów byłeś mnie zabić za to, że czegoś nie zrobiłem?! Bo to robią nasłani zabójcy, prawda? Zabijają ludzi...!

– Wiesz... tak, w zasadzie tak. – Szary nagle jakby zrelaksował się, uśmiechnął sam do siebie. – Dokładnie tak, nasłałem na ciebie zabójcę.

– Przez ciebie to ja musiałem zabić człowieka. – Popatrzyłem mu w oczy. – Bo wiesz, że go zabiłem, prawda?

– Ależ oczywiście. – Kiwnął. – To był... amator. Wiesz, Sztywny, takie pierwsze ostrzeżenie. Gdybym chciał cię zabić, Sztywny, to myślisz, że bym z tobą teraz rozmawiał?

– Nie. – Oklapłem. Bezpiecznik w głowie zaiskrzył i zaskoczył, a ja poczułem, jak wena ulatuje wraz z irracjonalnym atakiem straceńczej odwagi. Skoro nie chciał mnie zabić, to było gorzej, niż myślałem; śmierci jako takiej się nie bałem, ale sam proces umierania napawał mnie pewnym atawistycznym strachem. – Czego chcesz w takim razie?

– Jesteś mi winien pieniądze za towar, którego nie przyniosłeś, Sztywny. Towar, za którego brak ja przez ciebie musiałem zapłacić odszkodowanie komu innemu. Osiemset pięćdziesiąt, ale z odsetkami będzie okrągły tysiąc.

– Hrywien? – zapytałem z nadzieją. Tyle jeszcze bym uskrobał.

– Żartujesz? – Szary popatrzył na mnie z politowaniem. – Oczywiście, że dolarów.

Odjęło mi mowę.

– Masz tydzień, Sztywny. Tydzień i ani dnia dłużej, a potem przyjdę po ciebie. – Szary podniósł się z fotela, zapiął marynarkę. – Aha, i zanim wyjdiesz, to posprzątaj w łazience. Nie chcę, żeby Ksenia musiała robić to po tobie.

– ...

– Zatrzaśnij po prostu za sobą drzwi na zamek. Ach, i umyj też po mnie szklanekę, bądź tak dobry.

– ...

Trzasnęły drzwi wejściowe, zostałem sam, siedząc nago na skórzanej pufie i próbując nie dotykać nogami lodowato zimnych płytek. W głowie miałem pustkę jak po likwidacji i wyburzeniu starego sklepu meblowego: jednego dnia są jeszcze zakurzone witryny i paskudne meblościanki, mało kto tam chodzi, bo nuda, ale w ogóle miejsce istnieje, jest

pevien punkt odniesienia w krajobrazie. Idziesz tam następnego dnia po południu, a tu pusty plac, tylko podłoga z linoleum została. I tak myślisz: tu był ten sklep czy gdzie indziej jednak...? Właśnie taki zaorany plac po wyburzeniu miałem w głowie.

Mechanicznie, w zasadzie bez czynnego udziału mózgu poszedłem do łazienki, wciągnąłem na siebie ciuchy i położyłem się na podłodze, żeby trochę się ogrzać. Potem zmyłem i wytarłem do sucha kabinę, poustawiałem buteleczki z szamponami, rozwiesiłem ręcznik i przetarłem lustro. Zastanawiałem się, czy nie umyć też sedesu i bidetu, ale pomyślałem, że nie ma co być nadgorliwym. Zebrałem szklanki, wypucowałem, opłukałem i ustawiłem karnym rządkiem na suszarce. Jednorazową ściereczką przetarłem też skórzaną pufę, na której moja dupa zostawiła odcisk przywodzący na myśl bułkę kajzerkę. Od razu poukładałem poduszki na kanapie i poprawiłem firanki. Stałem przy drzwiach, trzymając w ręku buty, które miałem zamiar założyć dopiero na klatce schodowej. Tak, tak będzie dobrze. Wychodząc, złapałem jeszcze kilka wizytówek Kseni z pudełeczka na etażerce; kto wie, może kiedyś, za dwadzieścia lat, będzie mnie stać na jej usługi w rozliczeniu godzinowym – to jest, o ile liczy rzeczywisty czas pracy, a nie nalicza od rozpoczętej. Zgasilem światło w przedpokoju, zamknąłem za sobą drzwi. Szczęknął automatyczny zamek, zasuwki wskoczyły w swoje miejsca w stalowej ościeżnicy.

Szedłem sobie przez osiedle, a mózg nadal nie chciał się włączyć. Niby byłem świadom tego, co zaszło, teoretycznie rozumiałem praktyczne implikacje zawartych ustaleń, a jednak ni chuja nie docierało do mnie, że to sytuacja z mojego życia, a nie jakiś popierdolony hamerykański film. Szedłem sobie tak i szedłem, mijałem place zabaw i podwórka, zostawiłem za sobą przedszkole, w którym roześmiana banda dzieciaków latała w kółko po trawniku, po prawej został dziad wiozący na rowerze butlę z gazem i młodociana matka z podwójnym wózkiem, a ja sobie tak szedłem i szedłem... Aż się w końcu wyjebałem na ryj.

No, tak to bywa. Nie ma się co śmiać ani dziwić, zdarza się nawet najlepszym, większość chodników wylano jeszcze za esesesu przeciw. Tak, tak – wylano, bo przecież chodnik robi się z asfaltu, nie? Dziury się przez te lata porobiły i wyrwy jak po ostrzale raketowym, to i wypierdolić się nietrudno. I tak się właśnie *wychujariłem*, prosto na ryj się jebłem, jak długi się wypiędziłem wkurwu nędzu nachuj.

Z szarpnięciem, jak źle ustawiony motorower, zaskoczył mój mózg.

– Ooo kuuurwa... – Podniosłem z asfaltu rozbitą mordę. – O kurwa, kurwa, kurwa...

Leżało to przede mną wszystko jak na dłoni: Szary, Czarny i inne kolory, Eliasza wraz z całą resztą świętych i proroków, Kowal, ślusarz, zdun, hydraulik, Krzywy, prosty i pogięty, pokryty pęknięciami asfalt, stary kondom w trawie, papierek po gumie do żucia... I perspektywa zabulenia tysiąca jednostek umownych.

– O kurwa... – powtórzyłem tylko. Jak w starym komiksie: powiedziałbym coś mądrego, ale nic nie przychodziło mi do głowy. – O ja jebię...

Tysiąc dolców. Nie hrywien, nie. Dolców. W zielonych, matowych banknotach z portretami pajaców w perukach z jednej strony, a Okiem Ra nad Gwiezdnymi Wrotami z drugiej. Albo w bilonie, monetami z główką i orzełkiem. Albo przelewem. Do wyboru.

– O kurwa...

Przekręciłem się na plecy, wierzchem dłoni otarłem walącą z rozbitego kinola juchę.

Metaliczny posmak wypełnił usta, odcharknąłem krwawą plwociną w bok.

TYSIĄC BAKSÓW.

Kawałek nieba zasłoniła mi jakaś postać. Postać nachyliła się, wyprostowała, po czym dźgnęła mnie po żebrach laską z gumowym okuciem.

– Te, panie! – zaskrzeczał dziadek. – Panie, tu chodnik jest! Tu się chodzi, a nie leży!

– A bo ja... bo ja to idę już. – Podniosłem się jakoś, otrzepałem bolące ręce, popatrzyłem na dziurę w spodniach, przez którą świeciło zdarte do krwi kolano. A przecież nowe dresy, przed zimą kupione.

– Co to ta młodzież dzisiejsza, żadnego szacunku! – bełkotał staruszek, plując śliną i wygrażając mi laską. Na wypłowiałej jesionce z kołnierzem ze starego lisa trzęsło mu się kilka orderów. – Pijany pewnie albo narkoman! Paszoł won, gówniarzu, bo milicję zawołałam!

Otworzyłem już usta, żeby powiedzieć dziadydze, co myślę o nim, jego orderach, wojnie, młodości, żonie i paru innych członkach rodziny, ale jakoś tak zrezygnowałem. Zacisnąłem tylko pięści, zebrałem w sobie całą żółć, jaka zdążyła mi się od rana nagromadzić w organizmie, i uformowałem w jedno jedyne słowo, które śliską kulą wyleciało mi z ust i wylądowało na chodniku z miękkim plaskiem:

– Idź już pansobie.

Dziad zamknął się, zamarł z laską w górze. Popatrzył na mnie, ja tylko kiwnąłem poważnie głową, odwróciłem się i z rękoma w kieszeniach powlokłem na spotkanie przyszłości, malującej się przede mną w wyjątkowo chujowych barwach.

– Tysiąc BAKSÓW... – szepnąłem sam do siebie. Powoli uświadamiałem sobie rozmiary sumy, jakiej żądał ode mnie Szary. Nawet przy najlepszych rachunkach były to trzy... no, cztery moje miesięczne budżety. I to jeśli liczyć te miesiące, kiedy a) zarabiałem porządnie oraz b) zarabiałem w ogóle.

Popatrzyłem na zegarek: nie minęła jeszcze dwunasta, a ja już zdążyłem przejechać dzień. Dzień, tydzień, miesiąc, albo i całe życie nawet... Poczułem palącą potrzebę napicia się wódki, która pozwoliłaby mi nieco stępić odczucia i oddalić się od przyziemnej rzeczywistości. Wyciągnąłem telefon, wybrałem numer do Oksany.

Po pierwszym sygnale włączyła się wkurwiająca melodyjka, odczekałem chwilę, rozłączyłem się i zadzwoniłem jeszcze raz. Nic. Pewnie jeszcze śpi, suczka moja... No trudno, trzeba będzie pofatygować się osobiście, co i tak przecież miałem zamiar zrobić. Z grubsza określiłem azymut, ruszyłem na przełaj przez podwórka.

Jakieś dwadzieścia minut później stanąłem pod drzwiami jej (naszego?) mieszkanca, nacisnąłem dzwonek. Kluczy oczywiście nie miałem, bo przecież nie przyszło mi wtedy w nocy do głowy, że będę ich potrzebować, więc leżały sobie grzecznie na półeczce dwa metry ode mnie, tyle tylko, że po drugiej stronie zamkniętych drzwi. Zadzwoniłem jeszcze raz i znowu... W mieszkaniu panowała głucha cisza. Spróbowałem jeszcze raz z telefonem.

– Halo – lekko zdyszonym głosem Oksany odezwała się słuchawka.

– Cześć, Oxi, tu Sztywny! – Starąłem się, żeby mój głos brzmiał w miarę możliwości beztrosko. – Jestem pod drzwiami, otworzysz?

– Czeeść... Ojej, wiesz co, jestem na siłowni akurat. – Faktycznie, w tle napieprzał dynamiczny *dens* i skrzypiały trenażery. Mam nadzieję, że trenażery, w każdym razie. –

Wpadnij za... za jakieś dwie godziny!

– Dobra, ja...

– Pa!

– Oksana, ja... – nie dokończyłem, bo przerwało mi trzaśnięcie przerywanej rozmowy. Hm, hm. Popatrzyłem na wyświetlacz, na którego tapecie przeżyła pośladki jakaś chętna suczka. Zachciało mi się ruchać.

Nie miałem co ze sobą zrobić, do domu nie było po co wracać, bo moja stara miała dziś akurat wolne, więc siedziała tam i pichciła obiad; poza tym musiałbym się jej tłumaczyć z tego, co robiłem przez ostatni tydzień i dlatego nie dokładałem żadnej kasy do funduszu domowego w pudełku po herbatnikach – a prawda była taka, że kasy nie miałem i zanosilo się na to, że z pudełka to raczej będę brać, niż wkładać. Dwie godziny... ani się nigdzie nie ruszę, ani nic nie załatwię przez ten czas, zatem jednogłośnie zdecydowałem, że po prostu wezmę na przeczekanie.

Kawałek dalej była szkoła, więc poszedłem właśnie tam – wokół ministadionu zbudowane były nieduże trybuny z wyjątkowo wygodnymi plastikowymi siedzonkami, prawie nigdy tam nie wiało i w dodatku był daszek, więc było to świetne miejsce, żeby przeczekać takie właśnie martwe okresy w życiu. Często siadywały tam jeszcze gówniary, które akurat wyrwały się z lekcji na szluga albo coś mocniejszego, okazjonalnie kręcił się któryś z naszych, uprawiając handel obwoźny różnymi śmiechowymi pigułkami, więc miejsce było z gruntu rzeczy niegłupie.

Akurat dziś było zupełnie pusto, tylko jakieś ćwoki siedziały w najniższym rzędzie i waliły wodę z papierowej torby. Ulokowałem się po przekątnej od nich w połowie wysokości trybuny, żeby nie rzucać się za bardzo w oczy, założyłem nogi na oparcie z przodu. Słoneczko przyjemnie świeciło, ptaszki ćwierkały, w powietrzu czuć było wiosnę... Ze szkoły wybiegały właśnie jedenastoklasistki w szortach i koszulkach z krótkim rękawkiem, pewnie grupa dziewczęca będzie miała wuef. I jak tu nie lubić życia, kiedy na dworze tak pięknie...?

...*Gdyby jeszcze, kurwa mać, nie ten tysiąc dolców.* Westchnąłem, zamknąłem oczy; to jebana niesprawiedliwość, że takie zajebiste piękne momenty trafiają się właśnie wtedy, gdy jest coś, co na sto procent musi je spierdolić.

Czas włókł się niemiłosiernie nawet mimo tego, że dziewczyny miały akurat gimnastykę, więc przeżyły się i wyginały tak, że aż pożałowałem parę razy, że nie miałem lornetki. Siłą rzeczy jednak lekcja trwała tylko czterdzieści minut, więc panienki zebrały się zdecydowanie za szybko, poleciały do szatni przebierać się w swoje fatałaszkę, pudrować noski i klepać po dupkach... A ja zostałem na pustej trybunie, śliniąc się do własnych myśli.

Popatrzyłem na zegarek: jeszcze prawie godzina.

Zlazłem z trybuny, bo już mnie tyłek bolał, poszedłem zakręcić się po niedalekim Prospekcie Maszynistów. W brzuchu mi burczało jak stado skurwysynów, nie byłem pewien, czy dożyję do powrotu Oksany, więc zdecydowałem się zajrzeć do lokalnego gastronomu i wrzucić coś na ruszt.

– Rogalika z *suługuni*, morsa żurawinowego i setkę. – Stałem przy ladzie.

Sklepową podniosła się ciężko z taboretu, kołysząc się z boku na bok, podeszła do

witryny, zajrzała do niej, jakby widziała pierwszy raz na oczy. Pokręciła sobie palcem w uchu, tym samym palcem dźgnęła w rogalika:

– To że niby?

– Tak, ale bez miodu.

– Tam miodu nie ma. – Rzuciła bułkę na talerzyk, postawiła zamaszystym ruchem. – Co jeszcze?

– *Morsa* żurawinowego i sto gram – powtórzyłem.

Baba wyjęła spod lady szklanę, chuchnęła i przetała ścierką, nalała rubinowego soku z kartonika, postawiła obok talerzyka:

– Co jeszcze?

– Sto gram.

– Przed obiadem alkoholu nie sprzedaje się. Razem będzie dwanaście pięćdziesiąt.

Poszedłem do kasy, zapłaciłem, wziąłem paragon, oddałem babie, która sprawdziła sumę, przeliczyła na liczydłach, nadziała karteluszkę na gwóźdź i spojrzała na mnie. Popatrzyła tak chwilę, wzięła się pod boki:

– No proszę przecież. – Pokazała na moje zakupy.

Wziąłem z trudem wywalczone drugie śniadanie, usadziłem się na plastikowym taborecie pod oknem.

– Popatrz, Kława, kochanieńka, jakie to chamstwo teraz w narodzie – odezwała się sklepowa do kasjerki. – Nawet już „dziękuję” nie powiedzą.

Oczywiście gadka szła o mnie, że niby nie słyszę albo mnie tu nie ma w ogóle. No i chuj. Wgryzłem się w rogalika... kurwa, wczorajszy.

– Trzeba było jemu nie dawać, dopóki on nie powie – pokiwała głową kasjerka, stare, zasuszone próchno z wymalowanymi na zielono oczami. – Ja bym jemu nie dała.

– Ten mój młody taki sam jest, gówniarz jeden – ciągnęła sklepowa. – Do domu jak do hotelu przychodzi, całymi dniami się gdzieś szlaja, wieczorem przed klatką na ławce siedzi, papierosy pewnie tam pałą. Albo i co gorszego nawet.

– Oj, kiedyś to lepiej było. Przyszedł osiedlowy, spisał, a jak trzeba, to i pałą dał. Spokój był, młodzież zawsze „dzień dobry” i „do widzenia” mówiła. Nie to, co teraz...

– Ojej, Kława, kochanieńka! – Sklepowa podeszła do witryny, przysłoniła oczy od słońca. – Ten rudy z piątego piętra się już brandzluje!

Podążyłem za jej wzrokiem, ale szybko spuściłem oczy. Ja pierdolę.

– Taak? – Kasjerka wychyliła się ze swego miejsca. – No popatrz, czyli to po dwunastej jest... Wstawiamy wodę na herbatę!

Ja pierdolę.

Zjadłem, odniosłem naczynia do okienka, podszedłem do baby:

– Sto gram... poproszę.

Spojrzała na mnie, na zegarek, pokręciła głową; otworzyła lodówkę i wyciągnęła jednorazowego szota ze zrywanym aluminiowym denkiem.

Ostogramiwszy się płynnym ruchem, ruszyłem dziarskim krokiem po wydeptanych w trawie ścieżkach, kluczących pomiędzy śmietnikami, garażami i zapuszczonymi placami zabaw. Seta zdecydowanie poprawiła mi humor; szczerze mówiąc, to powziąłem twarde postanowienie poprawienia co najmniej dwukrotnością tej dawki i ostrego zerżnięcia

Oksany jeszcze w przedpokoju, przy szafce na buty.

Chuj ze wszystkim, jakoś to będzie. Życie się ułoży.

Wdrapałem się na górę, stanąłem przed drzwiami, obciągnąłem kurtkę. Nacisnąłem przycisk dzwonka; po chwili szczęknął zamek, uchyliły się przytrzymywane łańcuchem drzwi, ukazując jedno oko i fragment twarzy mojej kobiety.

– Cześć, Oxi – wyszczerzyłem się.

– Wypierdalaj do siebie, Sztywny – sarknęła Oksana. – Masz swoje klucze.

Pęczek żelaza brzęknął o podłogę, drzwi z hukiem zatrzasnęły mi się przed samym nosem.

– Ja... hej, nie żartuj! – Zapukałem. – Oksana, no coś ty?

– Spierdalaj, gnoju! – Głos był przytłumiony przez paradermę, gąbkę i żelazną płytę, ale i tak niósł odpowiednią dawkę jadu i niechęci. – Nienawidzę cię!

– Oksana, no coś ty – zaśmiałem się, ale piguła mi skoczyła. Jednak nieprzespana noc i ogólna kurwica serca odkładały się osadem na wątrobie. – Otwórz, cipko ty moja...!

– Nie jestem twoją cipką! – wydarła się Oksana po drugiej stronie, szarpnęła drzwi, które znów uchyliły się, dzwoniąc łańcuchem. – Spierdalaj!! Nie chcę cię widzieć!!

Pierdolnęła tym razem tak, aż się echo rozeszło po klatce schodowej. Zacisnąłem rękę, zagryzłem dolną wargę.

– Oksana, o co ci, kurwa... – zacząłem.

– Chuju ty! Wstaję rano, ciebie nie ma! Nic nie mówisz, wymykasz się nocą do tej kurwy swojej, telefon wyłączasz! – wrzasnęła za drzwiami. – Wypierdalaj! Nie chcę cię znać!

– Oksana! Oksana, do cholery, przecież ci powiedziałem, że wychodzę! – Lekko puszczały mi nerwy, zacząłem podnosić głos.

– Wstaję rano, ciebie nie ma, ty mendo jebana! Jeden dzień, drugi dzień, trzeci! Ja nic nie wiem! Chodzisz do innej, pizdobilcu jeden, kutasie ty niemyty!

– Oksana! Prosiłem cię, nie podnoś na mnie głosu! – Załomotałem w drzwi pięściami. – Otwieraaaaj!

– Gdzie byłeś, dupolizie ty kozi, jebańcu kijowski?! No gdzie, chuju, byłeś?!!

– Ja... – zacząłem, ale nawet pomimo spowijającej mózg szkarłatnej zasłony wściekłości uświadomiłem sobie, że po prostu nie mogę jej powiedzieć. Nie mogę, i chuj; nie na głos, nie na klatce schodowej, gdy połowa sąsiadów to rodziny wojskowych i milicji. – Otwórz, Oksana, wytłumaczę ci.

– Nie chcę cię słuchać! Chuju! Ty dziwko męska! Cipo miękka, lachociągu ty jeden!

– Ty kuuuurwoooo!!! – Ostatecznie puściły mi nerwy, rozdarłem się na cały głos. – Otwieraj, cholera, te jebane drzwi, ty suko plastikowa, dziwko ty za grosze w dupę jebana! Ja ci...!

– Wypierdalaj do swojej nory!

– Suukoo! Otwórz te drzwi, niech ja cię tylko dorwę, obrobię cię jak sukę bezdomną, ty...!

– A co tu się wyprawia? – Za plecami szczęknął mi zamek, owionął mnie odór smażonej ryby i przepoconych butów. – Oksana Antonowna, co się dzieje?

– Odpierdol się, my tu... – zacząłem, odwracając się.

Za późno przypomniałem sobie, że już raz kiedyś widziałem sąsiada Oksany, wielkiego, zarośniętego draba z brodą niczym zbój Madej, typowego troglodytę z dowolnego osiedla, podstarzałego, nalanego oblecha ubierającego się w zażółcone siatkowe podkoszulki i wyświechtane spodnie od kamuflażu.

– ...my tu... – nie dokończyłem. Raz: dlatego, że dostrzegłem, że całe łapska ma wytatuowane w czaszki, szkielety i żywe trupy wyłazące z grobów, ganiające nieudolnie narysowane cyncate blondyny i żywcem pożerające ludzi. Widok nie był jakiś szczególnie przerażający, raczej groteskowy i jarmarczny, ale z jakiegoś powodu zmroziło mnie to do szpiku kości. To raz, a dwa... No, po prostu nie zdążyłem, i tyle.



Siedziałem na ławce przed blokiem, patrząc smętnie w kałużę z własnej krwi, która powoli przestawała lecieć mi z nosa. Złamać nie złamał, palant jeden, ale rozkwasił jak ulęgałkę... Miałem jeszcze wybite trzy palce i rozciętą głowę, pomniejszych stłuczeń, siniaków, obtarć i innych obrażeń nawet nie liczyłem.

Nie byłem do końca pewien, co się stało. Pamiętam wielką piąchę, lecącą ku mnie niczym bochen chleba, potem błysk i czerwień... I niewiele więcej. Musiał mnie, skurwysyn, zrzucić po kolei z każdego piętra...

– Ty chuju niemyty! – wrzasnąłem, zadzierając głowę. – Ty skurwysynu! Ty pojebany człowieku...!

Na górze skrzypnęło otwierane okno, pojawiła się w nim głowa troglodyty.

Kurwa. Nie miałem pojęcia, że może mnie słyszeć.

– Już do ciebie idę! – odkrzyknął tylko i zniknął.

Blefował. Na pewno blefował, przecież nie będzie do mnie...

Drzwi wejściowe do klatki uchyliły się i stuknęły, znamionując, że ktoś gdzieś na górze z impetem wyleciał z mieszkania. Poderwałem się i co sił w nogach zacząłem kuśtykać, starając się oddalić od feralnego bloku.

Przystanąłem dopiero dwa podwórka dalej, gdy upewniłem się, że nikt mnie nie goni. Ja pierdołę, co za dzień... Moje plany zasadniczo legły w gruzach, byłem rozbitkiem pośród oceanu betonu, bez spokojnej przystani ni portu, do których mógłbym zawinąć... A co najgorsze, Szary był przekonany, że wiszę mu ocipiałą ilość pieniędzy.

Potrzebowałem miejsca, gdzie mógłbym się przespać, zmyć krew z ryja, zmienić ubranie na mniej wytarmoszone, wypić w spokoju trochę wódki i być może znaleźć bratnią duszę, która bezinteresownie pochyliłaby się nad moją niedolą. Jednym słowem – potrzebowałem domu.

Poszedłem do Akwarium.

O tej porze lokal był zamknięty na głucho, ale wiedziałem, że gdzieś tam, w ciemnych trzewiach zaplecza, ktoś na pewno musiał siedzieć i robić... no, coś. Coś, co na pewno robią ludzie prowadzący bar, kiedy nikogo akurat nie ma. Wycierać kufle poplamionym fartuchem? Liczyć pieniądze? Ogarniać robotę papierkową, czymkolwiek by ona była...?

Obszedłem budynek dookoła, zajrzałem na podwórko, tam, gdzie po kilku schodkach wchodziło się od zaplecza. Załomotałem do żelaznych drzwi z klapką. Raz, drugi, trzeci. Jako że nikt się nie odzywał, to usiadłem na schodach i od czasu do czasu, jak mi się przypomniało, uderzałem sobie od niechcienia obcasem. Ot tak, żeby zaznaczyć swoją obecność.

– Chuju ty jeden, jak ja ci zaraz...! – Znienacka rozwarły się drzwi, na zewnątrz wyskoczył Gruby z aluminiowym bejsbolem. – O cześć, Sztywny. Ja pierdołę, co ci się...?

– Spadłem ze schodów. – Uśmiechnąłem się krzywo, unosząc zapuchniętą mordę. – Wpuścisz mnie?

– Sztywny, otwieramy od piątej dopiero... Nie powinienem, sam wiesz.

– Jeśli w ogóle coś „nie powinienes”, to właśnie mnie tu jak psa zostawiać, Gruby. – Podniosłem się. – Dawaj, nie pierdol. Masz apteczkę?

– A tobie to by nie wypadało z tym do doktora pójść? Masz łeb rozjebany...

– Pewnie mam. – Skwitowałem jego powątpiewające spojrzenie wzruszeniem ramionami. – A u Zająca dziś rano właśnie byłem.

– To on cię tak urządził? – zdziwił się Gruby, ale nie miałem już zdrowia mu tłumaczyć wszystkich zawłości mojego dnia. Bezceremonialnie wyminąłem go i wepchnąłem się do środka, zabrałem z szuflady zestaw pierwszej pomocy i zamknąłem się w kiblu dla pracowników.

Ogarnąłem się jako tako, nawet umyłem się jeszcze raz pod obskurnym prysznicem, z którego chyba nikt przede mną nigdy nie korzystał, wygrzebałem z szafki czyjeś stare spodnie od dresu, które podmieniłem na moje podarciuchy. Wyglądałem już lepiej, tylko *jebło* miałem rozbite, warga spuchła, oko nalało się fioletem... Przynajmniej prezentowałem się nieco bardziej bojowo niż zwykle; co prawda moja facjata przywodziła na myśl nie tyle wyrażenie „spuścić wpierdol”, ile „obciągnąć wpierdol”, ale zawsze była to jakaś charakterystyczna konotacja.

A potem – nie będę ukrywał – poczekałem, aż Gruby na chwilę wyjdzie, zajebałem mu z lodówki małpkę, wychyliłem ją prawie że duszkiem i położyłem się w samym-samusińskim najciemniejszym rogu sali ze szczerym zamiarem odespania wszystkiego, co mi życie ostatnio zabrało.



Obudziłem się dopiero, gdy sala powoli zaczęła się zapełniać, a Gruby najwyraźniej musiał podgłośnić muzykę. W sumie to chętnie bym pospał dłużej, ale znowu mi się jakieś pojebane rzeczy śniły, tańczące szkielety i inne żywe trupy... Naturalnym więc było, że parszywy nastrój miałem już od samego przebudzenia.

Podniosłem się i przeciągnąłem, wyłaniając jak jakiś Drakula z trumny... tfu! Podniosłem się i przeciągnąłem, tyle wystarczy. Przeszedłem się po sali, przywitałem ze znajomkami, dosiadłem się do tego i owego w nadziei, że może znajdzie się ktoś, kto postawi browca w zamian za wymyśloną na szybko opowieść o tym, jak to pobiłem się

z grupą lokalnych skinheadów.

– Cześć, brat! – Zek objął mnie szeroko, poklepał po plecach. Syknąłem z bólu. – O ja pierdole, kto cię tak urządził, co?

– Jakies łyse fiuty – mruknąłem.

– Ale co, tutejsi? Bo to wiesz, nie ma co, brat, zaraz zbierzemy ekipę i pojedziemy frajerów znaleźć...!

– Nie, przyjezdni chyba. Daj spokój, im się nie słabiej oberwało.

– No, ja myślę, brat! Gruby, dawaj dwa browce, dla Sztynnego przeciwpancerno-zapalający ma być!

Czyli z dolewką spirytu. Tak czułem, że prędzej czy później się ktoś nade mną ulituje.

– Dobrze, że jesteś, brat – rozparł się na kanapie Zek nieco później, gdy już kończyliśmy nasze porcje. Alkohol piekł w porozbijane wargi, ale też przyjemnie znieczulał. – Dziś się do Jądra ruszymy, towar mu przekazemy.

– A co, jeszcze się nie widzieliście? – Perspektywa zastrzyku finansowego przypomniła o bolesnej konieczności zebrania większej sumy.

– No nie, jakoś poza miastem był. Coś marudził na to nasze wyjście, ale słaby zasięg miał, nie zrozumiałem. Esemesami się umówiliśmy w końcu, zaraz weźmiemy transport i będziemy ruszać. O, są już nasi, zobacz!

Pomachał do wchodzących Strusia i Gruzina. Zmełłem przekleństwo, bo akurat Strusia nie miałem ochoty oglądać; po tym ostatnim wyjściu nie mogłem znieść nawet myśli o nim, no ale trudno, jakoś przeżyję. Jak oddamy towar i odbierzemy kasę, to od razu się wszystko poprawi.

Przywitaliśmy się, zamieniliśmy dwa słowa, w końcu zebraliśmy się i załadowaliśmy we czterech do bryki Gruzina – starego, rżężącego forda scorpio z białym miśkiem na tapicerce. Oczywiście pod chatą Jądra nie było gdzie stanąć, więc zrobiliśmy jedno kółko, potem drugie, w końcu zaparkowaliśmy dwa bloki dalej na kopercie pod jebiącym smrodem śmietnikiem.

– Puk-puk, hry, hry, zastałem Jolkę? – odezwał się do domofonu Struś. Zabrzęczał zamek, popchnęliśmy drzwi na klatkę. Jądro już czekał na swoim piętrze w padającej z mieszkania smudze światła, gestem zaprosił nas do środka.

– Co wy, do chuja groma, odpierdalacie? – zaczął bez ogródek, jak tylko usiedliśmy w salonie. – Czy was do reszty pojebało?

– Jądro, ziomek, no co ty? – Zek rozłożył ręce, patrząc na nas z rozbawieniem. – My?

– Wy, wy, a niby kto? Mówiłem, żebyście na mnie czekali?

– Czekaliśmy! – wypalił Gruzin. – Jak dwie minuty przed cię nie było, to...

– Ile? – przerwał mu Jądro. – Dwie minuty, mówisz? Przed czym?

– No, przed czasem wyjścia...

– Jakim, kurwa, czasem wyjścia? – syknął. – Mówiłem wam, o której się tam spotkamy, tak? A wy mieliście być pół godziny wcześniej, tak?

– Byliśmy – wtrącił się Zek. – A ciebie nie było, więc musieliśmy iść sami.

– Jacy, kurwa, sami? Myślicie, że kto dzwonił do technicznych, żeby prąd wyjebali?

Popatrzyliśmy po sobie.

– Mieliśmy się spotkać o ustalonej godzinie, ale to ja miałem określić czas! Ja! –

pokazał na siebie palcem Jądro. – Tylko ja! A wy, zasrańcy, mieliście czekać na mnie, żebym wiedział, że jesteście...!

– Blokada była na drodze – odchylił się na krześle Struś. – Sztywnego trzepali, mało brakowało. Mogli i ciebie zgarnąć.

– Jaka... jaka znowu blokada? – Jądro złapał się za głowę. – Co wy pierdolicie wszyscy? Spokojna, czarna droga, pusto, nikogo nie było przecież...! Byłem na miejscu, jebana wasza mać, pięć minut po czasie! Samochodem podjechałem od miasta! Czemu nie czekaliście? Jaka blokada?!

– Chuj z tym – uciałem niebezpieczny temat. – Poszliśmy, wróciliśmy, mamy towar. To się liczy, nie?

Pokiwał ciężko głową, pokazał ręką, żeby wyłożyć na stół. Gruzin podniósł plecak, huknął nim o blat. Przyglądaliśmy się uważnie, jak Jądro wyciąga i ogląda walizkę.

– Co to... co to, kurwa, jest? – wybełkotał w końcu.

– To jest walizka. Walizka, po którą nas wysłałeś – z naciskiem powiedział Zek, ale poczułem w jego głosie napięcie.

– To... nie, nie, nie. To... – pokazał na skrzynkę Jądro – to jest JAKAŚ walizka.

– Co ty pierdolisz, Jądro? – podniósł się Struś. – Miała być walizka, jest, kurwa, walizka! W czarno-żółte pasy, w helikopterze była!

– A-ha – rozciągnął się złym uśmiechem Jądro. – To ją otwórz, skoro to walizka.

– Jak? – nie zajarzył tamten. – Jak ją otworzyć?

– Nie wiem JAK!! – ryknął Jądro, aż zatrzęsły się szklanki w kredensie. – Bo to nie jest, do chuja ciężkiego, walizka! To jest jakiś element, kurwa, pomiarowy albo sterujący, ale nie walizka! Walizka miała być, otwierana! A tu przecież jednolite ścianki, z tyłu jakies gniazda czy inne wejścia!! Suwnice ma nawet! Czy wam, kurwa, to wygląda na walizkę?! Który to barachło znalazł?!!

Trzy pary oczu popatrzyły na mnie.

– No... – zacząłem, ale na tym skończyła mi się wena.

– Nie pierdol, ziomek – przyszedł mi w sukurs Zek. – Miała być waliza, jest waliza. Trzeba nam było zdjęcie dać albo rysunek, a nie teraz fochy stroić.

– To nie to! – zawołał żałośnie Jądro. – Nie to! Musicie jeszcze raz pójść, walizkę przynieść! Otwieraną, z uchwytem, w czarno-żółte pasy...! Musi tam być, w helikopterze gdzieś tam jest, bo...

Popatrzył na nasze nietęgę miny.

– Tylko że helikoptera nie ma – bąknąłem. – Się spalił. Tak wyszło jakoś.

Zapadła cisza. Cisza, w której aż nadto wyraźnie było słyhać, jak mi burczy w brzuchu.

– Won!! – ryknął Jądro. – Won stąd, swołoczi, suki wy niemyte, stalkerzy zasrani od siedmiu boleści! Won, dopóki...

– Uspokój się, Jądro. – Zek oparł rękę o stół. W rękę miał pistolet. – Uspokój się, ziomek, bo my nie jesteśmy pierwsze lepsze frajery, żebyś do nas taką gadkę zaciągał.

Jądro zamarł, popatrzył na pukawkę, potem na Zeka.

– Czy ty wiesz, kim ja jestem? – wycedził. Zek nie odpowiedział, tylko wziął krótki zamach i uderzył go rękojęścią pistoletu w twarz. Nie za mocno, tak jakby od niechcenia go uderzył, ot, dla przykładu. Jądro osiadł na krześle, trzymając się za rozbitą mordę.

– Wiem, kim jesteś. Do niedawna byłeś frajerem, który zlecił nam wejście do Zony i wyniesienie stamtąd towaru. Otóż weszliśmy do Zony i wynieśliśmy stamtąd towar wedle twojego opisu, co znaczy, że zamieniłeś się we frajera, który winien jest nam kasę. Nie podoba się towar? Chuj ci w dupę, trzeba było samemu iść albo dać nam, kurwa, katalog wysyłkowy i zrobić, kurwa, obwódkę nachuj czerwonym markerem. A teraz goń *babło*, cwelu.

– Czy wam się, chujki, wydaje... – zaczął Jądro, wycierając krew spod nosa, ale tym razem uderzyłem go ja. Nieco mocniej go uderzyłem, solidnie tak już, żeby sobie nie myślał, burak ze wsi jeden, że może sobie pozwalać. Poza tym miałem do niego lekki żal o tę sprawę z wejściem do Zony i w ogóle... Więc walnąłem frajera na odlew, z chlapacza, prosto w ryj.

Jądro odskoczył do tyłu, bujnął się na krześle z wysokim oparciem, stracił równowagę i jak długi pierdolnął plecami na ziemię. Solidnie tak pierdolnął, aż zajęczało.

Po drodze zresztą chyba zahaczył potylicą o regał.

Popatrzyliśmy wszyscy na leżącego.

– Hry, hry, ale się wyjebał, hry, hry, hry... – zaśmiał się Struś, ale jakoś ten śmiech mu zamarł na ustach. Jądro leżał tak, jak upadł, bez ruchu.

– Te, nie rób se jaj, gościu... – Zek przykucnął nad nim, szturchnął go raz i drugi. – Ej, Jądro!

Popatrzyli wszyscy na mnie.

– No co, przecież nie chciałem... – Spuściłem wzrok.

– Czyś ty ochujał? – Zek podskoczył do mnie, potrząsnął za ramiona. – O-chu-jał?! Co ci do tego durnego łba przyszło, Sztywny?!

– No...

– Zabiłeś go – odezwał się przerażony Gruzin. – Zabiłeś, a my będziemy współuczestnikami czynu... O kurwa...

– Przecież nie chciałem, nie? – rzuciłem urażonym tonem, ale w żołądku miałem kulę lodu.

– Dobra, byle spokojnie, byle bez paniki – wyprostował się Zek.

– Bez paniki?! Mamy tu trupa, rozumiesz? Trup!

– Gruzin, daj pomysśleć...

– Nie ma czasu! Musimy pozbyć się ciała, najlepiej... rozpuścić! W kwasie rozpuścić, a potem...

– Gruzin, stul pysk; leć po brykę, podprowadź jak najbliżej i czekaj na silniku – dziwnie spokojnym głosem zakomenderował brat. – Struś, ściągnij wszystkie meble z dywanu, będziemy go zawijać. Sztywny, zapierdalaj do łazienki albo do kuchni, znajdź jakąś folię czy co... A ja poszukam naszej kasy.

Ruszyliśmy jak z kopyta. Nie pierdoliłem się w łazience, po prostu wywaliłem całą zawartość szafek na ziemię, przegrzebując i rozrzucając, szukając jakichś rolek czy innych worków na śmieci... Nie było nic, więc przeniosłem się do kuchni, wywlekając wszystko z szafek i szuflad, wyciągając torby i pudełka, opakowania i kartony. Ręce mi się trzęsły, cały czas miałem przed oczami pozbawioną wyrazu twarz Jądra i ten odgłos uderzenia o podłogę. W pokoju leżał trup, trup, trup...

– Mam worki! – wrzasnąłem radośnie.

– Dobra, układaj na podłodze w przedpokoju! Struś, dawaj tutaj dywan, tylko ułóż równo...!

– Struś, poczekaj chwilę z tym dywanem, muszę worki ułożyć!

– Kurwa, jak mam poczekać, co ja, poczta jestem, hry, hry...

– Nie tędy! Krzywo kładziesz, daj go w drugą mańkę, bo się nie rozłoży!

– Pomóż mi któryś!

– Poczekaj, nie podłożyłem jeszcze!

– Kurwa, no nie pchaj się tu...!

– Co nie pchaj, muszę przecież tu dać, żeby...

– Chłopy, co wy tu odpierdalacie?

Zamarliśmy wszyscy w pół ruchu. W drzwiach do salonu stał Jądro, krzywiąc się niemiłosiernie i trzymając za rozwaloną głowę.

– Co wy, kurwa...? – zaczął, ale nie dokończył, bo tym razem to Struś podskoczył do niego i załadował kopa w jajca.

– Chuju! – wrzasnął do osuwającego się po ścianie handlarza. – Kutasie jeden! Pyto! Członku ty! Wibratorze jeden! Przez ciebie myślałem, że do pierdla pójdę! Przez ciebie i tego palanta Sztywnego, ty...!

– Dobra, dobra, Struś, wystarczy. – Zek go złapał, odsunął na bok. Zawsze podziwiałem jego zdolność do błyskawicznego reagowania w takich sytuacjach. – Daj mu już spokój. To co, gdzie nasza kasa? Gadaj, frajerze, bo jak nie, to już mamy dla ciebie opakowanie gotowe...!

Jądro popatrzył na niego oczami pełnymi bólu, sięgnął drżącą ręką do kieszeni, wyciągnął zwitek banknotów. Zek wyrwał mu pieniądze, przeliczył, rzucił część na podłogę obok.

– Masz, rekompensata za głupotę i straty na zdrowiu. A następnym razem to cię w ten dywan zawiniemy i zakopimy za miastem. Idziemy, chłopaki!

Na dole musieliśmy jeszcze uspokoić Gruzina, że wszystko w porządku i nikogo nie zabiliśmy. Chłopak zdążył się popłakać z nerwów, teraz smarkał i siąkał, śmiejąc się przez łzy:

– Żyje! Żyje...! Nie myślałem, że się tak ucieszę z tego, że taki kutasina nie zdechł...!

– No, poszczęściło nam się – powiedziałem z uśmiechem.

Zapadła cisza.

– No co? – Rozejrzałem się po patrzących na mnie kompanach. – No przecież mieliśmy szczęście, że...

– My? – parsknął Struś. – Ty miałeś szczęście! Ty mu tak zajebałeś, że byś go zabił, a my byśmy przez ciebie do pierdla poszli!

– Ja...?

– Ja pierdolę! – zawył Gruzin, odwrócił się, jako że akurat staliśmy na czerwonym. – Sztywny, buraku jeden, otarłem się o więzienie! Jak mogłeś coś takiego zrobić?!

– Weźcie się wszyscy jebcie! – wrzasnąłem, mocując się z klamką. Dałem radę w końcu otworzyć, mimo że Gruzin już ruszał, to wyskoczyłem z samochodu, trzasnąłem drzwiami z rozmachu i pomaszerowałem w nocne miasto.

Szedłem przed siebie, czując, jak coś się we mnie gotuje i gwałtownie szuka ujścia. Miałem ochotę pić, jeść, spać, ruchać, zabijać, śmiać się, zabijać, ruchać, spać, jeść, pić i ruchać. Ręce trzęsły mi się tak, że nie byłem w stanie przypalić papierosa.

– Brat! – zawołał na mnie Zek przez opuszczone okno Gruzinowego samochodu, toczącego się po uliczce równoległej do mojego chodnika. – Bra-at!

Ostentacyjnie udając, że ich nie widzę, skręciłem w bok między bloki. Byłem może w połowie podwórka, gdy ford wyjechał zza rogu. Skręciłem w drugą stronę.

Nie uszedłem nawet i dwustu metrów, jak znów mnie dogonili.

– Brat! – Walnięcie drzwi, kroki po asfalcie. Zek złapał mnie za ramię. – Brat!

– Odpierdol się! – Wyrwałem się, strzepnąłem jego rękę. – Wszyscy się odpierdolicie!

– Brat, co ty? – Usłyszałem w jego głosie strach, zatrzymałem się, odwróciłem.

– Nic. – Zamknąłem oczy. – Zmęczony jestem. Niewyspany. Pobity, wkurwiony, głodny.

– Twoja dola. – Wyciągnął do mnie zwitek banknotów. – Mniej, niż miało być, ale zawsze coś.

– Dzięki – wymamrotałem. – Kiedy upłyniesz arty?

– Jutro. Tylko wiesz, Szefowi ani słowa.

– Jasne. Dzięki, brat.

– Trzymaj się. – Objęliśmy się mocno. – Idź, odpocznij.

– Tak. – Kiwnąłem głową, gdy odchodził.

Zostałem na ulicy sam, w zasadzie bez domu, z kotлетem banknotów w kieszeni.



Flatline: minus sześć dni

Dzień zaczął się stosunkowo późno... Chyba już bliżej obiadu było niż śniadania.

– Kurwa, gdzie jest ten kot...? – wymamrotałem, przekręcając się na drugi bok. O dziwo, zamiast pleców Nastii, natknąłem się na jej tyłek. Nie powiem, niespodzianka mocna, ale bynajmniej przyjemna.

– Jaki kot...? – usłyszałem z okolicy własnych nóg, czyli stamtąd, gdzie ona miała głowę.

– Ten, co mi w nocy do gęby nasrał... – Skrzywiłem się, czując, jak śmierdzi mi z ryja. Zwlokłem się z łóżka, potknąłem o puste butelki, jakoś dotarłem do drzwi i wydostałem na korytarz. Zabłądziwszy kilka razy w labiryncie dwupokojowego mieszkania, jakoś w końcu trafiłem do kibla, gdzie złożyłem porcelanowemu bożkowi głęboki pokłon, wkładając sobie dwa palce w gardło.

Pomogło. Przedarłem się do łazienki, umyłem zęby, twarz i znów zęby, potem kilka innych strategicznych rejonów i jeszcze raz zęby. Świat powoli przestawał wirować, spowijająca go zasłona trującej mgły zaczynała się podnosić.

– Nastia, słuchaj... – zacząłem, wchodząc do pokoju, ale urwałem, widząc, jak apetycznie

się wypięła przez sen. No cóż, okazała czyni gwałciciela.

W końcu od Nastii wyszedłem jakoś po południu, częściowo przynajmniej spełniony i dość mocno na rauszu, jako że dokończyliśmy połówkę, którą zaczęliśmy wczoraj i otworzyliśmy jeszcze jedną. Do tego trochę mąki i afgańskiej trawy... No, było wesoło. Wesoło, miło, mokro, brudno i w ogóle fajnie, tyle tylko, że mój portfel jakoś nieprzyjemnie cienki się zrobił. Niestety, za przyjemności się płaci, a ja...

Kuuurwa. Właśnie przypomniałem sobie, że mam przecież do spłacenia Szarego. Obejrzałem się, popatrzyłem w okna przytulnego mieszkania pracowitej Nastii, gdzie przepięknie, przejechałem i przedymałem zauważalną część wypłaty od Jądra... W zasadzie to od Zeka, no ale niech będzie i tak. Po raz kolejny poczułem, jak bardzo nie lubię tych przebłysków klarowności w życiu, kiedy człowiek dokładnie wie, co komu zrobił, czego nie zrobił, co spierdolił, ile komu jest winien i jak bardzo konkretnie przesrał. A ja przesrałem po całości.

No dobra, dość uzalania się nad sobą, potrzebny był plan. Plan zdobycia Naprawdę Dużej Ilości Kasy, która pozwoli mi wreszcie wyprowadzić życie na prostą, ogarnąć się i w ogóle przypomnieć sobie, jak wyglądał święty spokój. I to raczej plan nie długo- ani średnio-, a krótkoterminowy... Bo przecież Szary mówił o czwartku. Wyjąłem telefon, przejrzałem na szybko listę kontaktów, szukając kogokolwiek, kto mógłby podrzucić jakąś robótkę. Najchętniej w Zonie, bo stamtąd przy odrobinie szczęścia można było wrócić może nie bogaczem, ale człowiekiem niemartwiącym się o jutro... Postarałem się tylko, żeby mój esemes nie zabrzmiał zbyt dramatycznie, pisząc coś w stylu: „Hey man, słuchaj rozglądam się za robotą. Nie wybrzydź. Daj znać jak co?“, ale nie byłem przekonany, czy część adresatów nie zmieniła telefonów albo nie przeniosła się do innego, lepszego miejsca zamieszkania. Na przykład na cmentarz.

Westchnąłem, rozejrzałem się po otaczających mnie syfnych blokach. Nie wiem, czy gdyby nawet obrabować wszystkie mieszkania w jednym pionie, to zebrałyby się w gotówce potrzebna mi suma. No, może trochę przesadzam, bo na pewno by się zebrała, ale raczej nie do czwartku. Cholera. Od kogo można by tu ściągnąć jakieś długi...? Wysłałem jeszcze kilka wiadomości z ponagleniami do tych ze znajomków, którzy rokowali jakiegokolwiek szansę na zwrot gotówki, po czym znów doszedłem do ślepej ściany w moim kalendarzu budżetowym. Niestety, moje finanse najlepiej obrazowała dążąca z czasem do zera krzywa...

Krzywy! O, o, o! To była ta myśl, której mi było potrzeba! Zakręciłem się na pięcie, ruszyłem ku jego osiedlu. Chętnie bym wziął *bombiłę*, bo stąd to kawał drogi był jednak, ale coś tak, cholera, czułem, że trzeba pasa zacisnąć. Kto nie ma w portfelu, ten ma w nogach.

– Hej, Krzywy, co tam dobrego! – Uśmiechnąłem się radośnie, gdy gospodarz otworzył mi drzwi.

– O, cześć. Wchodzi. – Odsunął się na bok. Jak zwykle coś jadł, tym razem chyba była to pajda razowego chleba ze słoniną. Jak tylko powiesiłem kurtkę, jego ojciec w pokoiku obok od razu zaczął drzeć mordę i walić w ścianę. – Nie zwracaj uwagi, kobieta z opieki społecznej dziś nie przyszła.

– I...? – kulturalnie podjąłem wątek, wchodząc do kuchni.

– I nic, pewnie się zesrał i trzeba by go przewinąć – wzruszył ramionami Krzywy. – Co tam?

– No, to ty mi powiedz, co tam.

– U mnie? Nic, stara bieda. Samochód po ojcu sprzedaję, chcesz kupić?

– Nie, raczej nie.

– To po co się pytasz? Co ty, na ploteczki do mnie przyszedłeś czy się próbujesz na randkę umówić?

– Kurwa. – Zmieniłem taktykę. – Masz moją kasę?

– Jaką kasę? Aaa, tę kasę, że za artefakty? – rozpromienił się Krzywy. – Nie.

Popatrzyłem na niego chwilę, zamrugałem raz i drugi.

– Jak to nie? – No chyba się przesłyszałem.

– No normalnie, nie mam. – Rozłożył ręce. – Towar już poszedł, ale płatności mają opóźnienie.

– Krzywy, jaja se robisz?

– Nie, ale będę chciał golonkę upiec.

– Co?

– Gówno! – wybuchnął handlarz. – Nie mam kasy, nie rozumiesz? Czy ja ci, cholera, wyglądam jak ktoś, kto śpi na pieniądzach?

– No... – Rozejrzałem się po obskurnej, ciasnej, ciemnej kuchence. – Nie.

– No więc czego chcesz, Sztywny? Weź na wstrzymanie, tak ci zależy?

– Szczerze? Tak, zależy mi.

– No to masz problem. – Krzywy odkręcił słoik z ogórkami i zaczął w nim gmerać. – Nic nie poradzę.

– Weź, człowieku, no chociaż cokolwiek. – Złożyłem błagalnie ręce. – Zadatek, zaliczkę czy jak to się tam nazywa... Na poczet współpracy. Ze zniżką od całości.

– Ja pierdziele... – Popatrzył na mnie z ogórkiem w gębie. – Naprawdę cię przyparło.

Przytaknąłem energicznie.

– No dobra, niech ci będzie. Dostaniesz awansem dwadzieścia procent... ale ja ci o takie same dwadzieścia procent pomniejszą sumę, od której ci je naliczę.

– Spoko. Jak powiesz. – Oblizałem usta, puszczając mimo uszu jego finansowy bełkot. – Dawaj.

Krzywy oblizał paluchy, wytarł w szaroburą szmatę, wiszącą przy piekarniku, sięgnął gdzieś na szafkę pomiędzy słoiki. Usiadł, przeliczając banknoty w zwitku.

– Masz. – Podał mi kilka. – Znaj moje dobre serce.

– Krzywy... – Przełknąłem ślinę, czując, że przeginam pałę. – A nie dałbyś rady w dolarach od razu?

– W dolarach? Zgłupiałeś? – Popukał się w głowę.

– No nie mów, że nie masz...

– Mam. Ale to wcale nie znaczy, że będę ci w nich wypłacał gażę za towar.

– No we-eż...

– Mogę ci wymienić, jeśli naprawdę chcesz. Kurs prawie jak w banku.

Wyszedłem z mieszkania Krzywego uśmiechnięty i zadowolony, ale miałem jakieś takie niejasne przecucie, że coś... że coś mi umknęło. Że jakoś więcej powinno tej kasy być. No

cóż, pewnie miało to coś wspólnego z tymi całym procentami i wyliczeniami, a ja nigdy głowy do matematyki nie miałem. Nieważne. Ważne było to, że ziarnko do ziarnka zaczynała się zbierać sumka, którą będzie można odnieść Szaremu.

Wiedząc aż nadto dobrze, że kasa się mnie nie trzyma, po drodze do Akwarium zaszedłem do garażu, gdzie w jednej z puszek po farbie miałem upchnięty zapas gotówki. Wyjąłem, dodałem, przeliczyłem... No, zaczynało być już coś widać. Prawie dziesięć procent; dziesięć procent to spora część ćwierci; od ćwierci do połowy nie tak daleko, a za połową już z górki! Wziąłem ze sobą też zdobycznego forta – wcale nie po to, żeby się pochwalić, a raczej żeby spróbować komuś opchnąć, a nuż się trafi chętny. Szkoda go, w końcu to dla siebie go brałem... Ale w końcu Niemiec też płakał, jak sprzedawał.

Dziś dla odmiany w naszym lokalu było głośno, tłoczno i duszno. Nie wiem, czy to fazy księżyca tak na ludzi wpływają, czy co... Nie było jeszcze szóstej nawet, a sala już nabita po brzegi.

– Iwan, co to za zbiegowisko? – zagadnąłem wykidajkę, tamten tylko się skrzywił:

– Chuj wie. Może wreszcie coś się w tym interesie ruszy... Co się nie pokazywałaś?

– A, tak wyszło jakoś. – Machnąłem ręką. – Sprawy rodzinne.

– Uważaj, bo małżeństw homoseksualnych u nas nie uznają. – Popatrzył gdzieś ponad moim ramieniem.

– Iwan, do czego pijesz? – Spojrzałem mu w oczka, osadzone głęboko pod wydatnymi łukami nadoczodołowymi. – Masz problem z czymś?

– Ja nie mam z niczym problemu, Sztywny. – Bramkarz rozciągnął się dwudziestoczekarowym uśmiechem. – A na pewno nie z tobą już, cherlaku. Tylko przez trzy dni ani ciebie, ani Zeka, ani Strusia nie było widać...

– No i? – Po plecach przebiegło mi stado lodowatych mrówek. Przy okazji zauważyłem, że gdzieś w załamaniach skóry na byczym karczychu Iwana dynda się na ledwo widocznym rzemyku wisiołek z trupią czaszką. Zabawne, że nigdy wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, a teraz tak mi się rzuciło w oczy... Przełknąłem ślinę. – To co, niby że jesteśmy nierozłączni jak *pidarasy*?

– Nie moja sprawa, z kim się w dupę posuwasz, Sztywny. Ale wiesz, że Szeff *gałubych* nie lubi, a szczególnie takich, co pod jego nosem piją i jedzą, a potem chodzą dla kogoś innego.

– Iwan. – Stałem naprzeciwko niego, zajrzałem jeszcze głębiej w oczy. – Czy ja bym poszedł do Zony dla kogoś innego?

– Nie. – Pokręcił głową.

– No widzisz... – Minąłem go i ruszyłem do baru, po drodze uaktywniając alarm na bramce.

– Nie, jeśli cenisz zdrowie i życie! – zawołał mi w ślad. Potknąłem się na prostej, ale na szczęście udało mi się nie przewrócić.

Noże cholera jasna.

– Siemano! – pozdrowiłem naszego barmana. – Daj mi, eee...

– „Eee” się skończyło parę minut temu. – Gruby oparł się o kontuar. – Dużego browca?

– Małego. – Uśmiechnąłem się nieszczercze. – Oszczędzam na lexusa.

– Na katalog, znaczy się? No, to jeszcze z pół roku i możesz wpłacić pierwszą ratę. –

Podał mi szklanę.

– Joł, Sztywny, braza nyga! – zawołał do mnie Prosiak. – Kamon, łasap, lontajm noł si!

– Joł, joł – przywitałem się i dosiadłem do jego stolika. Skinąłem głową pozostałym, zagłębionym w jakiejś innej rozmowie. – Sańka, Wicia, cześć. A ty co, men, tak sam dziś? Żadnej laleczki?

– Wcześniej jeszcze. – Prosiak rozparł się na kanapie. – Mam je poić cały wieczór na swój koszt? Ja tam, men, lubię przyjść, jak *cziksa* już gotowa jest, jak tylko trzeba jej podsunąć, co chce...!

I w tym właśnie momencie wpadł mi do głowy genialny pomysł.

– Prosiak, weź ty posłuchaj. – Objąłem mego interlokutora ramieniem. KORDIALNIE objąłem. Ładne słówko, nie? Kiedyś tak nauczycielka powiedziała i mi się zapamiętało. – A ty coś kiedyś o tym filmie wspomniałeś...

– Jakim filmie, men?

– No, wiesz no... FILMIE – wymówiłem to kapitalikami tak bardzo, jak tylko umiałem.

– Ach, TAKIM filmie... – rozciągnął usta w lubieżnym uśmiechu Prosiak. – No, był kiedyś taki plan i kiedyś go zrealizuję. A co?

– A nie potrzebujesz aktora? – wyplułem z siebie słowa jak najszybciej, żeby nie zmienić zdania w trakcie.

– Akto... że co, aakto... aahahahahahaaahahaha! – roześmiał się Prosiak, ale widząc moją poważną minę, wrócił szybko do pionu. – Ahahaha. Hah. Ha, ha.

– To jak?

– Że niby kto? – Nie załapał.

– Że niby ja. – Dyskretnie pokazałem palcem na siebie.

– Sztywny, men, ale... No stary no, to byłby pełny rozkurw! Noc żywych fiutów, czelabińska masakra pałą mechaniczną! – rozpromienił się Prosiak, pewnie już widzący swoją ksywę na okładkach nielegalnych płyt. – Ale to wiesz, trzeba by się przygotować, zebrać dekoracje, ogarnąć...

– Chuj z dekoracjami – zacząłem mu wyklądać swój plan, rodzący się, przyznaję, na bieżąco. – To trzeba zrobić tak, żeby wyglądało jak domowa, amatorska produkcja. Oczywiście, twój haj-tek i inne tam takie, ale dekoracje sto procent naturalne.

– Sztywny, nyga, ale przecież wiesz, że to miała być podziemna, radioaktywna superprodukcja: Niewolnica Zony! W objęciach macek! Mamuśki kontra kontroler! Rocco invades Czarnobyl...!

– Ale ty sam wiesz, że to się nie uda – gładko dokończyłem za niego. Po czym dodałem pospiesznie, widząc, jak rzędzie mu mina: – Nie od razu w każdym razie. Najpierw trzeba wyrobić markę, zdobyć fundusze, zrobić coś bliskiego ludziom, domowego, żeby każdy poczuł, że to u niego na chacie by tak mogło być...

– Takie muśnięcie naturalsu... – pokiwał głową Prosiak.

– Dokładnie tak – przytaknąłem, nie mając pojęcia, o czym mówi. – I takie plany, Prosiak, trzeba realizować na szybko. Na już.

– Znaczy kiedy? – zainteresował się Prosiak.

– Dziś.

– Dziś? – syknął, ale ja tylko pokiwałem poważnie głową. Nie miałem czasu na jego

producenckie wymysły, bo moje terminy kończyły się we czwartek. – A skąd weźmiemy, tego, aktorkę?

– Się ogarnie. – Rozejrzałem się po salce. – Zobacz, ile tego towaru tu dzisiaj. Coś się wyrwie na sto procent, kupi się drinka jednego i drugiego, jak trzeba będzie, to coś podsypie, i pojedziemy...

– Sztywny, madafaka, nie poznaję cię normalnie, nyga. – Prosiak spojrział na mnie z nieudawanym podziwem. – *Rispektosy, men, głębokie rispektosy.*

– Sam siebie nie poznaję – mruknąłem pod nosem, taksując twarze potencjalnych ofiar.



– Prosiak, kurwa, to głupie jest.

– Nie pękaj teraz, nyger! – Prosiak tańczył dokoła mnie z kamerkami; jedną miał w rękę, drugą przymocowaną na stałe na głowie. – Stej kul end fak de tinejdżer, men!

– Głupie to jest – powtórzyłem, ale bardziej po to, żeby po raz kolejny usłyszeć swój głos zniekształcony przez maskę.

Była noc, chyba już dość późno, a ja pierwszy raz w życiu byłem na chacie u Prosiaka. Pierwszy i coś mi się wydawało, że ostatni, bo już po drodze, gdy wieźliśmy tu wyhaczoną w Akwarium pannę – miała na imię bodajże Swieta – to opadły mnie wątpliwości. I to bynajmniej nie natury moralnej, a raczej technicznej.

– A jak nie dam rady? – zapytałem, patrząc na swoje odbicie w lusterku w łazience. Wyglądałem mocno idiotycznie w trącących gejem, skórzanych slipkach, krzyżujących się na kłacie ćwiekowanych pasach i ni chuja nie pasującej do całości gumowej masce kościotrupa. Dostałem ją, bo Prosiak stwierdził, że moje porozbijane, posiniaczone ryło wygląda lepiej w masce niż bez... Ale to właśnie ona budziła moje daleko posunięte wątpliwości. Nieswojo mi było widzieć w lustrze zamiast własnej mordy twarz trupa.

– Co nie dasz rady? – Prosiak, dla odmiany, był uosobieniem pozytywnego myślenia. – Nie bój nic, nyger, suczka jest napalona jak piec trociniak zimą, dopiero co do niej zaglądałem! Ledwo kojarzy, co się dzieje, ale na filmie nie będzie widać, więc będzie gites! Ty rób swoje tylko...

– A jak mi nie stanie? – zwokalizowałem swoje wątpliwości. Maską trochę pomagała, bo tylko ja wiedziałem, jak bardzo niewyraźną mam minę.

– Co, tobie? – popatrzył na mnie Prosiak. – Przecież już ci stoi.

– A jak opadnie?

– To łykniesz magiczną pigułkę i raz-dwa polecisz naprzód, jak kombajn przez pole! – Potrząsnął wyciągniętym z kieszeni pudełeczkiem po miętówkach. – No dobra, nyger, jedziemy, bo nam suczka oklapnie! Kamera, światła, akcja...!



Flatline: minus pięć dni

– O ja pierdolę...

Nie byłem pewien, czy to powiedziałem, czy tylko sobie pomyślałem. Postarałem się rozkleić oczy i rozejrzeć po pokoju. Gdzie ja w ogóle jestem...?

Jakaś kanapa, rozłożona zresztą, czarna kołdra w różowe paski. Na ścianach kinkiety, na suficie... Na suficie ja, leżący nago w skołtunionej pościeli. Czyli lustro pewnie. Co za zjeb instaluje lustro nad rozkładaną kanapą...?

– Ooo, nyger! – usłyszałem Prosiaka. – Nyger, to będzie mega-supadupa hicior! Andergrałnd prodakszynz przedstawia: „De faking ded”!

– Co...? – Postarałem się zlokalizować źródło głosu. Prosiak siedział po przeciwległej stronie salonu, odwrócony do mnie plecami, dzięki czemu aż nadto wyraźnie widziałem jego tandetny *trajbal* nad tyłkiem. Coś rzeźbił na komputerze, w zasadzie na dwóch komputerach, na ekranach migają jakieś barwne plamy, czasami chyba wciskał pauzę, bo plamy zastygały bez ruchu. Podniosłem się i zmrużyłem oczy, próbując zobaczyć więcej...

– Rewelka, nie?! – Wyszczrzył się do mnie, pokazując ręką na ekran niczym dumny ojciec na swoją dziecinę, stawiającą pierwsze kroki.

– O ja pierdolę... – Wspomnienia poprzedniej nocy wróciły do mnie z siłą tabletki do czyszczenia protez. – O ja jebię...

– Ha, ha, Sztywny, nyger! Pierdolisz, jebiesz, ruchasz, dymasz i rzniesz jak maszyna! – klasnął w ręce Prosiak. – A panna też trafiła się niezła, niby nic, a zobacz, jaka kaskaderka!

– O w mordę... – Popatrzyłem w ekran, czując poruszenie gdzieś poniżej pępka. – To my... znaczy się ja z nią takie wyczyniałem?

– No! – energicznie pokiwał głową nasz reżyser. – Stary, cztery godziny już to montuję, przerwa tylko była, żeby odwieźć *cziknę*, na szczęście miała przy sobie dowód, he, he!

– O kurde... – Jakoś nic poza bezsensownymi bluzgami nie przychodziło mi do głowy, gdy patrzyłem na przewijające się po ekranie scenki. Jednak dobra praca kamery potrafi zdziałać cuda... Sam gotów byłem się podjarać własną grą aktorską.

– Idź się umyj, Sztywny, bo pachniesz jak dildo. – Prosiak machnął ręką. – Ja za pół godzinki kończę i będziemy gotowi!

Rzeczywiście, umyłem się dokładnie w wielkiej wannie z hydromasażem, wypłukałem zęby czymś o zapachu płynu do dezynfekcji sedesu, nawet włosy sobie wysuszyłem. Perspektywa płynących do mnie szerokim strumieniem tantiem napawała miłym optymizmem.

– No i jak tam mój bohater? – Prosiak przywitał mnie kubkiem gorącej kawy. – Doszedłeś do siebie?

– Tak, ale... Ty, dlaczego wszystko takie rozmyte? Jakbym to nie ja był... O, tego nie pamiętam! – Pokazałem palcem na ekran. Naprawdę nie pamiętałem, a raczej bym sobie przypomniał.

– To pewnie te prochy... – mruknął Prosiak, popijając kakao. – Musiała być

zanieczyszczona partia.

– Jakie prochy? – Zamarłem w pół ruchu z kubkiem przy ustach.

– Te. – Sięgnął po opakowanie, wytrząsnął na dłoń perłowoniebieską tabletkę. – Pamiętasz, wzięłeś dla kurażu?

– Może i tak... – Popatrzyłem na pigułkę. – Co to?

– Arteviagra. – Prosiak znów odwrócił się do kompa, popatrzył na powoli sunący zielony pasek.

– Arte... co? Jaka viagra?

– Arteviagra – powtórzył. – Najnowszy wynalazek naszych magików. Działa jak normalna, ale ma wzbogacony skład. Można po tym i po pięć, sześć razy. Zresztą popatrz, mam tutaj składankę najlepszych momentów.

– Ty, to mój przecież! – ucieszyłem się. – No co, swojego bym nie poznał, kiedy... Wow. O rany...

– Poczekaj, to dopiero pierwszy – uśmiechnął się reżyser.

– No dobra, skoro tak mówisz, to... Ou! Ou! Ou, łoś, joł...! O w mordę...! Ajjjj, to ostatnie grube było, ajajajaj...

– No co zrobić, mówiłem jej, żeby oczu nie otwierała. – Wzruszył ramionami. – Masz, łyknij tylko antyradu jeszcze.

– Po co? – Wrzuciłem proszki do gęby, popiłem kawą.

– A ty myślisz, że arteviagrę z czego robią? – popatrzył na mnie Prosiak. – Z artretyków?

– Chcesz powiedzieć, że ja... – pokazałem na najwrażliwszą część mego cennego aktorskiego ciała.

– Pewnie.

– Ty, a skutki uboczne?

– Nie odnotowano, za krótko na rynku. Zresztą panna była na tym samym, myślisz, że inaczej by się na to wszystko zgodziła?

– Czy ja wiem...

– Dobra, czyń honory domu! – Odsunął się od klawiatury. – Naciskasz Enter i jesteśmy gwiazdami podziemia!

Nacisnąłem, wybiło komunikat: „Udostępniono”.

– No, to teraz tylko czekać na oglądalność – zatarł ręce Prosiak. – Podwieźć cię gdzieś, bo muszę parę spraw załatwić?

– Nie wzgardzę, tylko pozwól się ubrać...



Siedziałem sobie na ławeczce przy dworcu i zjadałem kebaba regeneracyjnego. Wyszedłem właśnie z siłki, na którą odnowiłem po miesiącu karnet, rozciągnięte mięśnie przyjemnie pobolewały, krew żywo krążyła... Nie było aż tak źle przecież. No jestem Szaremu winien kasę – no tak, i co z tego? Ano nic, się uzbiera. A przecież nie znaczy to, że

nie mogę do tej pory normalnie żyć. Trochę stąd, trochę stamtąd, jakoś to będzie; kariera filmowa w toku.

– Ej, Sztywny! – pomachał do mnie ze swojej budki Turek. – Chodź no!

– Co tam? – Podniosłem dupsko i podszedłem bliżej. – Daj od razu *ajranu*, jak już mnie zawołałeś.

– Słuchaj, podobno roboty szukasz. – Popatrzył na mnie znacząco, nalewając kefiru do plastikowego kubka. – Zgadza się?

– No, esemesa odebrałeś chyba. – Upiłem trochę kwaśno-mlecznego, lekko gazowanego napitku.

– No więc... – konspiracyjnie ściszył głos – mam takiego ziomka, co mi mówił, że kogoś szuka. Dzwoniłem do ciebie wczoraj, ale nie odbierałeś.

– Tak, zajęty byłem. – Uśmiechnąłem się do wspomnień. Cały czas tylko wydawało mi się, że twarz pachnie mi gumą. – Co to za jeden?

– A taki... no, taki tam ziomek – skrzywił się Turek. – Mówił, że potrzebuje kogoś do poważnej roboty, to pomyślałem o tobie.

– Ano, słusznie. – Upiłem *ajranu*. Turek uważał mnie za gościa do „poważnej roboty”, bo kiedyś zobowiązałem się spuścić wpierdol jednemu frajerowi z jego osiedla. Za kasę, rzecz jasna. Zaczaiłem się na tamtego na klatce schodowej, chciałem mu sprzedać szybką plombę, ale był lepszy ode mnie, ja zacząłem uciekać, on zaczął mnie gonić... Wyleciałem z jego bloku na zewnątrz, a te drzwi, co ja je szarpnąłem, akurat się od ściany odbiły i on na nie wpadł. Całym impetem tak, na sztorc. Ciemno było, nie zauważył pewnie... Złamana kość policzkowa, siedem szwów i wstrząśnienie mózgu. Dwa tygodnie hospitalizacji i trauma do końca życia, do dziś, jak mnie widzi, to na drugą stronę ulicy przechodzi. Od tamtej pory Turek ma mnie w poważaniu, a ja tego nie psułem.

– To co, weźmiesz?

– Możesz mnie polecić. – Wielkopańsko skinąłem głową.

– Dobra, to ja już... – Palce Turka zatańczyły po klawiaturze telefonu. – Halo! Cześć, to ja. No ja, jak to kto, jak ja. Słuchaj, mam tu takiego gościa...

Rozparłem się wygodnie na ławeczce, patrząc na przechodzących obok ludzi. Nie będę ukrywał, że miałem tego popołudnia naprawdę duże poczucie własnej wartości.

– Jest akurat w okolicy, zaraz podjedzie. Możesz poczekać? – kiwnął mi Turek.

– Jasne...

– Ty, a słyszałeś o tym dzieciaku, co go zabili na Chmielnickim?

– Nie? – zainteresowałem się. Zawsze byłem jakoś obok lokalnych wieści, a Turek słuchał nawet naszego głównianego radia i czytał gazety.

– No stary, jaka sprawa...! – Wychylił się ze swojej budki. – Przecież od dwóch dni o niczym innym nie mówią. Jak z tego amerykańskiego filmu normalnie, no... „Dexter”!

– Dextera oglądałem, jak byłem mały, na satelitarnej Kartun Netłork leciał. – Wydałem pogardliwie wargi. – Fajna kreskówka, ale bez przesady...

– Ale, stary, przecież to naprawdę makabra! – relacjonował Turek. – Ktoś go zarznął jak świniaka, nocą go dopadł na Chmielnickim rejonie. Dopiero przedwczoraj ciało znaleźli, a leżał już kilka dni, bo jakiś wynaturzeniec go za rury ciepłownicze wepchnął...

Otworzyłem przymknięte do tej pory oczy, popatrzyłem na Turka.

– Czekaj, czekaj. Jeszcze raz, od początku.

– Kilka dni temu ktoś nocą zarznął jakiegoś gnojka na Chmielnickim – powtórzył nasz kebabmajster. – Nożem zarznął; milicja mówi, że robota zawodowca. A potem ciało wepchnął za jakieś rury w węźle ciepłowniczym. Przedwczoraj rano *santiechnik* tam szedł, żeby coś sprawdzić, no i dzieciaka znalazł...

– A co ty cały czas powtarzasz: „dzieciaka”? – Nie powiem, lekko się zdenerwowałem tym nagłym przypiływem sławy w lokalnych mediach. – A może to wcale nie żaden dzieciak był, tylko wynajęty morderca?

– Co, też słyszałeś, że broń przy nim znaleźli? – pokiwał głową Turek. – No bo znaleźli. Pistolet z tłumikiem.

– No widzisz...

– Ersoftowy.

– Że co?

– No, ersoft, taka zabawa dla pedałów. Wiesz, pistoleciki na plastikowe kulki? Głupie gimbusy się tym strzelają na starych kołchozach. No i ten właśnie taki pistolecik miał. Atrapę na kulki.

Patrzyłem na Turka, jakby spadł z księżyca.

– A w ogóle to on piętnaście lat miał, do naszej szkoły chodził – ciągnął dalej. – I z tym pistoletem, to już kilka mi osób mówiło, że podobno czasami frajerów zaczepiał nocą i kasę zabierał. A duży był, wyrosnięty, pewnie od tych hormonów, co kurczaki nimi karmią. Chodził nocą z tą zabawką i udawał bandytę. No i trafił na lepszego...

– O kurwa... – jęknąłem. Turek tylko pokiwał głową, nie do końca chyba świadom prawdziwej złożoności emocji, które mną w tamtej chwili targały. – Ojapierdole...

– No. Dzieciak piętnaście lat, wyobrażasz sobie? Ktoś za to nieźle beknie, Sztywny, zapamiętaj sobie moje słowa.

Coś jeszcze do mnie potem mówił, ale szczerze mówiąc, nie jarzyłem zupełnie, o co mu chodziło. Poczuję się tak bardzo... Obok? Obok tego wszystkiego, obok wydarzeń i relacji. Ktoś kogoś na mieście zabił? No to zabił. Co mi do tego niby?

W zatoczkę wjechała stjuningowana mazda na obniżonym zawieszaniu i z czarną folią na szybach. Nawet z pewnej odległości słyszałem – a raczej czułem w żołądku – miarowe łupanie subwoofera w bagażniku. Turek pomachał w kierunku samochodu, pokazał na mnie palcem.

– To ten gościu! – Nie wiem, czy mówił to do mnie, czy do kierowcy. Zupełnie machinalnie podszedłem do samochodu, otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka.

– Wsiadaj – rzucił siedzący za kółkiem typek w ciemnych okularach. – Przejedziemy się. Wsiadłem. Ruszyliśmy.

– Więc to ty jesteś ten ziomek, jak to Paszka mówił... Twardy, tak? – zagadał do mnie typek. Nie wyglądał na Ormianina, ale też czarniawy taki był.

– Sztywny – poprawiłem.

– No więc słuchaj, sprawa jest taka... Dość delikatna sprawa jest, ale ciekawa. Normalnie bym nie gadał z kimś, kogo nie znam, rozumiesz. – Zakręcił w ulicę wylotową z miasta. – Ale mówił mi Paszka, że to dla ciebie nie pierwszozna, a też sprawa jest mocno nietypowa. Osobista.

– Nawijaj – rzuciłem.

Zatrzymaliśmy się pod lasem, w jednej z bocznych drózek odchodzących od szosy. No wiecie, takiej małej, ledwo widocznej gruntówce, że jak nie wiesz, że tam jest, to nawet nie zauważysz? W zaroślach pełno było wszelkiego śmiecia, plastikowych butelek i foliowych torebek, krzaki żółciły się wiszącymi na nich strzępkami zużytych prezerwatyw.

– No więc słuchaj, Mocny, sprawa jest taka.

Typek zgasił silnik, odwrócił się do mnie na swoim siedzeniu. Pod lusterkiem, zaraz obok jego głowy, dyndał się gumowy kościotrup. Ot, taki sobie breloczek tandetny, jak ludzie przy kluczach czasem noszą, za moich młodych lat można było takiego wygrać na strzelnicy, co raz na jakiś czas do nas przyjeżdżała. Normalnie to ludzie albo pluszowe kostki pod lusterkiem wieszają, albo świętego Mikołaja Cudotwórcę, bo mówią, że Krzysztof na nasze drogi za słaby; a ten koleżka miał kościotrupa. Jakoś mi się przez ten jego breloczek nieswojo znowu zrobiło.

– Sprawa jest taka – powtórzył. – Mam krewniaka tutaj w mieście, który mi ostatnio powiedział, że jego matki przyjaciółce ktoś zrobił coś bardzo, bardzo niemiłego. Naprawdę niemiłego. I ta jego przyszywana ciotka szuka kogoś, kto dla niej załatwi sprawę.

– Jak bardzo załatwi? – doprecyzowałem, chociaż miałem już przecucie, co zaraz usłyszę oraz do jakiego rodzaju kręgów należał znajomy Turka.

– Definitywnie – skrzywił się typek. – Dlatego ci mówię, Hardy, że sprawa nietypowa jest. Ja normalnie takimi rzeczami się nie zajmuję, ale ten mój krewniak do mnie z tym przyszedł, nie wypadało go nie wysłuchać. No a Paszka mówi, że tobie można zaufać i że nie boisz się ubrudzić.

– No... to zależy – pokiwałem głową – o czym tu mówimy.

– Mówimy tu o trzech patykach.

Zamurowało mnie.

– Trzech patykach...? – Spojrzałem na niego pytająco. – Naszej waluty?

– No tak, a czego się spodziewałeś? Dolarów?

– No... – zacząłem, ale nie dokończyłem myśli, bo nagle dotarło do mnie to, o czym powiedział mi wcześniej Turek: dzieciak. Ten gościu z węzła ciepłowniczego to był dzieciak. Nie najemnik, a zwykły gówniarz.

– Trzy koła. – Pokiwał głową. – Zainteresowany?

– Wiesz co, wstępnie tak... – Też kiwnąłem, uśmiechając się do własnych myśli. – Wstępnie tak. Daj mi czas do namysłu... Do wieczora, okej? Zobaczę, czy mam coś wolnego w terminarzu.

– Nie ma problemu. Podwieźć cię gdzieś?

– A wiesz, tak, owszem. Jeśli możesz...

Podaliśmy mu adres, pojechaliśmy, po drodze zaglądając do mojego garażu. On jeszcze zapisał mi na skrawku papieru swój numer, żebym zadzwonił potem. Tak, zadzwonię na pewno, ale najpierw, moi mili, muszę odwiedzić pewnego kłamliwego chuja...

– To do wieczora, Silny! – przez uchylone okno zawołał do mnie typek, którego imienia ani ksywki w końcu nie poznałem, gdy wysiadłem pod myśliwskim na Kijowskiej. Mazda ryknęła urwanym tłumikiem, zadudniły basy, bolid pomknął ulicą w chmurze siwego dymu, a ja obciągnąłem kurtkę i popchnąłem drzwi do sklepu.

W środku pachniało smarem do broni, skórą, plastikiem i papierosami. W gablotach leżały jakieś kawałki osprzętu, celowniki, latarki i uprząże na naboje, w panczernej szafie wisiało kilka strzelb, na ścianach przyczepione były tarcze strzeleckie, no i oczywiście na drzwiach obowiązkowy plakat z gołą babą w wyjątkowo nieumiejętny sposób trzymającą potężny sztucer.

– W czym mogę pomóc? – zza lady podniósł się Igor, wielki, ponury typ, nie wiedząc czemu pełniący tu rolę sprzedawcy.

– Szary jest? – zapytałem bez ogródek, opierając się o szklaną ladę.

– To zależy. – Otaksował mnie spojrzeniem. – A kto pyta.

– Powiedz mu, że Sztywny przyszedł.

Igor na chwilę zniknął na zapleczu, zostawiając mnie pod bacznym, mrugającym na czerwono okiem kamery. Zresztą musiałbym być niespełna rozumu, żeby cokolwiek kraść ze sklepu, będącego przykrywką dla dużej części działalności Szarego.

– Właściciela akurat nie ma. – Na sklep wyszedł Cyrkiel, prawa ręka Szarego. – Cześć, Sztywny.

– Cześć. – Skrzywiłem się. Dokładnie tak zaczęła się moja wysoce nieszczęśliwa współpraca z Szarym: wyszedł Cyrkiel i powiedział, że właściciela nie ma. – Gdzie jest?

– Nie wiem. – Rozłożył ręce. – Gdzieś.

– To weź telefon i się dowiedz, bądź tak dobry. – Popatrzyłem mu głęboko w oczy. – Nie chciałbyś, żeby Szary przez ciebie nie dostał tego, co dostać powinien.

– Możesz dać mnie, przekażę. – Wyciągnął rękę.

– Jasne. Pozwolisz, że moje sprawy z Szarym będę załatwiał sam, dobrze? Więc wyjmij, kurwa, komórkę i zadzwoń do niego.

Cyrkiel popatrzył na mnie, uniósł brew, ale nie powiedział nic. Wyjął srajfona, wybrał numer, odszedł gdzieś na stronę. Widziałem, jak kilka razy zerka w moim kierunku, przyciszonym głosem rozmawiając z kimś po drugiej stronie.

– Zawiozę cię – rzucił, zdejmując kurtkę z wieszaka.

– Dokąd? – Przystąpiłem z nogi na nogę.

– Zobaczysz – uśmiechnął się Cyrkiel, puszczając mnie przodem w drzwiach.

Wyjechaliśmy z miasta, ruszyliśmy trasą na południe. Terenowa *rafałczwórka* cięła asfalt jak przecinak, ja tylko gapiłem się w okno, obserwując mijane domki, przystanki autobusowe i ogródki działkowe, idących piechotą ludzi i dziadków na starych rowerach. Po raz kolejny przypomniałem sobie, że miasto może być paskudne i brzydkie, ale są jeszcze brzydsze i gorsze miejsca... Na przykład wszystko poza miastem.

Skęciliśmy w gruntówkę za wsią, zostawiając po prawej pomalowane farbą olejną drewniane płotki, zdziczałe sady i zarośnięte ogródki warzywne przy domach, których właściciele ledwo dawali już radę dojść do furtki po bańkę z mlekiem. Ogrodzenie z prefabrykatów wokół lokalnego przedszkola i podstawówki, zdeptany przez dzieciaki trawnik, rdzewiejący plac zabaw i rachityczny ogródek z marnymi kwiatkami... Złożone przy drodze betonowe kręgi, pewnie telefon mieli robić albo kanalizację jakąś, teraz już w środku wyrosły nieduże brzoźki i rozkrzewiły się pokrzywy. Ciekawe, czy ktoś ma gdzieś w papierach zapisane, że to tu leży, czy tylko zrzucili tak i zapomnieli? Pewnie to drugie, w końcu robole zawsze mają wszystko w dupie. W tym kraju zresztą wszyscy mają

wszystko w dupie...

Poczułem ukłucie w sercu, gdy mijaliśmy grupkę dzieciaków bawiących się na trzepaku. Też tak się kiedyś bawiłem, włożyłem na górę, siadałem okrakiem i, trzymając nogami, kręciłem dookoła... Udawaliśmy wtedy, że jesteśmy kosmonautami i szykujemy się do lotu w kosmos jak Gagarin. A potem jakoś przyszły dorosłe czasy, zapomniało się o tym trzepaku i spokojnych, ciepłych dniach dzieciństwa...

– To tutaj – rzucił Cyrkiel, wjeżdżając na teren dawnego kołchozu.

„Sierg-Ex. Zakład produkcyjno-przemysłowy chemii użytkowej” – zdążyłem tylko przeczytać na tabliczce. Ot, fabryczka jakich wiele, jedno z tych przedsiębiorstw, co dały jakoś radę się utrzymać po kryzysie w późnych dwutysięcznych. Jutexów, drewmexów, stalmexów, plasmexów i innych obowiązkowych „-exów” było na pęczki, bo chyba każdy, kto nie miał pomysłu, jak nazwać firmę, tworzył właśnie coś takiego. Albo brał początek imienia i nazwiska, albo imiona dzieci, albo swoje i żony... Było tego od cholery, upadało to równie szybko, co się tworzyło, więc nikt na to nie zwracał uwagi; żeby firma była poważna, to musiała mieć magiczne literki spółki kodeksu handlowego: ZAO, OAO, OOO... Czyli jakieś partnerstwo, jakiś kapitał, najchętniej zagraniczny. Na te zwykłe, bez literek, nikt uwagi nie zwracał.

I o to w tym przypadku chodziło.

Gdy tylko wysiadłem, stojący w podcieniu ochroniarz otaksował mnie wzrokiem, popatrzył na Cyrkla, który skinął głową: swojak. Ten przynajmniej miał uniform, gaz pieprzowy i kajdanki, pistolet na widoku, jak to ochrona... Ale gotów byłem się założyć, że jego koledzy przechadzają się gdzieś nieopodal w cywilu, a w kaburach pod pachą mają coś poważniejszego niż tylko stare, wysłużone makarowy.

– Co to za miejsce? – zapytałem, gdy Cyrkiel otworzył drzwi i gestem zaprosił mnie do środka.

– Sierg-Ex, nie widziałeś? Taka sobie firma. – Wyszczерzył się.

– I co tu produkujecie niby? Uszczelki do rur kanalizacyjnych? – Zacząłem schodzić na dół po schodach. Pachniało gumą, rozpuszczalnikiem i pralnią chemiczną. – Kondomy?

– Chemię. – Wstukał kod na panelu, pociągnął na siebie drzwi. – Chemię użytkową.

– O ku-kurwa... – wydukałem tylko, bo na więcej nie starczyło mi pomysłu.

Staliśmy w podziemnej sali, podzielonej na segmenty i mniejsze pomieszczenia luksferowymi, gipsowymi i betonowymi ściankami, w które tu i ówdzie wprawione były grube szyby z pancernego szkła. Pod sufitem ciągnęły się wiązki kabli i rur wentylacyjnych, krzyżujących się i przeplatających na różnych poziomach i wysokościach, świeciły lampy światła dziennego i jarzyły się pękate ultrafioletowe żarówki w pancernych kloszach, migały jarzeniówki... Widziałem, jak tu i tam krząta się paru gości w kombinezonach ochronnych i respiratorach, którzy majstrują coś przy żelaznych kadziach podłączonych systemem rur i przewodów do jakiejś większej instalacji przy ścianie. Rzędy niebieskich, zielonych i czerwonych butli na wózkach pod ścianami, skrzynki bezpieczników i panele sterowania...

Byliśmy w laboratorium.

Żeby nie było wątpliwości: z chemii zawsze byłem słaby, ale nielegalną instalację do gwiazdnego pyłu potrafiłem rozpoznać. Tym bardziej, że o nazewnictwie i procesach

produkcyjnych substancji psychotropowych co nieco się tam wiedziało... A poza tym, bo to mało laboratoriów człowiek widział na *bajewikach* w telewizji? I nawet ostatnio na pirackiej telewizji na internetach taki serial był, o takim łysym, starym ćwoku i jego przydupasie-ćpunku, co witaminę A w piwnicy gotowali. „Złe Złamasy” czy jakoś tak się to nazywało. Pewnie, aparaturę się widziało, ciężko by było nie poznać... Więc nietrudno było dodać dwa do dwóch i wyciągnąć jedyny słuszny w mojej sytuacji wniosek:

WPADŁEM W GÓWNO PO SAME USZY.

– No co, Sztywny, nie spinaj się tak – poklepał mnie po plecach Cyrkiel. – Wszystko w zasadzie bezpieczne, nie masz czego się bać. Testowane na ludziach.

– Ha, ha, kurwa mać – mruknąłem. Nagle pomysł spotkania się z Szarym przestał wydawać mi się taki fajny, jak jeszcze godzinę temu.

– Usiądź sobie, poczekaj. Szef cię zawoła. – Wskazał mi krzesło. – I nie dotykaj nic.

Usiadłem.

Każdy tu zdawał się zajęty swoimi sprawami; Cyrkiel sobie gdzieś poszedł, pewnie do Szarego, a nikt poza nim chyba nawet mnie nie zauważał, więc siedziałem sobie na trzeszczącym plastikowym krzeselku i starałem się udawać, że wiem, co w ogóle jest grane. Że niby jestem tu jako równy do równego.

– ...w ten sposób to nie wyrobimy normy – rozległ się skądś głos. Chyba ktoś wyszedł z jednego z boksów, skrzypnęły i trzasnęły drzwi. – Nie ma szans.

– Nie panikujcie, Leonid Iwanycz.

– Ja nie panikuję przecież, stwierdzam tylko fakt. – Dwóch laborantów wyszło z za rogu. Jeden z nich popatrzył na mnie, ale nie zareagował, drugi nawet nie zwrócił uwagi, gestykulując żywo. – Jeżeli będziemy zużywać odczynniki w tym tempie, to nie zrealizujemy i tych minimalnych siedemdziesięciu procent normy.

– Nie chodzi o plany przecież, Leonid Iwanycz... – Ten drugi, młodszy, otworzył i przytrzymał drzwi.

– Siergiej, wy nie rozumiecie. Chodzi wyłącznie o plany, bo... – Reszty nie usłyszałem, drzwi zamknęły się, ucinając dźwięk. Zostałem znów sam. Wentylatory szumiały miarowo, coś stukotało i pikało w którejś z mniejszych sekcji.

– Chodź. – Pojawił się Cyrkiel. – Szary cię przyjmie.

„Szary cię przyjmie”. Jakby był jakimś prezydentem albo prezesem korporacji przynajmniej. Niedoczekanie jego, pajaca kłamliwego...

– Sztywny. – Gdy wszedłem, Szary wstał z za biurka w swoim „gabiniecie”, pachnącym kawą i papierosami. Ot, taka sobie klitka, cztery na trzy metry, tyle co biurko, komputer i stara kanapa się tu mieści. No i szafa pancerna. – No i cóż to się stało, że mnie z własnej woli odwiedzasz?

– Mam dla ciebie pieniądze. – Stałem przed nim, dając do zrozumienia, że nie będę siadać. On spojrzał cokolwiek zdziwiony, opadł w swój skórzany fotel.

– Usiądź może.

– Nie trzeba. – Sięgnąłem pod kurtkę. Popatrzył mi głęboko w oczy, uśmiechnął się... Wiedział, skurwiel jeden, że nie odważyłbym się wnieść do niego broni, mimo że nawet Cyrkla przecież tu nie było. A mógłbym mu teraz kulkę władować... I dać się przerobić na karmę dla psów w przeciągu kolejnych kilku sekund. Bohaterską i epicką, ale mimo

wszystko karmę dla psów. Wyciągnąłem pieniądze. – Masz.

Szary popatrzył na cienki zwitek, ściągnięty frotką do włosów.

– No brawo, Sztywny. Tym razem zaskoczyłeś mnie pozytywnie. – Rozwinął, rozprostował, sprawdził w maszynie, przeliczył, schował do szuflady. – Tylko coś małuśko.

– Więcej nie będzie. – Skrzyżowałem ramiona na piersi, całym sobą wyrażając nieugiętą, żelazną wręcz wolę. Stalową wolę. Chociaż nie, zaraz, Stalowa Wola to takie miasto jest... – To wszystko, co ode mnie dostaniesz.

– Sztywny, ale wiesz, że to jest... – Wyjął, przeliczył jeszcze raz, popatrzył na mnie. – Dwadzieścia siedem dolarów oraz czterysta dwadzieścia jeden hrywien?

– Wiem.

– I jesteś świadom tego, że to... – jego palce zabiegały po kalkulatorze – zero całych przecinek zero siedemset osiemdziesiąt jeden dziesięciotysięcznych... Że to nawet nie jest osiem procent tego, co jesteś mi winien?

– Nieważne. – Potrząsnąłem głową. – Gównu ci jestem winien.

Szary odchylił się na fotelu, złożył ręce i popatrzył na mnie z nieukrywanym podziwem.

– Mógłbyś uchylić mi rąbka tajemnicy? Bo obawiam się, że nie nadążam za twoim tokiem rozumowania...

– Gównu ci jestem winien i nic ci nie oddam, bo nie mam za co. Ten gościu wcale nie był zabójcą, więc nikogo na mnie nie nasłałeś – wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

W zapadłej nagle ciszy wyraźnie słyszałem, jak dwóch techników kontynuuje swoją dyskusję, wracając na stanowisko.

– Posłuchaj mnie, Sztywny... – zaczął, ale nie dałem mu nic powiedzieć:

– Nie, to ty posłuchaj, Szary! Chciałeś mnie wydymać na kasę, nie mam ci tego za złe, ale to koniec. Koniec, rozumiesz? Nie jestem ci nic winien, jesteśmy kwita. Potraktuj te grosze jako moje frycowe, które podobno się czasami płaci.

Szary opuścił głowę, uśmiechnął się, podniósł do góry ręce.

– Przyznaję się do winy: nie naslałem na ciebie zabójcy, Sztywny. Rzeczywiście nieco zablafowałem.

– Ha! – prychnąłem. – „Nieco”...

– Ale obawiam się, że pomyliły ci się fakty, Sztywny. – Podniósł wzrok i popatrzył na mnie jak wąż na wrzuconą do jego terrarium myszkę, a mnie zrobiło się coś nieswojo. – Nie miałeś mi płacić za to, że naslałem na ciebie zbira.

– Ja... – Świat zawirował.

– Siadaj. – Pokazał mi ręką krzesło. Usiadłem. – Byłeś... JESTEŚ mi winien pieniądze za to, że nie przyniosłeś mi obiecane go towaru. Towaru, którego brak doprowadził do określonych przestojów na mojej linii produkcyjnej, co z kolei przełożyło się na moje niewywiązanie z zobowiązań wobec osób trzecich. Zobowiązań, które zmuszony byłem pokryć z własnej kieszeni celem zachowania dobrej twarzy w biznesie.

– Nie, nie, nie, to nie tak... – spróbowałem wtrącić, ale Szary uciszył mnie gestem.

– Ja ci nie przerywałem, Sztywny. Pozwolisz, że skończę? Dziękuję. Otóż zmuszony byłem pokryć te zobowiązania ze środków własnych, a jak pewnie pamiętasz, stratę moją wyceniliśmy – ty i ja, w uczciwej, otwartej rozmowie – na osiemset pięćdziesiąt dolarów amerykańskich. Za zwłokę w poinformowaniu mnie o zaistniałym fakcie doliczyłem ci,

wobec czego też nie zgłosiłeś zastrzeżeń, odsetki karne w wysokości kolejnych stu pięćdziesięciu dolarów amerykańskich. Zsumowane powyższe kwoty dają nam... – Stuknął parę razy w kalkulator, obrócił ku mnie wyświelacz. – Tysiąc dolarów amerykańskich. Tak czy nie tak?

– Tak... – jęknąłem, mając ochotę zapaść się pod ziemię.

– Ty natomiast przynosisz mi... – spojrzał na kalkulator – siedem i osiem dziesiątych procenta należnej sumy i twierdzisz, że to wszystko. Jak mam interpretować takie zachowanie, Sztyny?

– ...

– Oj, Sztyny, Sztyny. – Pokręcił głową. – Słabo u ciebie z matematyką, prawda?

– ...

– No więc skoro tak słabo, to nie zrobi ci różnicy, że zmienimy oprocentowanie twojego długu.

– Hm? – Ocknąłem się ze stuporu, popatrzyłem na Szarego, na kalkulator w jego rękę. Pożałowałem, że mimo wszystko nie wziąłem pistoletu. – Że co?

– Zatem... Tysiąc minus to, co przyniosłeś, to daje nam dziewięćset dwadzieścia dwa dolary i dwanaście centów, przeliczone wedle odsetek karnych za bycie głupim kutasem i próbę wejścia do mnie z mordą, plus kara ustawowa za głupotę, to daje nam w zaokrągleniu... No, to w zasadzie nadal tysiąc dolarów. – Popatrzył na mnie, rozłożył przepaszającą ręce. – Sory, ale biznes jest biznes.

– Szary, człowieku, miej litość... – zaskamlałem.

– Ależ mam litość, Sztyny, mam! Mam jej aż nadto, zapewniam cię. W końcu nadal żyjesz, nadal masz dwie ręce i dwa sprawne kolana... A nie każdy ma to szczęście. Znałeś przecież Złotego, prawda?

– Znałem – mruknąłem. Wania Złoty zaginął pięć miesięcy wcześniej w tak zwanych niewyjaśnionych okolicznościach... Okolicznościach niepozbawionych podobno udziału Szarego. – Zniknął i nikt nie wie, co się z nim stało.

– A jeśli ci powiem, że ja wiem? – nachylił się przez stół Szary. – Że on żyje i ma się dobrze?

– Dobrze? – Wyczułem pułapkę.

– No, na tyle dobrze, na ile to możliwe w pewnym stanie... Ale zapewniam cię, że jest szczęśliwy i nie chciałby tego stanu zmieniać – uśmiechnął się Szary. – Chodź, pokażę ci.

Wyszliśmy z tej jego klitki, chociaż przyznam, że miałem wrażenie mocnej nierealności całej sytuacji. Kolana mi się trzęsły jak po egzaminie na prawo jazdy, w gębie sucho... Zadrżałem, gdy minął nas technik w koszulce Guns N'Roses z trupa czachą na klacie. I te węże wylazące przez oczy, brrr...

– Otóż, jak już mówiłem, Złoty żyje i ma się świetnie. – Szary popchnął drzwi. – Popatrz sam.

Wszedłem, nie wiedząc, czego się spodziewać, więc już u samego progu dosłownie ścierała mnie z nóg fala odoru – takiej gęstej, cieplej, wilgotnej stęchlizny, jak w pokojach starych ludzi przykutych do łóżek, jak w szpitalu na geriatric. Rozkaszałem się, wypadłem na korytarz, ledwo powstrzymując torsje...

– Można się przyzwyczaić, naprawdę nie przesadzaj – skwitował Szary. – Wolałbym,

abyś okazał moim pracownikom więcej szacunku.

– Twoim... – zacząłem, ale nie dokończyłem, bo zajrzałem do pokoju i zobaczyłem, co, a w zasadzie kto się w nim znajduje. – Wania, to ty...?

– Nie sędzę, aby cię słyszał. Nie w jego obecnym stanie świadomości. – Szary podszedł do leżącego na polowym łóżku nieruchomego kształtu, popukał w kroplówkę, popatrzył na odczyty na monitorach. – Ale nie mogę tego wykluczyć. Na wszelki wypadek powiem, że jest jednym z moich najcenniejszych ludzi.

– Wania... – wyszeptałem tylko. To, co leżało na kojce, kiedyś na pewno było Złotym; wszędzie bym poznał ten krzywy nos, złamany jeszcze w siódmej klasie, nie mówiąc o tatuażu na policzku. Teraz jednak była to tylko skóra i kości, resztki przeredzonych włosów ledwo trzymały się głowy, zapadnięte policzki i podkrążone oczy przywodziły raczej na myśl trupa... A mimo to Wania żył, jego pierś poruszała się w rytm płytkiego, rwanego oddechu, widać było ruchy gałek ocznych, jak u człowieka pogrążonego w głębokim śnie.

– Oczywiście nie obyło się bez pewnych, hm, modyfikacji. – Szary spojrział na wiszącą pod łóżkiem foliową torebkę cewnika, na wyraźnie odznaczający się pod cienkim pledem kształt worka stomijnego. Popukał w kroplówkę, popatrzył, jak sączy się płyn. – Ale zapewniam cię, że wszystko to robiliśmy w trosce o dobro pracownika.

– Ty... – Zabrakło mi słów. On tylko spojrział na mnie, uśmiechnął się samymi ustami, pokręcił głową:

– Wania nie jest tu przetrzymywany wbrew woli ani torturowany, zapewniam cię, Sztywny. Wszystko, co tu widzisz, zrobiono za jego zgodą. Powiem więcej: na jego wyraźne, pisemne życzenie.

– Jak to...?

– Podobnie jak i ty, Złoty miał tendencję do niewywiązywania się z obietnic. – Delikatnym ruchem ręki dał mi do zrozumienia, że mam wyjść, zamknął za mną drzwi. Na korytarzu było o wiele łatwiej oddychać, ale miałem wrażenie, że teraz to ja śmierdę trupem. – Wpadł w długi, których nie miał jak spłacić. Zaproponowałem mu zatem układ.

Chyba nie dałem rady ukryć przerażenia, bo Szary uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Wania zgodził się być testerem dla nowej partii moich... produktów. Doza co drugi dzień, pod ścisłym nadzorem medycznym, w niemalże komfortowych warunkach. Słowem, marzenie każdego, kto lubi dobry odlot. Po dwóch tygodniach jego dług miał zostać w pełni wygaszony, mało tego, sam Złoty miał wyjść w tym wszystkim na plus. Rzeczywiście tak się stało, rozliczyliśmy się i pożegnaliśmy jak przyjaciele. I wiesz, co było potem, Sztywny?

Pokręciłem głową.

– Otóż Wania przyszedł do mnie, błagając, by wziąć go do tej roboty dalej. Na dowolną ilość czasu, na dowolny towar, na dowolne dawki. Za darmo. Rozumiesz przecież, że nie mogłem odmówić... I tak od tamtej pory ciągnie się nasza współpraca.

– Ile... ile był ci winien? – Dałem radę przełknąć ślinę.

– O wiele mniej niż ty, Sztywny. O wiele mniej, a w dodatku załatwiał swoje interesy z dużo większą dozą taktu i wyczucia – pokiwał Szary. – A teraz mam dylemat, bo naszego Waniuszka w zasadzie należałoby wysłać na emeryturę i znaleźć mu... zastępstwo. Chodź,

pokażę ci jeszcze, jak produkujemy nasze cudenka.

W narożnym boksie, za ścianą z grubego szkła, dwóch ludzi w ciężkich fartuchach i maskach przeciwgazowych uwijało się wokół żelaznego stołu. Nie byłem pewien, co tam mają, ale skakali wokół tego jak pies wokół jeża, nachylali się i prostowali, podchodzili z przedziwnymi narzędziami, przełączając coś na skomplikowanej aparaturze i zmieniając nastawy suwadeł.

– Czy to... czy to jest...?

– Tak jest, Sztywny. – Objął mnie po przyjacielsku ramieniem. – Tak robimy nasz anielski pył.

Dwóch pojebańców w środku kawałek po kawałku strugało wiórki z artefaktu.

– Nie pytaj o szczegóły techniczne, bo i tak ci tego nie wytłumaczę. Dość rzec, że skopiowaliśmy tu pewną dość trudno dostępną technologię, pozwalającą w stosunkowo prostych warunkach naruszyć spójność fizyczną zewnętrznej powłoki artefaktu i uzyskać z niej pewną ilość ciekawej substancji... Nazywamy ją po prostu „strużynami”, chociaż zupełnie nie licuje to z jej właściwościami ani wkładem pracy.

– Nie chcesz mi powiedzieć, że robicie z tego... – Słowa utknęły mi w gardle.

– Tak. Robimy z tego najlepszy towar po tej stronie Dniepru, i po tamtej pewnie też.

– Ale to przecież musi być...

– Niebezpieczne? Nie aż tak bardzo, jak w czasie prac pionierskich. Know-how przyszedł do nas w dość już zaawansowanej formie... Mieliśmy tu zaledwie dwa wypadki, a nawet i to przy minimalnej stracie w ludziach i sprzęcie.

Mój wzrok powędrował ku krawędzi wycinka sfery, jakby wyfrezowanego w żelbetowym suficie. Na krzywiźnie tej niby-kopuły wyraźnie było widać owale przekrojów przez pręty zbrojeniowe, idealnie gładką powierzchnią lśniące pośród kawałków żwiru.

– Tak, na przykład to. Niekontrolowana reakcja, na szczęście krótkotrwała. Rozumiesz, nie każdy artefakt poddaje się procesowi obróbki, więc musieliśmy stosować metodę prób i błędów... Która jednak pozwoliła nam na dość precyzyjne określenie naszej listy zakupów.

Sięgnął do kieszeni, podał mi złożoną na cztery karteczkę.

– Od tej chwili każdy artefakt z tej listy przynosisz do mnie. Wyłącznie do mnie, czy to jasne?

– Ja... jasne, tak. – Przebiegłem wzrokiem po zapiskach.

– Reszta mnie nie obchodzi, rób sobie z nimi, co chcesz, sprzedawaj, komu tylko chcesz. Ale to, co masz tutaj... – Zabrał mi kartkę. – Jeśli dowiem się, że zaniósłeś je komukolwiek innemu, to bądź pewny, że zawrzesz z moim laboratorium bliską znajomość. Naprawdę bliską.

Kiwnąłem głową.

– A dowiem się, tego możesz być pewien. Tak samo jak wiem, że handlujesz z Krzywym.

– Ja? Krzywy? Nie mam pojęcia, o czym...

– Nie pierdol, Sztywny. Każdy artefakt z tej listy idzie do mnie, bez wyjątków. Ceny ustalam ja. Kiedy uda ci się spłacić dług, jesteśmy kwita.

– Kwita? – podłapałem z nadzieją.

– Kwita. Powiem ci więcej: na zachętę dam ci nieduży rabat, powiedzmy... No, niech stracę, pięćdziesiąt dolarów. Więc wisisz mi jeszcze dziewięćset pięćdziesiąt.

Lepszy rydz niż nic.

– Ach, a gdybyś miał zamiar zrobić coś naprawdę głupiego, na przykład... No nie wiem, wyjechać z miasta? Ukryć się?

Pokręciłem profilaktycznie głową.

– Wiem, że tego nie zrobisz, ale tak na wszelki wypadek... – Szary usiadł za swoim biurkiem. – Na wszelki wypadek pamiętaj, że jesteś poszukiwanym mordercą.

– C-co...? – Ilość zaskakujących faktów powoli przekraczała moje możliwości przerobowe.

– No, przecież zarząłeś tego przygodnego gówniarza w węźle ciepłowniczym, prawda?

– Ale przecież nikt...

– To prawda, nikt o tym nie wie. Nikt z wyjątkiem mnie, oczywiście; więc pamiętaj, że jeśli nie znajdę cię ja, to znajdzie cię milicja. Albo SBU, albo nawet Interpol za granicą; to bez znaczenia. Znajdą cię, bo nagle okaże się, że przeoczyli... jakiś ważny dowód rzeczowy. Na przykład odcisk palca. Tak czy inaczej, znajdą cię i posadzą... A potem okaże się, że miałeś paskudny wypadek w celi.

Nie miałem nawet co odpowiedzieć, więc nie mówiłem nic. Szary klikał coś na komputerze, sprawdzał telefon, potem zaczął przeglądać jakieś papiery... W końcu podniósł wzrok, spojrzał na mnie zaskoczony:

– Jeszcze tu jesteś?

Zebrałem się jak niepyszny. Cyrkiel wyprowadził mnie na zewnątrz, potem odwiózł do miasta, taktownie nie zagadując po drodze o rozmowę z szefem. I nawet gdy już wysiadłem z jego bryki, to nie mogłem pozbyć się uczucia natrętnej dwoistości położenia mojej skromnej osoby... Bo ja przecież byłem tu i teraz; Szary był daleko stąd; a mimo to czułem aż nadto wyraźnie, że tkwię u tego drania w kieszeni.



– To jak, Twardy, mogę na ciebie liczyć?

Kiwnąłem głową. Moja desperacja sięgnęła już chyba zenitu i było mi, szczerze mówiąc, z grubsza obojętne, w jaki sposób zdobędę pieniądze... I dokładnie dlatego znowu siedziałem w stjuningowanej maździe z czarnymi szybami i powycieraną skórą na siedzeniach, szykując się na wzięcie naprawdę grubego zlecenia w biznesie, o którym nie miałem zielonego pojęcia.

– No dobra, to będzie tamta klatka, mieszkania dwadzieścia osiem. – Czarniawy kolega Turka pokazał palcem. – Kobieta wie, że do niej przyjdiesz, jest przygotowana na rozmowę.

– Czy to naprawdę konieczne? – Skrzywiłem się. – Nie wystarczyłoby, żeby dała ci namiary gościa, a ty byś mi przekazał?

– Takie wymaganie klienta, Mocny – wzruszył ramionami kierowca. – Ja dostanę swoją

dolę za pośrednictwo, ale uparła się, że tobie musi osobiście do ręki dać zadatek i adres. Chyba chce pogadać, sprawę ci naświetlić czy co...

– Dobra, jedźmy z tym koksem. – Otworzyłem drzwiczki samochodu, ale czarniawy złapał mnie jeszcze za ramię:

– My jesteśmy poważna firma, Prężny. Pamiętaj, że się zgodziłeś, więc teraz zlecenie trzeba wykonać.

– Dobra, dobra... – Strzepnąłem jego rękę, wysiadłem w chłodny wieczór.

Rozejrzałem się po pięciopiętrowych blokach, zapyziałym podwórku i placu zabaw. Jak popatrzeć na te domy tak z zewnątrz, to można by pomyśleć: „Co niby ciekawego się w życiu tych ludzi może zdarzyć?”. A tu się okazuje, że starsza pani z trzeciej klatki chce wynająć zabójcę, który pomści jakiegoś jej krewniaka. Mają fantazję ci ludzie...

Wspinając się po schodach, próbowałem odnaleźć w sobie jakąś nutkę wątpliwości, zmusić sumienie do poruszenia zastaną tkanką moralności. No bo chyba powinno mieć się jakieś wątpliwości, nie? Dylematy, jak to się mówi, natury moralnej? Cokolwiek? A ja tylko, po raz nie wiem który, przeliczałem hrywny na dolary, żeby upewnić się, że trzy patyki to sporo ponad jedna trzecia sumy, jakiej żądał ode mnie Szary. Gra warta była świeczki... nawet tej na czyimś grobie.

Na półpiętrze między pierwszym a drugim jakiś debil wydrapał w tynku wielką na pół ściany czaszkę ze skrzyżowanymi piszczelami. Koślawo wydrapał, nierówno i w ogóle krzywo, ale i tak ogromu włożonej w ten akt wandalizmu pracy nie dawało się nie zauważyć. Zadrzałem, mijając tę ogromną trupa głowę; jakoś dopiero do mnie dotarło, po co tam idę. Stałem przed drzwiami, obciągnąłem kurtkę, wziąłem głęboki wdech. Nacisnąłem dzwonek.

Drzwi otworzyły się w zasadzie od razu – kobieta musiała czekać w przedpokoju, widać też mocno spanikowana. Niska taka, chuda, cała na czarno ubrana. Czerwone od płaczu oczy.

– Dobry wieczór – powiedziałem, bo nie miałem pomysłu na nic innego.

– Dobry wieczór – odpowiedziała. – Pan...?

– Tak, to ja.

– Aha. No to... to proszę wejść. – Odsunęła się. – Tylko niech pan zdejmie buty, proszę.

Ściągnąłem adidasy, czując się, jakbym przyszedł do kolegi na komputer. Kobieta zaprosiła mnie do pokoju, usiadła w fotelu... Drugi już był zajęty przez suchego, ponurego staruszka – pewnie jej męża, zresztą też ubranego na czarno. Dziadek nie podniósł się, nawet nie ruszył głową, kiedy wszedłem, patrzył tylko tępo w lecący na telewizorze program.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, siadłem na pluszowej kanapie naprzeciwko, przy nakrytym koronkową serwetką stoliku, rozejrzałem się po pokoju... Paskudnie tu było. Martwo. Miarowo tykający zegar, na ścianach pokrytych żółtkłą tapetą spłowiałe zdjęcia ze ślubu i chrztu, w przeszklonej meblościance rząd zakurzonych, nigdy nieużywanych książek i tandetne figurki z udawanej porcelany. Kwiaty w doniczkach, kiedyś pewnie zadbane i wypielęgnowane, teraz niepodlewane od pewnego czasu umierały, stojąc na swym miejscu przy pokrytym rdzawymi zaciekami kaloryferze.

– Może... może herbaty? – zaproponowała.

– N-nie, dziękuję.

– Aha...

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Ona patrzyła w okno, ja zacząłem z nerwów skubać skórki przy paznokciach. Tykał zegar.

– Widzi pan... On nigdy nie był złym chłopcem, nasz Ilja – odezwała się nagle. – Nigdy. Nie był najlepszy, ale są gorsi, sam pan rozumie...

– Tak – przytaknąłem.

– Nigdy nie był zły, zawsze pomógł z zakupami, drzwi przytrzymał... W szkole trochę był nicpoń, no ale jak to chłopak. A to nasz jedyny, więcej dzieci Bóg nie dał...

Chlipnęła, otarła łzę. Staruszek poruszył się niespokojnie w fotelu.

– To nie był zły chłopak. – Spojrzała na mnie z pewnością w oczach. – Nie. On był dobry, on nigdy tego nie chciał. To tylko oni, to jego towarzystwo... Bo on, rozumie pan, on w złe towarzystwo się wdał...

– Rozumiem – westchnąłem ciężko. To była opowieść, jaką można było przyłożyć do dowolnego z nas, kogokolwiek z moich kolegów, znajomych... Nikt nie był zły z założenia, każdy po prostu wpadał w złe towarzystwo. Jedyne zresztą, jakie w naszym miasteczku było. Jej syn mógł być którymkolwiek z nas.

– To tamci... łajdacy. – Włożyła w to słowo tyle pogardy, że aż dreszcz przeszedł mi po plecach. – To te dranie, złodzieje, to ci przestępcy go na złą drogę sprowadzili... A teraz przez nich on nie żyje. Milicja mówi, że to tylko zaginięcie, że jeszcze za krótko, żeby stwierdzić... Ale ja wiem, bo pytałam. On nie żyje. Rozumie pan? Zabili mojego syna. Mojego jedyne, ukochanego, najśłodszego Ilję. I jego już nie ma. Nie ma, rozumie pan? Nie ma... nawet grobu nie ma. A ja nawet nie wiem, gdzie go pochowali.

No tak, to się zdarza. Czterech typów, bagażnik starego samochodu, polanka w lesie nocą, szpadel do ręki i pogardliwe: „Kop sobie grób”. Niejednego tak wywozili przecież, nawet wśród znajomych bywało, chociaż przeważnie tylko spuścili wpierdol i na miejscu zostawili... Ale zdarzało się, że zostawał na miejscu bezterminowo.

– Ale pani na pewno... pani wie?

– Wiem. – Podniosła na mnie oczy. – Matka takie rzeczy wie od razu, rozumie pan? To się czuje.

– Mhm.

– Poza tym mówili mi jego koledzy. – Złożyła ręce na podołku, wpatrując się we wzór na spranym dywanie. – To od nich się w końcu dowiedziałam, kto go... Kto mojego Ilję biednego...

– Nie musi pani mówić. Rozumiem.

– Nie, pan nie rozumie. – W oczach znów stanęły jej łzy. – Oby nigdy pan nie zrozumiał. Przenigdy. Niech pana Bóg zachowa od takiej wiadomości... I od tego, co dalej.

– No właśnie. – Poruszyłem się, czując, że drętwieją mi nogi. – Jest pani pewna?

– Tak – odpowiedziała bez wahania. – Jesteśmy pewni. Obydwoje.

Siedzący w fotelu staruszek uniósł dłoń, nie odwracając oczu od ekranu.

– W takim razie... – zawiesiłem głos, bo nie miałem nawet śladowego pojęcia, jak powinienem postąpić dalej.

– Proszę. – Przesunęła do mnie po stole zalepioną kopertę. – Tu znajdzie pan adres

tego... bydłaka... i połowę pańskiego honorarium.

– I jest pani pewna, że pani tego chce? – upewniłem się, biorąc ze stołu paczuszkę. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że kobitka się rozmyśli... Przeraziła mnie myśl o tym, że można tak na zimno chcieć czyjejś śmierci.

– Proszę nie otwierać! – zastrzegła się, widząc, że przymierzam się do koperty. – Nie tu! Nie w naszym domu. Ja... My nawet nie chcemy wiedzieć.

– To znaczy, że pani nie patrzyła na ten adres? – Sprawa robiła się coraz bardziej porębana. Może powinienem był zaśpiewać większą stawkę? – Pani nawet nie wie, kto to?

– Ja... ja nie chcę wiedzieć. – Odwróciła ode mnie twarz. – Takich jak ten... bandzior... nie powinno w ogóle być na świecie. Chcę, żeby było tak, jakby nigdy nie istniał.

– I ja mam go... no... na pewno?

– Tak. Niech pan go ukarze tak, by wiedział. Tam w środku jest zdjęcie... żeby mógł pan na mojego Ilję popatrzeć, poczuć to, co ja. Tamten ma wiedzieć, że to za mojego syna – powtórzyła z mocą.

– Dobra... – mruknąłem, chowając za pazuchę kopertę, przyjemnie szeleszczącą banknotami.

– Niech wszyscy święci pana prowadzą. – Kobięcina spojrzała w kąt, gdzie wiejskim zwyczajem wisały na makatce obrazki świętych i innych aniołów. Wstała, przeżegnała się od prawej do lewej, skłoniła przed ikoną. – Matka Boża i święty Jerzy widzieli, oni pomogą, żeby ręka nie drżała. Niech pan się też przeżegna.

Strzeliłem oczami w lewo, w prawo, ale wyjścia chyba nie było; nawet facet z fotela odwrócił się do mnie i patrzył z natężeniem... W końcu zacisnąłem powieki, szybko machnąłem parę razy ręką.

– Niech pan już idzie. – Pokazała na drzwi. – A kiedy pan już... Kiedy już będzie...

– Po wszystkim – odpowiedziałem, mocując się z butami. Ręce mi się trzęsły, jakbym się czegoś nawciągał, nie byłem w stanie zawiązać sznurówek.

– To niech pan po prostu przyjdzie, ja panu wtedy dam resztę. Nic pan nie musi mówić, nic udowadniać... Niech pan tylko przyjdzie.

– Tak po prostu? – Spojrzałem na nią zdziwiony. Nie mogła być aż tak naiwna.

– Koperta za ikoną leżała, okruszków świętego chleba w nią nasypałam. – Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały nadal smutne i bez wyrazu. – I wszyscy święci widzieli, a oni widzą wszystko i wszędzie. Ja wiem, że pan nas nie oszuka, że sprawiedliwość się dopełni.

– Dobranoc – powiedziałem tylko, wychodząc.

Szczęknęły zamki w drzwiach, zostałem sam na klatce schodowej. Jeeeeeezuuuuu... Oparłem się ciężko plecami o ścianę i zjechałem aż na sam dół, czując, jak trzęsie mi się każdy mięsień ciała.

– Co za popaprani ludzie... – wyszeptałem w przestrzeń. – Co za zjeby...

Poczułem nagle, że brak mi powietrza, poderwałem się z podłogi i na łeb na szyję zbiegłem po schodach, wypadłem na dwór, dysząc ciężko i tocząc wokoło błędnym wzrokiem. Ryknął silnik stojącej na parkingu stjuningowanej mazdy, kierowca mrugnął mi dwa razy światłami; pomachałem mu tylko, pokazałem kciuk w górze – wszystko gra. Samochód zadudnił basami i powoli, majestatycznie wytoczył się z osiedla... Zostałem sam.

Nagły poryw wiatru targnął połą kurtki, cisnął w oczy miazgi pyłu z ulicy. Gdzieś w oddali zawył pies, zaraz po nim kolejny i jeszcze jeden, aż nad całym miasteczkiem poniosło się wysokie, żałosne zawodzenie... Po chwili do wycia psów dołączyły się syreny ostrzegawcze – jedna, druga, piąta, dziesiąta, jeszcze jedna i kolejna. Niebo na wschodzie nabiegło purpurą, potem błysnęło, nad daleką Zoną przetoczył się pomruk gromu; szła kolejna emisja. Zapiąłem się pod samą szyję. Trzeba będzie nieźle wyciągnąć nogi, żeby zdążyć do domu przed deszczem.

Dobiegłem pod blok akurat na czas; pierwsze krople nadchodzącej ulewy już ciężko bębniły o dachy samochodów. Oparłem się o wymazaną flamastrami ścianę pod daszkiem, próbując złapać oddech i wyrównać rytm serca. Cholera, zdziadział człowiek od czasu półmaratonów w dziesiątej klasie... Sięgnąłem za pazuchę, obróciłem w rękę kopertę. Popatrzyłem chwilę na papier, rozdarłem róg i wsunąłem rękę do środka.

To miłe uczucie – trzymać w rękę połowę dobrej pensji. Ot tak, po prostu daną człowiekowi w zamkniętej kopercie... Co prawda pozostawała jeszcze kwestia tego, na poczet czego te pieniądze dostałem, no i oczywiście docelowego pozyskania drugiej części sumy. Westchnąłem ciężko, licząc wyświechtane banknoty: tyle różnych nominałów... Niemalże widziałem oczyma duszy, jak kobiecina składa wszystko, co tylko da radę znaleźć, byleby uciąć potrzebną sumę. Nie no, nie mogę jej oszukać. Po prostu nie mogę, i tyle... Więc trzeba będzie wykonać zadanie.

Rozwinąłem karteluszek z adresem.

Piorun musiał uderzyć naprawdę blisko, bo zadudniło, aż szyby w oknach zadzwoniły. W którymś z samochodów włączył się alarm, gdzieś ktoś krzyknął, gdy echo przetoczyło się basem pomiędzy ścianami bloków... A ja patrzyłem na kartkę:

Żukowskiego 5

Odszedłem kilka kroków od ściany, nie zważając na deszcz lejący się strugami z nieba, zadarłem głowę, kontemplując wymalowaną pomarańczową farbą na bloku adres: Żukowskiego 5. No proszę, co za zbieg okoliczności. Nie będę musiał daleko szukać.

Korpus 1

Popatrzyłem na moją własną klatkę schodową, skądinąd pierwszą od lewej, czując rosnącą nierzeczywistość całej sytuacji. Popchnąłem drzwi, trzymając się ściany, zacząłem wdrapywać się po schodach, chociaż nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Chropowaty tynk kruszył się pod palcami i spadał grudkami na betonowe stopnie, w zsybie na śmieci hulał wiatr, na zewnątrz szalała burza, raz po raz niebo rozświecilały błyskawice, a ja szedłem i szedłem po tych schodach... Aż wreszcie stanąłem przed drzwiami do mojego mieszkania, sięgnąłem ręką i machinalnie poprawiłem lewą jedynekę, która jak zwykle przekręciła się na śrubie... Spojrzałem na karteczkę z koperty:

Mieszkania 11

Światło zgasło.

Ktoś w mieszkaniu na górze krzyknął, ktoś przeklął, kto inny przewrócił się, zabrzączały rondle, zapłakały dzieci. Ciemność spowiła całe miasteczko, ledwo widać było jaśniejszy prostokąt okna, za którym błyskawice wyciągały z mroku kontury bloków o czarnych oknach.

Zadrzałem. Przypomniało mi się jedno osiedle w Zonie, na które niebacznie zapuściłem

się nocą rok temu. Tam też złapała mnie burza, tam też były takie czarne, jakby martwe bloki. Sięgnąłem po zapalniczkę, nie mogąc rozpiąć kieszeni, zacząłem szamotać się z zatraskiem, upuściłem kopertę, która ze stukiem upadła na podłogę. Zaszleściły rozsypujące się banknoty. Pstryknąłem w końcu benzynówką, rozejrzałem się za moją zgubą...

A z podłogi, otoczony wianuszkami pięćdziesięcio-, stu- i dwustuhrywnych banknotów, niczym Chrystus Wszechwładca z ikony, patrzył na mnie Eliasz.

Wrzasnąłem, wypuściłem zapalniczkę, która potoczyła się po schodach i zgasła. Ciemność ponownie opadła gęstym, dławiącym całunem, poczułem, jak tracę oddech...

Nagle żarówka pod sufitem zamigotała, błysnęła i zaświeciła. Z mieszkań w pionie dobiegło mnie chóralne westchnienie ulgi, zaszumiały włączające się lodówki i termy, zagadały radia i telewizory. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko wróciło do normy... I tylko Eliasz nadal patrzył na mnie z leżącego na podłodze zdjęcia.

Pozbierałem banknoty, znalazłem zapalniczkę. Schowałem wszystko do koperty... Tylko tego zdjęcia nie miałem odwagi dotknąć. W końcu przyblokowałem je podeszwą buta, jakoś wsunąłem do środka, trzęsącymi się rękami otworzyłem drzwi i wpadłem do mieszkania.

Siedziałem nad butelką wódki, nawet nie zapalając światła. Dom był pusty i ciemny, podobnie jak moje myśli – jedyne światło i dźwięki dochodziły z zewnątrz, a ich dalekiego, odbitego wrażenia w pełni starczało mi, by ocenić pełnię beznadziejności mego położenia. Rozłożyłem banknoty po nominałach, rozprostowałem rogi, wygładziłem zagięcia. Kartkę z nieudolnie wykaligrafowanym adresem mojego mieszkania podłożyłem pod flaszkę. Zdjęcie Eliasza oparłem o wazon ze starymi kwiatami. Siedziałem i piłem wódkę, patrząc w to zdjęcie... Chyba z czasów szkolnych jeszcze, pewnie przed balem absolwentów zrobione. Chłopak zadowolony z siebie, włosy przylizane, wzrok ucieka gdzieś poza kadr, kierując się ku świetlanej przyszłości... Przyszłości, której nigdy nie zaznał.

Nalałem resztkę, pociągnąłem łyka. Próbowałem myśleć o czymkolwiek innym, ale w głowie kołatała mi się jedna jedyna myśl:

PRZYJĄŁEM ZLECENIE NA SAMEGO SIEBIE.



Flatline: minus cztery dni

Obudziłem się w paskudnym nastroju. Nie dziwota, bo zawsze się w paskudnym nastroju budzę, jak muszę spać w domu... Stara musiała wrócić w nocy, bo ktoś posprzątał ze stołu, no i popielniczka jak zwykle stała w rogu przy regale – raczej nie byłem to ja, bo przecież zaległem na kanapie pod kocem. Dobrze, że chociaż kasę schowałem, bo ją też by sprzątnęła.

Po cichu, żeby jej nie obudzić, ubrałem się na szybko i wyszedłem, po drodze tylko chowając cholerną popielniczkę do szuflady. Była już prawie dziesiąta... Nie to, żeby mi się

spieszyło dokądkolwiek, ale po prostu miałem uczucie, że życie mi przepływa między palcami.

W pierwszym odruchu chciałem iść do Szarego, dać mu od razu tę jedną szóstą kasy, ale pomyślałem: stop. Ten pazerny fiut na pewno weźmie gotówkę i powie, że jakieś procenty-srenty, i znów mnie dokasuje do pełnej sumy, a na to nie miałem ochoty. Nie, Szaremu trzeba przynieść przynajmniej połowę... Najlepiej całość, ale nie wiem, czy dam ją radę zebrać, a połówka to taki osiągalny cel. Ale trzeba się po to jeszcze trochę naharować, a robota sama się nie znajdzie. Trzeba połączyć i popytać.

Połączyłem, popytałem. Popróbowiałem wysłać esesmanów i nawet dzwonić po ludziach. Nic.

Było już po dwunastej, gdy w przypiływie desperacji zapukałem do drzwi Daszy. Dziś chyba kończyła jakoś wcześniej, dwa wuefy i angielski czy coś takiego... Warto było sprawdzić.

– Cześć, Sztywny. – Otworzyła mi drzwi z głową owiniętą ręcznikiem. – Co ty, śledziłeś mnie po drodze ze szkoły? Dopiero sama zdążyłam wejść i się umyć...

– Cześć, Daszka. – Wepchnąłem się do przedpokoju. – Masz coś do żarcia?

– Mam. – Pokazała ręką na kuchnię. – Rozgość się, ja się wysuszę i przyjdę... Weź dla mnie coś też zrób!

„Coś” to w moim wydaniu kanapki i herbata, bo nawet zupę przeważnie przypalę. Za to postarałem się, ładne takie zrobiłem, z artystycznie ułożonymi kawałkami kiełbasy i długimi plastrami ogórka.

– Daj keczup. – Daszka w ogóle nie doceniła mojej inwencji, zalewając wszystko czerwoną breją i odgryzając wielkie kęsy. – Co tam u ciebie?

– Chujowo. – Wzruszyłem ramionami.

– Czyli w normie? – Wypluwając okruszki, sięgnęła po butelkę z mineralną.

– Nie, naprawdę chujowo. – Skrzywiłem się, wydłubując spomiędzy zębów kawałek chrząstki. – Widzisz?

– Eee tam, gadasz tak tylko. Ja z biologii zagrożona jestem.

– Ty? – Spojrzałem na nią, mocno rozbawiony. – Z biologii? No nie żartuj...

– Serio. Te wszystkie rośliny i inne nieożywione paskudztwa... A ja to lubię, jak w czymś krew krąży, jak są mięśnie... – Przeciągnęła się, uśmiechnęła. – I ciała jamiste...

Nie muszę wam mówić, dokąd nas ta rozmowa zaprowadziła.



– Sztywny, wiesz, tak sobie myślałam... – powiedziała Daszka, wygrzebuując się spod pościeli. – Ja to bym w filmie zagrała.

Zamurowało mnie.

– W filmie... – doprecyzowałem, podając jej papierosa. – W takim, znaczy, w telewizji?

– No coś ty. – Zaciągnęła się, oddała mi. – W pornosie bym chciała zagrać.

Taktycznie nie powiedziałem nic.

– Ale w takim ostrym, nie w jakiejś chałupniczej jebance po pijaku – ciągnęła Daszka. – Żeby montaż był, i ze dwie kamery... Fajnie by było.

– Wiesz co... – zacząłem ostrożnie – wiesz co, pokażę ci coś. Weź odpal komputer.

– No i co? – Oparła się o mnie, gdy czekałem, żeby załadował się serwer RT. – Bo to mało widziałam?

– Czekaj, tu są płatne kanały... Jak to leciało... P-I-T-A-84, potem hasło... No popatrz, loguje się!

– Masz dostęp do płatnego konta? – Dasza wyraźnie się ożywiła. – Kupiłeś?

– No co ty, głupia?

– Ukradłeś?

– Nie, to... A zresztą, poczekaj. – Kliknąłem odnośnik. – Zaraz sama zobaczysz...

– „Ten film jest niedostępny albo został usunięty przez użytkownika” – przesyłabizowała Daszka. – No faktycznie, robi wrażenie. Możemy wracać do łóżka?

– Nie no, poczekaj, ja jeszcze raz... – Dałem „odśwież”. – Przecież na pewno tu jest, tylko Internet...

– Wczytuje się normalnie. Musiał ktoś usunąć.

– Ale to niemożliwe! – Kliknąłem jeszcze raz. – Przecież to powinno kosztować dwadzieścia pięć centów za wyświetlenie!

– Pewnie kosztuje, ale nie ma. Czyli nie kosztuje...

– Ale... – Kliknąłem jeszcze raz, drugi, potem cofnąłem i na nowo otworzyłem. To samo. – Cholera...

– Idę do kibla – mruknęła Daszka. Wyciągnąłem z kieszeni leżących na podłodze spodni telefon, wybrałem numer do Prosiaka.

– Prosiak, odbierz, buraku... – Sygnał, drugi, a potem tylko krótkie, urywane. Odbił połączenie. Wybrałem jeszcze raz, odbił po dwóch dzwonek. Jeszcze raz, odbił po jednym. Kolejny – „Abonent, do którego próbujesz się dodzwonić, jest chwilowo niedostępny albo ma...”.

– Kurrrrwaa! – Zacisnąłem pięści w bezsilnej złości.

– Co tam? – odezwała się z łazienki Daszka.

– Dasz, nie wychodź, ja za dwadzieścia minut wracam! – zawołałem, wciągając spodnie. – Muszę spuścić wpierdol jednemu frajerowi!

– Dobra, tylko się nie zgrzej za bardzo – dobiegło mnie jeszcze, zanim zatrzasnąłem drzwi.

Prosiak mieszkał cztery bloki dalej, więc się nie zgrzałem.

– Prosiak, otwieraj! – Załomotałem do jego drzwi.

– Idź sobie – zaskakująco spokojnym głosem odezwał się z drugiej strony Prosiak.

– Otwórz, fiucie!

– Idź sobie.

– Prosiak, pogięło cię?

– Idź sobie, Sztywny. – Uchylił drzwi. – Idź sobie po prostu. Chcesz, to zapłacę ci, żebyś sobie poszedł.

– Ja... co? – zreflektowałem się. Tak dziwnej propozycji jeszcze nie dostałem w życiu.

– No – popatrzył mi w oczy Prosiak. – Zapłacę. Ile chcesz?

– Prosiak, dobrze się czujesz? – zapytałem, autentycznie zmartwiony.

– Nie – otworzył drzwi szerzej mój reżyser i impresario. – No dobra, teraz to wchodź, bo jeszcze ktoś cię tu zobaczy. Nikt za tobą nie szedł?

– Prosiak, idź się leczyć... – Władowałem się do pokoju. – Gdzie mój filmik?

– Skasowałem.

Przez chwilę trawiłem sens tego, co powiedział.

– Że co?

– Skasowałem – powtórzył smętnie. – Mam nadzieję, że nie za późno.

– Jak... jak to? – Rozłożyłem ręce. – Po co? Dlaczego?

– Ta *cziksa*, co ją wyrwałeś... – Prosiak podrapał się po głowie, spojrzał na mnie wzrokiem zbitego szczeniaczka. – To córka jakiegoś pułkownika była.

– ...co?

– No właśnie to. Rano jak doszła do siebie, to tatuś ją zabrał do szpitala, zrobili badania i w ogóle. „Obdukcja” się chyba na to mówi. No i zebrali z niej tyle materiału genetycznego, że cały park siurajski można by z tego wyhodować...

– O kurwa... – Wziąłem się rękoma za głowę. – O ja jebię...

– No właśnie, jebiesz – smętnie pokiwał Prosiak. – Więc rozumiesz, nyger, że filmik trzeba było zdjąć i skasować. Najlepiej byłoby i ciebie skasować, ale chyba nie masz kopii zapasowej.

– Prosiak... – Szukałem właściwych słów. – Skąd o tym wiesz?

– Mój ziomal jeden mi mówił, co w szpitalu pracuje. Miał akurat koniec dyżuru, jak ją przywieźli, no i tak pomyślał, że może mnie to zainteresować. Wiesz, że zabawna anegdotka, nie? Ktoś naćpał córkę pułkownika do nieprzytomności i wylał na nią wiadro białego złota, ha, ha, ha. Tatuś tej głupiej dupy pewnie mu urźnie jaja i powiesi sobie pod lusterkiem w czołgu, ha, ha, ha.

– O kurwa... – powtórzyłem tylko, bo nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

– Więc wybac, Sztywny, ale wypierdalaj. – Prosiak podszedł do drzwi. – Noł hard filinks, nyga, ale lajf yz lajf. Jakby co, to cię nie znam i nie widziałem; liczę na wzajemność.

– Prosiak, ale... Ty, ale Prosiak, czekaj! – Odwróciłem się już w progu. – To przecież i ciebie szukać będą...

– Mnie? – Zatrzasnął drzwi, spojrzał mi w oczy. – Mnie? Bo niby co?

– No...

– Kto jest na filmie? Ty. Kto rąbie pannę? Ty. Kto wali jej na włosy? Ty. Sory, men, ale nawet w barze gadałeś z nią ty, nie ja. Mnie tu nie-by-ło. Gadyt, nyga? No to bidit i stej loł.

– Ale gdzie ja mam się schować, Prosiak?

– Nie wiem, men, ale nie u mnie. – Znaczącym ruchem dał mi do zrozumienia, że czas minął. – Ja na twoim miejscu bym wlaźł w jakąś dziurę i z niej nie wyłaził przez parę dni... Albo tygodni jeszcze lepiej.

Kurwa. Zostałem sam na korytarzu... W ogóle zostałem sam. Tak całościowo.

Idąc po ulicy, starałem się naciągnąć kaptur jak najgłębiej na twarz i ogólnie nie zwracać na siebie uwagi. Zgarbić się, opuścić ramiona, kroki stawiać w miarę możliwości nonszalancko...

– Hej, Sztywny!

W pierwszym odruchu miałem ochotę rzucić się do ucieczki, ale powstrzymałem jakoś instynkt, tylko obejrzałem się przez ramię. Oksana.

– Hej, hej, poczekaj! Sztywny, chciałam ci...

Szpilki stukały po asfalcie: stuk-stuk-stuk-stuk-stuK-stuK-stUK-stUK-sTUK coraz bliżej i bliżej, a ja desperacko zastanawiałem się, co zrobić, żeby raz w życiu na spotkaniu z Oksaną coś zyskać, a nie stracić, jak, do cholery, rozegrać tę partię, żeby...

– Sztywny, cześmmmmfmmfmmfffhhmmmm... – Oksana zatrzepotała rękami, gdy wyćwiczonym ruchem spenetrowałem językiem jej jamę ustną, przytrzymując jedną ręką potylicę, a drugą przesuwając od razu ku strategicznym regionom pośladków. – Mmmhmmmm...

– Cześć, mała. – Oderwałem ją od siebie.

– Sztywny... – Musiałem przytrzymać ją wpół, bo aż się bujnęła na szpilkach. – Co się...

– Nic, mała. – Położyłem palec na jej uszminkowanych ustach. – Idziemy do ciebie, opowiem ci w łóżku.



Okazało się, że Oksanie zrobiło się mnie szkoda, kiedy jej sąsiad neandertalczyk spuszczał mi wpierdol. Nie dziwota, mnie też by się szkoda samego siebie zrobiło. I zrobiło się jej na tyle szkoda, że mi od razu wybaczyła, że nic jej nie powiedziałem, dokąd idę, nawet jeśli jej mówiłem, i że nie zadzwoniłem do niej, nawet jeśli byłem w Zonie. I ona się już na mnie nie gniewa, że dobijałem się do jej mieszkania.

Serio. Dokładnie tak mi to wytłumaczyła.

Efekt był taki, że przynajmniej chwilowo miałem w miarę bezpieczną metę, zapewnione żarcie i dostęp do podstawowej infrastruktury typu telewizor. Oxi na szczęście nie była świadoma moich ostatnich perypetii, więc beztrąsko pierdoliła głupoty o nowych butach na wyprzedaży, koleżankach jej koleżanek, o tym, co kto powiedział na temat tego, co ktoś powiedział, i z kim się ostatnio spotykała, i w co ci ludzie byli ubrani... Czyli standard. Wieczorem wyszła, jak zwykle, na dysko, a ja ruszyłem do Akwarium. To znaczy: powiedziałem jej, że do Akwarium idę. Tak naprawdę to nie miałem najmniejszego zamiaru się tam pokazywać – ani tam, ani nigdzie indziej, gdzie ktokolwiek mógł mnie zobaczyć – więc zawiązałem do domu po trochę swoich rzeczy (przy okazji schowałem popielniczkę pod szafę) i wróciłem do jej/naszego mieszkania.

O ile ktoś by mi za to porządnie nie zapłacił, nie miałem zamiaru się stamtąd ruszać.



Flatline: minus niecałe trzy dni

Telefon zadzwonił zupełnie niespodziewanie. Zresztą tak robią telefony: dzwonią niespodziewanie. Leży sobie taki sukinsyn na szafce spokojnie, nie daje nic po sobie poznać. Można by pomyśleć: wyłączony. A tu nagle, bez ostrzeżenia, zaczyna dzwonić.

– Brat, co jest? Nie widać cię, nie słysząc o tobie ostatnio... Żyjesz? – odezwał się w słuchawce głos Zeka.

– Żyję – mruknąłem, spędzając z kolan Oxi i wychodząc na balkon. – Żyję, ale nie chce mi się po mieście łązić. Co tam dobrego?

– Robota będzie.

– O! – Ożywiłem się. – Jakieś szczegóły?

– Nie przez telefon. Wpadnij do Akwarium dziś wieczorem, pogadamy.

– Ech...

– Wpadnij, nie marudź.



W lokalu było dla odmiany pustawo i nie powiem, żeby mnie ten stan rzeczy zmartwił. Jakoś nie ciągnęło mnie do tłumu, a już na pewno nie do nieznanomych... Szczególnie takich, którzy mogli być milicyjnymi kapusiami.

– Hej, Sztywny, jak się masz, brachu? – zawołał na mnie od stolika Prawiczek. – Chodź, kopę lat się nie widzieliśmy!

– Ano – skwitowałem. – Będzie że już z tydzień...

– No i co tam? Słyszałem, że miałeś jakieś przejścia z łysymi?

– Ta... – Potarłem schodzące już spod oka limo. – Ale było, minęło. To co, Zek już z tobą gadał?

– O czym? – wyraźnie spał się Prawiczek.

– No, skoro tu siedzisz, to pewnie o robocie...

– Ach, o tym... – Uśmiechnął się, pociągnął browca. – Nie, jeszcze nie. Jest właśnie u Szefa.

– A-ha – mruknąłem. No cóż, sam poszedł; niech i tak będzie. Zawsze wszędzie chodziliśmy razem, a do Szefa to już w ogóle, jednym głosem się tam mówiło. Przynajmniej aż do niedawna.

– Prawik, jest tak, że... O cześć, brat – poklepał mnie po ramieniu Zek. – Coś wcześniej dziś jesteś...

– Ano, tak wyszło. Brak zajęć. – Uśmiechnąłem się do niego. – Jak tam negocjacje z Szefem?

– Nno, wiesz, w zasadzie to... Ano dobrze, dobrze. Mam szczegóły roboty, wszystko wiem.

– Super. Raczysz mnie wtajemniczyć może?

– Sztywny, coś ty taki nerwowy? – Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. – Brat, wyluzuj...

Gniewasz się o coś?

– Nie... – Machnąłem ręką. – Mam w chuj rzeczy na głowie po prostu, sory.

– No dobra, spoko... W domu cię nie ma, tu się nie pokazujesz...

– Mieszkam u Oksany – chlapanąłem i zaraz pożałowałem. Trzeba było nic nie mówić. – To co to za robota?

– Idziemy po arty – nachylił się bliżej do nas Zek, ścisząc głos. – Szef ma wejście na klienta, tamten dobrze płaci, ale ma bardzo konkretne zamówienie...

– Jak bardzo? – Coś mnie tknęło, ale postarałem się nie zdradzić z przypuszczeniami. – Konkretne typy?

– Jakbyś zgadł – uśmiechnął się Zek. – W zasadzie same chemiczne: „gluty”, „kozy”, „łyszczyki”, „jeże”, ale też „krwiaki” i „skrzepy”. Dziwny dobór, co nie?

– Tak. – Przełknąłem ślinę. To były dokładnie te, które pokazał mi na swojej liście Szary. Co do jednego. Nawet kolejność się zgadzała.

– Wychodzimy jutro, więc odpocznijcie porządnie. – Odchylił się na ławce. – A dzisiaj można się jeszcze napić. Gruby, dawaj po browcu!

– Idziemy we trzech? – dopytałem się jeszcze. Nie mogłem nie zauważyć, jak wymienili spojrzenia.

– No... dawno się już razem nie chodziło na tamtą stronę, co nie? – uniósł brew Prawik.

– Weźmy jeszcze kogoś – zdecydowałem nagle, czując po prostu, że będzie mi różnie w większym towarzystwie. Więcej oczu, więcej uszu... No nie wiem. Jakieś takie miałem przecucie.

– No wiesz, brat, to zawsze jeden więcej do podziału... A nie lepiej tylko tak, w wąskim gronie?

– Lepiej. Ale weźmy jeszcze kogoś.

Popatrzyli po sobie.

– Dobra, jak sobie chcesz. Może być Struś?

Miałem już-już powiedzieć, co myślę o Strusiu, ale jakoś zdzierzyłem. Nie było sensu robić dodatkowych fochów, a i tak miałem wrażenie, że moja pozycja była... no... No nie wiem, no, ale byłem więcej niż pewien, że Zek chciał o czymś do Prawiczka zagadać, a potem zrezygnował. Tak po prostu zrezygnował, i to ewidentnie dlatego, że zauważył mnie. A przecież znaliśmy się z Prawikiem nie od wczoraj, niejedno się robiło razem. Nie to, co z takim, pożał się Boże, Gruzinem, którego poznał – ile? Tydzień temu? No może więcej, ale niedużo. I już z tamtym taka zażyłość, do Zony go wzięliśmy, no proszę... Zresztą zauważyłem już wcześniej, w Zonie, że rozmawiali ze sobą tak, jakby znali się dłużej. Tylko ja jakoś tak nagle z boku... I teraz okazuje się, że z Prawikiem chciał gadać, a ze mną już nie. Więc idea wzięcia Strusia – złośliwego, opryskliwego wielkodupca z durnym śmiechem, ale zawsze jeszcze jednego swojaka – wydała mi się lepsza niż pójście do Zony tylko z tymi dwoma.

„Tymi dwoma”. Aż sam się zdziwiłem, jak lekko mi przyszło pomyślenie czegoś takiego. A przecież z Zekiem znaliśmy się – chyba od zawsze. Od drugiej klasy, jak nic. Zawsze razem, zawsze we dwóch, jedliśmy, piliśmy, jaraliśmy i nawet dymaliśmy razem, a czasem nawet te same *cziksy*. A teraz, od pewnego czasu, nagle byliśmy OBOK. Nie wiem jak, nie wiem kiedy, ale poczułem dobitnie, że coś nas dzieli. Że z jakiegoś powodu

oddryfowaliśmy od siebie i zdawało mi się, że w tym dryfie to ja zaczynałem zmierzać ku naprawdę paskudnym wodom...

– Brat – powiedziałem po prostu, obejmując go ramieniem przy którymś kolejnym piwie.

– Brat. – Uśmiechnął się do mnie. – Nie martw się, wszystko będzie dobrze.



Flatline: minus dwadzieścia siedem godzin

Zamknąłem oczy i nabrałem głęboko w płuca krystalicznie czystego, rześkiego, zabójczo napromieniowanego powietrza Zony. Czuję, jak radioaktywny tlen miesza się gdzieś w pęcherzykach z krwią, którą następnie uderzenia serca rozprowadzają po całym organizmie, powoli nasycającym się promieniowaniem. Stawałem się integralną częścią Strefy Zamkniętej, osiągając stan zespolenia ze światem.

No dobra, trochę przekoloryzowałem; nie wiem, czy akurat tlen może być radioaktywny. Nie osiągałem też stanu zespolenia, bo właśnie odlewałem się na zmutowane liście ogromnego łopianu, więc zamknięcie oczu zdawało się bardzo na miejscu. Ale i tak było mi bardzo, ale to bardzo dobrze.

Bo przecież w Zonie jest tak cudownie, rewelacyjnie pusto. Pusto w znaczeniu jak najbardziej dosłownym i absolutnie metaforycznym; nie było tu ani ludzi, ani problemów, które ze sobą niosą. Wchodzisz do Zony i cały bagaż syfu zostaje na drutach Kordonu; nie ma wszystkich tych idiotycznych spraw, zbiegów okoliczności ani zaszłości personalnych, nie ma długów wdzięczności ani niespłaconej kasy. Wchodzisz za tę magiczną linię, i nagle – pach! Zaczynasz od zera, od nowa.

Jakbyś umierał i jednocześnie rodził się na nowo.

– Uważaj, Sztywny, bo ci coś wylezie z tego łopucha i odgryzie siura, hry, hry!

Westchnąłem, tym razem już ciężko. Struś okazał się jeszcze bardziej wkurwiający, niż się z początku obawiałem.

– Struś, odpierdol się, dobrze? – rzuciłem tylko przez ramię, strzepując swojego i zapinając rozporek. – Odpierdol.

– Bo co? – Machnął głową, gdy go mijalem. Niby się cały czas uśmiechał, ale w jego oczach było coś takiego, że... No i jeszcze ta bandana z trupa czachą. – Bo mnie zastrzelisz? Pif-paf, ju daj, madafaka?

– Może i zastrzelę – mruknąłem, gładząc rękojeść tkwiącego za paskiem forta. Nie sprzedał się na Dużej Ziemi, więc wziąłem z powrotem do Zony, a co.

– Uuuu, wielki pan komboj Sztywny! Zastrzeli mnie jak dwóch sławnych bandziorów: Czarnego i Eliasza...!

– Ty chuju...! – Rzuciłem się ku niemu, ale wpadł między nas Zek. Stojący nieopodal Prawik spoglądał na to z pewnym przerażeniem w oczach. – Puść mnie! Puść, mówię, ja mu...

– Brat, dość. Struś, stul pysk. Nie pierwszy raz ci to mówię.

– Tylko żartowałem, nie? – Rozłożył ręce, patrząc na mnie jak na jakiegoś czuba. – Spokojnie, kurwa...

– Spierdalaj. – Strzyknąłem śliną przez zęby, podnosząc swoje rzeczy z trawy. – Brat, dokąd dalej?

– Yyy... tam – pokazał kierunek ręką Zek, patrząc na trzymaną w ręku mapę. – Dobijemy do zabudowań, tam uderzymy w kimono, a jutro poszukamy Stacji.

Ruszyłem pierwszy, żeby na nikogo nie patrzeć. W ogóle starałem się iść na szpicy, bo

prowadzący zawsze dostaje większą działkę od znaleźnego, a mi akurat zależało na kasie. Cholera – co to się narobiło, żeby w Zonie myśleć o pieniądzach? Nie był to dobry pomysł, ale też niespecjalnie miałem wyjście, bo czarne chmury cały czas wisiały nad moją nieszczęsną, umęczoną głową. Dobry połów na tym wyjściu był dla mnie kwestią życia i śmierci – i wcale nie była to przesada.

A tak pięknie akurat było tego dnia w Zonie...! Jak rzadko kiedy ani chmurki, ani jednego obłoczka na niebie, tylko czyściutki, idealny lazur, lekko zachodzący szarawą mgiełką bliżej ku linii horyzontu. Słońce nawet przyjemnie grzało, leciutki wiaterek miło poruszał koronami drzew, gawrony sobie krakały radośnie. Życie nie umierać w taki dzień przecież; a tu tysiąc dolców cały czas przed oczami. A w zasadzie to brak tysiąca dolców.

Gdzieś z przodu jakoś tak dziwnie trawa falowała, jakby wiatr w drugą stronę wiał. Wszystko dokoła takie spokojne, czyste, sielankowe wręcz, i tylko ta trawa się nie w tę stronę gnie; pokazałem palcem, żeby pozostali też widzieli, skręciłem ostro w bok. Pogranicze już zaraz miało się skończyć, nie było sensu ryzykować; cholera wie, co tam może być.

– A nie lepiej podejść, poszukać, czy coś może nie wysrała? Hry, hry... – odezwał się Struś. Ćwok pazerny, do niewidocznej anomalii będzie chciał podchodzić. Miałem ochotę mu coś powiedzieć, ale zagryzłem tylko wargi; przecież ja coś warknę, ten debil się zacznie pultać, na to Zek się wmixa, rozjemca pierdzielony, i potem znowu będzie, że to ja burdy wszczynam.

– Nie tego szukamy – rzucił Zek. – Nie ma co kontenerów byle czym zapychać, bierzemy tylko to, co na liście.

Aha, jasne. I radośnie zaniesiemy to wszystko Szefowi, a mnie potem Szary przerobi na warzywo do testowania swoich radioaktywnych narkotyków.

Cholera. Zaniosę Szefowi – zajebie mnie Szary. Zaniosę Szaremu – zajebie mnie Szef. Będzie trzeba coś sprytnego wymyślić... Zachomikować gdzieś kilka sztuk czy co, jakoś podzielić. Tylko weź tu i zachomikuj radioaktywny, świecący, podskakujący kamień. No co ja, jak stalker Pietrow w dupę go sobie wsadzę...? A poza tym przecież będą widzieli, czy coś znalazłem, więc na pewno się potem doliczą. Co jak co, ale artefakty zbierało się wspólnie, potem wspólnie liczyło z handlarzem; każdy mocno pilnował, żeby koledzy nie kantowali, więc patrzyliśmy sobie nawzajem na ręce. System działał świetnie dla wszystkich, dopóki ktoś nie próbował ugrać czegoś dla siebie... Tak jak ja teraz.

– Ej, co tak do przodu żeś wyrwał? – okrzyknął mnie Prawik. Faktycznie, zamyśliłem się i wysforowałem mocno przed nich, nogi jak gdyby same niosły.

– Dawno porządnej baby nie miał, do samicy juchociąga się spieszy, hry, hry...

Zatrzymałem się, żeby coś powiedzieć, ale Zek tylko zamknął oczy i pokręcił głową. Sapnąłem, zgrzytnąłem zębami, odwróciłem się i pomaszerowałem dalej.

– Brat, co jest? – zagadnął mnie Zek, kiedy stanęliśmy na popas. Prawik akurat doił flaszkę, Struś poszedł się chyba odlać, na krótką chwilę zostaliśmy sami w ruinach pod laskiem.

– Nic – mruknąłem.

– Weź nie gadaj, brat, przecież widzę. – Przysunął się bliżej, podał mi otwartą paczkę z suszoną rybą. – Coś nerwowo jesteś ostatnio.

– Aaa, takie tam... – Machnąłem ręką, udając, że bardzo zajmują mnie sznurówki. Prawda była taka, że faktycznie mnie zajmowały, bo przetarły się prawie do zera i teraz próbowałem je jakoś powiązać.

– Chodzi o Oksanę? – Zajrzał mi w twarz. – Tak?

– No... – nie mogłem się zdecydować.

– Powiedz mi, że chodzi o Oksanę. – Zdawało mi się, że niemalże usłyszałem nadzieję w jego głosie. – Albo o twoją starą. Albo o twoją starą i Oksanę.

– Nie, cholera, nic z tych rzeczy – westchnąłem ciężko. – Pierdoli mi się wszystko ostatnio i nie mam pomysłu, co z tym zrobić.

– Aż tak bardzo?

– Aż tak bardzo. – Zamknąłem oczy. – I po tej, i po tamtej stronie.

– Weź się w garść, Sztyny.

– Trzeba będzie. – Spojrzałem w bok, skąd już wracał Struś. Uśmiechał się niby normalnie, jak człowiek, co sobie ulży, ale jakoś tak mnie ten jego uśmiech irytował. No i nie wiem, po jaką cholere go chciałem brać... Chyba po to, żeby częściowo zrobić na złość Zekowi, który wtedy w Akwarium nie chciał przy mnie powiedzieć czegoś do Prawiczka. A teraz miałem wrażenie, że akurat jemu Struś nijak nie zawadzał, a za to mnie wkurwiał dosłownie na każdym kroku.

– To co, idziemy... hyp! – podniósł się Prawik. Ten z kolei osuszył chyba całą resztkę siwuchy, a teraz z rozmachu cisnął pustą butelką w krzaki. Za drzewami coś trzasnęło, nie wiadomo dlaczego zaszurały liście, zaświszczał wiatr, a po chwili zgrzytnęło i chrupnęło szkło; musiał prosto w jakiś „grawikoncentrat” trafić. – Bo się ściemnia, he, he.

Do wieczora jeszcze daleko było, ale faktycznie jakoś szaro się zrobiło. Nieprzyjemnie tak. I gdzie to słoneczko? Gdzie się podziało błękitne niebo...? Nie uszliśmy nawet stu metrów od zagajnika, jak zaczęło kropić. Nie to, że padać, ale kropić właśnie. I kropiło tak, i kropiło, jakby nie mogło albo nie chciało się rozpadać; tylko pojedyncze krople od czasu do czasu uderzały w głowę, jak gdyby celowo irytując człowieka nie tyle samym deszczem, ile jego perspektywą.

Pomimo początkowych wątpliwości Zeka jednak rozglądaliśmy się za artefaktami; w końcu jak będzie za dużo, to najwyżej drobnicę się wytrząsnie i skitra w jakiejś norce gdzieś bliżej Kordonu, a odbierze przy okazji, następnym razem.

– Hry, hry, pierwsze koty za płoty, hry! – Struś odbiegł gdzieś w bok, schylił się i podniósł z trawy mieniący się kolorami tęczy owal. Zasraniec jeden... Musiało artefakt niedawno wyrzucić z tej „karuzeli”, co liście międli niedaleko. – Sezon rozpoczęty...!

Zawsze tak było, że jak jeden coś znalazł, to i inni zaczynali szyje wyciągać. Szyk się łamał, o dyscyplinie nie było mowy, zamiast wężykiem szło się tyralierą, przy czym każdy starał się wymanewrować innych i nie dać się trzymać w środku linii, bo tam największa szansa, że ktoś inny ci podbierze zdobycz. Normalnie gorączka grzybobrania, cholerna ich mać.

A ja nigdy grzybów nie lubiłem zbierać. Nie lubiłem, bo słabo mi to szło.

Zresztą z artefaktami podobnie było.

– Hry, hry, ruszaj się, Sztyny! – Struś wyleciał kawałek do przodu, obiegnął dokoła pokaźną „zgniotkę” i zanurkował w krzaki. – Jest, dorodna sztuka...! Chodź do tatuśka, hry,

hry....

Popatrzyłem na Zeka, ale on tylko wzruszył ramionami:

– I tak dzielimy przecież po równo.

Tak, niby tak miało być. A jeśli Struś w tych krzakach znalazł dwa arty i teraz tylko jeden zgłosi? Jeśli chce coś zamącić?

– Drugiego nie było? – zapytałem z przekąsem, gdy wracał z tryumfalnym uśmiechem na twarzy.

– Nie. – Zmieszał się wyraźnie. – Nie, no co ty, Sztywny... Dwóch naraz nawet ja nie znajduję, hry, hry.

Jak szliśmy, to zauważyłem, że ewidentnie coś poprawia pod kurtką. Znalazł, sukinsyn, dwa. Dwa znalazł i jeden dla siebie schował. A to moje krzaki miały być, ja bym tam poszedł przecież; a tak mnie ubiegł ten pajac z wielką dupą. Niedoczekanie jego.

– Słuchaj, ty się tak nie oddalaj za bardzo, bo... – zaczął Prawik i urwał. Urwał, bo w tym momencie lunął deszcz, więc reszta tego, co powiedział, jeśli powiedział cokolwiek, dosłownie utonęła w strugach wody i zagłuszającym wszystkim szumie, jak od jadącego pociągu.

– Grad! – wrzasnął Zek tak, że aż go usłyszałem. – Ja pierdołę, grad!!

– Co?! – krzyknąłem, ale po chwili sam poczułem.

Trafiliście kiedyś pod gradobicie? Takie prawdziwe, porządne gradobicie, kiedy kulki lodu – niby takie nieduże, a przecież odczuwalne w masie – lecą nieprzerwanym strumieniem z nieba, a wy nie macie gdzie się schronić? Nie? No to wsadźcie głowę pod dyszę myjki ciśnieniowej. Odczucie jest takie, jakby miało urwać uszy, wszystko boli i piecze, nie ma się jak zasłonić, bo skóra dłoni nagle okazuje się zaskakująco, boleśnie wręcz wrażliwa. Tak, gradobicie na Dużej Ziemi boli, nie ma co.

To wyobraźcie sobie, jak to wygląda w Zonie.

Popędziliśmy w dół wzgórza, ślizgając się i przewracając na lodzie, zdradliwym kobiercem pokrywającym trawę. Mimo że rósł tu rzadki las, to drzewa nie dawały zupełnie żadnej osłony, tylko igliwie i całe gałęzie leciały z góry, wprowadzając dodatkowy element zamieszania. Anomalie grawitacyjne wpadły w jakiś amok, „karuzele” i „wiatraki” wciągały w siebie całe kilogramy pokruszonego lodu, rozkręcając do naddźwiękowej prędkości i wypluwając potem salwami, zdolnymi zedrzyć skórę z twarzy... Obłąd, najczystszy obłąd.

–! – krzyknął coś do mnie Zek, pokazując ręką. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale po prostu pobiegłem w zadanym kierunku, mając nadzieję, że widział coś, czego nie widziałem ja.

Widział. Sylwetka piętrowego budynku wyłoniła się z szarawej ściany lodu, obiecując bezpieczne schronienie od bezlitośnie bijących po łbie grud. Krew lała mi się na oczy, bryła lodu musiała rozciąć łuk brwiowy, więc biegłem na wpół oślepiiony, próbując podnosić głowę tylko na tyle, żeby widzieć migające przede mną nogi Zeka. Byle się nie przewrócić, byle się nie...

W końcu wbiegłem pod zbawczy dach i nagle wszystko ustało; szok sensoryczny musiał być tak duży, że aż potknąłem się o własne nogi i jak długi rymsnąłem na ziemię. Nie czułem już nawet kolan ani pozdzieranych łokci, przekręciłem się tylko na plecy i dyszałem

ciężko, rozkoszując się brakiem bólu. Niezadługo po mnie wpadli też Struś i Prawik, którzy – niewiele myśląc – też rozciągnęli się na podłodze... Nie mogłem nie zauważyć, jak Struś poprawia jakiś kształt pod kurtką. Przeciągnąłem ręką po włosach.

– Kuuuurr... – zakląłem, patrząc na palce czerwone od sączącej się z rozbitej głowy juchy. – Ja pitolę...

– Ale jebło... – wydyszał Prawik.

– Ćśśś...! – położył palec na ustach Zek. Nie wiem, jak to robił, że trzymał się jeszcze na nogach. On też głowę miał rozciętą w kilku miejscach, po mokrej twarzy leciały mu strumyczki krwi, ręce poobijane i poranione, pewnie osłaniał twarz, biegnąc na szpiccy. A mimo to miał siłę myśleć i nawet coś robić, teraz akurat klęcząc ze swoim obrzynem przy rozchwierutanych drzwiach. – Cicho...

Dałem radę przekręcić się na brzuch, potem wstać na cztery, podpierając się o ścianę, stanąłem na dwóch. Na zewnątrz nadal waliło, hucząc absolutnie ogłuszająco o kryty blachą dach. Ki diabeł, jak on mógł cokolwiek słyszeć przez ten hałas...?

Podniósł jeden palec, a wtedy ja też to usłyszałem. Jakby... jakby coś jeszcze poza nami było w tym zrujnowanym domku. Echo dalekiego szmeru, jakiegoś dźwięku odbijającego się od ścian. Jak gdyby gdzieś tam, dalej, w głębi ciemnego korytarza ktoś nieostroźnie postawił nogę. Ktoś – albo wręcz coś.

– Ojaciepierdolę... – wyszeptał Struś, sięgając do kieszeni po pistolet. Odwodzony kurek szczęknął, a mnie zdawało się, że dźwięk był nienaturalnie głośny, nawet pośród tego wszechogarniającego szumu.

– Ty, co tam... – szepnąłem, ale Zek tylko uciszył mnie gestem ręki. Pokazał na siebie, na mnie, na korytarz: idziemy przodem.

Żaden ze mnie komandos, ale w takich chwilach, jak adrenalina ruszy w żyły, to człowiek nagle czuje się normalnie u szczytu formy. Miękkie, kocie ruchy; ostry wzrok; mięśnie grają pod skórą; reagujesz na każdy szmer; i tylko makarow w lewej ręce nijak nie pasuje do obrazka, ale całkiem nieźle dopełnia bardziej masywną sylwetkę forta w prawej. Dabel hild, a co. Oglądało się filmy.

Przesunęliśmy się kawałek po zasłanej płatami tynku i farby podłodze, starając się jak najostrożniej stawiać stopy, żeby nie robić niepotrzebnego szumu. Ciężko jest przez takie gruzowisko iść, a co dopiero się skradać, nie ma co. Prawik dyszał mi prosto w kark, sapiąc jak miech kowalski, Struś co i rusz włożył na jakieś kawałki cegieł, zgrzytające i chrupiące pod ciężkimi, wojskowymi buciorami, które z godnym lepszej sprawy uporem zawsze zakładał na wyjścia w Zonę. Zekowi podzwaniały w kieszeni klucze do mieszkania... Ja pewnie też robiłem od cholery hałasu, ale jakoś tak sam siebie nigdy człowiek nie słyszy.

Brat pokazał ruchem ręki: sprawdź pokój z przodu. Wyśliznąłem się przed niego, przesunąłem wzdłuż ściany aż do futryny, wziąłem głęboki oddech: raz, dwa, trzy... Zanurkowałem do środka.

Nic, pusto, czysto i spokojnie. Tylko drzewo jakieś przez okno zaglądało, po liściach spływała woda i rozlewała się kałużą na podłodze z częściowo odłazających od betonu płytek pecefał; hm, chyba znów grad płynnie w ulewę przeszedł. Wyjrzałem na zewnątrz, pokręciłem głową: nic. Zek kiwnął, pokazał, że idziemy dalej.

Od czasu do czasu dawało się wyłović z szumu wody jakiś szmer, a wtedy zamieraliśmy

od razu złodziej; phi...! Struś jakby na potwierdzenie słów Zeka ostentacyjnie postawił nogę na krześle i zaczął coś grzebać przy swoich wielkich, wojskowych buciorach; ja w moich adidasach stanąłem tak, żeby nogi zasłaniała mi przewrócona szafka.

– Nie macie czegoś na handel? – kontynuował Zek, widząc, że tamci poopuszczali broń. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. – Chętnie byśmy coś wymienili.

– Mało – skrzywił się przywódca nieznajomych. – Ale popatrzeć można... Rudy, daj no pojemnik!

Aj, ładny pojemnik mieli, fachowy. Nie to, co nasze samoróbki z puszek po farbie, no i pojemność zupełnie inna. Faktycznie, dużo nie zebrali, ale i tak udało się spomiędzy tego wyłowić jeden „glut”, który wymieniliśmy na „wywich” i „krwiak”. Niezbyt korzystnie, ale w końcu mamy konkretne zamówienie, prawda?

– No, padać przestało – popatrzył za okno tamten. – Pora nam ruszać w drogę... Dobrej wam Zony, włączędzy!

– A i wy się trzymajcie – odpowiedziałem machinalnie, gdy już wychodzili.

– Ejże, zaraz... – Na dźwięk mojego głosu jeden z nich zatrzymał się, odwrócił. – Hej, ty!

– Ja? – Rozejrzałem się.

– Ty, ty! Ano podejdz no tu... No podejdz! – Pozostali spojrzeli na niego; zauważyłem, jak jeden przesunął sobie broń pod rękę. Koleżka przekrzywił głowę na bok, wpatrując się we mnie intensywnie... Z naszywki na jego kamuflażowej kurtce szczyrzył zęby stylizowany truposz z ogromną szopą włosów, wyłazający z grobu, pod nim koślawy napis: *Live after death*. – A ciebie jak wołają, co?

– A co ci do tego? – zastąpił mu drogę Zek. – Sam się przedstaw, jak chcesz się oświadczyć.

– Zaraz, spokojnie – wtrącił się ten od kałasza. – Co jest, Żuczek?

– A bo ja tego... – Żuczek zmrużył oczy, patrząc prosto na mnie. Oj, nie lubię, jak ktoś tak na mnie patrzy. Aż mnie zaświerzbila ręka, żeby mu między te oczy kulkę posłać. – Ja jego głos chyba znam... Weź się odezwij!

Popatrzyli na mnie tym razem wszyscy, łącznie z naszymi. Wydałem demonstracyjnie policzki.

– Ogłuchłeś czy co?

– Daj spokój, Żuk – podszedł do niego drugi z kompanów, ten z pistoletem maszynowym. – Chodź.

– Zaraz! – Żuk strząsnął jego rękę. – Ty, do ciebie mówię!

Spojrzałem ponuro, pokazałem mu milczącego faka.

– Ach ty, ja ci...!

– Daj spokój, kolego. – Zek znacząco przełożył strzelbę przez zgięcie ramienia. – Nie wszczynaj tu burd.

– Ale ja tylko...

– Dość – położył mu rękę na ramieniu ten z kałaszem. – Dość teatrzyków, Żuczek. Idziemy, chyba że masz coś konkretnego.

– Mam! – szarpnął się tamten. – Mam, a jakże! Jak wtedy z Kowalem poszliśmy, pamiętacie, co mówiłem? Ja w domku zostałem, jak ci bandyci się zjawili! Kowala ubili, mnie nie widzieli...! A niech no pistolet pokaże, czy to aby nie ten sam!

Bez słowa wyjąłem makarowa, podałem mu rękojęcią do przodu. Oczywiście, patrząc w oczy, żeby nie zauważył przypadkiem, jak mi się kolana trzęsą, i nie zwrócił uwagi na forta w kieszeni. Rzucił tylko okiem na broń, zacisnął wargi.

– Nie ten... przepraszam – rzucił, spuszczać głowę. – Bez urazy, dobra?

Zamknąłem tylko oczy, odwracając się do niego plecami. O mały włos...

– No odpowiedz coś, Sztywny... – usłyszałem głos Strusia.

A potem zapadła cisza. Cisza, w której aż nadto wyraźnie usłyszałem, jak ten cały Żuczek wciąga gwałtownie powietrze i szczęka zapięciem od kabury, a któryś z jego kompanów zrzuca bezpiecznik; zacząłem odwracać się, wyciągając z kieszeni moje pistolety – doskonale świadom tego, że obydwa są zabezpieczone, więc na pewno nie zdążę przełączyć dźwigienek i przerobią mnie na sito... A potem był tylko basowy huk i następujące po nim dzwonięcie w uszach, gdy Zek dał ognia z obydwu luf swojej śrutówki.

– Haaaaa! – wrzasnął ktoś, prując na oślep serią po suficie i ścianie. Dym prochowy zasnuł całe pomieszczenie, rzuciłem się plackiem na podłogę, dokoła zagrzechotały kule, w twarz uderzyły mnie szczapy z drewnianych szaf i stołów. Nie patrząc nawet za siebie, dałem ognia na oślep, ktoś wpadł na mnie, ja pierdolnąłem głową w skrzydło drzwi, strzeliłem jeszcze raz w kierunku, w którym powinni być tamci, poderwałem się z ziemi i szczupakiem wyskoczyłem na korytarz.

Myślałem, że dam radę tu się wyprostować, że będzie bezpiecznie – ale ledwo zacząłem się podnosić, a już kule wyrwały w tynku obok cztery dorodne dziury, zasypując mnie drewniano-piaskowo-gipsowym pyłem. CHOLERA! Żeby to kule na wylot przez ściany latały... Może i nie do mnie walili, na pewno nie do mnie, tylko z drugiej strony, człowiek strzela, Zona kule nosi, a przecież od zbłąkanej jeszcze głupiej zginąć. Popęzłem na czworaka ku schodom; wymiana ognia ze stołówki to cichła, to nasilała się, ktoś coś krzyczał, ktoś chyba biegł, potykając się po drodze o zaścielające podłogę zdezelowane meble.

– Już ja wam pokażę, sucze syny... – mruczałem, pełznąć na czworaka po schodach na górę. Na pewno któryś już wylazł na zewnątrz, żeby naszych obejść, a ja go wtedy – pach! Niech się uczą, pedały, jak się u nas sprawy załatwia...

– Szybciej! – przeskoczył nade mną Struś, wpadając na pięterko i dając ognia do kogoś ze swojej maszynki. – Aaaa! Giń, giń, giń...!

Rozumiecie moją irytację w tamtej chwili; irytację, której nie umniejszyło nawet to, że rzeczony Struś, próbując skoczyć do jednego z pokojów, zawadził nogą o połamane krzesło i jak długi wypierdolił się na ziemię. Ja się tu skradam, a ten ćwok mi takiego berserka urządza... I to jeszcze po tym, jak mnie zdemaskował przed tymi fiutami!

– Dawaj go! – wrzasnąłem, podrywając się na nogi i dając ognia z obydwu pistoletów. Dalej w korytarzu mignęła jakaś sylwetka, skuliła się i błyskawicznie dała nura w bok do jednego z pomieszczeń, więc moje kule zaryły tylko w ścianę. Przykucnąłem i przebiegłem do najbliższych drzwi, czując, jak zgięte w pałąk plecy ciągną niemiłosiernie. Cholera, starość nie radość, śmierć nie wesele. Wtuliłem się w wilgotną ścianę niedużego pokoiku; jakiś paskudny grzyb rósł na ścianach, więc tak sobie pomyślałem, że za długo nie ma tam co siedzieć... Wyjrzałem, cofnąłem głowę; huknął strzał, kula zrykoszetowała na poziomie

mojego ramienia. No tak, trafiłem na tego z kałaszem, zasańca.



Kucnąłem, wychyliłem się z za futryny, dałem ognia; tamten schował się do swego pokoiku. Miałem już-już ruszyć ku niemu, ale zauważyłem kątem oka, jak Struś przebiega obok, więc wypaliłem jeszcze raz i drugi: niech ma jakąś osłonę chociaż, a co... Gdy dopadł do upatrzonego wejścia, strzeliłem jeszcze raz. *Cholera, dużo amunicji pójdzie, a to też ma swoją cenę...* Poderwałem się i przebiegłem do drzwi po skosie, modląc się po drodze do wszystkich świętych, żeby stalker akurat nie strzelił.

No, może nie do końca się modliłem, bo to raptem parę kroków było. Ale strach, nerwy, adrenalina; sami rozumiecie.

Wstrzymałem oddech, żeby nie zdradzić swojej nowej kryjówki. Jak na złość tamten też siedział cicho, tak samo jak ja próbując wyczuć przeciwnika... Podniosłem kawałek gruzu, przymierzyłem i rzuciłem do pokoiku naprzeciwko, gdzie zauważyłem falujący w powietrzu obrys jakiejś anomalii.

Strzeliło, huknęło, zaświszczało, podmuch nienaturalnego wiatru miotnął poderwanym z podłogi pyłem. Wychyliłem się, ściągnąłem spust...

Dwa wystrzały zwały się w zasadzie w jedno, pistolet podskoczył do góry, a mnie rzuciło w tył, okręciło; upadłem na ziemię, trzymając się za piekący bólem bark. *Jajebię, jajebię, jajebię, umieram, umieram...* Poczułem, jak robi mi się zimno, nogi zdrętwiały, przed oczami zaczęły latać zielonkawe plamy...

Podniosłem rękę, spodziewając się zobaczyć palce szkarłatne od buchającej strumieniem krwi. Tymczasem – no owszem, trochę tej krwi było, ale nie aż tyle... Jakbym się nożem zaciął. Ostrożnie pomacałem kurtkę, wsadziłem palce w rozdarcie... Ała! – zapiekło, ale... no, nie jakoś tak strasznie.

– Drasnął mnie, chujek zasrany... – mruknąłem, gramoląc się na nogi. Tak, to musiał być szok i autosugestia, bo mięśnie wcale nie odmawiały posłuszeństwa. Kurde, jednak ma się to szczęście – przeszło bokiem, tylko zawadziło skórę. Kurtka do załatania, ale za to żebra nieruszone i płuco całe. Trzeba będzie do kościoła pójść, świeczkę zapalić przed ikoną czy co...

– Hhhrryryyyy...! Aaarr...! Mpfh...! – Dopiero teraz usłyszałem odgłosy szamotaniny. Ciężkie, głuche sapnięcia, miękkie plaśnięcia uderzeń, szuranie próbujących znaleźć oparcie nóg, skrzypienie wykręcanych stawów i trzeszczenie napinających się ścięgien. Na dole wciąż jeszcze trwała kanonada, ale zdawała się nieco tracić na intensywności, chyba część uczestników już odpadła... Miałem tylko nadzieję, że ta właściwa część.

Podniosłem z ziemi obydwie pistolety, lekko słaniając się i trzymając ściany, przeszedłem do pokoiku, w którym Struś barował się z nieznanym stalkerem. Tamten akurat siedział mu na brzuchu, próbując albo udusić, albo skręcić kark... Mój ziomek rzucał się i wił, ale widać było, że przeciwnik jest po prostu silniejszy. Nawet nie zauważył, że wszedłem. Uniosłem broń, przycelowałem i pociągnąłem za spust.

– O ja pierdołę... – sapnął Struś, zrzucając z siebie ciało. – O ja jebię... Ekkhe, khy! Byłby mnie udusił....

– Nie ma za co – burknąłem, odwracając się do wyjścia.

– Sztywny, ale go załatwiliśmy, nie? Hry, hry, hry! – Walnął mnie w plecy tak, że aż przygryzłem sobie język. Spojrzałem na niego dziko, na te wyszczerzone, krzywe zęby, na te durne ślipia, patrzące na mnie ze łba przewiązanego bandaną w trupie czaszki...

Zamknąłem oczy, wziąłem głęboki wdech.

– Sztywny, żyjesz? – dobiegł mnie z dołu głos Zeka. – Sztywny!

– Żyję – odpowiedziałem, schodząc niespiesznie po schodach. Nogi mi się trzęsły, jakbym miał kolana z galarety, ręce też latały jak w febrze. Nawet pistoletów nie dałem rady schować, tylko niosłem w rękach jak ten głupi.

– No, na szczęście! – Zek kiwnął głową, objął mnie ramionami. – Już się bałem...!
A gdzie Struś?

– Struś dostał.

– O w dupę... – sapnął Prawik, przerywając bandażowanie nogi. Trupy dwóch stalkerów leżały na ziemi jak szmaciane lalki, poszarpane śrutem twarze bardziej przypominały wykwintne danie kuchni mięsnej niż obraz i podobieństwo boże. Po podłodze gęstymi kałużami rozlewała się krew, wsiąkając w szpary. – O w mordę...

– Nic się nie dało zrobić?

– Nic. – Wzruszyłem ramionami. – Prosto w serce.

– Niech mu Zona lekką będzie... Chodź, pokaż.

Trupy leżały tak, jak je zostawiłem na pięterku. Wszedłem jako pierwszy, pokazałem ręką:

– O, tutaj go przycisnęliśmy. Struś do przodu rwał, ja go próbowałem kryć, ale za ostro poszedł. No i zanim dobiegłem... Prosto w serce.

– Parszywa sprawa – splunął krwią Prawik. – Ale ładny strzał, ten twój... Prosto w łeb.

– Tyłem się odwrócił do ciebie? – Zek popatrzył na ranę wlotową i dziurę wylotową. – Bokiem?

– Tak, to... – na chwilę się zaciąłem. – Struś na niego nabiegł prosto, tamten strzelił, ale kałasz mu wypadł. Schylał się po broń akurat.

– Frajer pedalski. Szkoda, że go na śmierć ujechałeś, by się go nożem... – Prawiczek pokazał wymowny gest.

– Szkoda to Strusia. – Zek przyklęknął nad ciałem, delikatnie zamknął zastygłe w wyrazie zdumienia oczy. Rozchylił kurtkę, zajrzał pod spód. – No tak, rana prosto w sercu.

– Ano.

– Dość duża dziura, jak na kulę z siedemczwórki. Prawie dwa razy taka.

Poczułem, jak fort ciąży mi w kieszeni.

– Chyba dwa razy strzelał. Tak, dwa razy. – Przełknąłem ślinę.

– Dziwne. – Zek pokręcił głową. – Ale trudno, Strusowi życia nie wróci. Sprawdzałeś, co warto zabrać?

– Nie. – Uświadomiłem sobie, że faktycznie nie sprawdziłem. Cholera jasna! I teraz Zek znajdzie ten jego artefakt... I doda do wspólnej puli, a ja zostanę z niczym.

– Zapalniczka... Naboje... Portfel... – Po kolei wyjmował i układał zawartość kieszeni zmarłego. – Paczka prezerwatyw... Kurwa, na chuj komuś w Zonie gumka? Bandaż, ale krew zalała... Antyrady... Czekaście, coś tu jest w wewnętrznej. Coś dużego.

Zacisnąłem pięści w bezsilnej złości. A to przecież mój artefakt miał być, tylko mój...!

– Papier do srania.

– Co? – Otworzyłem oczy.

– Srajtaśma – podniósł się Zek. – Nawet w Zonie człowiek srać musi.
– Ale... Jesteś pewien, że nic więcej nie miał? Obszukałeś dokładnie?
– Tak. Sprawdź sam, jak chcesz, byle szybko. Nahałasowaliśmy nieźle, a do świeżej krwi zaraz jakaś chujoza przylezie, więc zbieramy z tych frajerów, co się da, pochowamy Strusia i spierdalamy dalej.

Sprawdziłem. Nie miał nic. Tylko tę jebaną rolkę papieru toaletowego... I zalaną krwią paczkę papierosów, z napisu na której dało się odczytać tylko jedno jedyne słowo:

Śmierć.



Rzecz jasna, nie zostaliśmy długo w feralnym budynku. Objuczeni zdobycznym sprzętem i bronią ruszyliśmy dalej, mając nadzieję, że znajdzie się jeszcze jakieś miejsce, gdzie będzie można w miarę bezpiecznie spędzić noc.

A tutaj o jakiegokolwiek lokum nie było łatwo. Tę część Strefy Zamkniętej nawet jeszcze przed 2006 rokiem porastały lasy, zagajniki i inne chaszczce, więc teraz, pod działaniem radioaktywno-anomalno-pozaziemskiej energii rozkrzewiło się to wszystko jak cholera, zdziczało i w ogóle rozbestwiło ponad wszelką miarę. Miejscami roślinność pousychała i zmarniała, tam ziały teraz wielkie, puste place, gdzie nawet trawa rosła jakaś taka żółta i krucha, jakby przy suszy; ale przeważnie dominowały nieprzebyte zarośla, w których gęstwinie mogło czaić się cokolwiek, czyli dosłownie wszystko.

Robiło się już ciemnawo, a zmierzch w Zonie to wyjątkowo paskudny czas. Kurza ślepotą daje się wtedy we znaki, wszystko nagle traci kolor i obleka się w szatę z odcieni szarości i beżu. Wzrok zaczyna płatać figle, cały czas wydaje się, że coś słyszysz, ale tak naprawdę to tylko twoja wyobraźnia rysuje ci obrazy tego, co może się czaić w krzakach... a my byliśmy, kurwa mać, głęboko w Zonie. O wiele głębiej, niż uważałem za zasadne albo rozsądne.

– Ja pierdołę, może odpuścimy? – bąknął pod nosem Prawik. – Damy radę jeszcze wrócić...?

– Nie – uciał Zek. – Nie ma szans, nie ma opcji. Idziemy do oporu.

– Nie podoba mi się to...

A mnie, szczerze mówiąc, było wszystko jedno.

Szedłem tak sobie jak na automacie, nie myśląc zupełnie o niczym i niczym się nie przejmując. Na ramieniu zawiesiłem sobie zabranego z trupa kałasznikowa, w plecaku zabranym trupowi pobrzękiwały zdobyczne pojemniki na artefakty. Miałem nawet swój własny miernik Gajgera czy jak się to tam nazywa, który jednemu z trupów też raczej nie był potrzebny. Ćmiłem sobie papierosa po trupie, którego odpaliłem zapalniczką po trupie. W nosie przyjemnie świdrowało mnie po ostatniej kresce, którą wciągnąłem sobie ukradkiem w krzakach.

Chyba przekroczyłem jakąś granicę.

– Tam! Tam coś jest – pokazał ręką Zek. Oczywiście mieliśmy latarki, ale nikomu nie

spieszyło się do zapalania światła na otwartej przestrzeni.

– Fakt – skonstatowałem, pstrykając włącznikiem. Snop rozciął ciemność, wyłuskując z półmroku zarys jakiegoś wojskowego transportera. – Chyba się nada, nie?

– Zgaś to! – syknął Zek, ale ja tylko odsunąłem rękę. Światło zatańczyło po okolicy, rzucając chwiejne cienie na drzewa i trawę. – Zgaś latarkę! Ochujałeś czy co?

– No co? – Wzruszyłem ramionami, gasząc szperacz. – Dobra latarka, zdobycza.

– Ale... – zaczął, lecz ja po prostu minąłem go i ruszyłem do wraku.

Nie było tam przytulnie, nie było wygodnie. Kiedyś musiało się to spalić, potem stało kilka lat, teraz śmierdziało plastikiem, rdzą i zgnilizną, wszędzie poniewierały się jakieś kable i inne kawałki złomu. Na podłodze kałużami stała woda i chyba coś gdzieś w tym zdechło, bo na dodatek jebało padliną. Plusem było to, że otwarty był tylko jeden właz.

– Kurde, nie zamykajmy go może – popatrzył Prawik, gdy byliśmy już w środku. – Jeszcze się zatnie i nie wyjdziemy.

– Jak w trumnie będzie – mruknął Zek, widząc, że przymierzam się, żeby pociągnąć rączkę.

– I chuj. – Napiąłem mięśnie. Żelazo skrzypnęło, rdza puściła, właz opadł i z głuchym, ołowianym huknięciem pogrzebał nas w ciemnościach.



Flatline: minus siedem godzin

– Sztywny, zwolnij trochę.

– Jak nie możesz iść, to może usiądź. Albo się połóż jeszcze lepiej, zabierzemy cię, jak będziemy wracać.

Prawik popatrzył na mnie z pewnym przerażeniem w oczach, poszukał aprobaty u Zeka, ale ten najwyraźniej zdecydował, że nie będzie się mieszać. I słusznie.

Nie wątpię, że otrzymany wcześniej postrzał w nogę musiał go boleć. Mnie też napierdalało ramię, ja też miałem jeszcze widoczne sińce na ryju. Mnie też było niewygodnie, ciężko i ogólnie chujowo na tym pierdolonym łez padole. Ja też miałem, kurwa, swoje problemy! Też miałem swoje w dupę jebane długi, kłopoty, perypetie, miałem, kurwa, koszmary o żywych trupach, o szkieletorach szatkujących ludzi, o zombie łąjących po ulicach naszego miasta i śpiących w naszych łóżkach! Też nie mogłem, nie wiem którą noc, spać, a śniły mi się same zryte horrory!! Mnie też, do kurwy jebanej nędzy, nie było lekko!!!

Ale czy ja się skarżyłem? No nie. Więc mógłby i on zacisnąć zęby, i pedałowac w milczeniu.

Szliśmy, a ja narzucałem tempo.

– Brat!

Moje tempo. Moje zasady. Mój świat.

– Brat!

Mój świat, moje problemy, moje rozwiązania. Definitywne rozwiązania.

Bez kompromisów.

– Sztywny!

Stałem, odwróciłem się.

– Czego? – zapytałem tak grzecznie, jak tylko potrafiłem.

– Bardziej w tamtą stronę – pokazał ręką Zek, nie patrząc mi w twarz. Ja, dla odmiany, uporczywie zaglądałem mu w oczy, szukając w nich śladu... No, sam nie wiem czego. Miałem wrażenie, że przeszeptywali się o czymś z Prawikiem, jak się poszedłem wyszczać.

– Okej.

Skorygowałem kurs, ruszyłem nową trasą. Przerzuciłem karabin na przód i zdjąłem z bezpiecznika.

– Sztywny... – znów zagadnął mnie Zek. Stałem w miejscu, ściągając broń z ramienia.

– Czego?

– Po co ci broń, Sztywny? – Zauważyłem, że ustawił się do mnie bokiem, prawą ręką trzymając na kolbie obrzyna. Stojący za nim Prawik sięgnął nerwowo ku zdobyczej kaburze. Westchnąłem sobie od serca.

– Kleszcze tam łążą. – Pokazałem palcem. – Pod lasem. Broń się przydaje w Zonie, gdy próbują cię zjeść jebane, kurewskie mutasy. Możemy iść dalej? Spiesz mi się do domu.

– Jasne.



Flatline: minus pięć godzin

Jak ja kurewsko nie lubię podziemi.

Szpeciallynie nie lubię podziemi w Zonie, które są jeszcze bardziej paskudne niż podziemia na Dużej Ziemi. Tam to chociaż człowiek wie, czego się spodziewać, a najgorszą rzeczą, na jaką można się natknąć, jest śmierdzący, zarzygany menel. Tam cuchnie tylko skisłą kapustą i starymi ziemniakami, szczurzymi odchodami i pleśnią.

Za to podziemia w Zonie pachną strachem i śmiercią.

Kontuzjowany Prawik został na górze, pilnując wyjścia, a ja i Zek metr po metrze przeczesywaliśmy piwnice i korytarze pod Stacją, szukając wszystkiego, co tylko mogły wypłuć z siebie anomalie od ostatniej emisji. Nie było tego jakoś oszałamiająco dużo, większość artów pogardliwie klasyfikowaliśmy jako „niewymiarówki” i wrzucaliśmy do pojemnika zbiorczego, ale część była nawet niczego, niczego sobie... Natomiast same podziemia były mocno paskudne. Na dnie kanałów wciąż zalegał gęsty szlam, cmokający i mlaskający przy każdym ruchu, ściany porastały jakieś przedziwne, lekko fosforyzujące mchy, drżące ledwo zauważalnie, gdy przechodziliśmy zbyt blisko. Miejscami w powietrzu wisiała zielonkawa mgiełka, a wtedy zatykało się nos i zamykało oczy, przebiegając szybko

feralny odcinek... Tak, nie było cukierkowo.

– Ufff... Chwila przerwy, co, brat? – Zek opadł na jeden z nielicznych suchych podestów przy schodkach na górę. – Bo ja już nóg nie czuję.

– Dobra.

Siedzieliśmy tak w milczeniu, słuchając tylko, jak gdzieś daleko woda miarowo skapuje z od lat nieczynnej instalacji na ziemię: kap... kap... kap... Nie chciało mi się nawet ruszać, gdybym mógł, to pewnie przestałbym oddychać. Gapiłem się bezmyślnie przed siebie, jak gdyby mój mózg wyłączył się z powodu braku bodźców, które miałyby pobudzić go do życia.

– Idziemy dalej? – pytanie zakłóciło moją idealną ciszę i bezruch idealnie nieżywego świata. Skrzywiłem się, stanąłem na nogi.

– Tak.



Flatline: minus jedna godzina czterdzieści minut

– No już myślałem, że się was nie doczekam!

Wnosząc po tonie głosu, Prawik naprawdę musiał tak myśleć. Minę miał wyjątkowo nieszczęśliwą, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– Nie dramatyzuj – ofuknął go Zek, podając jeden z plecaków. – Bierz swoją część towaru i wynosimy się stąd. Nie podoba mi się tutaj.

– Ja... ja miałem wrażenie, że coś tu łązi pomiędzy budynkami...

Wyciągnąłem rękę po karabin, ale pokręcił nerwowo głową, przyciskając broń do piersi. Oczy miał wielkie jak pięć kopiejek, broda mu się trzęsła, spocony jak mysz... Szarpnąłem, wyrwijąc mu kałasza, on tylko pisnął cicho. Szczęknąłem zamkiem, złapałem wylatujący z komory nabój, wsadziłem do kieszeni:

– Mięczak.

– Spierdalamy stąd – rzucił tylko Zek.

Gdy mijaliśmy domek wartownika przy głównej bramie, po niebie przeniósł się głuchy grzmot. Ciężkie, granatowe chmury zbierały się na wschodzie, kłębiąc się i przelewając w porywach zimnego wiatru. Szedłem przodem, wyciągając mocno nogi, ale oglądałem się też na nich, czy aby nadążają; Prawika gnał strach, więc deptał mi po piętach, Zek trzymał się nieco za nami, też rozglądając się uważnie na boki i pilnując tyłów. Wydawało mi się, że gdzieś z tyłu, w prześwicie pomiędzy budynkami, zauważyłem jakiś ruch – jakby człowiek się przemknął albo coś takiego. Mogło mi się wydawać... Albo i nie.



Flatline: minus jedna godzina

Odeszliśmy od Stacji już spory kawałek, przynajmniej w kategoriach Zony – po prostej to było nie więcej jak czterysta metrów, ale tutaj podobno na wprost nie chodzą, więc nazygzkowaliśmy się po drodze ostro, żeby wyminąć wszystkie anomalie, potencjalne anomalie i w ogóle podejrzone miejsca. Wiatr rzucał połami kurtek, świszczwał w uszach i wciskał się pod ubrania, liżąc chłodnym jęzorem po odsłoniętych częściach ciała. Po niebie pędziły skołtunione obłoki, wierzchołki drzew gięły się i falowały, liście wykręcały się jaśniejszą, spodnią stroną, wieszcząc nieuchronnie nadciągający kataklizm pogodowy.

– Uwaga, psy! – krzyknąłem jako pierwszy, widząc wypadające z krzaków po lewej bure sylwetki. Poderwałem kałasza do oka, dałem ognia pojedynczym, zaraz po mnie Zek huknął ze swej śrutówki: jeden ze ślepaków potknął się w biegu, jakby podcięła go niewidoczna lina, zaskowyczał i zaczął rzucać się w trawie, wijąc się i przebierając w powietrzu łapami. Strzeliłem jeszcze raz, kolejny pies zawinął się w powietrzu, ale uświadomiłem sobie, że stado nie zwraca na nas uwagi. Bezokie bestie skrzyły tylko ostro, żeby nie wpaść na nas, nie zwalniając nawet pędu, skryły się w wysokich trawach.

– Czekaście, warto ogony zdjąć. – Prawik wyciągnął nóż, podkuśtykowując do zdychających mutantów. – Zawsze to pieniądz...

Nagle światło jakby przygasło, zrobiło się zauważalnie ciemniej. Zamachałem rękoma, złapałem się za oczy, czując, że ślepnę – ale po chwili szary blask dnia powrócił, rozjarzył się mocniej, bijąc w źrenice. Zek krzyknął coś, a jakby mu do wtóru po niebie poniósł się potężny, dudniący grzmot, ziemia zatrzęsała się i zafalowała pod nogami.

– Emisja! – ryknąłem, czując, jak włosy na całym ciele stają mi dęba. – Kurwa mać, emisja!

– Niemożliwe! – niemalże płaczliwie zawołał Prawik, rzucając w trawę dopiero co odcięty ogon i podbiegając ku nam. – Niemożliwe... to... Przecież dopiero co była!

– I co z tego, kurwa jej mać!?! – zawołał Zek, przekrzykując świst wiatru. – Tu reguła nie ma, tutaj Zona! Wracamy do Stacji, musimy przeczekać!

Niebo nad nami powoli przybierało barwę szkarłatu, ledwo widoczne fragmenty bez chmur mieniły się opalizującą zielenią i żółcią. Zrobiło się ciemno jak przed zmierzchem, tylko gdzieś nad centrum Zony zaczynała rozjarzać się jaskrawożółta poświata, pływająca i falująca na niebie niczym zorza magnetyczna nad dalekim biegunem północnym. Nad polami i lasami poniosło się chóralne wycie setek gardeł, nienależących ani do człowieka, ani żadnego normalnego zwierzęcia...

Było grubo.

Pędziliśmy na tyle, na ile da się w Zonie pędzić – czyli po prostu szliśmy, chociaż nogi aż same rwały się do biegu, no przynajmniej do truchtu jakiegoś! Czegokolwiek szybszego niż zwykły chód! A tu nic z tych rzeczy, nie wolno, nie da się. Nie da się, a już na pewno nie teraz, nie przed emisją, gdy anomalie podobno zaczynają migrować i przesuwają się na nowe miejsca.

– Kurwa mać, nie da się, tutaj na wprost coś jest! – zawołałem, widząc, jak rzucona śruba zmienia się w locie w strużyny. – Musimy obejść!

– Przecież tędy szliśmy! – Zek przepchnął się przede mnie. – Ja pierdolę, nasze ślady są!

Co za pojebane miejsce...!

– Tam! – Machnąłem ręką w prawo. – Biegiem!

Pobiegliśmy. Pobiegliśmy, ja tylko rzucałem przed siebie śruby, żeby jako tako oznaczyć drogę. Chuj, nie lubię tego, to durny stalkerski zabobon, ale jakoś nagle wydało mi się to całkiem niegłupim pomysłem. Jak człowiek nie ma nic innego, to i śruba się przyda...

Dotarliśmy już niemalże do bramy na teren Stacji, w zasadzie to byliśmy już na poprzerastanej trawą asfaltowej drodze, prowadzącej do kompleksu, gdy nagle zauważyłem, że od strony zabudowań zbliża się ku nam... coś. „Coś” to bardzo stosowne określenie w takiej chwili, bo przecież nie jesteś w stanie niczego zobaczyć dokładnie, gdy pot zalewa ci oczy, nad głową huczy i dudni zbierająca się emisja, a dokoła pełno śmiertelnych pułapek... Zaryłem piętami w ziemię, złapałem za kołnierz Zeka, który już-już miał mnie wyprzedzić; Prawik wpadł na mnie całym impetem, odbił się i upadł. Zmrużyłem oczy, próbując dopatrzeć się, co to też takiego...

– Juchociąg!!! – wrzasnąłem i rzuciłem się do ucieczki.

Tak, do ucieczki. Tak, w przeciwną stronę, czyli ku otwartej przestrzeni, a od zabudowań. Nie, nie myślałem w tamtej chwili racjonalnie... Chyba nikt by nie myślał.

Biegłem, jakby mnie sam diabeł gonił, bo w zasadzie to właśnie mnie gonił. Nie zważając na anomalie, nie patrząc ani za siebie, ani przed siebie... Po prostu byle dalej.

W końcu potknąłem się o coś, wywaliłem jak długi w trawę. Zacząłem gramolić się na nogi, ale wtedy dogonił mnie Zek, pomógł wstać... Zaraz za nim dokuśtykał Prawik, jakimś cudem dający radę utrzymać tempo.

– Nie ma go...! – wydyszał ciężko. – Nie ma go, zawrócił... Ja do was krzyczałem, ale nie słyszeliście... Schował się...

– Kurwa, musimy... Musimy tam wrócić... – sapnął Zek. – Nie ma opcji, wracamy.

Spojrzałem na niego dziko, ale wiedziałem, że ma rację. Kiwnąłem tylko głową.



Flatline: minus zero czterdzieści cztery

Weszliśmy od innej strony, przez zerwaną siatkę nieco z boku od bramy. Rubinowy poblask nadawał przedziwne kolory otaczającemu światu, błyskawice co i rusz przecinały niebo, nieziemski huk narastał, a my czuliśmy, że czasu coraz mniej... Ale nie było wyjścia, musieliśmy tu wrócić. Wrócić i albo zatłuc, albo oszukać cholerną bestię, na myśl o której aż mi się nogi trzęsły.

– Ćśśś... – syknął Zek. Oczywiście syknięcia nie było słychać przez wszechogarniający łomot i dudnienie grzmotów, ale gest był aż nadto wyraźny. – Tam.

Przebiegliśmy kawałek ku najbliższemu budynkowi, chowając się w cień wejścia.

– A tu nie wystarczy? – Pokazałem na pomieszczenie.

– No gdzie, dach za cienki! – pokręcił głową Zek. – I okna są, usmaży nas albo ten chuj nas dorwie! Biegniemy na główny budynek!

– Przez duży plac? – zaskamlał Prawik. Oj, taki był z niego twardziel na Dużej Ziemi, swoim nożem ciągle szpanował, a tutaj jak baba normalnie. – Zobacz nas...!

– Nie zobaczy. Dawajcie, za mną!

Ruszyliśmy truchtem, kuląc się i przytulając do muru. Emisja już cisnęła na mózgi, oczy zaczynały śwędzieć, język puchł, ale do masywu piętrowych biur nie było daleko. Wpadliśmy na plac...

– Heeej!! – wydarł się nagle Zek. – Eeeeeej!

Zahamowaliśmy, bo i on stanął. Popatrzyliśmy na siebie z Prawikiem, potem na Zeka, machającego rękami i kręcącego się w kółko.

– Heeeeeejjj!! – krzyknął jeszcze raz.

– Co robisz, kurwa?! – Trzepnąłem go w ramię, ale on tylko skrzywił się, obrócił do mnie:

– Musimy go zwabić tutaj! Pomóżcie!

– Kurwa, co za debilny... – zacząłem, ale Prawik, z oczami ogromnymi jak kamienie młyńskie, już podskakiwał w miejscu:

– Eeee! Uuuu! Chujuuuu!

– Heeej! – zawołałem i ja, czując się jak zupełny idiota. Nadchodziła emisja, a my staliśmy na środku otwartej przestrzeni i staraliśmy się przyciągnąć uwagę najstraszniejszej rzeczy, jaką widziałem w życiu. – Jeeee!

– Heee... – zaczął Prawik, ale krzyk uwiązł mu w gardle. Obróciliśmy się od niego, popatrzyliśmy tam, gdzie on...

Jest. Stał tam, bydlak jeden, pod murem... Widać było go tylko po lekko rozmywających się konturach przedmiotów za nim, no i po dwóch lśniących punkcikach oczu. Te oczy...

A potem po prostu ruszył. Prosto na nas.

Podrzuciłem kałasza, wziąłem go na cel. Dzieliło nas nie więcej jak pięćdziesiąt metrów.

– Co teraz?! – wrzasnął Prawik.

– Brat – odezwał się Zek.

– Co? – Odwróciłem się do niego, nie spuszczając lufy ze zbliżającego się stwora.

– Wybacz, brat.

Huknął strzał.

Przez chwilę myślałem, że to ja pociągnąłem za spust... A potem ugięły się pode mną nogi, ziemia zaczęła się podnosić, świat przekręcił się o dziewięćdziesiąt stopni i przytulił do mojej skroni. Poczujęm tylko, jak ktoś wyrywa mi z ręki karabin i ściąga plecak, zobaczyłem, jak Zek odbiega ku budynkom, zaraz za nim, obejrzawszy się jeszcze raz przez ramię, pokuśtykał Prawik... A ja zostałem na środku placu, leżąc na boku i patrząc na kluczącego między anomaliami chłęptokrwija.

Potwór zaryczał, czując świeżą krew. Moją krew. Już-już miał ruszyć na ostatnią dzielącą nas prostą, niemalże zobaczyłem, jak półprzezroczysty kształt przygarbia się i zbiera w sobie... A potem zrobił przedziwną rzecz: zatrzymał się i popatrzył prosto na mnie. PROSTO NA MNIE. Kontury sylwetki wyostrzyły się, zadrgały, gdy zasłona niewidzialności opadała, odsłaniając najpierw nieduże kawałki, a potem coraz większe

fragmenty ciała. Łeb z wijącymi się mackami przechylił się na bok, jakby stwór namyślał się, potem przekręcił ku budynkom, do których pobiegli moi byli towarzysze. Potem jeszcze raz popatrzył na mnie, znów ich śladem... Monstrum ryknęło, po czym rzuciło się w kierunku, w którym uciekli Zek i Prawik, już w biegu przyoblekając swą niewidzialną formę.

Chyba jakoś w międzyczasie się zeszczałem ze strachu.

Najwyraźniej doszedł do wniosku, że ja się nigdzie nie wybieram... a takiej szansy nie mogłem przegapić. Czepiając się paznokciami asfaltu, wlokąc za sobą nogi, na które promieniowało bólem przestrzelone podbrzusze, zacząłem czołgać się, kawałek po kawałku, cal za calem podciągając się ku włączowi studzienki kanalizacyjnej. Nie było niby daleko – metr? dwa? – a pełzłem tam całą pieprzoną wieczność bólu i cierpienia. Czuję, jak każde uderzenie serca wypompowuje ze mnie krew, która wyciekała przez dziurę i rozmazywała się za mną szkarłatnym śladem. Falami napływał brak czucia i dławiące nudności, wywoływane przez przesączającą się z nieba radiację...

Kolejny ryk rozdarł powietrze, ale tym razem wyraźnie słychać było w nim nutę zawodu i wściekłości. Czyli złożona ze mnie ofiara nie poszła na marne, przynajmniej dla Zeka i Prawika. Pewno zdążyli gdzieś się zabarykadować i juchociąg nie dał rady ich dorwać... a teraz pewnie wróci po mnie.

Nie czekałem, żeby sprawdzić; mocniej wyrzuciłem tylko rękę do przodu, szarpnąłem się cały, podbrzusze odezwało się rozdzierającym bólem, ale parłem naprzód jak uszkodzony żelazny szkieletor ze starego filmu: ręka i do przodu, ręka i do przodu, tak jak on, miarowo i niepowstrzymanie... To jest na chwilę przed tym, jak zgmiotła go prasa do metalu.

Posokowiec odezwał się, ale tym razem o wiele bliżej. ZUPEŁNIE BLISKO.

Zobaczyłem tylko, jak zbliża się do mnie rozmazana sylwetka, jak monstrum kołysze się z boku na bok i szeroko rozkłada długaśne łapska... Strach dodał mi siłę, złapałem rękami za krawędź odsłoniętego włączu i pociągnąłem mocno, czując, jak studzienka tchnie mi w twarz chłodem i wilgocią. Na nieskończenie krótką chwilę zawisłem górną połową ciała nad otworem, a potem grawitacja zrobiła swoje i poleciałem w dół, do wtóru huku pękającego nade mną nieba.



Flatline: minus zero trzydzieści siedem

Ocknąłem się do wtóru ryku posokowca.

Rzuciłem się, chciałem poderwać, ale zawyłem tylko z bólu i przerażenia: nie byłem w stanie się poruszyć.

Studzienka, na której dno spadłem, była na tyle wąska, że nie miałem najmniejszej nawet szansy, by przekręcić się w jakąkolwiek stronę i spróbować wczołgać głębiej w kanał

burzowca. To znaczy inaczej: bez trudu dałbym radę to zrobić, ale nie z dziurą w brzuchu... a już na pewno nie podczas emisji, która napełniała moje żyły kwasem, a kości ołowiem.

Bestia zaryczała znowu, próbując wcisnąć się w zbyt wąski otwór. Ze ścian sypał się piach, zdawało mi się wręcz, że betonowe kręgi trzeszczą i pękają pod naporem parusetkilogramowego potwora; ale chyba tylko mi się zdawało, to pewnie trzaskały naczynia krwionośne w moich oczach.

Spróbowałem podkulić nogi, bo szponiaste łapsko rzucało się w powietrzu dosłownie centymetry od mojego lewego buta... Ale nie było szans, i tak byłem poskładany jak scyzoryk, a mięśnie zupełnie się mnie nie słuchały. Zamiast tego sięgnąłem do kieszeni, po pistolet – no tak, ale forta wypuściłem przecież na górze. Za to... makarow?

Nadludzkim wysiłkiem, bardziej siłą woli niż mięśniami, uniosłem lewą rękę: pusta. Ale przecież miałem go, ścisnąłem w dłoni, czołgając się po asfalcie! Więc... wypadł czy...? PUŚCIŁEM. Puściłem go, spadł do studzienki na chwilę przed tym, jak podciągnąłem się do wjazdu. Czyli powinien tu gdzieś być...

Jest. Namacałem znajomy kształt, niemalże z rozrzewnieniem podniosłem do oczu. Mój stary, dobry, dziadowski makarow. Gdybym go nie zdradził, nie połasił się na forta, to nie byłoby tego wszystkiego; ale było, i płacz nad rozlanym mlekiem nie miał sensu. Teraz jedynym wyborem, jaki miałem, był sposób spędzenia tych ostatnich chwil. Uniosłem w trzęsącej się dłoni pistolet, wycelowałem prosto we wciąż próbującego sięgnąć mnie posokowca.

– Ty chuju... – wyszeptałem, a potem pociągnąłem za spust. Raz, drugi, trzeci...! Kule nie mogły nie trafić, więc chociaż rozrzut miały potworny, to wszystkie weszły prosto w cielsko mutanta. Na twarz chlapnęła mi czarna krew, bestia zaryczała, rzuciła się do tyłu i zniknęła mi z oczu.

– No to teraz ja. Jak Gagarin... – mruknąłem, przekręcając lufę do siebie. Zacisnąłem oczy, czując zimny okrąg lufy opierającej się o skroń. – Wybacz mi, mamó.

KLIK.

Poczułem, że chce mi się płakać: zacięcie! Zacięcie na samobójczej kuli... Po kilku próbach dałem radę zaczepić szczerbinę o szlufkę spodni i popchnąć broń tak, żeby wyrepetować feralny nabój z komory. No, to teraz musi już pójść gładko.

Popatrzyłem tępo na suwadło, które zostało w tylnym położeniu i nie chciało wrócić. Przekręciłem grzbietem ku sobie, zajrzałem w pustą komorę naboju. OSTATNI. TO BYŁ MÓJ OSTATNI, A JA NAWET TO SPIEPRZYŁEM... Puściłem pistolet, który mlasnął gdzieś w błoto. No to mogłem już wyłącznie czekać na koniec.



Flatline: osiem minut

A zatem leżałem sobie i krwawiłem.

Konkretnie to leżałem sobie, jak już wiecie, na dnie studzienki kanalizacyjnej i krwawiłem z rany postrzałowej w brzuch. Rany, którą otrzymałem z postrzału z przyłożenia, i to od człowieka, którego od zawsze traktowałem jak rodzinę i uważałem bez mała za swego brata... Ale cóż, takie życie.

BYŁO.

Nawet szczególnie już mnie nie bolało, w każdym razie w porównaniu z tym, jak strasznie bolało z początku. Organizm pewnie słabł, a wraz z nim tępiało odczuwanie wszystkiego. Zostało tylko jakieś takie przyćmione wrażenie, odzywające się od czasu do czasu krótkim ukłuciem wokół rany i rozlewające po otrzewnej tępym, ale skądinąd kojącym brakiem czucia. Ledwo czułem nogi, ale tym razem nie było to już tylko złudzenie wywołane szokiem; widziałem, jak czubki butów sterczały gdzieś tam w górze, ale nie byłem w stanie nijak nimi poruszyć. Co ciekawe, raz na jakiś czas to jedna, to druga noga podrygiwała sama z siebie, a potem znów zamierała w bezruchu. Podrażniony nerw? Promieniowanie elektromagnetyczne z szalejącej nade mną burzy? Trudno powiedzieć. Ręce miałem całe upieprzone własną juchą, która zdążyła dokumentnie przesiąknąć kurtkę i spodnie, zalało pewnie też papierosy i zapalniczkę... A przydałoby się teraz zajarać ostatniego, może ze szlugiem by lepiej poszło.

A może tak naprawdę to wszystko właśnie mnie bolało, i to potwornie bolało, tylko że nie czułem nic, bo całą resztę wrażeń przyćmiewało uczucie wypływającego przez uszy mózgu o konsystencji rzadkiej jajecznicy? Nie byłem już nawet do końca pewien, ale chyba tak – jednak głowa bolała bardziej. Bądź co bądź, leżenie sobie pod gołym niebem podczas emisji to nie przelewki.

Na zmianę to wypływałem na powierzchnię świadomości, to zapadałem w odmęty niepamięci.

A zatem leżałem sobie i krwawiłem, w dodatku szalejący nade mną huragan anomalnej energii powoli zmieniał mi mózg w kaszę. Gałki oczne zdążyły się już chyba ugotować na twardo, język napuchł, wylazł z ust i majtał się gdzieś w okolicy szyi, cały pokryty był własnymi rzygowinami i krwią. Nie ma co, piękny sposób pożegnania się z życiem dla (w miarę) szanującego się stalkera... Chociaż nie, jaki tam ze mnie stalker był. Ani ja stalker, ani nawet szanujący się. Szmatą zwykłą za życia byłem, to i szmatą umieram. Jak na drobnego bandytę przystało.

Leżałem tak i umierałem powoli, zastanawiając się tylko, czy zdążę się wykrwawić, czy też zabije mnie przysłowiowy gniew Sarkofagu; skoro odebrano mi ten ostatni wybór, jaki jeszcze miałem, pozostawało tylko myśleć i dywagować. Nie mogłem też się zdecydować, czy bardziej odczuwałem pulsującą krwią ranę brzucha, czy bąblujący pod czaszką mózg.

Szkarłatne niebo przelewało się, ryczało i wyło jak rzeźnia pełna upośledzonych umysłowo dzieci, a ja czułem, że finalnie zaczyna odpływać ode mnie świadomość. Na chwilę przed tym, jak definitywnie i ostatecznie pochłonęła mnie otchłań niebytu, w moim udreńczonym, na wpół usmażonym mózgu rozbłysło jeszcze i zgasło ostatnie w życiu pytanie:

Cholera...

...jak w ogóle do tego doszło?



Flatline – – – – – *

Uświadomiłem sobie, że widzę.

Widzę jaśniejszy okrąg pośród bezmiaru czarnej pustki, zasłaniającej wszystko, jak tylko okiem sięgnąć; jasny, równy, niczym od cyrkla wycięty okrąg pośród atramentowej czerni. Ciepłe, spokojne światło sączyło się przez ten okrąg, niczym z innego, lepszego świata, zalewając mnie delikatną, kojącą poświatą, jak letnia woda z prysznica na plaży w pełnym słońcu. Tak... wydawało mi się nawet, że widziałem zarysy srebrzysto-złotawych obłoków, sunących po idealnie błękitnym niebie. Zupełnie jak z obrazka w katechizmie dla najmłodszych albo z reprodukcji wiszącej u babci nad łóżkiem. Takie ciepłe, dobre światło.

Wyciągnąłem ku niemu rękę, widząc, jak obrys dłoni zasłania ciemniejszą plamą fragment świetlistej sfery. Zmrużyłem oczy, próbując sięgnąć dalej i dalej, dotknąć absolutu, który zdawał się tak blisko, że niemalże mogłem poczuć obecność...

A potem dotarło do mnie, że patrzę ku górze z dna studzienki kanalizacyjnej.

Mrugnąłem raz i drugi, próbując złapać ostrość widzenia. Kontrast nieco osłabł, światło przygasło, wróciły normalne kolory. Widziałem już betonowe kręgi, poprzerastane korzeniami chwastów i bylin, długąśnymi wąsami zwieszającymi się w dół, niczym jakieś fantasmagoryczne liany albo kępki długich, rzadkich włosów. Jaśniejsze, wyciągnięte w dół trójkątne plamy zacieków, ciemniejsze kępki mchu i porostów wyżej, tam gdzie dochodziło światło... I ja na samym dnie, nie do końca pewny – gdzie jestem? dlaczego tam jestem? co się stało? i dlaczego w ogóle żyję...?

Na próbę poruszyłem ręką, potem przekręciłem głowę, zamknąłem i otworzyłem oczy. O dziwo, miałem kontrolę nad ciałem, wszystko reagowało normalnie. No, z grubsza normalnie w każdym razie, ale reagowało.

Czyli jeszcze żyłem.

Poruszyłem się: najpierw nieznacznie, potem mocniej i jeszcze bardziej, wijąc się i skręcając, próbując podłożyć nogi niżej pod ciało, a wyżej wywindować głowę i ramiona. W końcu udało mi się przekręcić tak, że leżałem na boku z podciągniętymi pod brodę kolanami; dopiero wtedy odważyłem się dotknąć ręką dziury w przesiąkniętej krwią kurtce, pod którą gdzieś ziała rana w brzuchu.

O dziwo, gdy podniosłem rękę do oczu, to nie była cała mokra i czerwona. Raczej brązowobura od tego, co już wcześniej ze mnie wyciekło i zdążyło zaschnąć, ale świeżej juchy nie było tak znów dużo. I chyba nie bolało nawet tak potwornie... ale nie byłem też do końca pewien, czy nie boli mnie nic, czy właśnie boli wszystko, ale jednakowo mocno.

Przekręciłem się i podniosłem, czując, jak drżą mi kolana. W każdej chwili oczekiwałem uderzenia bólu, który przeszyje podbrzusze i znów powali mnie na ziemię; o dziwo, ból nie nadszedł. W każdym razie nie aż tak straszliwy, jakiego się spodziewałem. Ciągnęły mnie wszystkie mięśnie, w stawy jakby ktoś nasypał piachu, oczy ledwo poruszały się pod powiekami, ale jakoś sobie radziłem.

Powoli wyprostowałem się, chwilę wahałem, gdy okazało się, że studzienka była na tyle

plytka, że będzie mi z niej wystawać głowa. Schyliłem się, szukając pośród liści i śmiecia pistoletu... Ano tak, faktycznie: przecież pusty był, cholera. A naboje w plecaku, a plecak chuj wie gdzie.

Wystawiłem ostrożnie głowę ponad cembrowinę, rozejrzałem się: cicho, pusto. Spokojnie. Nierówny asfalt placyku, dokoła puste skorupy budynków, ślepe okna i pozapadane dachy. Nikogo, niczego. I tylko ja wyglądam ze studzienki kanalizacyjnej jak ten świstak z norki.

Czując się mocno nieswojo, wygramoliłem się pospiesznie z mojej dziury. Dopiero co przeszła emisja, cholera wie, co się może tu czaić, a ja sterczę jak ten kołek na otwartej przestrzeni. Bez broni, bez wyposażenia, nawet bez przysłowiowej śruby, żeby drogę przed sobą sprawdzać. Słaniając się i potykając, pobiegłem ku najbliższym budynkom, żeby oprzeć się plecami o ścianę i chociaż jedną stronę mieć bezpieczną.

Pogoda była iście sielankowa. Słoneczko przeświecało sobie pomiędzy leniwie płynącymi po niebie obłoczkami, ledwo dostrzegalnie kołysały się wierzchołki drzew, muskane podmuchami delikatnego zefirku. Cienie chmur przesuwają się po ziemi, wpełzając na ściany i spływając po dachach, nadając całej scenerii wygląd niczym z pokazowego filmiku efektów pogodowych ze starej gry komputerowej... Tylko że to działa się naprawdę, bo nie siedziałem przed komputerem w domu, a trząsałem się ze strachu i wyczerpania, przesuwając wzdłuż zimnej ściany opuszczonego budynku gdzieś w tym piekle na ziemi, aż nadto dobrze świadom tego, że pośród tych ruin może się czaić najprawdziwszy posokowiec.

Zadrzałem. Nie przepadałem za Zoną, a za jej pokręconymi bękartami w szczególności. Kiedy miało się broń, szło się w grupie, no to jeszcze jako tako dało się znieść świadomość, że może nie było się jedyną istotą żywą w okolicy; natomiast perspektywa samotnego przemierzania bezmiaru pożółkłych łąk napawała mnie prawdziwym strachem, który...

Zatrzymałem się i wsłuchałem we własne odczucia. W zasadzie... w zasadzie to było tak, że perspektywa samotnego przemierzania bezmiaru pożółkłych łąk POWINNA napawać mnie prawdziwym strachem, który bla, bla, bla, bla, bla, ale z jakiegoś przedziwnego powodu NIE napawała. To znaczy – no właśnie, to znaczy co? Owszem, wiedziałem, że gdzieś dokoła pewnie są mutanty. Nieszczególnie miałem ochotę się z nimi spotkać, bo pewnie mnie zabiją i zjedzą albo po prostu zabiją. Miałem zamiar tego uniknąć, ale czy się – bałem? No nie, szczerze mówiąc, to chyba nie. Na pewno nie aż tak bardzo, jak by wypadało.

Rozejrzałem się i przekuśtykałem do budynku obok, chowając się w ciemny prostokąt wejścia. Korytarzem prześliznąłem się na drugą stronę, starając się w miarę możliwości iść w kierunku dziury w ogrodzeniu, przez którą tu weszliśmy. „Weszliśmy”, kiedy jeszcze byliśmy to „my”, a nie „ja” i „oni”. Byłem już w zasadzie poza Stacją, jeszcze kilkanaście kroków i dam radę stąd wyjść... Zawahałem się, stanąłem. Znów tak na otwarte wyleźć? Z gołymi rękami? Jakaś broń by się przydała czy co... Tutaj jest jeszcze szansa coś znaleźć, a potem w polu to chyba że kija sobie ułamię. Pokręciłem się chwilę po parterze budynku, ale ni cholery nie miałem pomysłu, z czego można zaimprovizować chociażby najprostszy oręż. Jakoś na filmach to łatwiejsze jest, tam bohater znajdzie byle gówno i nóż wykuje albo siekierę zrobi... A ja gdzie się nie obrócę, to tylko bezużyteczne śmieci widzę.

Rozmyślenia i próby odnalezienia się w postapokaliptycznej rzeczywistości przerwał mi jakiś bliżej nieokreślony hałas z któregoś z pomieszczeń. Jakby ktoś nieopatrznie kopnął kawałek gruzu albo strącił na ziemię coś ciężkiego. Nie wiem. Doszedłem do wniosku, że czas na dozbrajanie się zdecydowanie minął, a ja nadużyłem gościnności tego skądinąd pięknego miejsca.

Rzuciłem się do ucieczki.

Po prostu pobiegłem przed siebie; wypadłem z budynku, doleciałem do poszarpanej siatki, praktycznie nie zwalniając, precyzyjnie się przez dziurę, chociaż powykręcane druty czepiały się ostrymi pazurami za kurtkę i spodnie, poleciałem niemalże na oślep w wysoką trawę... Biegłem, słysząc tylko szum wiatru w uszach i omijając jakimś cudem anomalie. Pędziłem niczym umiarkowanie upośledzony umysłowo Tom Hanks przez Amerykę: równym, miarowym krokiem, wysoko zadzierając kolana i machając co sił rękami, i przeskakując nad leżącymi w trawie artefaktami. Nie myślałem o niczym; po prostu biegłem naprzód, próbując uciec nie tyle przed niewiadomym zagrożeniem, ile przed samym sobą. Gotów już byłem pomyśleć, że złapałem drugi oddech, tak mi równo i miarowo szło; już-już chciałem zatracić się w tym obłądnym pędzie, niemalże uśmiechnąć sam do siebie – a potem zaplątałem się w jeżyny i wyłożyłem jak długi w trawę.

Podniosłem się na czworaki, wyplątując z kłujących pnączy, i próbowałem rozejrzeć po okolicy. Jakieś drzewa, trawa, tam kępa krzaków, tu więcej drzew i jeszcze trochę drzew... No i wysoka trawa. I jeszcze drzewa. I anomalie. Aha, no i prypec-kaban.

Zamarłem. Autentycznie zamarłem, stanęło mi chyba nawet serce. Wielkie, kosmate bydlę było... No, może nie na wyciągnięcie ręki, ale raptem kilka kroków ode mnie. Nigdy nie widziałem z tak bliska żywego odyńca, a co dopiero jego czarnobylskiego krewniaka; szczerze mówiąc, tego jednego razu wystarczyło mi aż nadto.

Potężny kark podnosił się miarowo i opuszczał, a racice zapadały się głęboko w ziemię, gdy ryj wielkości sporego telewizora orał głębokie bruzdy w glebie. Stwór prychał przy tym i sapał, potrząsając łbem i rozrzucając dokoła grudy ziemi i kępy trawy, ogromne nozdrza rozdymały się i pracowały, węsząc zawzięcie w poszukiwaniu pożywienia... A ja miałem naprawdę nadzieję, że dziczek ma akurat smak na warzywa i jarzyny, a nie na świeżą ludzinę.

Nagle kaban prychnął, obrócił się i popatrzył w moją stronę. Nogi jakby wrosły mi w ziemię, w ustach zaschło, poczułem, jak kręci mi się w głowie. Poszło mi w tak zwane pięty.

Zwierz przekrzywił łeb, ni to mruknął, ni to chrumknął; jak gdyby w odpowiedzi skądś zza mojego ramienia rozległo się podobne chrumknięcie, ale – jak by to ująć? – głębsze. Bardziej dosadne. Basowe takie, solidne.

Samiec wszedł w moje pole widzenia, mijając mnie – no, może o długość wyciągniętego ramienia. Skąd wiedziałem, że właśnie samiec? No uwierzcie mi, takie rzeczy się wie, a na pewno się widzi. I to wcale nie chodzi o rozmiar ani o długość podwójnych szabli... Po prostu wyglądał jak samiec, zachowywał się jak samiec. Wielki, nieludzko groźny, stary, silny, dominujący samiec. Totalnie nie zwracając na mnie uwagi, para potężnych mutantów zaczęła krążyć wokół siebie, pochrumkując i poburkując przy tym donośnie. Myślałem, że

będą walczyć, co mogłoby mi dać szansę na kulturalną i cichą ewakuację, ale moim stworom coś się do tego nie spieszyło. Powiem więcej: wyraźnie zauważyłem, że ten większy ewidentnie stara się podejść do tego mniejszego od tyłu, jakby przystawiając się i przymierzając do...

– Ej... nie, nie, nie... – jęknąłem, uświadamiając sobie, że ten mniejszy to wcale nie był „on”.

Przez chwilę obserwowałem rozkręcające się przede mną misterium przyrody, a potem zacisnąłem tylko z całej siły oczy. Pewnych rzeczy nie powinno się oglądać, pewnych rzeczy nie powinno się wiedzieć. Trzeba by być totalnym zjebem, żeby patrzeć na coś takiego i interesować się rozmnażaniem mutasów.

Nieskończenie powoli zacząłem wyplątywać się z trzymających mnie za nogawki jeżyn, co wcale nie było łatwe, gdy miało się zamknięte oczy... Raz i drugi pozwoliłem sobie je uchylić, bo kolce za cholerę nie chciały puścić, ale zaciskałem czym prędzej, bojąc się, że mógłbym do i tak już dających dużo do myślenia bodźców słuchowych dodać niechcący wizualne. Nie rozwarłem powiek nawet wtedy, gdy straciłem równowagę i znów wywaliłem się prosto w splątane zarośla, próbując tylko rękami zasłonić twarz. Po prostu idąc na czworakach, siłą wyciągając nogi i co chwila stawiając dłonie na kłujących gałęziach, wygrzebałem się z pnączy i popelzłem jak najdalej. Pewnych rzeczy nawet ja nie zniosę.

Odczołgałem się od spółkujących świni na taką odległość, żeby nie bać się wstać, obejrzałem tylko raz przez ramię... odwróciłem czym prędzej. *Nein. Nein, nein, nein...*

Rozejrzałem się, ale opcji nie miałem zbyt wiele: przed siebie, w lewo, w prawo albo nazad. Stacji nie było już widać, więc ciężko było mi nawet określić kierunek, z którego mogłem przybiec. Nazad odpadało z założenia... Więc poszedłem prosto, bo jak nie masz pojęcia, gdzie jesteś, to każdy kierunek równie dobry.

Starąłem się trzymać zagajników, a w każdym razie takich miejsc, żeby były drzewa; przynajmniej było się za czym schować, a i anomalie lepiej się wyróżniały w lesie. No bo przecież trudno nie zauważyć, jak wszystkie drzewa w danym miejscu są jak piłą obcięte na wysokości głowy, nie? Albo spalone, albo uschnięte, albo jeszcze chuj wie co.

Znalazłem sobie sękatego kija, którym wymacywałem drogę przez rozkrzewione paprocie o liściach w dziwnym odcieniu zieleni. A w takich paprociach to też niemało może siedzieć przecież... Ledwo zdążyłem to pomyśleć, jak coś wyrwało mi kostur z ręki, poderwało w powietrze i skręciło niczym słomkę, zamieniając w chmurę wirujących pomiędzy drzewami trocin. Westchnąłem ciężko, cofnąłem się kilka kroków i skręciłem ostro w lewo. Nie to nie, nie będę się na siłę pchał. Inną drogą pójdę.

Zrobiło się ciemno, potem zaczęło padać. Znowu. Jak to jest, że ile razy jestem w Zonie, to musi być deszcz? Inni jak wracają, to opowiadają o tajemniczej mgle, o niesamowitych zorzach magnetycznych albo przedziwnego kształtu chmurach... A mnie się zawsze trafia deszcz.

Nawet nie chciało mi się przed nim nigdzie chować, więc po prostu szedłem dalej przed siebie, omijając tylko anomalie widoczne i ukryte, próbując przypomnieć sobie wszystkie te stalkerskie banialuki. Jak to było – „nie chodzi się pomiędzy dwoma bliźniaczymi obiektami”? Czy właśnie pomiędzy nimi trzeba iść...? Kurde, nie myśli się o takich pierdołach, a potem nagle człowiek zostaje sam i okazuje się, że cały ten do tej pory

pogardzany folklor jest jedynym, co może uratować od w zasadzie pewnej śmierci. Myślałem o tym naprawdę intensywnie, do bólu niemalże, żeby tylko zaprzątnąć czymś mózg i nie pozwolić sobie na zastanawianie nad tym, co naprawdę powinno mnie teraz zajmować – na przykład kwestią wydostania się z Zony.

Szedłem tak i szedłem, nie czując nawet zmęczenia, bólu ani chłodu. Umysł jak gdyby wyłączył się, przestawiałem tylko nogi niczym bezduszna maszyna i parłem naprzód. Czasami przewracałem się, gramoliłem z błota, podnosiłem i szedłem dalej...

Nie zauważyłem nawet, kiedy przestało padać. Tak jakbym nie odczuł żadnej znaczącej różnicy, jak gdyby neurony ostro popiły i nie miały siły zwlec się ze swego rozbabranego wyrka w zakończeniu nerwowym i ruszyć dupy do mózgu. Nie zauważyłem też, kiedy zaszło słońce i pociemniało, a na niebie zaczęły zapalać się gwiazdy... Wypadałoby się rozejrzeć za jakimś schronieniem. Odpocząć. Zjeść coś. Wypić. Opatrzyć, kurwa, rany.

Wypadałoby. A ja po prostu szedłem przed siebie...

Spomiędzy drzew przede mną wyłoniło się szare, murowane pudełko; ot, taki sobie zagubiony pośród bezkresu lasów budyneczek, pewnie jakiś sklep niegdysiejszy albo inny posterunek straży leśnej czy co tam w zeteserze mieli. Zarośnięte chaszczami ze wszystkich stron, poodłupywany tynk, okna, w których nie było nawet resztek szyb.

Za to była drabinka na dach.

Gdy zacząłem się wspinać, to nawet mnie coś zaboląło tam na dole – no, gdzieś w okolicach tej straszliwej rany postrzałowej. Ot tak, trochę zaboląło, nie za bardzo. Poczekalem, żeby sprawdzić, czy odczucie nie powróci, na próbę poruszyłem nogą, napiąłem mięśnie... Nic. Zupełnie nic.

Leżałem potem na dachu i gapiłem się w gwiazdy. To nawet nie było tak, że nie mogłem zasnąć; po prostu nie chciało mi się spać. Czułem instynktownie, że coś jest nie w porządku, że coś nie gra... Może to były początki choroby popromiennej? Cholera wie w końcu, jaką dawkę mogłem przyjąć tam na dole w studziencie. Zabić mnie promieniowanie nie zabiło, w każdym razie nie natychmiastowo; ale jak konkretnie może manifestować się popularna „promianka”? Słyszałem kiedyś o czymś takim jak postać mózgowa – może mi coś uszkodziło? Jakiś nerw czy co, i teraz nie czuję bólu? A jeśli w ogóle nic nie czuję?

Uszczypnąłem się na próbę: ała, zaboląło. Przesunąłem ręką po twardych od zakrzepłej krwi ciuchach, namacałem palcami krańce rany. No dziura, dziura jak cholera. I z drugiej strony w plecach też... Może kula przeszła czysto na wylot, może jednak mam więcej szczęścia niż rozumu?

Zamknąłem oczy, westchnąłem sobie ciężko, od serca. Jak wyjdę z Zony, to będę myślał o opatrywaniu postrzałów i całej reszcie higieny. Wtedy się zastanowię, co zrobić z całą tą... no, z całą sprawą i w ogóle. Znaczy się z Zekiem. I z Szarym, i z masą innych rzeczy, które na mnie na Dużej Ziemi czekały. Nagle zapragnąłem znów mieć takie problemy, jak miałem jeszcze niedawno. Niechby mnie bili i zrzucali ze schodów, szantażowali i oszukiwali, kazali płacić pieniądze – byle tylko nie to! Byle nie samotność w Zonie, brak orientacji, zagubienie w tej cholernej dziczy...

I zupełny brak odczuwania świata.

Podniosłem się gwałtownym ruchem, rozejrzałem wokoło: tam. Tam niebo było

wyraźnie jaśniejsze, więc w tamtym kierunku musi być Kordon. Anomalii i tak było jakby mniej, więc można było założyć, że jestem na Pograniczu, a nieodległa łuna to światła jupiterów na linii zasieków, a nie na przykład płonący reaktor CzAES. Zlazłem z dachu i ruszyłem dalej.

Szedłem sobie przez jakieś pole, taką wielką, pustą połąć trawy, ledwo widocznej pośród czerni nocy. Porozrzucane tu i ówdzie ciemne kępy krzaków, a poza tym pustka, przestwór niczego, jak okiem sięgnąć, i tylko ja brnę po pas w suchym, szeleszczącym morzu...

Gdy mijałem jedną z takich kęp, krzaki nagle poruszyły się, podniosły łeb i parsknęły. Spojrzałem prosto w czarne, połyskujące ślepia, przed samą twarzą zobaczyłem wyszczerzone zęby i nozdrza, rozdymające się i łowiące w chłodnym powietrzu mój zapach. Mutant poruszył się, odstał o krok, jakby niepewny, co ze mną zrobić, a potem – potem potrząsnął łbem, zarzucając grzywą rzadkiego włosa w tak bardzo końskim ruchu, że w jednej chwili opadły ze mnie wszelkie wątpliwości co do jego pochodzenia.

Chyba nie zdążyłem się nawet wystraszyć. Po prostu stałem tak i patrzyłem, jak przedziwny nibykoń wraca do skubania trawy długimi zębiskami, bardziej przypominającymi papuzi dziób. Nie był to koń, NIE MÓGŁ to być koń, w zasadzie nie jestem pewien, czy był żywy – patrząc na odchodzącą płatami z boków sierść i prześwitującą miejscami przez skórę nagą kość, zastanawiałem się, na ile musi się odżywiać, a na ile robi to z przyzwyczajenia. Jak gdyby czując moje myśli, stwór znów podniósł łeb i spojrzał prosto na mnie. Prosto w oczy; rozumnym, niemalże ludzkim wzrokiem... Resztki wygniłych powiek nie zasłaniały pracujących w oczodołach mięśni, bardziej przypominało to poruszający się zewłok, a jednak...

– Hej... – Wyciągnąłem rękę, żeby pogłodzić podłużny pysk. Mutant prychnął, spłoszył się i odskoczył, ale nie uciekł. – No, ćśśś, ćśśś...

Zrobiłem krok, potem drugi i kolejny, nie opuszczając ręki i patrząc stworowi prosto w oczy. Przypomniało mi się, jak jeździliśmy do dziadków na wieś do Niedaszy; co roku całe lato zawsze tam siedziałem, biegałem po łąkach i kąpałem się w stawie, ukradkiem paląc papierosy, które Igor podbierał swojemu ojcu. I dziadek też miał takiego wielkiego konia, kasztanowego bydlaka, który zawsze pasł się na łące za stodołą, a my nosiliśmy mu podebrane z sadu jabłka. On też się tak patrzył i odsuwał, ale widać było, że potrzebuje tylko...

– No już, już... – Położyłem dłoń na chrapach, mięciutkich i aksamitnych niczym pośladeczki niemowlaka. Pogłodziłem delikatnie, przesunąłem ręką wyżej, żeby podrapać zwierzaka między oczami, a potem wplotłem dłoń w grzywę i przeciągnąłem w dół, czując pod cienką skórą wiązki pracujących ścięgien. Mutant podsunął się do mnie, wsuwając łeb pod ramię. – Dobry chłopiec...

Huknął strzał. Nibykoń podskoczył, kwiknął i rzucił się cwałem do ucieczki, razem z nim zerwała się reszta pasącego się stada; zadudniły kopyta, po chwili tętent zaczął cichnąć i potem znikł zupełnie, rozmywając się gdzieś w przestworze pustej przestrzeni. Zostałem sam pośród Zony, tkwiąc z wciąż wyciągniętą ręką i nadal czując na twarzy dotyk ciepłej sierści. Spojrzałem w kierunku, z którego dobiegł dźwięk; do Kordonu musiał być jeszcze kawałek, ale echo rozchodziło się daleko w rześkim powietrzu czarnobyłskiej nocy. Rozejrzałem się po pustej łące, nie do końca pewny, czy zdarzyło się to naprawdę, czy

sobie to wszystko wymyśliłem... Westchnąłem rozdzierająco, ruszyłem w kierunku światła.

Nie wiem czemu, ale wcale się na tę bliskość Kordonu nie cieszyłem.

Łuna robiła się coraz bardziej wyrazista: mrok tracił intensywność swej czerni, która najpierw zaczęła blaknąć, a potem zamieniła się w szarzącą popielatość. Przez drzewa wyraźnie było już widać bijące światłem punkty reflektorów, zamieniających noc w dzień dla siedzących na pograniczu Strefy Zamkniętej strzelców wyborowych, ulokowanych na bezpiecznych wieżach obserwacyjnych. Doszedłem do skraju linii drzew, zawahałem się.

Nie miałem planu.

Nie miałem ani planu, ani pojęcia, jak przedostać się przez Kordon. Nawet nie wiedziałem, w którym punkcie linii umocnień mogę się znajdować... Czy mijałem po drodze tory? No nie, chyba nie. Czyli muszę być... No... No gdzieś muszę być. Czyli jest szansa, że jak pójdę... zaraz... na górze na mapie to jest... południe? Nie, północ chyba. Czyli jak w prawo pójdę, to powinna być rzeczka chyba... Albo i nie.

Zasada była prosta: jeśli nie wiesz, gdzie jesteś, to stojąc przodem do Kordonu, idź do prawej. Po lewej – czyli na południu – były stare tory kolejowe, a za nimi leżały opuszczone wsie. Wsie, od których każdy przy zdrowych zmysłach starał się trzymać jak najdalej. Wolałem już lasy i dzikie bezdroża od tych wsi.

Tak naprawdę w zasadzie nie miało to znaczenia.

Nie wiem, jak długo szedłem wzdłuż Kordonu. Jeśli była możliwość, to skradałem się w drzewach i zaroślach. Jeśli nie było wyjścia, to czołgałem się przez wysoką trawę i pełzłem starymi okopami. Jeśli słyszałem strzały albo widziałem ruch po tamtej stronie drutów – zamierałem w bezruchu i leżałem tak długo, aż wszystko się uspokoiło. Kilka razy natykałem się jeszcze na anomalie, ale były niemrawe, małe i słabe w takim oddaleniu od Serca Zony; mutantów na szczęście nie było, chociaż słyszałem raz wyjące w oddali psy. Okolica wydawała mi się znajoma, od czasu do czasu zdawało się, że rozpoznaję takie czy inne elementy krajobrazu. A to znaczyło, że niedługo powinna być tu...

Rzeczka. Nieduża, zarośnięta i zamulona rzeczka Ilja, uciekająca z Dużej Ziemi i przepływająca przez sporą część Zony – stosunkowo bezpieczny, ale wyjątkowo paskudny szlak przemytu ludzi i sprzętu w głąb terytorium zakazanego. Pamiętam doskonale, jak rok temu zebraliśmy się z Zekiem...

Początkowo niewinna myśl zakłuła boleśnie, gdy przypomniałem sobie dymiącą lufę pistoletu w jego ręku. Tak, będę miał kilka spraw do załatwienia, gdy uda mi się wrócić na tamtą stronę.

O ile mi się uda.

Wszedłem po kolana w zimną, mętną wodę. Nogi nieprzyjemnie zapadały się w grząskie dno, każdy ruch podnosił rój bąbelków, niosących ku górze niemilo drażniący powonienie smród rozkładu beztlenowego. Woda była oślizgła i lepka, na powierzchni unosiła się cieniutka warstewka mieniących się opalizującą tęczą oleistych zanieczyszczeń, jakie deszcze na Dużej Ziemi spłukiwały z ulic miasteczek i dróg. Walcząc sam ze sobą, dałem radę wejść po pas, potem głębiej, czując, jak igiełki chłodu wbijają się w brzegi rany. Jeśli nie dostanę po tym zakażenia, to będzie jakiś cud – o ile JUŻ zakażenia nie mam, rzecz jasna. Zanurzyłem się w końcu aż po szyję, przygarbiłem tak, żeby wystawał mi tylko nos i nieskończenie powoli zacząłem pełznąć po dnie Ilji.

„Ilja” – dopiero teraz uderzyła mnie ta nazwa. Zupełnie jak Ilja, czyli feralny Eliasz... Wchodząc w tę rzeczkę, wchodziłem w trupa.

Było zimno, chyba powoli wstawał świt, bo nad wodą zaczęła podnosić się szarawa mgiełka. Zdawało mi się, że słyszę ptaki śpiewające w drzewach – może już wyszedłem z zasięgu Zony jako takiej? Oczywiście przede mną był jeszcze Kordon... Na brzegu pojawiły się żelazne słupki z namotanym drutem kolczastym, najpierw tylko pojedyncze, potem zrobiło się ich więcej i więcej, aż w końcu nurt wody po jednej i drugiej stronie zamykały regularne zasieki. Częściowo nowsze, częściowo starsze, ale...

Niemalże krzyknąłem, gdy w wodzie przede mną nagle pojawił się pływający twarzą w dół trup. Nad powierzchnią miałem tylko nos, ale i tak prawie zachłysnąłem się brązową, zimną breją... Ciało musiało pływać tak już jakiś czas, bo rozdęte, rybobłode palce częściowo obeszły ze skóry, odsłaniając nagą kość i kawałki białawego mięsa. Stalker, sądząc po wyposażeniu – ładownice, plecak, kamuflaż; no, przynajmniej to, co z niego zostało, bo całe plecy miał zamienione w mielonkę. Jak gdyby ogień z karabinu maszynowego...

I wtedy do mnie dotarło: działka strażnicze. Przecież właśnie dlatego przestało się przez rzeczkę chodzić, bo podobno zamontowali na przepuście jakieś systemy kamer sparowanych z cekaemami. Widać, że ten nieszczęśnik musiał się na to nadziać, potem spłynął z nurtem i tu się zaczepił...

– Ghhhyyyy... – podniósł nagle głowę martwy stalker. Zobaczyłem tylko wyjedzone przez ryby oczy, napuchnięty język wywalony z fioletowych ust i częściowo obgryziony nos, z którego zwisało jakieś wijące się, ślimakowate żyjątko; zbulgotałem z przerażenia i rzuciłem się w bok, byle dalej od żywego trupa, który zaczął kręcić się i rzucać, chyba starając się złapać grunt i wyplątać z trzymających go pędów tataraku. Nie czekałem, żeby zobaczyć, czy mu się uda; przebierając nogami i rękami, zacząłem przeć pod prąd, mając nadzieję że zombiaka zniesie woda. Lepsza już niemalże pewna śmierć od kuli niż coś takiego.

Odsadziłem się od trupa spory kawałek i, upewniwszy się, że mnie nie goni, przyczaiłem się pod zwieszającym się nad wodą krzakiem. Co dalej? co dalej? – kołatało mi się w głowie. Wracać? Nie ma po co. Iść dalej? Nie ma jak. Na bok, ku brzegom? Drut kolczasty. Kurrrwa... Jak się człowiek nie obróci, zawsze z tyłu dupa.

Przesiedziałem tak pod tym krzakiem, aż się prawie jasno zrobiło. Bez sensu zupełnie, no wiem, ale opadł mnie jakiś paraliż decyzyjny – ani w tę, ani we w tę. Jakbym się zawiesił normalnie; przykampiłem się, to i siedziałem tam; nawet zimno mi już nie było, tylko zdrętwiałem cały.

– A chuj... – postanowiłem w końcu, ruszając dalej w górę rzeczki. Widziałem już stąd betonową ścianę ponad przepustem, zwieńczoną wysięgnikami kamer i karabinami maszynowymi na platformach hydraulicznych. Normalnie jakby to była tajna fabryka hitlerowskich okrętów podwodnych, tylko gapy ze swastyką brakuje... A to zwykły przepust wodny na niedużej, syfnej smródce. Nikogo nie powinno takie miejsce interesować.

Ubiją mnie tu, jak amen w pacierzu.

Schowałem głowę tak nisko pod wodą, jak było to tylko możliwe, próbując wstrzymać oddech i powoli wypuszczać pojedyncze bańki powietrza. Cały czas miałem

wrażenie, że już-już mnie widzą, że w każdej chwili może paść strzał – ale kamery kręciły się tylko w swoich gniazdach z lewa na prawo, karabiny wsunięte w pancerne kazamaty milczały jak zakłète.

Nie wiem, jak długo wytrzymałem na bezdechu. Zbyt długo... a w zasadzie to dokładnie tyle, ile było potrzeba, żeby nieskończenie powoli podczołgać się i podplłynąć pod samą ścianę, gdzie przed ciekawskimi obiektywami sprzętu monitorującego chronił mnie betonowy nawis. Słyszałem już szum wody, przelewającej się swobodnie przez próg. Jeszcze tylko kawałek, jeszcze tylko trochę i będę tam, po drugiej stronie.

Podciągnąłem się i wsunąłem na żelazobetonowy przepust, starając się zapierać rękami i nogami o ściany, żeby nie zniósł mnie prąd. No to teraz ta trudniejsza część – metrowej średnicy rura poniżej lustra wody i kilka metrów drogi pod prąd... Paru chłopców się tam utopiło, próbując zmusić organizm do wysiłku większego, niż serce i płuca były w stanie pociągnąć. Potem mieliśmy spuszczoną z drugiej strony nylonową linę z węzłami... No a w końcu wojaki postawili ten cholerny bunkier z karabinami. Wziąłem głęboki wdech i zanurkowałem w zimną, spienioną, brudną wodę.

Nie będę nawet próbował wam opowiadać, jak płynąłem w tej rurze, bo po prostu nie umiem tego opisać. Bo co niby miałbym powiedzieć? Nic nie widziałem, bo oczy miałem zaciśnięte aż do bólu; nie miałem żadnej orientacji; desperacko wyrzucałem przed siebie ręce, palcami czepiałem się każdej nierówności i załomu, podciągając się naprzód i próbując odpychać nogami, czując, jak prąd bezustannie spycha mnie z powrotem do Zony. Rzucąłem i wiłem się, próbując płynąć to żabką, to pieskiem, to znów absolutnym rozpaczliwcem, byle tylko wyrwać jeszcze centymetr, jeszcze cal, jeszcze kawałek z odległości, jaka dzieliła mnie od przeciwległego końca. Co i rusz w próżnej nadziei podnosiłem głowę, łudząc się, że może to już, że wynurzę się na powierzchnię – i uderzałem potylicą w sklepienie kanału. Naprawdę, nie umiem tego lepiej opisać, więc nawet mnie nie proście. Błagam.

Jak długa była ta rura? Metr? Pięć metrów? Dziesięć metrów? Nie mam pojęcia. Wiem, że dla mnie była to cała wieczność, pełnia różnicy pomiędzy tam i tutaj, pomiędzy życiem a śmiercią... Więc gdy w końcu, zamiast uderzyć głową w beton, wyłoniłem się na powierzchnię, to poczułem się, jakbym na nowo się narodził.

Oczywiście niczym nieskrępowaną radość udanej akcji położniczej nieco przyćmiło to, że nadal byłem pod posterunkiem wojskowym, który tym razem miałem za plecami... Więc zamiast krzyczeć i płakać z radości, zamiast tryumfalnie wyskoczyć nad wodę w fontannie kropelek i machnąć epicko włosami, to podplynałem cichutko pod betonową ścianę i pozwoliłem sobie na chwilę niedowierzania we własne szczęście.

Powiem wam, że nawet się szczególnie nie zmachałem. Owszem, chyba brakło mi oddechu, ale płuca nie bolały, mięśnie się nie zmęczyły, nie było też ataku paniki. W zasadzie... w zasadzie to chyba dałbym radę jeszcze kawałek tak popłynąć. Dziwne.

Rozejrzałem się w lewo i w prawo, starając nie rzucać nikomu w oczy. Nie wiem, czy ktokolwiek tu był, ale pewnie jakiś operator tam gdzieś siedzi... po bokach i od góry rzeczkę zabezpieczał rękaw z solidnej kratownicy, co prawda dalej widać było otwartą przestrzeń, ale na najbliższym odcinku nie było szuwarów ani trzciny, tylko gładkie brzegi wybetonowanego koryta. Trzeba będzie jakoś się prześliznąć.

Głęboko zaczerpnąwszy powietrza, zacisnąłem oczy i ponownie zanurzyłem się w lodowatej wodzie.

Płynąłem jak najniżej, przy samym dole, muskając kolanami i brzuchem zalegający na dnie szlam i czasami szorując o beton. Równe, miarowe, spokojne ruchy – przynajmniej póki starczało powietrza i sił. Odważyłem się uchylić powieki, ale wokół mnie nie było widać nic, tylko brunatną, gęstą, dławiącą ciemność; o dziwo, atak paniki nie nadszedł, jak to mi się zwykle zdarzało przy nurkowaniu, więc najzwyczajniej płynąłem dalej. Jeszcze kawałek, jeszcze trochę. Jeszcze jeden ruch. I jeszcze. I jeszcze...

Nie wiem, dlaczego wynurzyłem się akurat w tym konkretnym momencie; chyba nie wytrzymała mi psychika i po prostu wybiłem się w górę, przebierając desperacko rękami i odpychając nogami, próbując jak najszybciej wyzwolić się z oślizgłych objęć rzeki. Do góry, ku powietrzu, ku słońcu...!

Wyczołgałem się na brzeg i dysząc ciężko, uwaliłem na plecy. Zakratowany odcinek rzeczki został dobre kilkanaście metrów za mną, tutaj trzcina i krzaki zasłaniały przed wzrokiem obserwatorów i dawały w miarę dobre schronienie, więc wpelzłem głębiej w gęstwinię, tak żeby ze wszystkich stron otaczał mnie zielony gąszcz. Patrzyłem w niebo, a po głowie kołatała mi się jedna jedyna myśl:

ŻYJĘ!

Leżałem tak... no, długo tak leżałem. W zasadzie to mógłbym zostać tutaj w tych trzcinach, patrząc, jak wiatr porusza drzewami i goni po niebie chmury; nic mnie nie bolało, nie było mi zimno... wcale mi nie było. Ale podniosłem się w końcu na czworaki i poczołgałem w szeroko rozumianym kierunku przeciwnym do posterunku wojskowego.

Pełzłem tak brzegiem rzeki, zapadając się w miękki szlam i grzęznąc w podmokłej ziemi. Wstał już pełnoprawny dzień, wyszło słońce, gdzieś dalej nawet słychać było samochody, przelatujące nie tak znów odległą drogą; ćwierkały sobie ptaszki, szumiały drzewka... I tylko ja lazałem na czterech, cały ubabrany mułem, śmierdzący jak nieboskie stworzenie, w podartych ciuchach i bez jednego buta, który musiałem zgubić jakoś po drodze; no i z dziurą w brzuchu.

W końcu doczołgałem się do niedużego, betonowego przepustu pod drogą; schowałem się pod nim i siedziałem tak, słuchając tylko, jak dudnią przejeżdżające mi nad głową ciężarówki. Gdy zaczęło robić się ciemnawo, a ruch nieco ustał, zdecydowałem się wyjść na drogę i ruszyć w kierunku naszego miasteczka. Co i rusz oglądałem się za siebie, a gdy tylko zamajaczyły na horyzoncie jakieś światła, zeskakiwałem z pobocza i przyczajałem się w rowie; większość samochodów stanowiły cywilne rzęchy i rozklekotane dostawczaki, ale okazjonalnie trafiał się też wojskowy UAZ-ik, a przecież mundurowym wolałbym się na oczy nie pokazywać. No, niby każdy ma prawo leżeć sobie po nocy bezdrożami w ubłoconym ubraniu, ale gdyby mnie sprawdzili dozrymetrem, to mogłoby się zrobić niewesoło.

Była już głęboka noc, gdy dowlokłem się na przedmieścia. Większość brudu wyschła i odpadła sama z siebie, ale nie wątpię, że w tym jednym bucie i porwanej kurtce musiałem wyglądać co najmniej upiornie; gdyby ktoś mnie tak zobaczył, to na sto procent wzięłoby za żywego trupa, który przypadkiem dał radę prześliznąć się przez Kordon; kolejny powód, żeby unikać ludzi, bo cywil by po prostu narobił wrzasku i uciekł, a milicjant pewnie zaczął

strzelać... Chociaż u nas to i co lepiej sytuowanym *byznesmenom* zdarzało się w sedanach pod siedzeniem broń wozić. Tak czy inaczej, przekradałem się opłotkami, unikając oświetlonych uliczek i trzymając plam cienia, niczym jakiś przedziwny stwór z zachodniego filmu, co to nie do końca wie, po co, ale przedziera się w kierunku miejsc, które pamięta z życia... Raz i drugi przyłapałem się na tym, że zaglądam ludziom do domów przez niezastłonięte okna; ciekawe, co by sobie pomyśleli, widząc twarz wyłaniającą się z ciemności? Czy zaczęliby krzyczeć? Rzucili się do bicia? A może... może tak naprawdę nie żyję i wróciłem tutaj jako duch, i nikt mnie nie widzi...?

– Patrz, jak leziesz, chuju jeden pierdolony...! – Gwałtownie narastający warkot małowitrazowego silniczka i wściekły okrzyk złały się niemalże w jedno, odskoczyłem ku siatce, wpadając w kłujący krzak głogu. Nieoświetlony jednośląd przemknął centymetry ode mnie, zawinął kołem, prawie wpadając na przeciwległy krawężnik, ale kierowca jakoś dał radę wyprowadzić pojazd z poślizgu. – Odblask byś przypiął, palancie, albo dresik z paskiem...!

– Chuj ci w dupę, cwelu! – krzyknąłem w ślad znikającemu w mroku nocy motorowerzyście-widmu; ot tak, bardziej z odruchu niż rzeczywistej potrzeby. No dobrze, czyli nie byłem duchem, nie bardziej w każdym razie niż ten idiota. Trzeba było się zatem doprowadzić do jakiego takiego porządku...

Przy jednym ze starszych domków znalazłem działającą jeszcze studnię, z której uciągnąłem sobie wiadro wody; nie była ona pierwszej świeżości, bo i chatynka stała pusta już któryś rok, ale na pewno czystsza niż to, w czym łąziłem przez cały dzień. Umyłem najpierw ręce, potem twarz, aż w końcu oblałem się od stóp do głów, żeby splukać brud z włosów i kurtki. Dobra woda, ciepła nawet, miła i przyjemna taka; nareszcie czysta, a nie ten radioaktywny, mętny syf! Wyciągnąłem jeszcze jedno wiadro i kolejne, wylewając je sobie na głowę jak polski szlachciura w oglądanym dawno temu filmie – „Powódź” się to chyba nazywało, ale sam nie wiem dlaczego, bo tam zima była przecież...

Dokonawszy tej co nieco powierzchownej ablucji, wyjąłem jeszcze ubranie, z którego wyleciało kolejne wiadro błota, wypłukałem jedyny pozostały mi but i przegarnąłem włosy; byłem z grubsza gotów na powrót do normalnego świata.

Noc była piękna, po prostu oszałamiająca. Gwiazdy świeciły miriadą kryształowych okruchów na tle idealnie czarnego nieba, przecinając nieboskłon wstęgą Drogi Mlecznej, która ponoć kiedyś prowadziła pątników do dalekich klasztorów i sanktuariów, nieodmiennie pokazując bezpieczny szlak. Ptaki śpiewały w zaroślach, pachniały wiosenne kwiaty, gdzieś w oddali czekały psy i marcowały się koty. Szedłem sobie sam, zupełnie sam tą ciemną, wyboistą ulicą i czułem się, jakbym znów miał osiem lat i cały świat przed sobą; jakbym nic nigdy nie zrobił źle, jakby wszystko jeszcze szło naprawić i poukładać... Oddychałem pełną piersią, ciesząc się każdą nutką zapachu w rześkim, świeżym powietrzu wiosennej nocy.

Czułem, że żyję.

Zdażyłem już w zasadzie wyschnąć, zanim doszedłem do osiedla; szło mi się rażno, sympatycznie nawet, równym, miarowym krokiem pomimo braku buta; nic mi nie przeszkadzało, nic nie obcierało ani nie bolało, więc humor miałem – jak rzadko kiedy – wyśmienity. Przeskakując po dwa schodki, wdrapałem się na piętro Oksany i zadzwoniłem

do drzwi.

No tak – był środek nocy, więc to naturalne, że po pierwszym dzwonku nie odnotowałem żadnej reakcji. Odczekałem swoje, nacisnąłem przycisk jeszcze raz; krótko, żeby nie pobudzić sąsiadów, rzecz jasna... Obejrzałem się przez ramię, ale drzwi do jaskini troglodyty na szczęście pozostały zamknięte. Na wszelki wypadek jeszcze raz, króciutko, puknąłem dzwonek.

– No idę, już, kurwa, idę... – głos zaspanej Oxi i człapanie bosych stóp po podłodze. – Kto tam o tej porze...?

– Oxi, to ja.

– Sztywny...?

– Otwórz, lalka.

– Sztywny...? – Uchyliła drzwi i wyjrzała przez szparę; na twarz padła mi chyba smuga światła, bo zauważyłem, jak zmieniła się jej mina. – O mój Boże, Sztywny...!

– Cześć, Oxi – mruknąłem, gdy drzwi otwarły się na całą szerokość, a pachnąca ciepłym łóżkiem i kremami na noc Oksana rzuciła mi się na szyję. – Cześć, ja...

– Fuuu! – Odepchnęła mnie. – Ale ty śmierdzisz, Sztywny! Jak... jak ścieki normalnie!

– Dzięki wielkie. – Popchnąłem ją do środka, zamknąłem za nami drzwi. – Czekaaj, już się rozbiore, wiem, podłogi nie pobrudzić i dywan...

– Ale... – zająknęła się Oksana; widziałem, jak na jej twarzy walczą ze sobą o lepsze zaskoczenie, niedowierzanie i... strach? – Ale... Ale ty przecież nie żyjesz...!

– Kto ci tak powiedział? – Przerwałem rozpinanie paska, popatrzyłem na nią uważnie.

– No... No mówili przecież chłopcy, jak wrócili wtedy... Że ciebie coś tam dopadło, jakiś lachociąg czy coś...

– Juchociąg – poprawiłem. – Jak widzisz, nie dopadło. A z nimi się... rozdzieliliśmy. Tak, dokładnie tak: rozdzieliliśmy.

– I ty... sam?

– Sam.

– Tyle dni?

– Niby ile? – Znów oderwałem się od mocowania z zapięciem.

– No... oni wrócili już jakiś czas temu przecież.

– Trochę się zeszło – uciąłem, bo nie miałem do tego głowy. – Oxi, weź mi znajdź jakichś ciuchów czy co, umyć i przebrać się muszę...

Nie do końca wierząc w realność sytuacji, wszedłem do łazienki. Celowo nie zdejmowałem kurtki wcześniej, żeby dziewczyny nie martwić pokrwawioną koszulą... Ojj, a pokrwawiona była zdrowo, taka brązowa plama z dziurą pośrodku... Od razu zwinąłem ją i ciepnąłem do kosza, zaraz za nią posłałem kurtkę, a w zasadzie szmatę, która kiedyś nią była. Popatrzyłem w lustrze na ranę, nacisnąłem palcami, sprawdzając, jak się zachowa i czy zabolę – ale nie zabolę. Ani nie zaczęło krwawić. Sięgnąłem ręką ku plecóm, pomacałem poszarpane brzegi otworu wylotowego. No czułem to, czułem, ale... Ale coś było nie tak. Żeby nie myśleć o tym, wlałem do wanny, umyłem się porządnie, wyszorowałem gąbką, trąc zawzięcie zaschniętą krew, która nijak nie chciała się zmyć. Potem wytarłem się do sucha, a okolice rany wysuszyłem suszarką, żeby nie pobrudzić ręcznika. Zalałem ranę wodą utlenioną, zalepiłem plastrem podłożonym gazą i owinałem

bandażem... Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, a nawet bardziej męsko tak wyglądałem, wojowniczo.

– O Boże, co ci się stało, Sztywny! – wrzasnęła Oksana, gdy wszedłem do kuchni. – O Jezusmaria, ty ranny jesteś, króliczku mój...!

– Mówiłem ci już, nie jestem króliczkiem. To nic takiego – skłamałem. – Zadrapanie tylko.

– Ale pokaż, ojej...

– Nie. – Złapałem ją za rękę.

– No daj...

– Nie. – Złapałem za drugą, popatrzyłem w oczy i pocałowałem namiętnie.

– Mmmm... – zamruczała Oxi. – Mmmm... Ojej, ale zimne ręce masz, hihihhi...

– Masz swoją fantazję o lodowym soplu – dałem radę wyartykułować, nie wyjmując języka z jej ust, a potem pociągnąłem w kierunku sypialni, po drodze już rozplątując supeł na jej szlafroku. Nie powiem, żebym był zaskoczony, gdy dotarło do mnie, że jest w zwiewnej haleczce, pończochach do paska i na szpilkach; częściowo się tego spodziewałem, bo to bardzo w jej stylu... ale coś, COŚ nie tak było...

– Mmm, Sztywny, mmm, stęskniłam się za tobą, achhh... – Oxi wiała się pode mną i prężyła, ja obejmowałem ją i całowałem, błędząc rękami po jej ciele, a jednocześnie czułem, że naprawdę coś tu nie gra. – Daj mi teraz, tak bardzo mam ochotę na...

– Nie, poczekaj, najpierw ja... – próbowałem zaoponować, ale było za późno, bo Oxi już wskoczyła na mnie i ześliznęła się w dół, jak drapieżna kotka.

Patrzyłem, jak miarowo pracuje jej głowa, jak podrygują wznoszące się i opadające włosy, a gdzieś wewnątrz mnie narastał niemy krzyk przerażenia.

– Ja na górę! – Szarpnąłem ją, rzuciłem na łóżko, rozsunąłem nogi.

– Ale, misiu, czy ty...

– Cicho! – Złapałem ją za szyję, ścisnąłem, żeby się zamknęła. Tak jak oczekiwałem, odrzuciła głowę do tyłu i wyprężyła się cała, gotowa, żeby mnie przyjąć, a ja...

– Sztywny, co jest? – Usiadła koło mnie, gdy opadłem na poduszkę. – Nie możesz?

– Nie, nie, ja... – Zabrakło mi myśli, którą mógłbym wygłosić.

– Zmęczony jesteś?

– Nie...

– Boli cię?

– Nie...

– Głodny? Pić chcesz? Spać?

– Nie!

– No to co jest?

Nabrałem powietrza, żeby coś powiedzieć, ale zamiast tego poczułem na gardle żelazne kleszcze paniki. Zerwałem się z łóżka, popędziłem do łazienki, zawróciłem do kuchni, wpadłem znów do pokoju:

– Gdzie ubrania?!

– T-tam... – wyciągnęła drżącą rękę Oksana. Rzuciłem się na leżące na krześle ciuchy jak sęp na zdobycz, naciągnąłem przez głowę sweter na gołe ciało, wbiłem się w spodnie, trzęsącymi się dłońmi próbując zawiązać troczki.

– Sztywny, co jest? Co jest?! – niemalże zawołała Oksana, ale spojrzałem na nią tylko tak, że zamknęła się od razu.

– Muszę iść! – rzuciłem w biegu. – Lecę do Zająca!

– Do lekarza? – dobiegł mnie jej głos, gdy byłem już w drzwiach. – Ale jest noc...!

– Poczekam! – krzyknąłem, wypadając na klatkę i zlatując na łeb na szyję po schodach. Wypadłem na dwór i pobiegłem, czując, jak narasta we mnie przerażające podejrzenie...



Nie wiem, jak długo koczowałem pod drzwiami gabinetu. To znaczy inaczej: wiem bardzo dobrze, bo koczowałem tam tak długo, aż ktoś przyszedł i otworzył. Lekko zaskoczona recepcjonistka ofuknęła mnie, że „pan doktor będzie dopiero za godzinę i przecież są zapisy”, ale nie zrobiło to na mnie wrażenia. Najmniejszego. Po prostu stałem z założonymi rękami, wciąż w tym samym miejscu, w którym ustawiłem się, zanim jeszcze słońce pomyślało o tym, że może warto by ruszyć dupę i wstać jednak tego poranka. W tej samej pozycji, w której obserwowałem porannych dostawców chleba i gazet, zasuwających do pracy i wracających z nocnej zmiany wyrobników. Stałem tak, nie zwracając uwagi, jak kobitka mocuje się z zamkami, a gdy w końcu otworzyła drzwi, bezceremonialnie wpierdoliłem się do środka i w tej samej pozycji stanąłem pod gabinetem.

Zaczęli schodzić się ludzie, przylazło kilka starych bab, które spoglądały na mnie spode łba i coś mamrotały o kolejności przyjmowania, ale miałem na nie w zupełności wyjebane. Stałem tak, aż przyszedł w końcu Zając, który tylko popatrzył na mnie i pokazał głową, żebym wszedł. Żadnych pytań, żadnych próśb, nic. Wlazłem, ściągnąłem sweter i czekałem, aż on przebierze się w swój pedalski biały kitel i pedalskie białe klapki.

Zając przyszedł, popatrzył, ściągnął mój niby-opatrunek. Syknął, cmoknął, pokręcił głową. Kazał się położyć, popatrzył, podotykał, osłuchał mnie, sprawdził puls. Poświecił latarką w oczy. Kazał usiąść, puknął młoteczkiem w kolano, kazał się położyć, przejechał po stopie długopisem. Znowu osłuchał, obejrzał ranę, sprawdził puls, zmierzył temperaturę. Jeszcze raz osłuchał. Usiadł naprzeciwko i popatrzył na mnie ciężko.

– Z medycznego punktu widzenia... – zająknął się, urwał. – Z medycznego punktu widzenia to jesteś martwy.

To, co usłyszałem, powinno było bardziej mnie poruszyć. Powinienem był podskoczyć, zemdleć, krzyknąć, zakryć usta ręką; chociażby przekrzywić głowę i zaśmiać się idiotycznie, wybałuszyć oczy, no cokolwiek. A ja po prostu siedziałem i patrzyłem na Zająca... Nie czując nic.

– Że co?

– To dziwna sprawa, Sztywny, ale... Ale tak to wygląda, chociaż przeczy temu fakt, że przyszedłeś tu o własnych siłach i rozmawiasz ze mną.

– Że co?

– Sztywny... weź no się jeszcze raz połóż, niech ja to zobaczę. – Poderwał się z zydelka, otworzył szafkę, zaczął wyciągać jakieś instrumenty. Ja po prostu wstałem, ułożyłem się na

leżance. Każą, to się kładę, a co... – Zamknij oczy i rozluźnij się. Oddychaj głęboko... Nie oddychaj... Oddychaj... Nie oddychaj...

Leżałem tak z zamkniętymi oczami i zastanawiałem się, co też Zajęc miał na myśli. „Jestem martwy” – czyli co? Że rana tak źle wygląda? Że tyle radiacji zgarnąłem? Że... no nie wiem, że Zek i Prawik zdążyli wrócić i zgłosić na milicji moje zaginięcie albo zgon?

– Otwórz oczy i patrz na światelko.

Latareczka jeździła w lewo i w prawo, a ja cieszyłem się, że ktoś mi mówi, co mam robić; nie musiałem dzięki temu myśleć, nie zaprzętałem sobie głowy niepotrzebnym zastanawianiem. Ot, leżę sobie u lekarza, on mi zaraz proszki przepisze i będzie dobrze. Będzie dobrze...

– Sztywny... – Zajęc popatrzył na mnie z bardzo dziwną miną. – Płuca cię nie bolą?

Pokręciłem głową.

– Ciemno przed oczami ci się nie robi? Nie masz skurczów mięśni?

– Nie.

– Hmm...

– Co hmm, Zajęc?

– Hmmm, bo właśnie mija... – popatrzył na trzymany w ręku stoper – trzy i pół minuty, jak ci kazałem nie oddychać.

– No i co niby z tego? – Zaczerpnąłem głęboko tchu, wypuściłem powietrze. – To chyba nic złego, nie?

– Nie, nie. Poza tym że po dwóch minutach od zatrzymania akcji serca następuje śmierć kliniczna mózgu z niedotlenienia.

– Może źle słuchasz! – Ściągnąłem mu z szyi stetoskop, wsunąłem słuchawki w uszy. – Daj!

Zajęc z nieodgadnioną miną przyglądał się, jak próbowałem przystawić do piersi słuchawkę w takim miejscu, żeby coś usłyszeć; ale gdzie bym jej nie przyłożył, to efekt był taki sam: cisza. Absolutna, martwa cisza. Gdy nabierałem i wypuszczałem powietrze, to coś tam trzeszczało i szumiało, ale kiedy wstrzymywałem oddech, to nie było nic. Nawet zwyczajowego szumu krwi w uszach, po prostu nic.

– Może... może się zepsuł? – zasugerowałem nieśmiało, oddając mu przyrząd.

– Termometr też? – Podał mi szklaną rurkę, w której czerwona kreska zatrzymała się na czternastu stopniach Celsjusza.

– No...

– Sztywny, ty nie żyjesz.

– Zajęc, nie pierdol głupot.

– Brak pulsu; nie słychać serca; brak odruchu kolanowego i spodniej części stopy; spowolniona, prawie niezauważalna akomodacja oka; brak krwawienia i śladów gojenia przy ranie, brak nawet stanu zapalnego, a powinna ci z tego ropa lecieć ciurkiem, bo masz tam przecież cały kompostownik w środku. Brak oznak perystaltyki jelit. Ciśnienie zero na zero... Mam wymieniać dalej?

– Co sugerujesz niby? – zapytałem z przekąsem, chociaż czułem, że walkę już przegrałem... I to jakiś czas temu.

– Że jesteś sztywny, Sztywny. Martwy. Trup. Nie żyjesz. Przynajmniej pod względem

neurologicznym i fizjologicznym.

– A można być martwym... no, tylko częściowo?

– Nie.

– No to po co tak mówisz?

– Bo nie mam, kurwa, innego pomysłu! – ryknął Zając, ale zreflektował się po chwili, spojrzał na drzwi, za którymi zapadła zupełna cisza; pewnie wszystkie baby nastawiły właśnie ucha. – Ja cię pierdolę, Sztywny... A jak się czujesz?

– Dobrze. – Wzruszyłem ramionami. – To znaczy... wcale się nie czuję.

– Wiesz co... – Zając podszedł do biurka, wyjął z szuflady flaszkę i pociągnął solidnego łyka. – Wiesz co, Sztywny, idź sobie. Po prostu sobie idź. Jest poniedziałek rano, kurwa twoja mać, a ty do mnie przychodzisz i nie żyjesz... Idź sobie.

– Ale co ja mam zrobić? – Rozłożyłem bezradnie ręce. – Daj mi coś, pigułki jakies przepisz no, nie wiem...

– Na śmierć? *Sorry, no bonus.* – Szarpnął jeszcze wódki, odstawił butelkę. – Kończę o szesnastej, przyjdź wtedy.



Szedłem ulicą. Wokół mnie tętniło życie, jeździły samochody i kręcili się ludzie, coś się działo, był jakiś ruch, słowem – było tak, jak powinno być. Normalnie. A ja sobie szedłem i próbowałem zastanawiać się nad tym, co mi powiedział Zając.

Jak można tak po prostu nie żyć?

Zatrzymałem się przy sklepie, popatrzyłem na swoje odbicie w witrynie. No niby normalnie wyglądałem, może trochę blady... Ale żeby tak od razu: trup? Niby rozumiałem, co to znaczy, a jednak nie czułem się bynajmniej martwy; z drugiej strony, czy czułem się też żywy? Wsłuchałem się w odczucia, ale odpowiedziała mi tylko martwa cisza. No właśnie – „martwa”. Zero emocji, żadnych reakcji. Od momentu, gdy przebudziłem się na dnie studzienki w Zonie, nawet mnie nic nie zaswędziało, nie mówiąc już o tym, że przyszedłem tu piechotą w notorycznie mokrym ubraniu, a nie miałem nawet kataru, a co dopiero obtarć czy odcisków. Nawet mnie nogi nie bolały. Niby fajnie, a jednak... jednak było w tym coś, co chyba powinno napawać mnie strachem.

Najbardziej niepokoiło mnie dokładnie to, że nie napawało.

Wróciłem do mieszkania, ale Oksany już nie było, więc pocałowałem tylko klamkę. Pod tym względem wszystko było w normie – każdy miał coś do roboty, tylko ja się szwendałem bez sensu i celu, nie mając nawet spokojnej przystani, do której mógłbym zawinąć. Zaszedłem więc do domu, upewniwszy się najpierw, że mojej starej akurat nie ma, stanąłem przed lustrem i ściągnąłem sweter.

Paskudna, ziejąca dziura, a w dziurze czarno. Nie czerwono, nie różowo, a czarno właśnie. Na próbę dźgnąłem paluchem, potem mocniej, w końcu wsadziłem w nią kciuk i pokręciłem w jedną i drugą stronę – nic. Owszem, czułem go tam, ale nic poza tym. Zero bólu, zero strachu.

– Cholera jasna... – zakląłem z cicha pod nosem.

Szczerze mówiąc, nie brałem czegoś takiego pod uwagę. Owszem, zakładałem, że kiedyś, gdzieś, w bliżej nieokreślonej przyszłości mogę umrzeć. Jest to raczej prawdopodobne zakończenie życia, a już szczególnie w kraju, gdzie średnia długość życia dla mężczyzny to niespełna sześćdziesiąt lat... Widzieliście, ile u nas jest babuszek, prawda? A dziadków? No właśnie, wcale nie tak ich znowu wielu. Więc... byłem świadom tego, że zbliżam się już do połowy prognozowanego przebiegu, ale częściowo uspokajała mnie myśl, że nawet jak już umrę, to zasadniczo nie będzie mnie to obchodzić.

A tu taki klops.

Jeśli koniecznie chcecie wiedzieć – nie, nie przerażała mnie ta myśl. W zasadzie... w zasadzie to chyba już jakiś czas podejrzewałem, że coś jest poważnie nie w porządku, ale starałem się zepchnąć te domysły na dalszy plan, zajmując się czymś innym w nadziei, że się nie uda – a to coś mnie w Zonie napadnie, a to przez Kordon nie przejdę, a to ktoś mnie w nocy będzie chciał pobić. Zawsze wolałem koncentrować się na doraźnych, krótkoterminowych planach, bo nie miałem głowy do planowania strategicznego. Dopiero teraz docierało do mnie, że będę zmuszony wydłużyć perspektywę horyzontu myślowego do bliżej nieokreślonej nieskończoności.

Pokręciłem się trochę po domu, ale nie miałem pomysłu, co ze sobą zrobić. Zajrzałem do lodówki – głodny nie byłem. Włączyłem czajnik na herbatę – pić mi się nie chciało. Wróciłem do łazienki, ogoliłem się trochę – no, przynajmniej broda mi urosła, ale ktoś mi kiedyś mówił, że to przez parę dni jeszcze po śmierci truposzom rośnie. Jutro rano się okaże, czy zarost też mi umarł. Tak czy inaczej doprowadziłem się do porządku, umyłem jeszcze raz, nawet plasnąłem się wodą po goleniu.

Ani śladu podrażnień, zaczerwienień. Nic.

Poszedłem do szafy, otwarłem drzwiczki na szerokość; po chwili namysłu i wahania wywaliłem wszystko na podłogę, poukładałem na kupki, potem wyciągnąłem deskę i żelazko, uprasowałem i poskładałem ciuchy w kosteczkę. Nawet majtki i skarpetki sobie wyprasowałem, chociaż normalnie perspektywa takich zajęć powodowała u mnie drgawki. Rozejrzałem się po pokoju...

Przez kolejne kilka godzin umyłem wszystkie okna, posprzątałem gruntownie łazienkę, wyszorowałem piekarnik i podkleiłem odchodzącą tapetę w przedpokoju. Poza tym odkurzyłem cały dom, poustawiałem książki na regale, sprzątnąłem balkon, naoliwiłem wszystkie zamki i w końcu wymieniłem przepaloną żarówkę w kinkiecie nad telewizorem.

Usiadłem w fotelu, patrząc na rezultaty swych działań. I wiecie co? Nie czułem ani grama satysfakcji.

Miałem już tak kiedyś, jak się upiliśmy w kolegami w podstawówce. Co to było, siódma klasa? Ósma? Dość, że z jakiegoś powodu był wolny dom, rodzice mieli wrócić późno, no więc popłynęliśmy nieco. Następnego dnia nikt mi nic nie powiedział, a mi było tak strasznie, potwornie, niewymownie głupio; już wolałbym, żeby na mnie nakrzyczeli, sprali skórę, żebym miał szlaban albo coś... A tu nic, zupełnie nic. Wtedy też przez dobre dwa tygodnie miałem taką fazę, że wszystko sprzątałem, czyściłem, układałem i zmywałem naczynia – tylko po to, żeby samemu sobie udowodnić, że jeszcze jestem komuś do czegoś potrzebny, bo czułem się jak ostatnia, najgorsza, bezużyteczna szmata. Dokładnie tak

miałem teraz: gotów byłbym imać się najgorszych, najbardziej niewdzięcznych prac, żeby poczuć, że cokolwiek znaczę.

No bo tak to jest: jak człowiek ŻYJE tylko i wyłącznie dla siebie, to sprawa jest jasna. A jak nagle się okazuje, że już NIE ŻYJESZ? To co dalej?

Godziny wlokły się niemiłosiernie, więc poszedłem jeszcze do sklepu po zakupy, przytargałem wór ziemniaków i zgrzewkę wody, zamiotłem piwnicę... Gdy zegarek nareszcie pokazał za kwadrans szesnastą, ubrałem się porządnie, wciągnąłem świeżo umyte buty i pomaszero wałem do Zająca.

– Cożeś się tak wystroił jak na pogrzeb? – przywitał mnie konował, gdy wszedłem w końcu do jego gabinetu. – Siadaj.

– Zajęc, odpuść sobie głupawe docinki. – Skrzywiłem się. – To nie jest zabawne.

– Ja wiem, że to nie jest zabawne, Sztywny. Zapewniam cię, że dla mnie jest to jeszcze mniej zabawne niż dla ciebie.

– Hm?

– Ano widzisz... – Zajęc podszedł do okna, zasłonił żaluzje. – Bo byli u mnie Zek z Prawikiem kilka dni temu, zaraz po tym, jak wyszli z Zony. No i opowiadali mi, jak to Struś zginął w potyczce z jakimiś włóczęgami, a ciebie dorwał juchociąg.

– Jak to kilka dni temu?

– Normalnie. – Wzruszył ramionami. – Bodajże we wtorek czy jakoś tak.

Wtorek. A dziś poniedziałek, czyli tydzień temu... No tak, przecież mi rano mówił, że poniedziałek. Więc leżałem tam w tej studzience – no, co najmniej cztery dni.

– To jak było, Sztywny? – Pokazał mi ruchem ręki, żebym ściągnął ciuchy, zaczął mnie znów osłuchiwać, opukiwać i robić jakieś swoje czary-mary.

Westchnąłem ciężko, w kilku słowach zreferowałem przebieg wydarzeń; oczywiście kwestię Strusia pominąłem, bo tu nie o to chodziło. Zajęc wysłuchał, pokiwał głową:

– Zek twierdził, że widział, jak cię dorwał mutant... Nie sądzę, żeby się ucieszył z twojego powrotu.

– Już ja się z nim policzę – mruknąłem. – Niech go tylko dorwę...

– Ty to się z dorywaniem nikogo nie spiesz. – Zdjął stetoskop, zanotował coś na kartce. – Na razie, niestety, jesteś tak samo martwy, jak byłeś rano. Przykro mi, Sztywny.

– Jak to na razie?

– Twój stan raczej nie rokuje widoków na poprawę. Być może źle się wyraziłem, Sztywny: jesteś martwy, a z biegiem czasu będziesz martwy coraz bardziej. Chociaż, z drugiej strony... po prawie tygodniu powinieneś mieć już inne objawy...

– Stężenie pośmiertne? Ten, no... rigor mortis? – błysnąłem wiedzą z Dyskaweri Czanel, ale Zajęc popatrzył na mnie z naganą:

– Stężenie pośmiertne to masz parę godzin po zgonie, a ustępuje po czterech dniach, naukowcu ty od siedmiu boleści... Wam to się wydaje, że obejrzyście dwa filmy i wszystkie rozumy pozjadaliście.

– No dobra, nie pierdol, Zajęc.

– Nie „pierdole”, tylko ci mówię, jak jest. Tydzień po śmierci to powinieneś być chodzącą fermą robaków, przynajmniej w uszach, nozdrzach i oczach powinno się roić... – Zaświecił mi małą latareczką we wspomniane rejony. – A u ciebie czysto, chociaż widać

pewien obrzęk śluzówki. Kolor nieswoisty, ale...

– Mów po ludzku, Zając.

– Po ludzku? Po ludzku to powinienś być fioletowo-zielony, powinny już wyłazić ci kości tu i ówdzie, widoczne byłyby już okazjonalne kępki pleśni. No i śmierdzieć... – pociągnął nosem – powinienś gorzej, a ty pachniesz... co to, „Trajnoj”?

– Ta – przyznałem niechętnie. – Moja stara twierdzi, że to lecznicze, innego nie mam.

– No widzisz. Poza tym... wstań na chwilę... usiądź... Wysięku z otworów naturalnych nie ma?

– Że co?

– Czy ci z dupy nic nie leci, się pytam, tylko tak ładnie, naukowo.

– Nie... nie zauważyłem w każdym razie.

– No właśnie... – Zając przygryzł tymi swoimi wielkimi siekaczami długopis; zawsze tak robił, jak nie wiedział, co powiedzieć. – Słuchaj, na pewno jesteś biologicznie martwy. Natomiast co do reszty... nie mam pojęcia. Zagadka dla nauki.

– Jak to zagadka? – Zdenerwowałem się, chociaż nie powiem, żeby opisywanie tego przez emocje było najbliższym odpowiednikiem. – To co mi jest?

– Wiesz co, musiałbym... musiałbym przeprowadzić dokładniejsze badania. – W oku Zająca coś błysnęło, ale za chwilę zgasło; jakby przelatująca myśl na mgnienie rozjaśniła jego twarz perspektywą czegoś bardzo, ale to bardzo interesującego. – Posłuchaj, Sztywny, daj mi trochę czasu, dobra? Tak parę godzin może, zadzwonię do ciebie, dam znać. Okej?

– Okej... – burknąłem, nie do końca przekonany do takiego planu; miałem wrażenie, że jestem po prostu odkładany na później. – Jak tylko znajdę telefon, bo nawet nie wiem, gdzie jest.

– Znajdź, dobra? A jakby co, to odezwij się z nowego numeru albo ze stacjonarnego zadzwoń.

– Ty myślisz, że ja na kasie śpię... – z przekąsem zacytowałem niedawno zasłyszany tekst. Ku memu zdziwieniu Zając sięgnął do portfela, wyciągnął kilka banknotów:

– Masz, kup sobie starter na kartę. Święta racja, starego telefonu nie używaj. Ktoś jeszcze wie, że hm, wróciłeś?

– Tylko Oksana.

– Na pewno?

– Zając, co ciebie to obchodzi...?

– Nie, nic, tak tylko pytam. Rozumiesz, Sztywny, musisz na siebie uważać teraz. – Nachylił się do mnie, objął ramieniem. – Zek i Prawik raz cię chcieli zabić, więc na pewno spróbują po raz kolejny. Ty lepiej im się nie pchaj na widok, siedź u siebie w domu i nie wyłaź. Odezwę się, a ty do nikogo nie dzwoń! Rozumiesz?

– Dobra, dobra... – Wepchnąłem pieniądze do kieszeni, naciągnąłem na grzbiet kurtkę. Zając uważnie mi się przyglądał, gdy wychodziłem na korytarz, na którym tylko samotna sprzątaczką zmywała podłogę; podeptawszy efekty jej ciężkiej krwawicy, popchnąłem skrzypiące drzwi i wyszedłem na dwór.

Co miałem dalej robić? Odruchowo chciałem skrócić do Akwarium, ale zapaliła mi się czerwona lampka: stop. Wolałbym się tam nie pokazywać, skoro wieść o mojej śmierci już się rozeszła... Więc poszedłem, jak zwykle, do Oksany.

Gdy stanąłem pod drzwiami, usłyszałem ze środka płacz. Ewidentnie płakała Oksana, zanosila się tym swoim szlochem, urywanymi spazmami wyrzucając z siebie powietrze; zawsze powtarzałem, że za taki płacz to powinna dostać Oscara. Niewiele myśląc, nawet nie zapukałem, tylko złapałem za klamkę. O dziwo było otwarte, więc po prostu wszedłem do środka, kierując się na dźwięk.

– I on przy-yszedł do mnie, bu-u-u-u-u... – to musiała być Oksana, sto procent. – Uuuu-u-u-u... W no-o-o-cyyy... Uuu-uuu-u-u-u...

– Spokojnie, lalka, tylko spokojnie – usłyszałem też drugi głos. Męski. Spokojny, teraz akurat kojący i w założeniu budzący zaufanie. – To sen był, tylko sen...

– Ale oo-o-o-on... Był ze-ee mną, uu-uu-u... Taki prawdzii-iiwy...

– To sen był, Oxi, tylko sen. Już dobrze, kochanie, daj, pocałuję ci te oczęta...

I na te słowa stanąłem w drzwiach do salonu.

Scena była z grubsza taka, jak się spodziewałem. Oksana w swoim kąciku do płaczu, wciśnięta w pluszowy fotel pomiędzy roślinką w doniczce a stojącą lampką; dokoła niej porozrzucone zużyte chusteczki higieniczne, opakowania witaminy D (nie wiedzieć czemu, ale Oxi była przekonana, że ma działanie uspokajające); na telewizorze leci kanał z gotowaniem (też rzekomo działającym odstresowująco); na stoliku herbata i wódka... I klęczący koło Oksany nikt inny jak sam Zek.

– Brat – powiedziałem po prostu.

Na krótką chwilę świat zatrzymał się w bezruchu.

Oksana zamarła z ciągnącym się pod nosem gilem, częściowo już wytartym w chusteczkę z recyklingu, ubrana – nie wiedzieć czemu – w koronkowe body i czerwone szpilki. Rozmazany tusz do rzęs i cień do powiek spływa w dół na policzki nierównymi smugami, czerwone od płaczu oczy wyglądają na tym tle jak dwie ziejące krwią jamy. Świecący się nos i rumieńce na policzkach przydają twarzy chorobliwego wyglądu...

Zek w półobrocie, oglądający się przez ramię z wyrazem niebotycznego zaskoczenia zastygł na twarzy. Na spodniej stronie białych podkolanówek wyraźnie odznaczają się brudem odciski palców i pięty, jedną rękę trzyma na kolanie Oksany, drugą chyba drapał się akurat po gołym tyłku. Musi mu być tak niewygodnie klęczeć na zimnych kafelkach podłogi zupełnie bez ubrania, ale najwyraźniej ma motywację. Motywację, o którą bym go nigdy nie posądzał.

A potem Oksana otworzyła usta, nabrała powietrza i zaczęła wrzeszczeć... a świat ruszył z kopyta.

– Ty chuju! – Rzuciłem się szczupakiem ku Zekowi, ale potknąłem o dywan i wypierdoliłem jak długi, zawadzając o stół i posyłając dzbanek i butelkę w krótki lot, zakończony spektakularną katastrofą lotniczą na podłodze. On też wrzasnął coś, odskoczył na bok, wskoczył na pufę i dał nade mną susa, najwyraźniej próbując dopaść do drzwi. Tak łatwo nie miałem zamiaru dać mu się wysliznąć, więc machnąłem nogami w tę i w tę w niepłonnej nadziei, że mój eksbrat się w nie zaplącze i potknie. Faktycznie, łomot i rumor obwieścił mi, że moje działania taktyczne nie poszły na marne; krav maga to może nie była, ale kilka razy człowiek się bił na ulicy. Oksana nadal wrzeszczała, na tej samej nucie wydając z siebie świrdujący w uszach pisk, aż w końcu urwała, oczy uciekły jej pod czaszkę i osunęła się na fotelu.

– Chujuuu! – powtórzyłem tylko swój okrzyk bojowy, ale Zeka nie było już w pokoju, chociaż krwawy ślad na futrynie świadczył o tym, że musiał nieźle w nią przydzwonić; miałem szczerą nadzieję, że co najmniej zębami. Wypadłem za nim do przedpokoju, zobaczyłem zamykające się drzwi, wyskoczyłem na klatkę...

Manewr mojego przeciwnika był sprytny, ale muszę przyznać, że nie dałem się do końca zwieść. Wychyliłem się tylko na korytarz, trzymając jedną nogę w prześwicie futryny, więc gdy on wyskoczył z kuchni, żeby zatrzaskać mnie na zewnątrz, byłem połowicznie przygotowany. Poczułem, jak ciężkie skrzydło drzwi uderza i ciśnie na trampek, ryknąłem bardziej z wściekłości niż bólu, uderzyłem barkiem i napałem z całej siły, przepychając go z powrotem do środka.

Odskoczył, gdy tylko poczuł, że nie dał rady mnie nabrać; zobaczyłem, jak brudne pięty migają na zakręcie do sypialni, trzasnęły drzwi, ale to wszystko dotarło do mnie chwilę potem, bo sam już pędziłem jak lokomotywa prosto za nim... Więc siłą rzeczy nie dałem rady wyhamować, zasłoniłem tylko głowę rękami i rzuciłem się szczupakiem w przeszkłone drzwi.

Brzęknęła tłuczona szyba, posypały się odłamki... Chciałbym powiedzieć, że epicko przeturlałem się po podłodze i poderwałem na równe nogi, ale fakt był taki, że wyjechałem się jak długi na glebę, sunąc na potrzaskanym szkle i przewracając po drodze ukochaną lampę Oksany z abażurem w kształcie różowego kota. Huknęła pękająca żarówka, kot rozbłysnął i zgasł na wieki, ja wrzasnąłem, Zek kwiknął, szarpnął za drzwi i wypadł znów do przedpokoju.

– Jebany chujuuu! – Rzuciłem się za nim, ślizgając na odłamkach i potykając o własne nogi. I przyznaję, tu go nie doceniłem; gdy wypadłem zza zakrętu korytarza, zobaczyłem lecącego mi na spotkanie bejsbola, którego Oksana trzymała za drzwiami i okazjonalnie używała do co bardziej wynaturzonych zabaw.

Stuknęło głucho, a potem świat wywinął fikołka. Nie, nie zamroczyło mnie, tylko... zaskoczyło. Oszło mi nieco. Na tyle, że zanim dotarło do mnie, że nic mi nie jest, Zek zdążył już wyskoczyć na klatkę schodową; słyszałem tylko, jak zbiega po schodach i trzaska drzwiami na dole. Podniosłem się ciężko, przytrzymując szafy. Całe przedramiona miałem pocięte i naszpikowane kawałkami szkła, ale krwi nie było ani kropelki... Wydłubywałem akurat ostatnie spomiędzy ścięgien, gdy drzwi ponownie się otworzyły i stanął w nich sąsiad troglodyta.

– Co tu się wyprawia, do cholery... – w założeniu miało to być chyba „huknął groźnie”, ale tymczasem zauważył mnie i wyszło z tego „burknął niepewnie”; po chwili jednak odzyskał rezon, postąpił krok do przodu. – Pani Oksano! Wszystko w porządku?

– Dziwka śpi. – Spojrzałem mu prosto w oczy. – A ty wypierdalaj stąd, dziadu.

– Ach, ty skurwielu bezczelny, już ja ci...! – Zacisnął pięść i machnął na odlew, ale byłem na to przygotowany. Zanurkowałem pod jego łapskiem, schylając się aż do samej podłogi, wyprostowałem, już ściskając w ręku upuszczonego przez Zeka bejsbola. Uderzyłem od dołu, tylko raz, ale z obydwu rąk.

Huknęło głucho, chrupnęło. Sąsiad Oksany popatrzył na mnie tępo; przestawiona szczeka opadła bezsilnie na zawiasach, oczy rozjechały się w dwie różne strony i neandertalczyk osunął się na podłogę.

Spojrzałem beznamiętnie na leżącego grubasa, przeszedłem nad ciałem i wkroczyłem ponownie do salonu. Oksana siedziała w fotelu tak, jak zemdląca, nadal ubrana w krwistoczerwone szpilki i koronki. Przykucnąłem koło niej, pogładziłem po policzku.

– Hej, hej, Oxi... Oxi, to ja...

Zatrzepotała rzęsami, mrugnęła raz i drugi. Widziałem, że przez chwilę nie orientowała się, co się dzieje i gdzie w ogóle jest, dopiero potem zogniskowała wzrok na mnie:

– Sztywny...? Sztywny, króliczku...!

– Nie jestem twoim, kurwa, króliczkiem. – Jeśli Oksana miała jeszcze szansę na romantyczne przebudzenie, to właśnie ją spierdoliła; romantyczne z mojego punktu widzenia znaczy się. – Co tu się dzieje?

– No... ojej, co się stało? – rozejrzała się Oxi po pobjowisku, w które zamienił się jej salon.

– To ja się pytam, co się stało. – Wyciągnąłem sobie z czoła pokaźny kawałek szkła. – Co tutaj, kurwa, robił Zek?!

– No bo, rozumiesz, Sztywny... On właśnie przechodził.

– Przechodził? Jak w tym filmie, z tragarzami przechodził?

– No tak. I usłyszał, że ja płacę, bo tak mi smutno bez ciebie było...

– I co, przypadkiem spadły mu, cholera, spodnie?! – nie wytrzymałem. – A ty byłaś na obcasach, żeby wygodniej było ci sięgać rzeczy z pawlacza, i w bieliźnie, żeby się nie zgrzać? Potknęłaś się, on chciał cię przytrzymać, ale upadliście razem i on przypadkiem przygwoździł cię kutasem do podłogi?!!

– No... tak, w zasadzie tak – pokiwała głową Oksana; jej oczy były oceanami niewinności i młodzieńczej naiwności. – Ojej, tak głupio wyszło, ale...

– Nie pierdol, Oksana. – Wstałem, odwróciłem się. – Od jak dawna Zek cię rucha?

– Ojej, nie mów tak od razu, Sztywny...

– No dobrze, zacznę delikatniej: od kiedy uprawiacie seks zamiastmałżeński?

– No...

– Japierdolękurwamać! – zawyłem. – Ty suko zdradziecka! Jak mogłaś mi to zrobić?!

– A co, bo ty lepszy niby?! – Oksana podskoczyła, gotowa rzucić mi się z pazurami do twarzy. – Ruchasz wszystko, co popadnie, nawet sam swoich dziwek nie zliczysz! Myślisz, że ja nie wiem?!

– Ale to... to co innego było! – zawołałem płacząco. – Z nami było inaczej!

– Niby jak? – Pogardliwie wyduła wargi, biorąc się pod boki.

Tego było już za dużo. Poderwałem besjbola do ramienia, wziąłem zamach; ona krzyknęła, zasłoniła się rękami, upadła na podłogę i skuliła się, szlochając. Spojrzałem na nią, splunąłem sobie pod nogi czymś paskudnym, co zebrało mi się pod językiem:

– To koniec, Oksana. Tym razem to definitywnie koniec.

Skielczała jeszcze coś i próbowała mówić przez łyzy, gdy zbierałem swoje rzeczy z szafy, ale już jej nie słuchałem. Spakowałem się w pierwszy lepszy plecak, upchnąłem tyle swoich ciuchów, ile znalazłem, zresztą większość leżała popakowana w torby – ewidentnie do wyniesienia dla biednych. Za to na moich półkach rozłożyły się bluzy i spodnie, które bez trudu zidentyfikowałem jako należące do Zeka. Czyli nie był to pierwszy raz, kiedy bolcował ją w kakao za moimi plecami... Wychodząc, podszedłem jeszcze do nocnej szafki

Oksany, popatrzyłem na budzik w kształcie zadowolonego z siebie smerfa.

– Od zawsze cię nienawidziłem, niebieski skurwielu – mruknąłem i rozniosłem go w driebieżgi uderzeniem kija.

Wyszedłem, zostawiając za sobą otwarte drzwi i ruiny mego poprzedniego życia.



Zaszyłem się w moim garażu, niczym potwór Frankensteina w laboratorium. Z pewnym zdziwieniem skonstatowałem, że w zasadzie to nie potrzebuję wcale światła, żeby normalnie funkcjonować; musiało mi się coś poprzestawiać w głowie, ale nie zmieniało to faktu, że było zupełnie ciemno, a ja widziałem. No, może nie było to HD, ale wystarczało.

Cerowałem sobie właśnie pocięte przedramiona i czoło, haniebnie nierównymi szwami zbierając skórę i mięsko. A przecież mówiła kobieta od zetpetów, że się przydadzą umiejętności, mówiła... Jeszcze parę takich akcji i naprawdę będę wyglądał jak efekt eksperymentów jakiegoś pojebanego naukowca, pozszywany z kawałków.

W zasadzie już pogodziłem się z myślą o tym, że byłem martwy. No bo w sumie, to nie miałem szczególnego wyboru, prawda? Tak było i chuj. Tak naprawdę... tak naprawdę to nawet zaczynało mi się to pod pewnymi względami podobać. To znaczy no, bez przesady – pewnie, że wolałbym być żywy; no ale jak się nie ma innej opcji, to patrzy się na jaśniejsze strony życia... No dobra: śmierci.

Popatrzyłem na ikonkę na wyświetlaczu telefonu: prawie się naładował już... Oczywiście, że leżał u Oksany, podobnie jak moje klucze, dokumenty i inne rzeczy. Szkoda tylko, że nie było tam wszystkiego, co podpierdolili mi w Zonie moi byli towarzysze, jak chociażby plecaka napchanego artefaktami i mojego forta... Ale o to miałem zamiar się upomnieć w sposób najstraszliwszy z możliwych.

No bo słuchajcie – postawcie się w mojej sytuacji. I tak już nie żyłem, prawda? No to, do cholery, *what's the worst that can possibly happen?*... No co, pytam się was? No zabiją mnie po raz drugi? Pobiją? Torturować będą? Naprawdę, było mi wszystko jedno. Za życia zdążyłem chyba spierdolić i przejechać wszystko, co do spierdolenia i przejebania było. Teraz miałem szczerzy zamiar przynajmniej częściowo naprawić błędy młodości... Żywości znaczy się.

Moje spektakularne plany zemsty zza grobu przerwał dzwonek komórki; Zając dzwonił.

– Halo? – rzuciłem w słuchawkę.

– A z kim rozmawiam...? – niepewny głos po drugiej stronie zapytał po chwili wahania.

– A kto dzwoni? – odparowałem w podobnym tonie.

– Sztywny?

– Zając?

– Tak, to ja.

– No to też ja przecież. – Zdenerwowałem się. – Jak dzwonisz do kogoś na komórkę, to przeważnie ta osoba odbiera, nie?

– Ostrożności nigdy zadość, Sztywny... – mruknął zagadkowo Zając. – Możesz gadać?

– Nie, wiesz co, jestem na dyskotecce i właśnie jakaś panna robi mi loda.

– Co? – W jego głosie usłyszałem nieudawane zdziwienie. – Ale słuchaj, jak w takim razie...

– Zając, jaja se robię. – Zniecierpliwilem się. – Masz dla mnie jakieś lekarstwo?

– Czy mam... tak, tak! – przytaknął gorączkowo. – Spotkajmy się u mnie w gabinecie, dobrze? Kiedy będziesz?

Spojrzałem na zegarek.

– Piętnaście po.

– Czekam w takim razie, a ty uważaj na siebie. – Rozłączył się.

Coś mi się podejrzana wydała ta nagła troska Zająca o moją skromną osobę. Przeważnie konował miał na nas wszystkich równo wyjebane, uważając – nie bez pewnej dozy słuszności – za istoty niższego rzędu, będące w rzeczy samej wyłącznie pozycją w jego wykresie dywersyfikacji dochodów. Jakkolwiek próbowałem przekonywać sam siebie, że po prostu mi współczuje albo jest zafascynowany moim – jak to sam określił – „stanem”, to coś mi się w to nie wierzyło... więc zamiast ortalionu narzuciłem na siebie płaszcz, pod który schowałem kij. Ot tak, na wszelki wypadek.

Ciemno już było i zaczynał kropić deszcz, więc szedłem szybkim, rażnym krokiem, mijając przemykających się pomiędzy domami ludzi. Ciekawe, jak by reagowali, gdyby wiedzieli, KIM I CZYM jestem... Zakutany w długi płaszcz zombie z bejsbolem; jak w jednym z amatorskich horrorów Prosiaka normalnie.

Przychodnia była już zupełnie ciemna i pusta, tylko w gabinecie u Zająca jeszcze paliło się światło. Zastukałem do drzwi, nacisnąłem na klamkę.

– Sztywny – powiedział Zając, siedząc za biurkiem sztywno, jakby kij połknął. – To ty. Wejdz.

– Zając, wiesz co, tak myślałem... – zacząłem, ale nie dokończyłem myśli. Nie dokończyłem jej, bo zauważyłem, że Zając strzelił oczami w bok, jak gdyby patrząc na kogoś innego; na kogoś, kto stał za drzwiami. Rzuciłem się w bok, jednocześnie coś trzasnęło głośno i poczułem, jak sztywnieje mi noga...

– Brać go! – rozległ się okrzyk zza moich pleców. Nawet nie zastanawiając się, wyszarpnąłem spod płaszcza bejsbola i zamachnąłem szeroko od lewej, starając się zatoczyć ręką jak największy łuk. Prysnęła pleksi, posypały się odłamki, trafiony prosto w bok głowy typek w zielonym kombinezonie z kulistym hełmem zamachał rękami i poleciał na plecy, przewracając przeszkloną szafkę. Kolejny strzał, jakby gdzieś przeskoczyła iskra, poczułem, jak drży mi konwulsyjnie ręka, ale nie wypuściłem mojego oręża. Odwróciłem się do Zająca, siedzącego jak słup soli za biurkiem.

– Ty chuju! – krzyknąłem po raz nie wiem który tego dnia. – Sprzedałeś mnie...!

Zamachnąłem się jeszcze, chcąc rzucić w niego kijem, ale kolejne elektrody wbiły mi się w ramię, posyłając w mięśnie następną i jeszcze jedną dawkę prądu wysokiego napięcia... Czy może natężenia, nie wiem, zawsze mi się to myliło. Dużo prądu w każdym razie. Bejsbol wypadł z ręki, ze stukiem potoczył się po podłodze; nogi ugięły się pode mną, kolejny trzask wyładowania, upadłem na ziemię, czując, że nie mam kontroli nad ciałem. W nachylającej się nade mną gładkiej sferze zasłony widziałem zniekształcone odbicie własnej twarzy, wykrzywionej grymasem niekontrolowanego skurczu mięśni.

– Obiekt unieszkodliwiony, powtarzam, obiekt unieszkodliwiony. – Głos dochodzący przez membranę dźwiękową kombinezonu brzmiał niczym ze starego filmu o ufoludkach. – Grupa ekstrakcji, wchodźcie do środka.

Gabinet Zająca zaroił się od kolejnych postaci w gumowanych kombinezonach, wszystkich w idiotycznych odcieniach zieleni i pomarańcza. Obserwować mogłem tylko to, co miałem bezpośrednio przed sobą, bo nawet oczy mi zablokowało, więc ciężko było ogarnąć całość sytuacji. Przez większość czasu widziałem wyłącznie sufit, kawałek regału i górną część tablic anatomicznych, od czasu do czasu któryś z ufoków przechodził nade mną, coś robił, nachylał się i sprawdzał odczyty na mierniku... Wyglądało to tak, że ci w zielonych mieli na sobie więcej sprzętu i tasery, więc pewnie to oni „unieszkodliwiali obiekt” (czyli mnie), zaś pomarańczowi byli od brudnej roboty, bo zaczęli pakować mnie w jakiś foliowy worek, uważając przy tym, żeby broń Boże nie dotknąć ręką, nawet przez rękawice... Niemrawo im to szło, co i rusz jakaś moja kończyzna wyslizgiwała się któremuś z aluminiowego chwytaka, poza tym ja też im nie pomagałem, naprężając i rozluźniając te mięśnie, nad którymi miałem jeszcze jaką taką kontrolę. W końcu jajogłowym udało się jakimś cudem upchnąć mnie do worka, potem na klasyczne „raz, dwa, trzy!” podnieśli, by sapiąc i dysząc, jakbym ważył nie wiadomo ileset kilogramów, przenieść na coś w rodzaju noszy, które od razu przykryli przezroczystą kopułą. Szczęknęły automatyczne zamki, ktoś popukał w osłonkę ręką, normalnie jakbym był załadowaną ciężarówką, po czym wózek potoczył się po nierównych płytkach, wyjechał na korytarz... Po drodze widziałem jeszcze tylko, jak Zająca próbuje się nieśmiało bronić przed dwoma pajacami w pomarańczowych wdziankach, usiłującymi ubrać go w coś na kształt wielkiego, plastikowego kondoma. Dobrze ci tak, chuju, pomyślałem sobie jeszcze, czując chociaż minimum satysfakcji z tego, że zdrada nie uszła oszukańczemu lekarzynie na sucho. Pewnie też go zabiorą na jakieś badania, wsadzą do kwarantanny, wezmą na obserwację; i dobrze mu tak, niech sobie pocierpi, w końcu kto wie czym mógł go zarazić „obiekt”, sprzedany pewnie za niemałą gotówkę chujkom z Instytutu. Ale ja go jeszcze dorwę, jego też dorwę...

Snucie planów zemsty przerwało mi uderzenie mojego wózka o coś twardego, seria szarpnięć i jeszcze jedno uderzenie, gdy wjechał do przedziału ładunkowego furgonetki. Było tam masę światełek i przełączników, normalnie jakby ktoś postawił sobie za cel życia zbudowanie samochodu składającego się wyłącznie z paneli sterowania i desek rozdzielczych; poza tym płatanina rurek i przewodów, jakieś gniazda i zawory... Czułem się normalnie jak ET, którego dopadli naukowcy; do kompletu brakło jeszcze tylko przejazdu z domu przez foliowy rękaw.

– Obiekt zabezpieczony i stabilny, możemy ruszać – odezwał się ktoś nade mną.

Z pewnym wysiłkiem dałem radę podnieść wzrok, dzięki czemu zobaczyłem rozbitka z bezludnej wyspy ubranego w kombinezon epidemiologiczny... No tak mi się skojarzył, bo naukowcy przy epidemiach zawsze biegają w takich ubrankach z kwadratową przyłbicą, a zarośnięty był tak, jakby się od kilku lat nie golił; pewnie moda taka wśród naukowych hipsterów, bo tak z oczu to nie wyglądał staro.

– Ależ paskuda...

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to mnie tak komentują. Hipster nachylił się nade mną i przez chwilę kontemlował rysy twarzy.

– Myśli pan, że to jeden z samosiedlców? – zapytał drugiego pajaca, ubranego w taki sam kombinezon. Tamten z kolei wyglądał jak jajko Dizzy ze starych gier komputerowych, bo miał zupełnie łysą, idealnie owalną głowę. – Niech pan spojrzysz na te wydatne wały nadoczodołowe...

– Nie, to raczej jeden z tych lokalnych, hm, stalkerów – pokręcił głową Dizzy. – Niech pan raczy spojrzeć, kolego, wygląda na to, że jest ogolony. Pytanie raczej, od jak dawna jest nosicielem...

Furgon szarpnął i ruszył; poczułem to raczej przez zmianę środka ciężenia niż jakkolwiek inaczej, bo nie było tu nawet okien. Nabraliśmy prędkości, potem zakręt, jeszcze jeden... Naukowcy usiedli na ławeczkach, każdy ze swoim tabletem podłączonym kablem do reszty wystroju wnętrza, i jak gdyby nigdy nic kontynuowali swą rozmowę. Jakby mnie tu nie było albo jakbym był jakimś bezrozumnym mutasem.

– Niech pan nie straszy – skrzywił się Hipster. – Należałoby raczej założyć, że to odosobniony przypadek przeniknięcia przez kordon sanitarny.

– Na jakiej podstawie, pytam się? – podniósł oczy Dizzy. – Moim zdaniem brać pod uwagę trzeba wszystkie scenariusze, poczynając od zasugerowanego przez pana, czyli najprostszego, a skończywszy na założeniu, że mamy do czynienia z narażeniem ludności cywilnej na nieznaną czynnik chorobotwórczy w formie lotnej... Tak, tak, kolego, dokładnie tak: w formie lotnej.

– No nie wiem... – Znów nachylił się nade mną Hipster. – Jak na razie aeroskan nie wykazuje żadnych anomalnych tworów. No, oczywiście, jest podwyższone tło promieniowania i standardowy wachlarz elementów nieoznaczonych, ale nie jest to nic, czego nie mielibyśmy w próbkach, które dane mi już było badać.

Na chwilę zaległa cisza, słychać było tylko dudnienie kół i warkot silnika; uświadomiłem sobie, że Dizzy chyba poczuł się dotknięty uwagą swego „kolegi” i pewnie myślał nad ciętą ripostą. A jednocześnie dotarło do mnie, że mogę poruszyć palcami u nóg i rąk; powoli wracała też władza nad oczami, ale chyba słusznie przypuszczałem, że jak tylko mrugnę, to na sto procent od razu porażą mnie prądem albo coś innego mi wstrzykną, więc leżałem nieruchomo, sprawdzając tylko, które z mięśni już się mnie słuchają. Powoli, powoli odzyskiwałem władzę nad powłoką cielesną, a tamci dwaj dalej pierdolili swoje farmazony...

– Analiza spektrometralna wykazuje dużą część odczytów poza skalą! – podsunął pod nos (pod maskę w zasadzie) Hipsterowi tablet jego łysy interlokutor. – Nie myśli pan chyba, że można zignorować takiej skali wyniki, prawda, kolego?

– Paradoks van de Meera przeczy takim teoriom – wydał policzki Hipster. – Dobrze pan o tym wie, a mimo to celowo pomija go w swoich wywodach.

– Ależ! – Łysy poczerwieniał, przez co zrobił się podobny do jajka na Wielkanoc. – Na tym polega istota paradoksu przecież, że przeczy ogólnie stosowanej praktyce! Nie można jednak budować na paradoksach teorii, prawda?

– Einstein się przed tym nie wzdragał – skrzyżował ręce na piersiach brodacz.

– Einstein! – klasnął w ręce Dizzy. – Ależ kolego, nie sądzi pan, że za wcześnie panu porównywać się do geniuszy naszych czasów? Proponowałbym najpierw przewodem doktorskim się zająć...

– Proszę bez przytyków osobistych! – poderwał się Hipster, opierając rękami o moje plastikowe więzienie; kopułka zatrzeszczała, ale on zdawał się tego nie słyszeć, bo samochód właśnie zarzucił na zakręcie, więc oparł się tylko mocniej. – Jak panu nie wstyd!

– Einsteina sobie kolega znalazł! – zerwał się Dizzy, też opierając o mój sarkofag, który zaskrzypiał niepokojąco. – Student do Einsteina się porównywać będzie! Pan, panie kolego, to powinien...

Ale nigdy nie dowiedziałem się, co kolega powinien, ponieważ właśnie ten moment wybrałem jako swoje okienko szansy. Albo teraz, albo nigdy...

Podkuliłem kolana o tyle, o ile mogłem, po czym z całej siły obcasami butów huknąłem o dolną ściankę mojej plastikowej trumny. Plastik trzasnął, rzuciłem się do góry, uderzając czołem o pleksi, przykleiłem się szeroko rozwartymi ustami do folii i plastiku, rycząc tak, jak zombie z filmu ryczeć powinno:

– Bhhgrrrrhhhyrrrrraarr...!

Hipster fajtnął do tyłu, potknął się o coś i wywalił jak długi, znikając z pola mojego widzenia; Dizzy kwiknął, czknął i zgiął się w pół w ataku kaszlu, plamiąc plastik hełmu rzygowinami. Takiej okazji przegapić nie mogłem, uderzyłem nogami raz jeszcze i kolejny, czując, jak puszczają zamki, w końcu przekręciłem się na bok raz i drugi, aż wreszcie zaczepy zwolniły i razem z przezroczystą przykrywką spadłem z wózka, prosto na dławiącego się rzygami łysola...

– Wwrrraaarr...!! – wrzasnąłem znowu, czując, że taka jest potrzeba chwili. Ja na ich miejscu zesrałbym się ze strachu, gdyby ryczący truposz wyrwał się z pozornie hermetycznego więzienia, więc grałem, nie ukrywam, pod publiczność... A w zasadzie przeciwko niej. – Rrrraahaaa!

– Ojezuuuuu! – wrzasnął Hipster, próbując podnieść się z podłogi. – Aaaa!!

A ja, nie czekając na rozwój wydarzeń, uderzyłem pięścią w najbliższy monitor.

No dobra, muszę się przyznać: zapomniałem się nieco. Powinienem był skojarzyć, że eksplodujące fontanną iskier kineskopy to już tylko na filmach bywają, a tu wszędzie ciekłokrystaliczne pewnie były. Ale tak jak mówiłem, pod wpływem chwili doszedłem do wniosku, że dobrze wpasuje się to w nastrój sceny.

Ekran zamigotał, zafalował i przygasł, więc nie tracąc czasu, zacząłem tłuc pięściami, w co tylko popadnie, zrywając z wieszaków butle, rwąc rury i przerzucając zawory, mając nadzieję, że uszkodzę może coś, co zmusi tę cholerną ciężarówkę do zatrzymania.

– Pomóż mi! – krzyknął Hipster, rzucając się na mnie od tyłu. – Sam nie utrzymam...!

Pewnie do łysogo tak krzyczał, ale tamten raczej nie mógł nikomu pomóc, bo sam mocował się z hełmem, próbując ściągnąć z głowy wypełnione rzygowinami pudełko. Mając okazję, sprzedałem mu jeszcze kopa, dzięki czemu znów upadł na podłogę, a wymiociny spektakularnie przemieszały się pod zasłoną. Rycząc niczym sam diabeł z otchłani, kopnąłem na oślep w ścianę, tłukąc kilka wyświetlaczy... Hipster próbował założyć mi klasycznego nelsona, więc – nie myśląc długo – zrobiłem to, co zombie robią najlepiej.

Ugryzłem go.

– Aaaaaa!!! – wrzasnął brodaty i puścił mnie od razu, mimo że chyba nie dałem rady nawet przebić zębami grubego, gumowanego rękawa. – Aaaaa, o mój Bożeeee...!



Rzuciłem się naprzód, dopadając do drzwi; nie łudziłem się nawet, że dam radę otworzyć je od środka, ale też nie to było moim celem. Zerwałem halonową gaśnicę z wieszaka,

wyciągnąłem zawleczkę i wcisnąłem rączkę; biały, mglisty opar błyskawicznie zasnuł całe wnętrze jeżdżącego laboratorium, obydwaj laboranci rozkasłali się potwornie, a ja zacząłem na oślep tłuc stalowym korpusem po elementach wyposażenia, przesuając się coraz bardziej ku przodowi furgonu, aż wreszcie wziąłem zamach i z całej siły pierdolnąłem kilkukilogramowym walcem we wcześniej przyuważone okienko do szoferki...

Brzęk tłuczonego szkła i pisk opon zwały się w jedno, samochód ostro zarzucił na bok, szarpnął, zatańczył, aż w końcu najwyraźniej uderzył w coś twardego, po czym przewrócił się na burtę i jadąc na boku, zsunął z nasypu drogi, przekręcając się na dach.

Wyczołgałem się spod stosu pudełek, opatrunków, ampułek, strzykawek i chuj jeszcze wie czego, co wysypało się podczas katastrofy z pierdylliona schowków i szafek, rozejrzałem po przedziale, próbując chociażby w przybliżeniu określić, gdzie jest wyjście. Już gotów byłem pomyśleć, że to cud, że nic mi się nie stało, potem zreflektowałem się, uświadomiwszy sobie niedorzeczność takich myśli w moim obecnym stanie. Ruszyłem ku otwartym na oścież drzwiom, trzymając się ścian; migało czerwone światło awaryjne, pachniało paloną izolacją i benzyną, zupełnie jak w tym rozbitym śmigłowcu... Tylko że teraz to ja byłem żywym trupem, to mnie powinni się bać.

– Pomocy! – dobiegł mnie z zewnątrz krzyk, chyba Hipstera. Musiał, skubany, wyczołgać się szybciej ode mnie. – Na pomoc!

Gdy wychodziłem z rozbitej furgonetki, coś poruszyło się na podłodze, która do niedawna była sufitem; to chyba Dizzy dochodził do siebie, ale niewiele mnie to obchodziło. Wytoczyłem się na zewnątrz.

– Zostałem ugryziony! – krzyczał Hipster, próbując otworzyć drzwi do szoferki. – Ugryzł mnie, ratunku! Potrzebuję fachowej pomocy...!

Rozejrzałem się, chociaż nie do końca kontaktowałem, gdzie jestem i co się dzieje. Droga, las, pośrodku furgonetka... Ruszyłem w kierunku lasu.

– Pomocy! – darł się Hipster, biegając dokoła przewróconego na plecy niczym chrabąszcz majowy samochodu. – Ugryzł mnie...!

Szedłem, przestawiając nogi, a z każdym krokiem zbawienna ściana ciemnego lasu była coraz bliżej. Jeszcze sto metrów, jeszcze siedemdziesiąt, jeszcze...

– Pomocy, zostałem...

Huknął strzał. Zatrzymałem się, spojrzałem w dół, przeciągnąłem ręką po piersi, podniosłem ją do oczu: krwi nie było. Odwróciłem się ku furgonowi: przy drzwiach do przedziału ładunkowego stał Dizzy, lufa dymiącego pistoletu w jego dłoni wciąż patrzyła prosto w kierunku kolegi.

– ...ugryziony... – z ust Hipstera wyrwał się niedowierzający szept. Dizzy pociągnął za spust jeszcze raz, potylicą niedoszedłego doktoranta eksplodowała krwawym bryzgiem, bezwładne ciało osunęło się na ziemię. Łysy w zalanym rzygami kombinezonie podszedł do leżącego na ziemi trupa, strzelił jeszcze raz i drugi, mierząc prosto w twarz, potem potoczył dokoła obłąkanym wzrokiem:

– Zawsze w głowę. Tylko to ich zatrzyma.

Zawahałem się tylko chwilę, a potem cwałem puściłem się ku drzewom.

Uciekałem tak długo, aż gęstwina skryła przed moim wzrokiem rozbity furgonetkę

w rowie, samą drogę i błyskające na niej światła milicyjnych wozów i karettek. Zwolniłem do szybkiego marszu, po drodze oglądając i obmacując się na okoliczność możliwych urazów; o dziwo, nie stało mi się tyle, ile mogło, chociaż normalny, żywy człowiek byłby po takim wojażu co najmniej zdrowo posiniaczony. Spójność powłoki fizycznej była jednak teraz najmniejszym z moich problemów: po raz kolejny nie miałem pomysłu, co ze sobą zrobić. Po raz kolejny zostałem zdradzony, sprzedany i wystawiony do wiatru; co gorsza, teraz miałem stać się osobą poszukiwaną publicznie, i to nawet nie osobą, a niebezpiecznym mutantem. Zaczynało nieco mnie irytować, że gdzie się nie obrócę, każdy próbuje mnie wydymać i coś na mnie zarobić...

Usiadłem ciężko pod drzewem, schowałem twarz w dłoniach. Co miałem robić? Może... może to nie miało sensu? Może wrócić tam, do drogi, dać się po prostu złapać? Niech już zabiorą do laboratorium, pokroją na kawałki, może jakiś pożytek z tego dla nauki będzie chociaż...? Najchętniej to bym sobie, szczerze mówiąc, popłakał, ale niestety nie miałem dla tego celu ani emocji, ani działających kanalików łzowych. No więc – co dalej? Co dalej...?

Wstałem po prostu i poszedłem w las. Nie wiedziałem, w jakim kierunku jechał furgon, nie miałem pojęcia, na którą stronę drogi wypadł. Zero orientacji, zero celu. Unosiłem się w swobodnym dryfie.

Uczucia i wrażenia zdawały się odpływać ode mnie jak powoli wygaszające się procesy w ponad miarę długo włączonym komputerze. Przystawiałem nogi, robiąc krok za krokiem, ale tylko i wyłącznie dlatego, że kiedyś, z jakiegoś powodu, zacząłem iść; gdybym przewrócił się, to pewnie leżałbym tak, aż... Aż nie wiem. Aż coś by się wydarzyło. Pozbawiony naturalnych potrzeb ciała i bodźców hormonalnych mózg zawieszał się na najprostszych czynnościach, a ja czułem, jak fusy myśli wirują coraz wolniej i wolniej pod czaszką, opadając gęstą warstwą osadu na dno jaźni. Z jednej strony było mi z tym bardzo dobrze, spokojnie tak i kojąco, ale z drugiej wiedziałem, że jeśli dopuszczę do tego, żeby to wszystko zawisło w bezruchu, to już pewnie nigdy nie dam rady tego poruszyć. I będę tak szedł bez końca, aż spadną ze mnie buty, potem skóra zedrze się ze stóp, poszczególne kosteczki zaczną odpadać, aż przewrócę się, więc zacznę pełznąć, aż w końcu, niezdolny do ruchu, zalegnę gdzieś pod drzewem, powoli zamieniając się w kompost, ale nie tracąc do końca świadomości...

Zatrzymałem się. Coś – coś dało radę przebić się przez całun bezmyślności, naruszyć równowagę otępienia. Rozejrzałem się po ciemnym lesie, usiłując zlokalizować źródło dźwięku.

Ledwo słyszalny, ale wciąż dźwięczny odgłos dzwoneczka po raz kolejny rozległ się gdzieś pośród drzew, rozbrzmiał i przepadł pod bezmiarem rozgwieżdżonego nieba. Obróciłem się raz i drugi, podbiegłem kilka kroków, stanąłem, pobiegłem w innym kierunku, nie mogąc określić...

Czerwone światełko wisiało gdzieś przede mną, przeświecając pomiędzy gałęziami. Nie mrugało, nie poruszało się, nie mamiło, nie wzywało; po prostu było tam w oddali. W pierwszym odruchu schowałem się za drzewem, przekonany, że to na pewno kropka lasera na karabinie polującego na mnie żołnierza specnazu... Ale nie, czerwony punkcik po prostu wisiał gdzieś w przestrzeni – spokojnie, statecznie. Niewzruszenie.

Powiew wiatru znów przyniósł odległy trzel srebrnego dzwonka. Niespecjalnie mając pojęcie, co mogę tam znaleźć, ale też nieszczególnie nad tym się zastanawiając, ruszyłem przez las. Krzaki rozrosły się tu gęsto, splątane gałęzie smagały po twarzy i czepiały się ubrania, co i rusz musiałem zatrzymać się i wybierać inną drogę, omijając wykroty i zwalone pnie, ale parłem naprzód, na światło lampki i głos sygnaturki...

Cerkiew po prostu wyłoniła się spomiędzy drzew – potężny masyw ścian poprzecinanych podłużnymi okienkami, cztery narożne wieżyczki i jedna centralna z kopułą o kształcie dzwonu, przekrzywiony prawosławny krzyż wciąż tkwiący na szkielecie z pogiętej i pordzewiałej blachy. Czas, pogoda i ludzie nie obeszli się łaskawie z przybytkiem bożym; jeden węgiel budowli był już tylko i wyłącznie rumowiskiem, dach osiadł i pozapadał się, zwieszając do wnętrza budynku żebrami krokwi; ściany znaczyły zielonkawe plamy porostów, tynk powybrzuszał się, wzdął i odpadał całymi płatami, odsłaniając murszejące cegły i pokruszoną zaprawę. Młode brzoźki, które powysiewały się i wyrosły na dachu, rozsadzały korzeniami strukturę zwieńczenia ścian; zaraz obok nich krzewiła się niewysoka trawa, powoli i nieubłagane zamieniająca niegdysiejsze dzieło architektury w próchno i pył.

Po raz kolejny odezwał się dzwonek, tym razem zupełnie z bliska. Widziałem tańczący na łukach okien czerwonawy poblask lampki, ale poza tym wydało mi się jeszcze, że słyszę... śpiew? Raczej jakby niskie, monotonne zawodzenie, w którym dało się jednak rozróżnić słowa:

– *...praroczie i Priedotieczie, Kriestiteliu Gaspodień, mali Boga a mnie griesznem...
Swiatyji sławyni praroczie Ilije, mali Boga a mnie griesznem...*

Zacząłem wspinać się po gruzie, nie widząc innego sposobu dostania się do środka; śpiew na chwilę się urwał, potem powrócił, jakby ktokolwiek, kto był w środku, usłyszał, że idę, odwrócił się na chwilę, a potem nie przejmując się, wrócił do swego zajęcia. Stałem na szczycie rumowiska...

Kilka świec płonęło przed resztkami ikonostasu, migoczące ogniki płomieni rzucały chybotliwe cienie na wyblakłe freski, nadając obliczom aniołów i proroków wyraz to zadumy, to znów chmurnego niezadowolenia; lampka z czerwonym kloszem, której blask wskazał mi drogę, kiwała się miarowo w rytm podmuchów wiatru, to oświetlając, to pogrążając w ciemnościach okoloną siwą brodą twarz świętego z jedynej ocalałej nad Carskimi Wrotami ikony. Zadrzałem, bo poznałem tę twarz; taka sama, ale w taniej reprodukcji za szkłem, wisiała u mojej babki nad łóżkiem.

– Ilja... Elias – szepnąłem. Głos odbił się echem od ścian, nie wiedzieć czym wzmocniony rozbrzmiał w pustych nawach, zadudnił pod kopułą. Śpiew urwał się nagle; dopiero teraz dostrzegłem okutaną w łachmany postać stojącą przed ikonostasem, która pokłoniła się szeroko ołtarzowi, zamasyżyście przeżegnała od prawej do lewej i dopiero dopełniwszy tego rytuału, zwróciła do mnie. Gdzieś pośród gęstwiny szarych, skołtunionych włosów błysnęły oczy, broda otwarła się ledwo widoczną jaskinią czarnych ust.

– Ilija Fieswityński! – zawołał nieznajomy, wyrzucając ręce w górę. – Ten, co zesłał na ziemię głód, co wyniszcza, i przywołał ogień, co spala! Patron i opiekun wron i kruków, którym pożywienia nie zbraknie na ziemi! Ten, co dzieli wody na dwoje, zamyka niebios

i odmawia deszczu, ten, co pragnie i głoduje, lecz nie umiera! Ten, co wskrzesił młodzieńca niegodnego...

Stałem tak z otwartymi szeroko ustami, nie wiedząc, jak się zachować. Przedziwny mnich popatrzył na mnie, przekrzywił głowę:

– Przeżegnaj się, gdy do Domu Bożego wchodzisz.

– Wimięojcasynaduchaamen... – wyrecytowałem, machając ręką w okolicach ramion i brzucha. – Co to... co to za miejsce? Gdzie ja jestem...?

– W cerkwi jesteś, Świętoiljińskiej cerkwi. Człowiek zburzył ten przybytek, ale cóż stanie na drodze Pana, gdy ten zechce w trzy dni go odbudować?

– Zburzył? – powtórzyłem jak niedorozwinięty, schodząc po rumowisku. Mnich rozejrzał się po ruinach, pokiwał:

– Zburzył. Zaniedbanie to grzech jeszcze cięższy niż gniew, a do tego samego prowadzi przecież... A tu wsie kiedyś były, spokojne, bogate wsie, gdzie ludzie żyli; i sady były, i pola uprawne, a teraz puszcza i ciernie jeno, ohyda spustoszenia, jako prorok rzekł. Gwiazda Piołun upadła i oto żyzna ziemia stała się jako popiół...

– Jestem w Zonie? – Zaszłoby mi w gardle z przerażenia, gdyby nie to, że już nie mogło. On popatrzył na mnie ciężko, potrząsnął głową:

– Tutaj chmura promieniująca z nieba opadła, gdy ziemia na wschodzie otwarła się i tchnęła w niebo trującym oddechem. I wody gorzkie się stały, i pomarła od nich trzecia część ludzi... A tobie, chłopcze, do Zony nie trzeba chodzić, bo Ona przecież w tobie jest.

Nie wiedziałem, co powiedzieć; mnich tymczasem odwrócił się znów do ikonostasu, pochylił się, przeżegnał i zaintonował:

– Ilija, proroku, co żywy do nieba wzięty był, niech zmiłuje się nad grzesznym... Ten, co trzydzieści i trzy lata siedział, a potem siła ogromna dana mu była od Boga i Mikołaja Cudotwórcy. Do nieba wzięty za życia na ogromnym rydwanie z kamienia, grzmiącym niczym grom i błyskawica, co przemierza nieboskłon każdego dnia Pańskiego, co koło jego jaśniejące wstaje na wschodzie, a na zachodzie się chowa... Nocami gwiazdy drogę jego znaczą, po której ogniste rumaki w dzień biegną. Ilija-gromodzierzca siły wielkiej, sam Bóg Wszechstwórca na głowę kamień mu położył czterdziestodziecinowy, rękę mu jedną do nogi przykuł; siostra jego Maryja Ognista dzień jego święta przed Iliją skrywa, by ziemi on całej błyskawicami swymi nie spopielił z radości... I przyjdzie on na dzień Sądu Straszliwego, głowę złoży na skórze wielkiego wołu, co na siedmiu górach się pasie i siedem rzek wody spija... I będzie święty Ilija prorokiem, co od woli Wszechstwórcy ród ludzki grzeszny skarże, gwiazda przed nim jaśniejąca pośród nocy bezbożnej, a imię gwiazdy jest Piołun... I zniwdzie na ziemi szarańcza, jako konie opancerzone z ogonami niczym skorpiony, i ginąć ludzie będą od zarazy, co na ziemię jałową spadnie...

Słuchałem, nie do końca wierząc w to, co się wokół mnie działo... Aż nagle mnie olśniło:

– Zona! Ty o Zonie przecież mówisz, prawda?

Starzec urwał, przeżegnał się, skłonił, nie odwracając do mnie, odparł nie wiadomo komu:

– Tylko Bóg wszechsilny, tylko On mógł takie zesłać, żeby ludzi pokarać. Żeby pokazać nam, że czas nie minął jeszcze, że droga nie zamknięta, ale że Żniwiarze idą już ku polu, bo

łan dojrzały... Biada nam, biada, bo nadeszły dni, że umarli z ziemi powstają.

Patrzyłem na niego jak oniemiały, a on powtórzył tylko:

– Umarli z ziemi powstają, na ziemię wracając i przerażenie niosąc, i występuje brat przeciwko bratu, i ogniem spłonie wszelka niegodziwość. *Gospadu swjatomu molymysja, Gospodi pamiiłuuuuuj...*

– Zaraz, poczekaj! – Złapałem go za rękę. – Ale... ale co ja mam zrobić? Fajnie jest być tym, co widzi, że umarli powstają, tym, no... świadkiem! Ale co mają ci umarli zrobić, do cholery...?

– Bóg życie dał, Bóg i odebrał. Pochwalone niech będzie Imię Pańskie – wzniósł ręce ku górze monach. – Ten tylko, co daje, ten i odebrać może.

– Ale ja nie chciałem tego... „życia”! – wykrzyknąłem, czując, jak łamie mi się głos. – Co to ma być, jakaś kara? Substytut piekła czy co?!

Nie powiedział ani słowa; uśmiechnął się tylko gdzieś pod skołtunioną brodą, ale widziałem, jak na krótką chwilę rozpogodziły się jego oczy.

– Kara doczesna... – szepnąłem sam do siebie. – Piekło na ziemi.

– Napraw, coś źle uczynił – pokiwał głową mnich. – Odkup winy, a Eliasza ci przebaczy.

– Ale... – Poczuję, jak coś ściska mi gardło. – Ale ja nie mogę...! On przecież nie żyje! I on, i Czarny, i ten stalker, i tylu innych...!

– Co z tego świata znika, to Bogu zostaw, bo to Boża sprawa. – Pustelnik odwrócił się do ikonostasu. – A co w nim zostało, to człowiecza. Bogu oddaj, co Boże, człowiekowi, co człowiecze; każdemu podle zasług, każdemu podle przewin jego. *Swiatyji sławyni praroczie Ilije, Gospodu molymysa: Gospodi pamituj...*

– *Gospodi pamituj...* – powtórzyłem za nim jak echo, ukloniłem się ikonie i przeżegnałem, tym razem nie z musu ani nakazu, lecz z własnej woli. Wycofałem się rakiem, precisnąłem pomiędzy częściowo zerwanymi z zawiasów wrotami i ruszyłem ku ścianie lasu, wciąż słysząc rozbrzmiewający pośród murów cerkwi zaśpiew. Pomiędzy drzewami majaczyły resztki zrębów chat o pozapadanych szkieletach dachów, ledwo widoczne pośród krzewów poprzecyłane płotki i omszałe ramiona żurawi, pochylonych nad wyschłymi studniami. Gwiazdy na niebie zaczynały powoli blednąć, ledwo zauważalnym różem barwiło się od wschodu niebo; wstawał brzask zupełnie nowego dnia, a ja szedłem ku miasteczku, po raz pierwszy w życiu dokładnie pewny tego, co powinienem zrobić.



– Dzień dobry, Daszę można?

– Dasz, do ciebie! – zawołał człowiek po drugiej stronie linii, przykrywając słuchawkę dłonią. Zawsze jak odbierał jej ojciec, to czułem się... no... niezręcznie. Tym razem jednak nie czułem się wcale, co było miłą odmianą. – Nie wiem, nie przedstawił się.

– Halo? – usłyszałem jej głos.

– Daszka, to ja.

– Sztywny! – pisnęła. – Sztywny, a ja już myślałam, że coś się stało...!

– Bo się stało – mruknąłem. – Słuchaj, z automatu dzwonię, zaraz mi się drobne skończą.

Wyjdiesz pod blok?

– Nie mogę, uziemili mnie.

– Cholera...

– Potem będę do sklepu szła, to wtedy przyjdź.

– Daszka, nie dam rady potem. Naprawdę potrzebuję pomocy teraz.

– O rany... – sapnęła w słuchawkę. – No dobra, weź podejdź do mojej klatki.

– Pięć minut – powiedziałem tylko i szybko odwiesiłem słuchawkę, żeby odzyskać jeszcze kilka drobnych monet. Nie jest łatwo, jak nie można do własnego domu wrócić... A wracać nie miałem zamiaru.

Daszka faktycznie pojawiła się może pół minuty po moim przyjściu. Zbiegłszy radośnie po dwa schodki, rzuciła mi się na szyję, ledwo dałem radę ją złapać.

– Sztywny! – Pocałowała mnie mocno, na szczęście bez języczka. – A ja już się tak martwiłam...!

– Słusznie – skwitowałem. – Możemy pogadać?

– Mam klucze do piwnicy. – Zadzwoiła breloczkiem. – Chodź, tam pogadamy na spokojnie, a może i coś więcej... Hm?

– Obawiam się, że nic z tych rzeczy, lalka – rzuciłem ciężko, gdy schodziliśmy po schodkach do pachnącego kurzem i ogórkami podziemia. – Widzisz, był mały... wypadek.

Dasza popatrzyła na mnie dziwnie, ale nie powiedziała nic. Zachęcony milczeniem, powiedziałem jej częściową prawdę. Nie skomentowała, więc podałem jej półprawdę; dopiero gdy doszedłem do całej prawdy, popatrzyła na mnie smutno, uśmiechnęła się niepewnie:

– Brałeś coś?

– Nie. – Pokręciłem głową. – Ani nie wciągałem, nie jadłem i nie piłem. Nic. Zobacz sama.

Wziąłem jej rękę i położyłem... no, nie na sercu, bo akurat ono nigdy zbyt jej nie obchodziło. Daszka popatrzyła na mnie, na rękę na zupełnie luźno wiszących spodniach, znów na mnie – i rozbeczała się jak dziecko.

– No już, już, spokojnie, lalka, nie płacz... ćśśś... – próbowałem pocieszyć ją nieumiejętnie, też po raz pierwszy w życiu przytulając do siebie kobietę i wyłącznie jej współczując. – No już, przecież nic się nie stało...

– „Nic”? – przez łzy i smarki wychlipała zapłakana Daszka, próbując wyciągnąć z kieszeni chusteczkę. – To ma być „nic”? Sztywny, przecież ja ciebie kocham...!

Szczerze mówiąc, замуrowało mnie. Tak zupełnie. Popatrzyłem na nią, pogładziłem po policzku. Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, nawet nie przychodziło mi do głowy, żeby zastanowić się nad tym, co faktycznie mnie z nią łączy, a teraz, gdy ona już powiedziała słowa, których nie da się cofnąć, to i ja po raz pierwszy w życiu... Nie – niestety, już nie „w życiu”.

– Ja... ja ciebie też, Daszka. – Uśmiechnąłem się trochę smutno. – Ale nie pocałuję. Rozumiesz, prawda?

Nadal pochlipując, kiwnęła głową, wtuliła się we mnie mocno. Objąłem ją też i przez

nieskończenie krótki czas trwaliśmy tak w stanie idealnego szczęścia, chyba jedynej chwili prawdziwej, nieskrępowanej szczęśliwości, jakiej zaznałem w życiu... A potem delikatnie, ale stanowczo odsunąłem ją od siebie, otarłem łzy dłonią.

– Daszka, kochana, naprawdę mam przejebane. Pomożesz mi?

Skinęła tylko, niezdolna dobrać dźwięku.

– Muszę gdzieś się przydekować na jakiś czas. Do domu nie wrócę, bo na pewno tam czekają...

– Kto? – wydusiła z siebie Dasza.

– Ktokolwiek. – Wzruszyłem ramionami. – Szaleni naukowcy, Zek z Prawikiem, milicja. Nie mogę wrócić, więc potrzebuję jakiejś bazy wypadowej.

– Żeby spać? – chlipnęła Daszka. Zauważyłem już wcześniej, że mogła popłakać się jak bóbr, a nigdy nie puchła jej twarz i błyskawicznie wracała do formy. Ech, żebym wiedział parę tygodni temu to, co uświadomiłem sobie dopiero teraz...

– Nie. – Pokręciłem głową. – Nie, żeby spać. Ale muszę mieć miejsce, w którym będę mógł chociażby się przebrać czy po prostu usiąść i pomyśleć... Tylko na parę dni, lalka.

– Możesz zostać tu. – Pokazała ręką. – I tak rodzice sami tu nie schodzą, mnie zawsze wysyłają... Czekaj, bo muszę kartofli przynieść.

Patrzyłem, jak nakłada ziemniaki z worka do plastikowej siatki, i zrobiło mi się jej naprawdę szkoda. W pewnym sensie czułem się winny tego, że było jej smutno.

– Co ci jeszcze przynieść? Bo muszę lecieć, zaraz się zaczną pultać... – Podniosła oczy do sufitu.

– Będę też potrzebować jakichś ubrań... I broni.

Spojrzała na mnie dziwnie.

– Ojciec ma gaziaka... mogę mu podebrać, i tak nie wie, gdzie go matka przełożyła ostatnio.

– Świetnie. – Zatarłem ręce. – Leć na górę, Daszka, zostaw mi tylko klucze.

– A ty co będziesz robił?

– Myślał – odparłem, siadając w rogu.

Zanim na dworze się ściemniło, Dasza zajrzała do mnie jeszcze dwa razy – raz na szybko, wpadła tylko i wrzuciła torbę z ciuchami, za drugim na chwilę dłużej, pogadać; niestety tylko pogadać, mimo że starała się bardzo, oj, starała... Popłakała mi się znowu, ale szybko jej przeszło na szczęście.

– Dokąd idziesz? – Popatrzyła na mnie, gdy szykowałem się do wyjścia, próbując wsadzić gazową tetetkę w zdecydowanie za duże spodnie po jej starym. – Uważaj na siebie, proszę...

– Nic mi się nie stanie – odparłem odruchowo. Ona uśmiechnęła się, więc uśmiechnąłem się i ja. – Co niby miałyby się stać, lalka? Gorzej już nie będzie.

– Uważaj i tak. – Wspięła się na palce, pocałowała mnie w policzek. Jej usta były tak rozkosznie ciepłe, gdy dotknęły mojej zimnej skóry...

Ruszyłem na spotkanie przeznaczenia.

Było już zupełnie ciemno, gdy podszedłem pod blok Prawika. Popatrzyłem najpierw po oknach, żeby zorientować się, czy jest sam; nie był, przynajmniej jeszcze jedna osoba kręciła się po pokoju. No i chuj, to on będzie miał problem, a nie ja.

Podjechałem na właściwe piętro, nacisnąłem przycisk dzwonka i od razu cofnąłem się do windy; usłyszałem, jak ktoś podchodzi do drzwi, wygląda przez judasza na zewnątrz... Nie widział zbyt dużo, bo światła nie zapaliłem, więc poblask latarni z zewnątrz mógł wyłącznie wyłuskać z mroku zarys pustej klatki schodowej. Mnie też nie było widać, bo wykręciłem żarówkę w windzie, więc wyglądało to tak, jakby nie było nikogo. Poszło zgodnie z moimi oczekiwaniami – zgrzytnął zamek, smuga światła padła na zakurzoną podłogę z lastryko. Na tę chwilę czekałem.

Wypadłem z windy, rzuciłem się w kierunku drzwi. Prawik zawsze miał niezły refleks, więc prawie udało mu się zatrzasnąć je przed moim nosem, ale zdążyłem wsunąć w szczelinę nadgarstek. Coś chrupnęło, ale nie zwracałem na to uwagi, naparłem na skrzydło z całej siły, mocowaliśmy się przez chwilę, potem on wrzasnął, odpuścił. Wpadłem do środka...

– Bij skurwiela! – krzyknął ktoś, kto właśnie wybiegł z salonu i teraz rzucił się na mnie z łapskami. Nie było na co czekać; nawet nie celując, pociągnąłem za spust trzymanego w lewej ręce gaziaka: raz, drugi i kolejny... Chmura kapsaicyny spowiła całe pomieszczenie, rozległ się kaszel, chrychanie i prychanie, gdy moi niedoszli oponenti starali się zaczerpnąć powietrza przez gwałtownie puchnące śluzówki. Prawik dał radę ewakuować się do kuchni o własnych siłach, ten drugi zwinął się w kłębek i dyszał spazmatycznie; zatrzasnąłem po prostu drzwi na klatkę i wrzuciłem sobie do kieszeni klucze, żeby mi nie pouciekali, zajrzałem do kuchni i wstrzeliłem Prawikowi do środka jeszcze jeden ładunek, żeby sobie nie myślał... Tego drugiego pajaca wywlokłem na balkon i związałem sznurkami od prania. Miałem nadzieję, że się nie udławi, a nawet jeśli, to jedną gnidę mniej będzie. Wróciłem do przedpokoju akurat na czas, żeby kopnąć w brzuch gospodarza, który usiłował otworzyć zamek zapasowym kluczem.

– Ty chuju – skonstatowałem po prostu, ciągnąc go do łazienki. Próbował walczyć, ale kopnąłem go jeszcze raz i drugi, w końcu porzygał się i przestał fikać. Chyba akurat piwo pili, zanim się zjawilem, a po gazowanym dostać tak w bandzioch, uch ty... Wrzuciłem Prawika do wanny i puściłem zimną wodę. Wrzasnął, spróbował wstawać i uciekać, ale popchnąłem go tylko do tyłu, potem przystawiłem pistolet do łba.

– Posłuchaj mnie, ścierwo – wycedziłem przez zęby. Swoją drogą, niełatwo jest „cedzić” słowa, gdy nie ma się odpowiednich do tego emocji i wszystko trzeba udawać. – To gaziak, wiem, ale oko ci na sto procent wywali, więc nie odpierdalaj.

Woda nalewała się równym strumieniem, a ja uświadomiłem sobie po jej kolorze, że Prawik chyba zesrał się ze strachu w gacie. No cóż, takie życie – wtedy ja, teraz on.

– Sz-sztywny... – dał radę wyjąkać, chociaż ząb na ząb mu nie trafiał. – Sztywny, ja mogę ci wszystko...

– Ależ ja wiem, że mi wszystko możesz. – Pokiwałem głową. – I zapewniam cię, że mi faktycznie wszystko. A jak nie... jak nie, to cię, chujku jeden, utopię w twojej własnej wannie.

Dałem mu sekundę, żeby zrozumiał, a potem docisnąłem jego głowę w dół. Zaczął wierzgać, kopać i drapać, więc wolną ręką uderzyłem go jeszcze raz w splot słoneczny. Zachłysnął się, zakrztusił wodą, zobaczyłem w jego oczach przerażenie, więc puściłem.

– Ja tak mogę całą noc – powiedziałem na tyle miękko, na ile potrafiłem, przyglądając

się, jak usiłuje zaczerpnąć tchu. – I jeszcze trochę.

– Ty pojebie! – wrzasnął, wchodząc w fazę agresji wtórnej i zaprzeczenia. – Przecież ty nie żyjesz! Zabiliśmy cię...!

– Tak. – Popatrzyłem mu prosto w oczy. – Wszystko się zgadza. A teraz wróciłem z grobu, żeby się zemścić. Nie wierzysz...?

Rozpiąłem kurtkę i podciągnąłem koszulę, tak żeby zobaczyć dziurę.

– Dawaj rękę! – Wyciągnąłem dłoń. – Dawaj!

– Neeeeee! – wrzasnął, ale ja już zdecydowałem, że jednak tak. Siłą przyciągnąłem go bliżej, złapałem na nadgarstek i nie zwracając uwagi na jego krzyki, wierzganie i próby wyrwania się, zgiałem palce w pięść, potem wyłuskałem wskazujący i środkowy...

– Neeee...! – krzyk urwał się i przeszedł w bulgotanie, gdy wsadziłem rękę niewiernego Tomasza w swą ranę i przekręciłem raz i drugi, żeby na pewno poczuł. Prawik zbladł, pozieleniał, policzki wydeły mu się treścią żołądkową, aż w końcu rzygnął przed siebie, dając radę zachlapać nie tylko mnie, ale również umywalkę, lustro i ręczniki na drzwiach. Puściłem go, zostawiając w objęciach paroksyzmu kaszlu, ściągnąłem zapaprane ciuchy i wrzuciłem do wanny; zarzygał, to niech je sobie teraz weźmie. Przeszedłem do dużego pokoju, popatrzyłem na zdjęcia w ramkach, wyciągnąłem z półki losowy fotoalbum.

– To twoi rodzice? – zagadnąłem go uprzejmie, stając w drzwiach do łazienki. – Cóż za urocza para staruszków... O, widzę, że masz też siostrę.

– Nie waż się nawet... – zaczął, ale urwał, gdy podniosłem wzrok. – Sztywny, błagam cię, tylko nie rusz...

– Zastanowię się. – Zatrzasnąłem i upuściłem na podłogę album. – Widzisz, Prawik, odkryłem niedawno pewną bardzo ważną rzecz: otóż człowiek to na dobrą sprawę w zasadzie wyłącznie mięso. I dokładnie tym dla mnie jesteś i ty, i twoja rodzina: mięsem. Mam kontynuować?

Potrząsnął głową, po policzkach leciały mu łzy jak groch. Rzuciło mi się w oczy, że zauważalnie zbladł, trząsał się cały, zsiniały mu usta... Hipotermia zaczynała działać, chyba nie było sensu się nad nim dalej wyżywać.

– Powiedz mi jedną na świecie rzecz. – Przykucnąłem obok wanny, do której wciąż lała się lodowata woda, zakręciłem kurek. – Dlaczego mnie zabiliście?

– Zek... – wyjąkał. – Zek rozmawiał z Szefem. Powiedział, że tak trzeba... Błagam, nie zabijaj mnie...

– Zek – mruknąłem. – No dobrze, niech ci będzie. Do niego też się wybierałem zresztą... Ale będziesz musiał mi w tym pomóc.

– Nie, nie, nie... – zajęczał, ale położyłem mu tylko palec na ustach. Wzdrygnął się; musiałem mieć naprawdę zimne ręce.

– Ależ tak. – Pokiwałem. – Każdy z nas musi zapłacić za to, co źle zrobił. Ja już zacząłem, a ty... Ty być może masz szansę uniknąć mojego losu, ale to znaczy, że musimy razem odkręcić to, co namotaliśmy. Pomożesz mi? Hm?

Nie powiedział nic, zwiesił tylko głowę i chlpał cicho.

– No to świetnie. – Podniosłem się. – Wyłaż, bo mi się przeziębisz jeszcze i umrzesz. Pokażesz teraz, co masz w szafach pochowane...



Wiem, że pewnie można to było wszystko zrobić inaczej. Przemyśleć, zaplanować, zastanowić się. Na spokojnie podejść do sprawy, taktycznie. Ale naprawdę czułem, że nie mam czasu.

Nie chodziło nawet o to, że idąc z Prawikiem przez puste o tej porze podwórka i przemykając się ciemnymi uliczkami, nie mogłem nie zauważyć zastanawiającego jak na środek nocy ruchu samochodów. I to wcale nie było tak, że latały po ulicach w tę i we w tę milicyjne łady na sygnale; bynajmniej. U nas, w naszym miasteczku przy samym Kordonie, sprawy załatwiało się zupełnie inaczej, po cichu, więc i inny był rodzaj tego nocnego ruchu. To były ciemnogrnatowe, matowe furgonetki z ciemnymi szybami i lekko przydymionymi reflektorami, które na światłach pozycyjnych sunęły wciąż z tą samą prędkością wzdłuż krawężników, zawsze skręcając w prawo na skrzyżowaniach. Nie robiły nic poza tym, nie miały pomontowanych na dachach czasz nadajników satelitarnych ani ogromnych masztów anten, nie kręciły się na nich szklane oczy kamer, nic z tych rzeczy; po prostu jechały wzdłuż krawężnika i skręcały w prawo. Gdy zobaczyłem pierwszą, tknęło mnie przecucie; przy drugiej byłem niemalże pewien, a po zauważeniu trzeciej wiedziałem, że muszę się spieszyć, bo Instytut już mnie szuka.

Ale tak jak mówiłem, nie chodziło o te furgonetki.

Problemem było to, że zacząłem czuć własny smród.

– Sztywny, nie tak blisko, błagam cię... – jęknął w pewnej chwili Prawik, gdy wciągnąłem go w mijaną bramę, czekając, aż granatowy furgon zniknie za rogiem. – Bo aż zatyka, ja tu oddychać nie mogę...

W pierwszej chwili nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale już chwilę potem dotarło i do mnie, gdy potężna kula gazów podniosła mi się z żołądka przez przełyk i wyrwała na zewnątrz czymś pośrednim pomiędzy beknięciem a głębokim wydechem; Prawik rozkaszał się, zgiął w pół, powstrzymując odruch wymiotny, a ja poczułem, jak wzdyma mi się brzuch. Wyglądało na to, że prawa normalnej fizyki i biologii zaczynały w końcu brać górę nad sterylną, radioaktywną, biologiczną pustką Zony. Jak to powiedział palant Zajac? Pleśń, odchodząca skóra i robaki...? Cholera, trzeba się było spieszyć.

– Zmiana planów – warknąłem do Prawika. – Wyciągaj telefon.

– Po co? – zauważalnie wystraszył się mój jeniec.

– Bo tak, kurwa, mówię. – Specjalnie zbliżyłem usta do jego twarzy, owiewając go trupim oddechem. Prawik zbladł jeszcze bardziej (o ile było to możliwe) i sięgnął do kieszeni, drżącą ręką wyciągnął komórkę. – Dzwon do Zeka.

– Ale on pewnie śpi teraz...

– Chuj mnie to obchodzi, dzwoni! Masz mu powiedzieć, że musicie się spotkać, i to już! Powiedz mu, że byłem u ciebie, ale dałeś radę się wyrwać z mieszkania.

– Ha... halo – odezwał się do słuchawki Prawik, gdy w końcu udało mu się wybrać numer. – Zek, to ja. Prawik, znaczy się...

– Daj na głośnomówiący – syknąłem mu w ucho.

– ...tej porze dzwonić? – rozległ się z głośniczka głos mego byłego przyjaciela. – No dawaj, ja na balecie jestem, ha, ha...

– Słuchaj, był u mnie... był u mnie Sztywny.

Cisza. Tylko w tle dudni muzyka.

– Kurwa, poczekaj, wyjdę na balkon. Słuchajcie, spierdalać, muszę pogadać spokojnie... Wypierdalać, mówię! – To ostatnie było pewnie do kogoś z imprezowiczów. – Powtórz.

– Sztywny u mnie był – przełknął ślinę Prawik. – W mieszkaniu. Udało mi się uciec, musimy się spotkać. Gdzie jesteś?

Cisza.

– Zek, halo?

– Jestem – głos zmieniony przez ściśnięte gardło, nutki strachu. – Na dyskaczu jestem, w Głamurnej... Ty gdzie?

– Do ciebie szedłem! – prawie załkał mój zakładnik. – O Boże, Zek, muszę się z tobą spotkać, naprawdę...!

– Chuj, kurwa, dupa, cipa...! Gdzie jesteś?

– Zaraz do ciebie pod dom dojdę...

– Dobra, nie ruszaj się stamtąd; zaraz zgarnę transport i podjedziemy. Czekaj przy klatce.

– Okej... – jęknął Prawik i wyłączył telefon, popatrzył na mnie wzrokiem zbitego psiaka. Pewnie spodziewał się, że zrobię mu coś strasznego – albo dlatego, że miał się pojawić jakiś „kierowca”, albo tak po prostu, dla zasady, bo jestem złym, szatańskim powróceńcem. Ale nie zrobiłem, pociągnąłem go tylko za sobą w kierunku bloku Zeka, żeby schować się w jakimś spokojnym cieniu, zanim będzie jechać kolejny naukowy szpiegowóz.

Siedzieliśmy pod blokiem dobry kwadrans, zatopieni we własnych myślach: on pewnie zastanawiał się nad tym, czy uda mu się wyjść z tej awantury z życiem, i kontemplował przerażającą bliskość rozkładającego się trupa; ja z kolei godziłem się z myślą, że z życiem na pewno już z tego wszystkiego nie ujdę, ale z nie mniejszym przerażeniem obserwowałem postęp naturalnych procesów biologicznych w swoim ciele; z rany zaczynała sączyć się szarawa maź, rozlewająca się burą plamą na podpince kurtki, paznokcie siniały w zastraszającym tempie, czułem napływającą sztywność mięśni. W końcu w oddali zawarczał silnik osobówki, volkswagen golf z niebieskimi światłami wtoczył się na podwórko.

– Jak się zatrzyma, od razu otwórz drzwi i wsiądź – szepnąłem do Prawika, trzęsącego się jak liść osiki. – Zrób cokolwiek głupiego, a klnę się na wszystkich świętych, że wypruję ci flaki twoim własnym nożem, a potem zaniosę je twoim rodzicom pod drzwi.

– Neeeeee... – zajęczał, ale podniósł się twardo i podszedł do krawężnika. Bałem się, że właśnie wtedy zrobi coś głupiego, bo nie miałem go w zasięgu rąk i mógł poczuć się nadmiernie pewny siebie... Ale nie zrobił, jednak strach to potężna siła. Samochód zwolnił i zatrzymał się, ale zauważyłem, że nie było w nim nikogo oprócz kierowcy – czyli Zeka we własnej osobie. Takiej okazji nie mogłem przegapić; tym bardziej, gdy Prawik otworzył przednie drzwi, obejrzał się i nagle spiął w sobie, wskoczył do środka...

– Jedź, jedź!! – wrzasnął, zatraskując drzwi; ja byłem wtedy już w połowie pierwszego susa ku samochodowi. Silnik zawył, koła zabuksowały w miejscu, zdążyłem dopaść i złapać

za klamkę, gdy volkswagen skoczył do przodu.

Normalnie by mi połamano palce i, łamane przez lub, wyrwało bark; tak tylko wyrwało mi bark, który ze straszliwym chrupnięciem wyskoczył ze stawu... Nie żeby mi to w czymkolwiek przeszkodziło.

Samochód wystrzelił naprzód, a potem gwałtownie szarpnął, gdy silnik zachłysnął się ilością wstrzykiwanej przez turbinę benzyny, początkowy pęd nadany mi przez szarpnięcie zmaleł, więc cisnęło mnie na bagażnik. Zarzuciłem nogą, wczepiłem się paznokciami w szczelinę pomiędzy klapą a dachem, przywarłem do tylnej szyby niczym jakiś gigantyczny pajak, gdy nabierający prędkości tuningowany bolid wypadł przez bramę wjazdową na podwórko i wyskoczył na ulicę. W bagażniku pode mną dudnił basami subwoofer, przez szybę widziałem przerażonego Prawika, który odwracał się i coś krzyczał do Zeka, desperacko kręcącego kierownicą, żeby zrzucić mnie z dachu... Scena jak z horroru normalnie: żywy trup przyklejony do szyby i dwaj bohaterowie pędzący przez noc samochodem. Tyle tylko, że tutaj role odwrócone, bo to ja byłem ten dobry.

Taką miałem przynajmniej nadzieję.

Golf zarzucił, zapiszczały opony, gdy Zek zdecydował się zakręcić na ręcznym. Miotnęło mną faktycznie nieźle, prawie że stoczyłem się na asfalt, ale tak łatwo nie miałem zamiaru dać za wygraną; uderzyłem pięścią w szybę raz, drugi, kolejny... Usłyszałem, jak Prawik kwiczy ze strachu. Walnąłem ponownie, czując, jak szkło traci swą gładką fakturę i pokrywa się siateczką pęknięć. Gdybym uderzył jeszcze raz, może dwa, to pewnie by puściło, ale samochód znów skoczył naprzód, straciłem równowagę i wisząc tylko na jednej ręce, majtałem się w tę i we w tę, gdy golf leciał przez ciemne ulice miasteczka.

Minęliśmy ciemny i pusty – jak na ironię – posterunek milicji, przelecieliśmy koło pętli autobusów, wyskoczyliśmy na Szosę Owrucką. Akurat dałem radę wczepić paznokcie drugiej ręki w uszczelkę w okienku pasażera z tyłu, gdy nagle poczułem, jak coś gwałtownie szarpie mnie za brzuch – raz, drugi, trzeci... A potem szyba potem mną ugięła się i puściła, wpadłem do środka w deszczu szklanych odłamków, usłyszałem przerażony kwik Prawika, który dał ognia raz jeszcze, ale tym razem kula tylko gwizdnęła mi nad głową, następnie z niezrozumiałych dla mnie przyczyn wypuścił pistolet i skulił się na siedzeniu z przodu. No tak, jasne – strzelał do mnie przez szybę; normalnego człowieka by to zabiło i zdmuchnęło, ale nie mnie. Szkoda, cholera, kolejnej kurtki... Wyrzuciłem rękę w przód, złapałem za zagłówek fotela i podciągnąłem, czując, jak coś miękkiego i śliskiego leje się za mnie na półkę bagażnika. Samochód zarzucił jeszcze raz, ale teraz byłem już w środku i pełzłem nieubłaganie, niczym sama Śmierć, ku gardłom siedzących z przodu żywych. Wpadłem w końcu na siedzenia, podniosłem się, czując, jak ślizgam się na własnych flakach; golf przyhamował, szarpnął naprzód, znów zahamował z piskiem opon i wyrwał do przodu; straciłem równowagę, cisnęło mną na fotel. Skorzystał z tego Prawik, który dał radę podnieść z podłogi pistolet; odwracał się właśnie do mnie, chcąc celnym strzałem rozwalić mi łeb, gdy wbiłem jego własny nóż w oparcie fotela; długa, szeroka, ząbkowana klinga bez trudu przecięła gąbkę, precyzyjnie się przez sprężyny i weszła w dolną część pleców. Prawik krzyknął rozdzierająco i wystrzelił – prosto w brzuch Zekowi. Samochód miotnął się na bok, uderzył w krawężnik kołami i poleciał w pole.

Byliście kiedyś w dachującym samochodzie? Dla mnie był to trzeci raz w życiu i drugi

przez minione czterdzieści osiem godzin, więc w zasadzie mógłbym powiedzieć: „Nic wielkiego”... Ale to i tak robi wrażenie, kiedy dół zamienia się z górą jak w wirującym bębnie pralki, a człowieka rzuca po całej kabinie jak przysłowiową starą skarpetkę... Szczególnie jak się nie jest przypiętym pasami, a u nas przypięty nie był nikt. Ciekawe jest to, że słyszy się w zasadzie tylko taki huk, jakby ktoś zgniatał ogromne kartonowe pudło – nie ma brzęku tłukącego się szkła, zgrzytu gnącego się metalu, łamiącego się plastiku... Tylko to zgniatane kartonowe pudło.

Samochód uderzył o ziemię ostatni raz, na chwilę zatrzymał się na boku, balansując w stanie kruchej równowagi niczym przyciężka baletnica, aż wreszcie z jękiem amortyzatorów przechylił się i huknął o ziemię kołami. Kopnąłem w drzwi, które otwały się do połowy i zablokowały na amen, wyczołgałem się z samochodu, migającego światłami awaryjnymi niczym rozbite pośród pustki ciemnego pola UFO. Zajrzałem przez wybitą szybę do środka: Prawik wciąż siedział wpasowany w swój fotel, tyle tylko, że tyłem do kierunku jazdy, obejmując siedzenie ramionami i z głową odchyłoną do tyłu pod zupełnie nienaturalnym kątem. Zek siedział nieruchomo, oparty głową o kierownicę...

Chciałem odwrócić się już i odejść, ale wtedy Zek zakasłał, podniósł się i jęknął... Całą twarz miał zalaną krwią, odłamki szkła powbijane w czoło i skronie upodabniały go do Chrystusa dwudziestego pierwszego wieku.

– Brat... – wyszeptał, odwracając się prosto do mnie, chociaż nie mógł mnie już widzieć pustymi oczodołami. – Brat...

– Jestem tutaj, brat – odezwałem się, podchodząc z jego strony. – Jestem.

– Czy ty... – Zakrztusił się, odkaszlnął krwią, głos mu się załamał. – Czy ja...?

– Ja już tak. – Wsadziłem rękę przez okno, wziąłem z deski rozdzielczej mojego forta, tego samego, z którego strzelał do mnie Prawik. – Ty jeszcze nie.

– Boże... – zaszlochał Zek. – Nie czuję nóg... Sztywny, brat, pomóż mi...

Wyciągnąłem magazynek, zajrzałem do komory. Został ostatni.

– Powiedz mi jedno, Zek, dlaczego?

– Szef... Szef kazał. – Opuścił głowę. – Mówił, żeby się nie wahać... Czuł, że to ty Eliasza... Boże, jak to boli, kurwa...

– „Kazał”? – nachyliłem się do niego, szepcząc mu do samego ucha. – A ty się po prostu posłuchałeś?

– Kupili mnie, brat... – zaszlochał.

– Człowieka nie da się kupić, brat. Człowiek może się tylko sam sprzedać.

Usłyszał, że odwodzę kurek; zadrżał, ale nie odwrócił głowy. Miałem wręcz wrażenie, że uśmiechnął się, gdy lufa dotknęła jego czoła.

Gdy przebrzmiał strzał, zamknąłem na chwilę oczy. Miałem ochotę sam wsadzić sobie pistolet w usta i pociągnąć za spust, ale wiedziałem, że to był koniec amunicji... Więc zamiast tego zanurkowałem do samochodu od strony pasażera, przeryłem się przez schowek w poszukiwaniu wszystkiego, co jeszcze może mi się przydać; hm, taśma klejąca... Ściągnąłem przez głowę bluzę i kurtkę, popatrzyłem na to, co do niedawna było moim brzuchem, a teraz było jedną wielką poszarpaną dziurą, z której wylewały się dziwnego koloru rurki i inne miękkie kawałki. Przecież nie będę z tym tak biegał...

Po wszystkim narzuciłem na siebie brudną bluzę od kamuflażu, którą znalazłem

w bagażniku zaraz obok kanistra. Obląłem wrak benzyną, pstryknąłem zapalniczką i patrzyłem, jak zajmuje się ogniem. Nie było sensu tu dłużej zostawać; zaraz ktoś zadzwoni po straż, straż ściągnie milicję, a tamci kryminalnych... Na pewno już, jak znajdą to, co leży koło samochodu, o ile wcześniej jakieś psy bezdomne tego nie zezrą.

Noc była jeszcze młoda, a do miasta daleko.

Pobiegłem.



– Zek, łasap, nygga? Ogień w kutasie nie daje ci spać? – odezwał się zadowolony z życia głos w słuchawce.

– Ogień... tak, chyba właśnie tak. Cześć, Prosiak.

– ... – Cisza, jaka zapadła po moich słowach, była tak gęsta, że można by ją kroić nożem jak nóżki w galarecie.

– Co tam, język połknąłeś?

– Sztywny...? – Niedowierzanie w głosie; mogło mi się wydawać, ale chyba z nutką... radości?

– Ćśśś... – syknąłem do telefonu. – Gdzie jesteś?

– Ojapitolę, nyga, ale mnie zmroziłeś... Siedzę w Akwarium, imprezka jest, a ty co, dlaczego nie ze swojego dzwonisz, men?

– Wyjdź przed lokal, wytłumaczę ci wszystko. Ale masz być sam, rozumiesz?

Patrzyłem spod śmietnika, jak Prosiak wychodzi przed lokal, rozgląda się po ulicy, potem rusza zgodnie z moimi wytycznymi za róg... Szedłem kawałek za nim, trzymając się cienia, ale chyba nikt go nie śledził. W końcu zawołałem go cicho, on stanął jak wryty, odwrócił się.

– Sztywny, madafaka, żyjesz! – Rozłożył szeroko ręce. – A mówili przecież, że ciebie i Strusia pochowali w Zonie...!

– Aha, jasne – mruknąłem, pociągając go w niszę pomiędzy balkonami. – Pochowali.

– To co, chcesz powiedzieć, że... – Spojrzał na mnie tak dziwnie. – Kurwa, men, fatalnie wyglądasz. Normalnie jak mój dziadek cztery dni po śmierci.

– Prosiak, pierdol się. Chcesz wersję wyczerpującą czy skrótową?

– Skrótową, men, ja nie mam czasu...

– Strusia ja zastrzeliłem, a mnie Zek i Prawik. A teraz ja ich obydwu po powrocie z grobu.

Prosiak przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar się zaśmiać, ale chyba zmienił zdanie.

– Sztywny, nyga, ty się dobrze czujesz?

– Wcale się nie czuję – zachnąłem się. – Myślisz, że skąd mam telefon Zeka i nóż Prawika? Myślisz, że dlaczego nie wróciłem wtedy z nimi, a oni mój plecak przynieśli? Że co, na wakacjach przez tydzień byłem?

– O kurwa... – wziął się za głowę nasz reżyser. – O kurwa... Sztywny, to ty musisz...

– Ja już nic nie muszę. – Pokręciłem głową. – Powiedz mi, gdzie jest Szef?

– Szef? A po co ci on...?

– Muszę go o coś zapytać. Jest w Akwarium?

– Nie, dopiero co gdzieś pojechał. Gruby będzie wiedział, poczekaj, pójde i się spytam.

– Prosiak. – Złapałem go za ramię. – Prosiak, proszę, nie sprzedaj mnie i ty. Nie rób tego, bo będę musiał i po ciebie przyjść...

– Daj spokój, men! – Strząsnął moją rękę. – Co za czasy, co za brak zaufania w narodzie... Czekaj, nyga, zagadam do Grubego i przyślę esesmana. Serio wykończyłeś Zeka i Prawika?

Kiwnąłem tylko głową, on cmoknął z uznaniem:

– Cicha woda brzegi rwie, tak coś czułem, że będzie z ciebie człowiek...

– Był – poprawiłem.

– ...racja – zreflektował się Prosiak. – Poczekaj chwilę, długo to nie potrwa, zaraz się odezwę.

– Mam czas, Prosiak. Mam czas – mruknąłem, patrząc, jak idzie ku Akwarium. Tak naprawdę to czasu miałem coraz mniej i byłem tego coraz bardziej świadom... Wysmarkałem się w palce, strzepnąłem na chodnik brązowozielone skrzepy, przejechałem ręką po okręconym burą taśmą klejącą brzuchu. Dziwnie lekko się czułem, mając zamiast wnętrzości zupełnie nic... No cóż, ale jak to powiedział Murzyn, zapytany, dlaczego sprzedał diabłu duszę: „I tak jej nie używałem”.

Zawibrował telefon po Zeku; popatrzyłem na ekranik, przetarłem go o spodnie, popatrzyłem jeszcze raz. Odpisałem Prosiakowi: „Jesteś pewny?”. Po chwili przyszła odpowiedź: „100proc – Gruby takse zamawiał na adres”.

Adres za miastem... w tej samej wsi, gdzie było laboratorium Szarego. Nie ma takich zbiegów okoliczności, po prostu nie ma.

„Dzięki Prosiak” – napisałem i dodałem jeszcze: „Miło było cię znać”.

„Spoko” – odpowiedział tylko Prosiak.

Pięć... może sześć kilometrów. Pół godziny, jak się porządnie wyciągnie nogi; szczególnie jak się człowiek nie musi bać zadyszki.

Wsie były o tej porze ciemne i puste, tylko okazjonalna żarówka ćmiła się w lampie starego typu, bardziej podobnej do kapelusika Chińczyka ze starych książek niż czegokolwiek na miarę XXI wieku. Psy dostawały amoku, gdy przebiegałem pod ich płotami, rzucały się na siatkę, ujadając i tocząc pianę, chociaż nietrudno było poznać, że kierowało nimi czyste przerażenie. Część podbiegała do mnie i od razu z podkulonymi ogonami zawracała do bud, skuczając żałośnie... Wszędzie dokoła tętniło życie, ptasie trele rozlegały się po krzewach kwitnącego bzu i tylko wokół mnie panowała martwa cisza, gdy sama przyroda zamierała w milczeniu i bezruchu w obecności tak rażącego wynaturzenia swoich praw i zasad. Modliłem się, żebym tylko zdążył, żeby się nie spóźnić, żeby Szef nie zdążył odjechać...

Spóźniłem się. Byłem może trzysta metrów od bramy, gdy reflektory przecięły ciemność i na drogę wytoczyła się terenowa toyota; nawet patrząc pod światło, widziałem Cyrkla za kierownicą i siedzącego obok Szefa. Oni też widzieli mnie, ale raczej jako niewyraźną sylwetkę na skraju drogi, natomiast nie było ani sensu, ani czasu na ukrywanie się. Poczekalem, aż podjadą odpowiednio blisko, wyszarpnąłem z kieszeni pistolet i dałem

ognia.

Na przedniej szybie wykwitła mleczna pajęczyna pęknięć, obok niej pojawiła się druga, trzecia i kolejna. Samochód ryknął silnikiem, zawinął w bok i huknął prosto w stojący przy drodze drewniany słup trakcji elektrycznej; trzasnęło wysuszone drewno, słup powoli zgiął się i położył na dachu terenówki, sypiąc iskrami z pozrywanej trakcji. Przeszedłem obok dymiącego wraku, kierując się prosto na bramę fabryczki.

Pierwszy ochroniarz pojawił się zaskakująco szybko – musiał akurat siedzieć na stróżówce czy co... Światło latarki omiotło drogę, prześliznęło się po mnie, zatrzymało na samochodzie, zjechało w lewo, w prawo; a ja po prostu sobie szedłem ku niemu poboczem, głowa spuszczone, jak jakiś menel albo inny pijak. Czy ja wyglądam na kogoś, kto może mieć coś wspólnego z czterema strzałami pośród nocy i rozbitą toyotą? No gdzie tam, po prostu sobie idę. Zauważyliście na pewno, że jak na filmie sensacyjnym ktoś się gdzieś dostaje nielegalnie, to zawsze próbuje się skradać? I zawsze to skradanie wygląda strasznie podejrzanie, a pewnie jakby się wyprostował i normalnie poszedł, to nikt by nawet nie zwrócił uwagi. I ja też sobie tak szedłem i szedłem, a ochroniarz był coraz bliżej i bliżej, coś tam gadał przez krótkofalówkę, pewnie raportował o wypadku, ale coraz częściej i dłużej świecił na mnie...

– Hej, coś ty za jeden? Stój, bo...!

Strzeliłem, nie dając mu dokończyć. Latarka błysnęła i zgasła, on wrzasnął i upadł, od strony dawnego kołchozu huknęły pistolety, więc przykucnąłem sobie tylko za budką, słysząc, jak kule prują płytę wiórową nad moją głową. Mogłem się schować gdzieś, nie tak iść drogą jak ten debil, ale teraz było już za późno. Wychyliłem się ostrożnie zza rogu, seria wyrwała kawałek dechy, więc czym prędzej odskoczyłem w ukrycie. Cholera, przygwoździli mnie...

– Zachodź go z boku! Z boku! – rozległ się okrzyk od zabudowań. Aha, czyli dwaj... No dobra, to w takim razie...

– Stój, bo strzelam! – zza rogu wyskoczył typek i w zasadzie równolegle z ostrzeżeniem strzelił.

Upadłem na ziemię na wznak, rozrzucając malowniczo nogi.

– Mam go! – krzyknął uradowany siepacz, podchodząc bliżej. – Prosto w serce dostał! Leć zobacz, co z Wićką, po karetkę dzwoń...!

Wyczekałem, aż przyklęknie, żeby wyłuskać mi z dłoni pistolet, i dźgnąłem go trzymanym w lewej ręce nożem; ubrany w kuloodporną kamizelkę ochroniarz sapnął, spojrzał na mnie z wyrzutem i osunął się na ziemię... Nie było czasu się dozbrajać ani osprzętować, więc poderwałem się tylko i puściłem pędem ku budynkom.

– Jeszcze jeden jest! – okrzyk i wystrzały znów zlały się w jedno, ale ja już dopadłem do podwójnych stalowych drzwi i wskoczyłem do środka. Kule zabębniły o blachę, więc zgiąłem się tylko w pół i popędziłem w dół po schodach, ku drzwiom do laboratorium...

Tak, tak, dobrze pamiętacie – był zamek szyfrowy, faktycznie. Nie, nie zapamiętałem kodu; nie miałem zabranej ochroniarzowi karty, która i tak na nic by się nie przydała, bo nie było tu czytnika. Zupełnie nie miałem też pomysłu, co by tu zrobić, żeby je otworzyć. Więc czystym zbiegiem okoliczności należałoby nazwać to, że gdy ja zbiegałem na dół, to odezwał się brzęczyk i drzwi zaczęły się otwierać. Przede mną było jeszcze dobrych sześć

schodków, ale – jak to się już wcześniej rzekło – nie miałem zupełnie nic do stracenia. Wrzasnąwszy swe zwyczajowe: „A chuuuj!”, rzuciłem się szczupakiem na dół, wyciągając w locie jak żywa torpeda.

Tak, nie było to najmądrzejsze; nie, nic innego nie przyszło mi do głowy; owszem, udało się... w zasadzie. Bo gdy ten ktoś na dole zobaczył, że lecę (!) ku niemu, pociągnął drzwi na siebie, chcąc je znów zamknąć, ale ciężkie, hermetyczne skrzydło miało swą bezwładność, więc w zasadzie zatrzymało się tylko w tej samej pozycji – czyli dokładnie na sztorc wobec mnie. Zamknąłem tylko oczy...

Huknąłem w pancerne drzwi tak, że aż zobaczyłem przed oczami wszystkie gwiazdy prawdziwe i zmyślane, coś chrupnęło mi w szyi, na chwilę rozjechała się ostrość widzenia, ale i tak dałem radę w miarę szybko podnieść się na nogi. Nie wiem, kto chciał wyjść na korytarzyk, ale teraz spieprzał, że mało nie pogubił laboratoryjnych kłapek... Wykorzystując krótką chwilę, podczas której nikt nie próbował mnie zastrzelić, rozjechać ani zadźgać, podniosłem się na nogi, rozejrzałem dokoła... i wtedy dostałem pierwszą kulkę.

No, „pierwszą” w tym rozdaniu, bo w ogóle to już którąś kolejną... Upadłem na ziemię, podrywając jednocześnie pistolet i dając ognia w szeroko pojętym kierunku, z którego strzelał mój napastnik. Brzęknęła szyba, posypało się szkło...

– Stać! Stać, kurwa, wstrzymać ogień! – Mimo zmienionego głosu Szarego bym poznał wszędzie. – Czy wyście, kurwa, poszaleli? Zabić nas wszystkich chcecie...?!

– Sory, szefie...

– Dokładnie tak... Dokładnie tak! – krzyknąłem. Powtórka wynikała z tego, że chyba przestrzelili mi płuco, więc za pierwszym razem spora część powietrza uciekła mi przez dziurę po kuli, którą za drugim przytknąłem ręką. – Szykuj się, Szary!

Zapadła cisza. Ktoś poruszył się głębiej, zgrzytnęło szkło pod czyimś butem...

– Sztywny? – Niedowierzenie w głosie Szarego można by uprzytyć i sprzedawać w rożkach z gazety na ulicy, tyle go było. – Co ty tu robisz? Miałeś nie żyć...

– A ty co miałeś z tym wspólnego, kutasie jeden?! – zawołałem, jednocześnie rozważając potencjalne warianty zachowania. – I tak wiedziałem, że Szef dla ciebie robi... Robił znaczy się!

– Świat jest mały, Sztywny! – odkrzyknął; słyszałem, że ktoś przesuwa się wzdłuż korytarzyka, pewnie wykorzystując, że Szary mnie zagaduje. – Nigdy nie wiesz, kto siedzi po drugiej stronie linii dostaw. A z wyrokiem na ciebie nie miałem nic wspólnego, daję słowo!

– Żeby ci nie uwierzył, ścierwo... – burknąłem, pomny poprzednich z Szarym umów i ich dotrzymywania.

– Zróbmy tak! – zawołał. – Rzuć broń, wyjdź stąd i nie wracaj, a uznam, że jesteśmy kwita! Umorzę ci dług i rozejdziemy się bez urazy...

I powiem wam, że wtedy do mnie dotarło z pełną mocą: on łże. Łże w żywe oczy od samego początku do samego końca. Mój dług nigdy nie miał się skończyć, a tak w ogóle to żadnego długu nigdy nie było, bo pewnie wymyślił go sobie Szary na oczekaniu, widząc, że może mnie bezkarnie pocisnąć. I na pewno liczył właśnie na to, że coś spieprzę, on zrobi ze mnie pokazowego kozła ofiarnego, a okrucieństwo kary definitywnie ugruntuje jego

pozycję w półświatku naszego miasteczka. I na sto procent to właśnie on zlecił Szefowi zabicie mnie, które tamten scedował na Zeka... Wtedy dotarło to do mnie w pełnej krasie, i o ile chwilę wcześniej gotów byłem Szaremu uwierzyć, to teraz miałem absolutną pewność tego, że słusznie zrobiłem, wpadając tu z bronią.

Innego wyjścia nie było... wejścia zresztą też nie.

– A chuuuuuj! – wrzasnąłem, podrywając się i dając ognia na ślepo. Ktoś krzyknął, znów z brzękiem posypało się szkło, poleciały iskry, w prześwicie mignęła mi twarz kolejnego ochroniarza, a może jakiegoś laboranta... Przeciwnicy odpowiedzieli ogniem, ale zdecydowanie celniejszym, bo schowałem się za ściankę działową lżejszy o kawałek ucha i cięższy o kulę w barku. Długo tak nie pociągnę, bo po prostu zabraknie mi tkanki mięśniowej; trzeba było coś wymyślić.

– Rzuć! – rozległ się krzyk. Spodziewałem się co najmniej granatu, ale zamiast tego z furkotem nadleciała nad moją kryjówkę foliowa paczuszka. Huknął strzał, plastikowa torebka eksplodowała opalizująco-białą chmurą, która błyskawicznie pokryła warstewką lśniącego pyłu mnie i wszystko dookoła.

– Idioci, marnujecie towar! – wrzasnął Szary, ale siepacze (cenne spostrzeżenie – był więcej niż jeden) nie zwrócili chyba uwagi, bo kolejna torebka rozleciała mi się nad głową... Przez chwilę nie miałem pojęcia, co próbują osiągnąć, obsypując mnie anomalnymi narkotykami, ale potem do mnie dotarło: to byłaby kolejna moja śmierć tej nocy, bo taka dawka słonia by zabiła. W takim razie nie wypadało pozostać niewrażliwym na tak przebiegły plan oponentów...

– Ghhraaaahh... Aaaaah, moje oczy! Moja głowa płonie, aaaa, cóż za ból! – wrzasnąłem na tyle przejmująco, na ile mogłem z korpusem podziurawionym kulami. – Aaaaahhhhhbhrghhrrppfyyy... Yyy, yyy, yyy...! Aaa...

Cisza. Tylko wentylatory szumiały na pełnej mocy, usiłując wyciągnąć z powietrza tyle zabójczego pyłu, na ile pozwalały zapasowe generatory mocy... Które swoją drogą też kiedyś musiały się zatrzymać, a czas działał na moją korzyść.

Cisza.

– Szefie, chyba zdechł...

– Kurwa, dorwaliśmy frajera! Jes, jes, jes! *Booyah!*

– Idźcie sprawdzić, idioci – odezwał się Szary. – Tylko założcie maski... Jeszcze wasze wnuki będą u mnie za darmo pracować, żeby spłacić za ten towar, który rozjebaliście.

– Oj, niech szef nie przesadza. – Usłyszałem skrzyp gumy, potem głosy zniekształcone przez membrany rezonansowe nabrały bardziej metalicznego brzmienia. – Najważniejsze, że wszyscy żyją...

Podpuściłem ich na tyle blisko, na ile pozwoliły mi jeszcze funkcjonujące resztki nerwów, a potem poderwałem się i otworzyłem ogień. „Ogień” to szumnie powiedziane... Pierwszy strzał poszedł zupełnie bokiem; drugim, nie wiedzieć jakim cudem, trafiłem idącego z tyłu kolesia z pistoletem prosto w mostek, tak że poleciał do tyłu, ciągnąc za sobą szkarłatny bryzg krwi; a potem wycelowałem w drugiego ochroniarza i dotarło do mnie, że suwadło nie wróciło z tylnej pozycji, a więc skończyła mi się amunicja.

On nie miał tego problemu, więc pociągnął za spust równoległe z moim pierwszym strzałem. Seria z pistoletu maszynowego przecięła na pół ściankę po lewej ode mnie,

zmiotła stojący na szafce monitor, a ja byłem następny na drodze tej nawałnicy ołowiu... Nie miałem wyboru, rzuciłem się naprzód, nastawiając pierś na lufę, niczym moi bohaterscy przodkowie czerwonoarmijcy czasów wojny dwudziestego roku pracy z gołymi dłońmi na karabiny maszynowe polskich imperialistów pod Warszawą. Seria przeszła centralnie przeze mnie, rwąc ciało i siekając kości na papkę, impet odrzucił mnie w tył, ale zdążyłem jeszcze dopaść gościa i złapać za wystający pochłaniacz maski, ściągając z twarzy ochroniarza jedyną rzecz stojącą pomiędzy jego układem oddechowym a chmurą białej, anomalnej śmierci...

Chciał chyba krzyknąć ze strachu, ale nie zdążył. Upadając, zobaczyłem jeszcze, jak jego twarz czerwienieje, potem z nosa rzuciła mu się krew i osunął się na ziemię, kopiąc i szarpiąc się w konwulsjach.

– Szary... – wysyczałem, słysząc, jak trzeszczą mi przy wstawaniu pogruchotane kości. Pokuśtykałem korytarzem przed siebie, niemalże czując jego strach. – Szary, idę po ciebie...

– Umrzyj! – Szary wyłonił się z przejścia na wprost. Huknęło, jego prawa ręka błysnęła ogniem, kula rozorała mi brzuch, wyrywając dziurę w plecach. Zachwiałem się, zatoczyłem, on strzelił jeszcze raz, tym razem trafiając mnie w ramię; okręciło mną, upadłem na podłogę. – Dlaczego nie chcesz umrzeć, ty... wynaturzeńcu?!

Uśmiechnąłem się do siebie, czując, jak coś sączy mi się z kącika ust. Tak bardzo bym chciał, tak bardzo... Tak niesamowicie, wszechogarniająco bym chciał umrzeć, ale śmierć już mnie nie chciała wziąć.

– Czym... czym ty jesteś w ogóle? – Stał nade mną, przygniótł mi butem rękę z bronią, ściągnął z twarzy respirator. Spocony, z włosami w nieładzie, pokryty gipsowym pyłem nie przypominał tego Szarego, którego zapamiętałem z ostatniej z nim rozmowy. – Zresztą to nieważne. Zaraz się wszystko skończy...

Uśmiechnąłem się, spoglądając w czarny otwór lufy jego pistoletu. Poruszyłem ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk; czułem, jak coś blokuje mi gardło, zalegając w krtani gęstym, drapiącym skrzepem.

– Co? – nachylił się nade mną Szary. – Jakieś ostatnie słowa?

– ... – dałem radę powiedzieć, chociaż starałem się, jak tylko mogłem. On przychylił się jeszcze niżej, przytknął mi lufę do czoła, zobaczyłem obłęd w jego oczach... Tak jakby był tam od zawsze, tylko że dopiero teraz go dostrzegłem.

– Jakie życie, taka śmierć. – Uśmiechnął się paskudnie.

A ja dokładnie w tym momencie kaszlnąłem mu w twarz zebraną w resztkach płuc chmurą białej śmierci.

Szary wrzasnął, zamachał rękami i poderwał się, ale było już za późno. Widziałem skrzące się kolorami tęczy drobinki na wyłogach jego marynarki, na ramionach i włosach... Krzyknął jeszcze raz, upadł na kolana, trąc gorączkowo twarz, próbując zetrzeć piekący proszek, zapewne nieświadom tego, że substancja jeszcze skuteczniej wnika przez pory podrażnionej skóry. Patrzyłem na to, niezdolny do poruszenia się, ale gdy zobaczyłem pojawiającą się pod jego paznokciami krew, to zamknąłem po prostu oczy.

Dość. Dość krwi, dość zabijania. Dość.

Śmierci, przybywaj.

Błagam.

...

Potem wszystko ucichło, tylko wentylatory szumiały miarowo.

A potem one też stanęły.

Nie wiem, ile czasu leżałem tam w podziemiach, w pełnej ciszy i zupełnym mroku. Może godzinę, może dzień, a może wieczność. Na tyle długo, żeby uświadomić sobie, że – niestety – nie umarłem i raczej już nie umrę.

Podniosłem się jakoś, nawet dałem radę ustać, chociaż nie wiem, czy miałem chociażby jedną nieprzestrzeloną kosteczkę w całym ciele. Było całkowicie ciemno, ale nie przeszkadzało mi to zupełnie; delikatna poświata ultrafioletu i podczerwieni emitowana przez leżące w boksie obok artefakty w zupełności wystarczała, bym widział. Przekuśtykałem przez laboratorium tam, gdzie jak pamiętałem, leżał Złoty... Leżał tam nadal, podobnie jak ja ani żywy, ani umarły. Popatrzyłem na martwe ekrany monitorów aparatury podtrzymującej życie, pokiwałem głową. Są rzeczy gorsze niż śmierć.

Nie podпалиłem ani nie wysadziłem w powietrze laboratorium Szarego. Czemu? Bynajmniej nie dlatego, że nie chciałem; po prostu nie miałem pomysłu, jak to zrobić. Zamiast tego podłożyłem ogień pod stojącą w garażu na górze ciężarówkę, mając nadzieję, że od niej zajmie się cała konstrukcja hali. Oczywiście moje oczekiwania z pewnością okazały się płonne; nie minęło aż tak dużo czasu, najdalej dwie-trzy godziny, więc świt już budził się nad ziemią, a scena niedawnego wypadku i strzelaniny nadal roiła od milicji i lekarzy. Na pewno ktoś z nich zauważył pożar, na pewno zdążył zadzwonić po straż pożarną, która przyjedzie i zdąży to wszystko zgasić... Niestety. Nie, nie zniszczyłem laboratorium do produkcji narkotyków z artefaktów; nie zawsze udaje się zrobić wszystko, co zrobić by należało, ale też nie to jest w życiu najważniejsze.

Liczy się to, żeby zrobić tyle, ile zrobić można.



Jeszcze tego samego dnia

Nacisnąłem przycisk dzwonka. Długą chwilę za drzwiami nie było słycać nic, dopiero potem rozległo się szuranie, szcęknięcie łańcuch...

– To... to pan... – Matka Eliasza popatrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczami.

– Tak, to ja – powtórzyłem, mając nieodparte uczucie *déjà vu*. – Wróciłem.

– Niech... niechże pan wejdzie, proszę. – Odpięła blokadę, otworzyła drzwi szerzej. – Pan wybaczy, ja akurat... Obiad, pan rozumie...

– Tak. – Skinąłem głową, ściągając buty. Za dnia mieszkanie wyglądało... inaczej. Nie aż tak mrocznie, chociaż było widać, jak we wpadającym przez okna świetle igrają i tańczą drobinki kurzu. I tylko przewiązane czarną wstążką zdjęcie na lodówce przypomina o niedawnej stracie.

– Pan wchodzi, proszę siadać... – Wytarła rękę w fartuch, wyraźnie zawstydzona, jak gdyby to, że widzę ją przy czynnościach domowych, było czymś krępującym. – Proszę, może herbaty...?

– Nie. Nie, dziękuję – poprawiłem się i usiadłem, szeleszcząc folią i skrzypiąc taśmą klejącą. Razem ze mną do pokoju wpłynęła też chmura zapachu miętówek, odświeżacza do powietrza i pachnących drzewek, którymi byłem cały obwieszony pod ubraniem. – Ja tylko na chwilę.

– Czyli pan... rozumiem, że on...

– Tak.

– Proszę. – Wyciągnęła zza szyby regału kopertę, przesunęła po stole w moją stronę.

Popatrzyłem na kształt banknotów w papierze. Tyle pieniędzy... Nagle poczułem, że ręce mam lepkie od krwi. Naturalnie było to tylko złudzenie, bo nie mogłem przecież poczuć nic, ale na tyle sugestywne, że aż wytarłem dłonie o spodnie.

– Nie.

– Jak to? Przecież...

– Ze swojej strony umowę wypełniłem. To znaczy umowa została wypełniona. – Skrzywiłem się, sięgnąłem za pazuchę. – Ale odmawiam dotrzymania jej wszystkich punktów.

Położyłem na stole kopertę wypchaną pieniędzmi. Prosiak zapłacił za artefakty z laboratorium tyle, ile przez te parę godzin dał radę zebrać, pożyczyć i zachachmęcić, a i tak na pewno na tym interesie nie stracił. Matka Eliasza spojrzała na mnie, na leżące na stole zawiniątko, znów na mnie. Oczy nabiegły jej łzami.

– O Boże... – wyszeptała, zakrywając usta ręką. – O mój Boże...

– Nie mam prawa prosić o wybaczenie ani pani, ani pani męża. Chcę tylko, żebyście wiedzieli państwo, że żałuję... Nie jest mi przykro, bo już nie może, ale naprawdę żałuję.

Wstałem, trzymając się ściany, ruszyłem ku wyjściu.

– Niech pan poczeka! – Zerwała się, podbiegła do mnie i zatrzasnęła drzwi. – Niech pan uklęknie.

– Ja...

– Na kolana! Już!

Uklęknąłem, spuściłem głowę. Nie byłem gotowy na nic, niczego się nie spodziewałem; na nic nie miałem nadziei. Poczułem tylko, jak kładzie mi obie ręce na włosach, usłyszałem łamiący się szept...

– Niech pan już idzie. – Odsunęła się, odwróciła do mnie tyłem. – Niech pana wszyscy święci i prorocy prowadzą...

– Tam, dokąd idę, raczej ich nie będzie – mruknąłem, wychodząc na klatkę schodową.



Wieczorem

Stałem przed drzwiami mieszkania, które przez tyle lat uważałem za swój dom. Więc to miał być ten ostatni raz... Wiedziałem, że ona jest w domu, bo paliło się światło; jak rzadko, kiedy miałem nadzieję, że akurat przyjdę, a ona będzie. Nacisnąłem klamkę.

– Hej, hej, to ja! – zawołałem od progu, rozglądając się.

– Tu jestem! – głos z dużego pokoju... no tak, telewizor. Zawsze telewizor.

– Dobry wieczór, mamó. – Stałem w drzwiach.

– Synku! – Odwróciła się w fotelu, uśmiechnęła promiennie. – Zobacz, jaki ciekawy teleturniej właśnie leci! Przedostatnia runda, a do wygrania nowy odkurzacz!

Przysiadłem na brzeżku wyświechtanego fotela, popatrzyłem na jej twarz. Posunęła się bardzo przez te kilka lat...

– Jak się czujesz, mamó? – Położyłem swoją dłoń na jej rękę. – Jak praca na zakładzie?

– Dobrze, synku, bardzo dobrze. – Pokiwała głową, nie odrywając oczu od ekranu, na którym pedałowaty prowadzący sypał przasnymi żartami. – Będziemy mieli kiermasz w przyszłym tygodniu, przyjdiesz? I koniecznie powiedz kolegom z klasy, może i oni się zainteresują.

– Dobrze, mamó. – Zagryzłem zęby, żeby się nie rozpłakać. Chociaż zresztą, co ja gadam? To chyba musiała być po prostu podświadoma reakcja. – Bierzesz lekarstwa?

– Dokładnie według recepty od pana doktora. – Spojrzała na mnie, zaczęła liczyć na palcach. – Dwie niebieskie rano, to raz; potem przy drugim śniadaniu jeszcze jedna, to dwa; po obiedzie czerwona i żółta, to trzy; i wieczorem przed snem znów niebieska... Widzisz, pamiętam wszystko!

– Świetnie, mamó.

– Zostaniesz na kolacji? Będzie chleb z masłem, kiełbasy ukroję, potem zaparzymy herbatę i pooglądamy telewizor...

– Muszę iść, mamó. – Podniosłem się. – Przyszedłem się pożegnać.

– Ojej, tak szybko? – Nawet nie spojrzała na mnie. – Przecież zaraz wróci tata, poczekaj jeszcze trochę...

Zacisnąłem pięści, popatrzyłem na stojące na szafce zdjęcie. W łazience nadal stała

w kubku jego szczoteczka, buty czekały pod drzwiami, w szafie wisały regularnie prane i prasowane koszule... Te same koszule od czterech lat. Nawet popielniczka na stole była w tym samym miejscu, chociaż za każdym razem, jak przychodziłem, starałem się ją gdzieś schować. Ta popielniczka i leżąca w niej fajka z cybuchem przerażały mnie najbardziej, ale nie mogłem się przemóc, żeby je po prostu wyrzucić. Mama by tego nie przeżyła.

– Muszę iść, mamó. – Nachyliłem się, pocałowałem ją w głowę. – Naprawdę muszę; żegnaj.

– Pozdrów tatę! – zawołała, gdy wychodziłem. Zmroziło mnie, stanąłem w miejscu jak wryty; zamachnąłem się i uderzyłem pięścią w drzwi szafy raz, drugi i trzeci, nie czując nawet tego... Potem starłem rękawem zakrzepłą krew i ropę, popatrzyłem po raz ostatni na dom, którego miałem nigdy już nie zobaczyć. To prawdziwe szczęście, że miała dziś akurat tę fazę swego cyklu; teraz mogę ją na zawsze właśnie taką zapamiętać – lekko nieobecną, ale za to ciepłą, prawdziwie rodzinną.

A to niemało, zważywszy, że „na zawsze” nabierało dla mnie ostatnio zupełnie innego znaczenia.



Nocą

– Naprawdę musisz? – chlipnęła Daszka.

– Nie, lalka, nic nie muszę. Ale jak rzadko kiedy wiem, że powinienem.

Staliśmy na skraju pasa ziemi wokół Kordonu, tam, gdzie jeszcze kryły nas drzewa; kawałek dalej i ryzykowalibyśmy, że zobaczą nas z wież obserwacyjnych przez termowizjery. No, w każdym razie ją zobaczą; moje ciało miało temperaturę nocnego powietrza.

– Pożegnałeś się z rodzicami chociaż...? – zabczała, chowając twarz w mojej kurtce. – Przecież będą tęsknić...

– Tylko z mamą – odparłem, patrząc ponad jej głowę ku nieodległemu Pograniczu. – Ojciec... ojciec cztery lata temu poszedł do Zony i nie wrócił.

– Ojej... nie wiedziałam, przepraszam...

– Nie szkodzi. – Pogładziłem ją po włosach. – Nie szkodzi. Nauczyłem się z tym żyć, a mama... Ona wciąż czeka, że on pewnego dnia stanie w drzwiach. Ma nadzieję, która pozwala jej nie widzieć i nie czuć niczego poza jej małym światem... Zajdź do niej od czasu do czasu, pomóż coś, dobrze?

Pokiwała głową, patrząc mi prosto w oczy. Dotknąłem jeszcze ostatni raz jej twarzy dłonią w skórzanej rękawiczce, uśmiechnąłem się smutno:

– Nie płacz, Daszka. Chcę cię zapamiętać, jak jesteś wesoła.

– Do-dobrze. – Otarła łzy, spróbowała się też uśmiechnąć. Nieszczególnie jej wyszło, ale i chwila nie sprzyjała radości. – Dokąd... dokąd pójdziesz?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Przed siebie. Może spróbuję dojść do samej CzAES, a może i dalej, jeśli dam radę... Zobaczę.

Popatrzyliśmy sobie w oczy, dotknęliśmy czołami... A potem delikatnie, aczkolwiek stanowczo odsunąłem ją na bok i ruszyłem ku ogrodzeniu.

– Do widzenia, Sztywny.

– Trzymaj się, Daszka – rzuciłem przez ramię.

Siatka była tu wyjątkowo wysoka, przynajmniej ze cztery i pół metra, i schodziła minimum metr w głąb ziemi, kończąc się sporej grubości betonowym fundamentem. Ani przejść, ani podkop zrobić, nic... Nie potrzeba było nawet reflektorów, bo tędy nikt nie chodził; strzelcy wyborowi i kamery termowizyjne kładli pokotem wszystko, co tylko łeb ponad ziemię podniosło w promieniu stu metrów od Kordonu. Siatka pod zabójczym napięciem trzech tysięcy woltów, o czym obwieszcza w kilkunastu językach ogromna pomarańczowa tablica, którą właśnie mijam. Tędy żywy nie przejdzie nikt.

Podszedłem do ogrodzenia, popatrzyłem na biegnące znikąd i donikąd rzędy stalowych drutów. Niemalże czułem w powietrzu zapach ozonu, włosy na rękach same stawały dęba... Uśmiechnąłem się sam do siebie i złapałem ręką za jedną z sekcji płotu. Poczułem, jak tężeją mi mięśnie, zapachniało spalenizną, z rękawiczki uniósł się błękitnawy dymek... Nie było aż tak źle.

Wspiąłem się na górę ogrodzenia, przrzuciłem plecak, poszamotałem się trochę z drutem kolczastym, w końcu pokonałem szczyt siatki i zeskoczyłem na drugą stronę. Spojrzałem prosto w obiektyw kamery, zamocowanej na betonowej podstawie dokładnie na wprost mnie, pomachałem ręką do bezdusznej maszyny, gdzieś daleko stąd analizującej dochodzące z aparatury odczyty i sygnały. Mogą sobie potrafić zmierzyć ciepłotę ciała, zarejestrować ruch, ba! – nawet bicie serca, w zasadzie wszystko; ale dopóki nie wynajdą detektora reagującego na duszę, na ludzkie marzenia i pragnienia, to tacy jak ja stalkerzy zawsze będą przenikać do stref zakazanych – czy to tutaj, czy gdziekolwiek indziej na świecie.

Poprawiłem plecak, sięgnąłem do kieszeni po mutrę z dowiązanym kawałkiem bandaża. Przede mną leżała Zona.

Koniec



FABRYCZNA

S.T.A.L.K.E.R.



WWW.FABRYCZNAZONA.PL

ZONA



fabryka słów
WYDAWNICTWO

POLSKIE POSTAPO

SURVARIUM





Michał Gołkowski **Stalowe Szczury: Błoto**

Wkrocz w okopy Wielkiej Wojny.

Wiosna 1922. Samobójcze natarcie na pozycje przeciwnika po raz kolejny prowadzi kapral Reinhardt i jego kompania karna – kundle wojny, dezernerzy, podpalacze i najgorsze szumowiny. Straceńcy gotowi na wszystko.

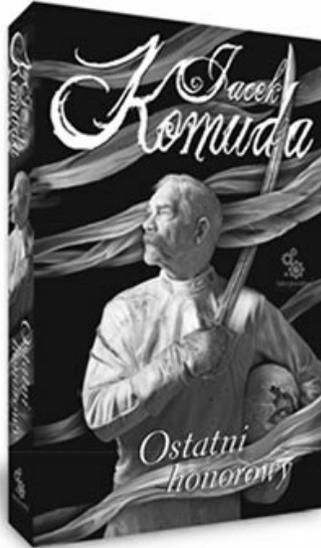
– Na pozycje! – warknął Kurt.

Linia złamała się, rozsypała, (...) gdy żołnierze zaczęli ustawiać się przy drabinkach. Widać było, że część odsuwa się od nich jak najdalej, podczas gdy inni z pewną desperacją przepychają się jak najbliżej. Chcą mieć to już za sobą, pomyślał Reinhardt (...). Rozumiał ich aż nadto dobrze; być może postępowałby podobnie, gdyby tylko miał gwarancję, że postrzał byłby równoznaczny z szybką i bezbolesną śmiercią.



Adam Przechrta
Demony Leningradu
Demony wojny – część 1
Demony wojny – część 2
Demony czasu pokoju

Koszmar, który dusi grozą nawet zimne, bezlitosne serce Ławrentija Berii. Bezlitosny świat NKWD, GRU i walk pomiędzy wywiadami oraz polityczne czystki. Adam Przechrta niezwykle drobiazgowo odtwarza realia życia w sowieckiej Rosji podczas wojny. Z każdą przeczytaną stroną chcesz więcej i więcej...



Jacek Komuda

Ostatni honorowy

Polska w latach PRL-u.

Kuba Błażyk to młody szermierz, zawodnik warszawskiej Legii. Młodziak niedobrze znosi dominację sportowców Dynama Moskwa. Kolejny stronnaczy werdykt na korzyść rosyjskich „braci” przelewa czarę goryczy. Kuba szarpie się ze sobą. Chce odejść. Wtedy właśnie pojawia się atrakcyjna propozycja udziału w pojedynkach na ostrą broń białą. Walki są aranżowane dla obcokrajowców – bogaczy i arystokratów. Sparingi organizują dla zabawy, zakładów lub chcąc załatwić porachunki między sobą.

Kuba dostaje szansę na pozornie łatwy zarobek. Trzeba tylko przeżyć. Przeciwnicy nie stosują się do sportowych reguł. To walka na śmierć i życie.



Tomasz Kołodziejczak Czerwona Mgła Czarny Horyzont Biała Reduta – tom 1

**W uniwersum Ostatnia Rzeczpospolita
trwa nieustanna walka na miecze i bomby,
runy i satelity, relikwie i karabiny.**

W niedalekiej przyszłości złowrogie istoty z innej rzeczywistości, korzystające z magii i niezwykłych technologii, atakują nasz świat. Błyskawicznie podbijają kolejne państwa. Jednym z ostatnich bastionów zjednoczonych sił ludzi i elfów staje się Królestwo Polski.

Wszechogarniające Zło, by zapanować nad światem, nie cofnie się przed niczym.

**Mocna dawka fantasy, science fiction
i historii Polski w doskonałej powieści**



Brian McClellan Obietnica krwi

**Strzelby, miecze i zapomniana magia,
która odżywa.**

Ta książka jest po prostu obłędna. Złapałem się na tym, że wszystko mi się w niej podobało. Nowe podejście do magii, szybka akcja, ciekawy świat. Ale ubaw!

Brandon Sanderson

Proch i magia. Wybuchowa mieszanka. „Obietnica krwi” jest najlepszym debiutem, jaki czytałem od lat.

Peter V. Brett

Dość marnotrawstwa, chciwości i korupcji.
Dość szlachty pijącej krew ludu.
Ja im pokażę nowy rodzaj czarów... proch i kule.
Jutro odzyskam i oddam ludziom ich kraj.
Epoka królów dobiegła końca i to moja sprawka.



STALKER

oficjalnie licencjonowane produkty
po raz pierwszy w Polsce!

Pełny asortyment hurtowy na gear4games.pl



Sprzedaż detaliczna RedZone.com.pl



COPYRIGHT © MICHAŁ GOŁKOWSKI
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2015
COPYRIGHT © BY Transavision ltd.
COPYRIGHT © BY Mir Igr OOO

TYTUŁ ORYGINAŁU Бектор угрозы

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-065-2

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE Klaus Wittmann

PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

ILUSTRACJE Andrzej Łaski

REDAKCJA Dorota Pacyńska

KOREKTA Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD OPRACOWANIE OKŁADKI „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

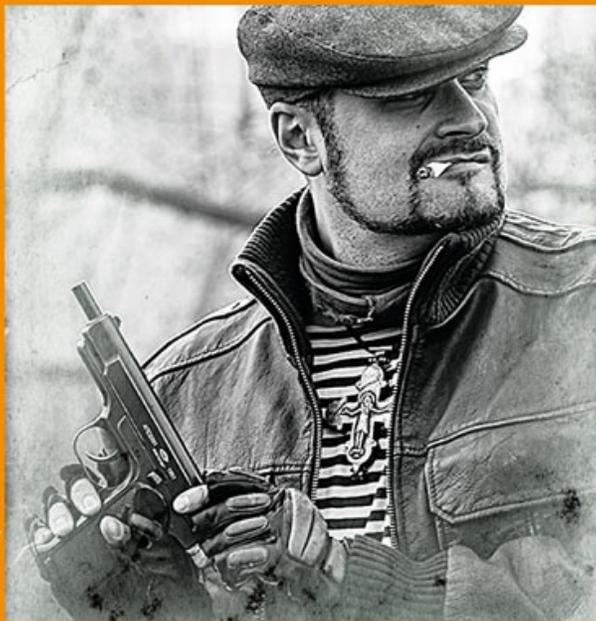


fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka

foto © Fabryka Słów



MICHAŁ GOŁKOWSKI

Bezkompromisowy autor przebojowej trylogii: „Ołowiany świt”, „Drugi Brzeg” i „Droga donikąd” oraz cyklu „Stalowe szczury”, który jest efektem jego fascynacji historią i wojskowością czasu Wielkiej Wojny.

Z wykształcenia lingwista, z zamiłowania historyk wojskowości i felietonista miesięcznika „Uważam Rze Historia”, z zawodu tłumacz, bez skrępowania poruszający się po ministerialnych, sejmowych oraz telewizyjnych korytarzach i strefach VIP.

Samotnik, mizantrop i introwertyk zafascynowany Czarnobylem. Wprowadził do Polski serię książek z uniwersum S.T.A.L.K.E.R.a. Zaangażowany również w tłumaczenie cyklu powieści ze świata SURVARIUM.

Swoje związki ze Wschodem i stosunek do słowiańskości określa jako typowy love-hate relationship.

Pisać może zawsze i wszędzie. W ciągu dwóch lat wydał cztery powieści (piątą trzymacie w dłoni) i przetłumaczył trzy kolejne.

SZTYWNY

jest bandytą,
choć sam za takiego
się nie uważa.

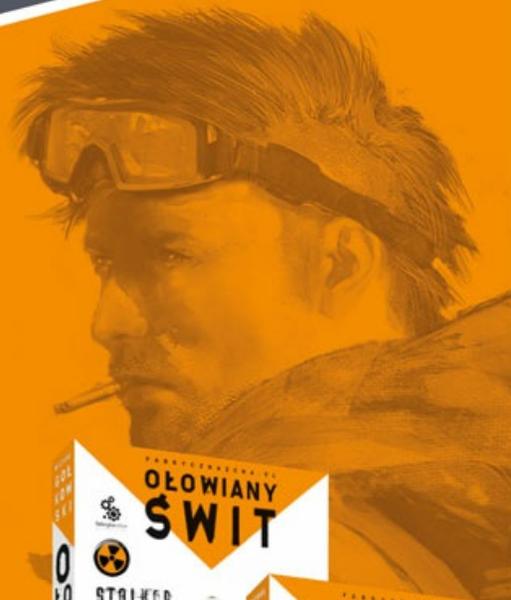


Ostatnio ma zdrowo pod górę. Trzeba zebrać kupę szmalu albo do piachu. W świecie gangsterki nie tamie się obietnic bezkarnie.

Wyprawy do Zony służą napchaniu kieszeni, żeby mieć hajs na coraz bardziej odjechane przyjemności.

A to, że czasem wejdzie się we trzech, a wyjdzie samemu... No cóż, głównie chodzi po ludziach.

Może to złe decyzje, a może za bardzo wyrwana ręka, dość, że każdy chce Sztywnego zabić, a i on nie pozostaje dłużny, więc trup ściele się gęsto. Niestety, z dnia na dzień stalker zdaje się zmierzać dziarskim krokiem do grobu wykopanego gdzieś na wysypisku. Pistolet w garści jest, desperacja też, no to do dzieła, czas kogoś rozwalić.



FABRYCZNA.ZONA.PL



fabryka słów®
WYDAWALNICTWO

facebook.com/fabryka

Wyłączny
dystrybutor



Patroni medialni

UWAŻAM RZE



Polub
Fabryczną Zonę